

Neggers Carla

Anioł

PROLOG

Południowy Boston, Massachusetts 12 lipca, trzydzieści lat temu godz. 14.00

Kawałek żółtej taśmy policyjnej unosił się na fali przyływu w Zatoce Bostońskiej, z której wynurzyło się ciało dziewiętnastoletniej Deirdre McCarthy. Bob O'Reilly nie mógł oderwać od niego wzroku. Podobnie jak stojąca obok niego w palącym letnim słońcu Patsy McCarthy, matka Deirdre. Nalegała, by tu przyjść. Bob nie miał ochoty, ale nie mógł pozwolić, by poszła sama.

- Deirdre była aniołem.

- To prawda, pani McCarthy. Deirdre była najlepsza.

Mimo trzydziestostopniowego upału Patsy trzęsła się w swoim jasnoniebieskim poliestrowym swetrze. Bardzo schudła w ciągu trzech tygodni - od kiedy jej córka, asystentka pielęgniarki, nie wróciła z pracy. Na początku policja myślała, że jest kolejną

dziewczyną z południowego Bostonu, która zeszła na złą drogę. Patsy nie wierzyła. Każda, ale nie Deirdre.

Zniknęła w dniu przesilenia letniego. Najdłuższego dnia roku.

To jakoś pasuje, pomyślał Bob.

Patsy zwróciła oczy - jasne i błękitne jak popołudniowe niebo - w stronę horyzontu, jak gdyby starała się dostrzec bardzo daleką wyspę, na której się urodziła. Jak gdyby Irlandia mogła przynieść jej ukojenie i dać siłę do poradzenia sobie z tą sytuacją.

Patsy opuściła południowo-zachodnie wybrzeże Irlandii czterdzieści lat wcześniej, w wieku dziewięciu lat. Nigdy tam nie wróciła. Lubiła opowiadać historie o swoim irlandzkim dzieciństwie - jednoizbowej chatce bez kanalizacji, centralnego ogrzewania, a nawet bez wychodka, i o tym, jak nauczyła się wypiekać na otwartym ogniu swój słynny ciemny chleb.

Bob zastanawiał się, jak opowie tę historię.

O tym, jak porwano jej córkę, gwałcono, dręczono

1 zamordowano.

Policja nie ujawniła szczegółów, ale Bob - syn gliniarza z Bostonu - słyszał plotki o okropnościach nie do opisania. Miał dwadzieścia lat i plan, by zostać detektywem. Kiedyś sam będzie musiał zajmować się takimi sprawami. Dotąd miał nadzieję, że nigdy nie będzie znalazł żadnej z ofiar. Tymczasem razem z Deirdre uczył się jeździć na rolkach. Obydwoje po raz pierwszy całowali się - tylko po to, by zobaczyć, jak to jest.

- Słyszałam wczoraj lament *banshee* - powie-

2

działa cicho Patsy. - Nie potrafię powiedzieć, czy wierzę, czy nie wierzę w elfy, ale co słyszałam, to słyszałam. Wiedziałam, że dziś rano odnajdziemy Deirdre.

Bob poczuł, że zjeżyły mu się włosy na karku.

Emerytowany strażak natknął się na ciało Deirdre podczas spaceru z psem o wschodzie słońca. Policjanci odjechali tak szybko, jak przyjechali. Pracowali z ponurą sprawnością, biorąc pod uwagę błyskawicznie rosnący wskaźnik zabójstw w Bostonie. Teraz musieli wytropić jeszcze jednego mordercę.

Mimo hałasu miasta, ślizgu pływających łodzi i startujących z lotniska Logan Airport samolotów Bob słyszał uderzenia fal o piasek. Nigdy nie czuł się tak cholernie bezradny i samotny.

- Deirdre Ita McCarthy. - Patsy skrzyżowała ręce na piersi, jak gdyby było jej zimno. - To imię irlandzkiej świętej. Urodziła się jako Deirdre i przybrała imię Ita, gdy złożyła śluby. Ita znaczy „spragniona Bożej miłości”.

Patsy była głęboko wierząca. Bob przestał chodzić do kościoła w wieku szesnastu lat, gdy jego matka stwierdziła, że to do niego należy decyzja, czy chce tam chodzić, czy nie. Jednak wiedział, że pojawi się w kościele na pogrzebie Deirdre.

- Nigdy nie znałem się na świętych - spróbował się uśmiechnąć. - Nawet tych irlandzkich.

- Święty Patryk, święta Brygida i święta Ita to celtyccy święci. Święta Ita miała dar przewidywania. Przez całe życie odwiedzały ją anioły. Wierzysz w anioły, Bob?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Ja wierzę - wyszeptała.

Patsy nie uznałaby za sprzeczne tego, że w jednej chwili wspomniała o lamencie *banshee* - samotnej zjawy zwiastującej śmierć - a zaraz potem przyznała się do wiary w anioły. Dopóki te wierzenia przynosiły jej ukojenie, Boba nie obchodziła cała reszta. Nie wiedział, co powiedzieć o zjawach, o aniołach, o czymkolwiek.

Cztery lata wcześniej jej mąż zmarł na zawał serca. A teraz to.

- Policja znajdzie tego, kto zabrał nam Deirdre.

- Nie znajdą. Nie potrafią. - Patsy przeniosła wzrok z powrotem na taśmę policyjną dryfującą na wodzie. - Policjanci są tylko ludźmi.

- Nie spoczną, dopóki nie złapią tego, kto to zrobił.

- Deirdre zabrał diabeł. Nie człowiek.

- To nie ma znaczenia. Jeśli będą musieli zejść do piekieł, żeby znaleźć i aresztować diabła, zrobią to. Jeśli będzie trzeba, zrobię to sam.

- Nie. Nie, Bob. Deirdre nie chciałaby, żebyś poświęcał swoją duszę. Jest teraz wśród innych aniołów. Jest spokojna.

**Bob nagle zdał sobie sprawę, że Patsy traktowała diabła bardzo dosłownie. Pomyślał o Deirdre z jej blond włosami i niebieskimi oczami, delikatną skórą i niewinnym uśmiechem. Była wciele-
niem dobra. Nie miała szans przy kimś, kto chciałby ją skrzywdzić. Nieważne, czy był diabłem,
czy nie.**

8

Będzie za nią tęsknił. Będzie za nią tęsknił do końca życia.

Powstrzymał emocje. Musi się tego nauczyć, jeśli chce zostać detektywem i chwycić takich jak ten, który zabił Deirdre.

- Nie chcemy przecież, żeby ten zbrodniarz skrzywdził kogoś jeszcze.

- Nie chcemy. - Patsy podniosła wzrok znad wody. - Ale można inaczej walczyć z diabłem. Dwie godziny później Bob zastał swoją siostrę, Eileen, odmawiającą różaniec na ławce w cieniu rozłożystego dębu na kampusie Boston College. Podjęła tam pracę wakacyjną w bibliotece.

- Nie wiedziałem, że wciąż masz różaniec - powiedział.

- Ja też nie. Znalazłam go dziś rano w szkatułce z biżuterią.

Prawie szeptała, trzymając pojedynczy koralik w kolorze kości słoniowej między kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie odmawiałam różańca od wieków. Myślałam, że już nic nie pamiętam, ale wszystko natychmiast mi się przypomniało.

Bob usiadł obok niej. Siostra była najmądrzejszą osobą w jego rodzinie. Przed dwoma dniami wróciła z letniej szkoły w Dublinie. Nikt nie poinformował jej, że Deirdre zniknęła. Co Eileen mogłaby zrobić, będąc w Irlandii? Po co psuć jej pobyt, skoro wszyscy mieli nadzieję, że Deirdre odnajdzie się cała i zdrowa?

Kiedy rodzina O'Reillych dowiedziała się, że

znaleziono ciało Deirdre, Eileen udala, że nic się nie stało, i wyszła do pracy.

- Właśnie wróciłem z portu z panią McCarthy - powiedział Bob.

Eileen spięła się, jak gdyby te słowa zadały jej cios. Bob przerwał. Włosy siostry były bardziej blond niż rude jak jego. Miała też więcej piegów. Nigdy nie uważała się za szczególnie atrakcyjną, w dodatku stawiała sobie wysokie wymagania. Sporządzona przez nią lista małych i dużych własnych wad nie miała końca.

- Policja nic już nie może zrobić. - Eileen uniosła wzrok znad różańca i spojrzała na starszego brata. - Prawda?

- Mogą znaleźć zabójcę Deirdre. Powstrzymać go przed kolejnym morderstwem.

- Nie mogą cofnąć tego, co się stało.

Lewa ręka siostry drżała, ale prawa, w której trzymała różaniec, była nieruchoma. Bob zauważył, jak blada jest Eileen - jakby zrobiło jej się niedobrze. Jego bystra, ambitna siostra miała tak wiele planów na życie, ale powrót do domu i wieść o zaginięciu Deirdre wepchnęły ją znowu do świata, z którego próbowała się wydostać.

A teraz Deirdre nie żyła.

Palce Eileen automatycznie przesunęły się na następny koralik. Jej usta poruszały się delikatnie, gdy bezgłośnie recytowała: „Zdrowaś, Mario...”. '

Bob czekał, aż skończy odmawiać różaniec

1 schowa go do granatowej aksamitnej sakiewki. Ścisnęła ją mocno i oparła się na ławce.

10

Razem obserwowali, jak wiewiórka wspina się na czubek klonu.

Nie patrząc na brata, Eileen powiedziała:

- Jestem w ciąży.

Była to ostatnia rzecz, jakiej spodziewał się usłyszeć od siostry po odmówieniu przez nią modlitwy. Ich rodzice będą w szoku. On też był w szoku. Z tego, co wiedział, nie miała chłopaka.

Zwalczył w sobie chęć ucieczki. Ucieczki z Bostonu, jak najdalej od następstw śmierci Deirdre, od tego, co stanie się z jego siostrą. Wszystko stało mu przed oczami - Patsy rozpaczająca w domu obok, policja ścigająca zabójcę Deirdre, Eileen z coraz większym brzuchem zastanawiająca się, co zrobić z dzieckiem.

Ojciec dziecka. Kim on, do diabła, jest?

Bob zacisnął dłonie w pięści. Był młody. Nie musiał zostawać w Bostonie i przejmować się tymi wszystkimi problemami. Mógł pojechać wszędzie. Zostać detektywem w Nowym Jorku, Miami, Seattle. Albo na Hawajach i przeprowadzić się do Honolulu, pomyślał.

- Od jak dawna? - zapytał.

- Od niedawna. Nie robiłam jeszcze testu, ale wiem.

- Eileen... - Bob spojrzał na młodszą siostrę, lecz ona nie popatrzyła mu w oczy. - Co się stało w Irlandii?

Nie odpowiedziała. Zerwała się na równe nogi i szybkimi krokami podążyła w stronę pokrytego bluszczem budynku, w którym pracowała. Bob nie poszedł za nią.

Tydzień później seria telefonów poinformowała bostońską policję o mężczyźnie, który wyskoczył z łódki w porcie.

Płonął, kiedy wpadł do wody.

Zanim dotarł do niego przepływający obok statek wycieczkowy, był już martwy.

Po kilku godzinach został rozpoznany jako Stuart Fuller, dwudziestoczteroletni robotnik drogowy. Wynajmował poddasze trzy przecznice od domu, w którym mieszkała Deirdre McCarthy z matką. Policja odnalazła niezbite dowody, że to on był mordercą Deirdre.

Złapali swojego diabła.

Sekcja zwłok wykazała, że Fuller się utopił. Ale gdyby nie wskoczył do wody, zmarłby na skutek oparzeń.

Wieczorem Bob znalazł Patsy na werandzie z jakimiś dwudziestoma figurkami aniołów ustawionymi na szerokiej drewnianej balustradzie. Mimo gorąca miała na sobie różowy sweter z poliestru, jak gdyby już nigdy nie miała zaznać ciepła.

- Deirdre zbierała anioły - powiedziała.

- Wiem. Dzięki temu łatwo było jej kupować prezenty. - Bob wskazał na kolorowego szklanego anioła, którego kupił dla niej podczas szkolnej wycieczki na Cape Cod. - Dałem go jej na szesnaste urodziny.

- Jest piękny, Bob. Ścisnęło mu się gardło.

- Proszę pani...

8

- Policja była tu dziś rano. Opowiedzieli mi o Stuarcie Fullerze. Zapytali, czy go znałam.

- Znała pani?

- Nie przypominam sobie. Ale mogłam go widzieć gdzieś w okolicy. - Jej oczy zwięzły się trochę.

- Może w kościele. Diabła zawsze ciągnie do dobrego.

Bob patrzył, jak Patsy czyści-mokrą szmatką delikatnego anioła z białej porcelany, który trzymał małą harfę irlandzką. To była jedna z najcenniejszych figurek w kolekcji Deirdre i jedna z jej ulubionych. Kochała wszystkie anioły - nieważne, drogie czy tanie i tandetne. Mówiła Bobowi, że chce sobie sprawić szklaną gablotkę na nie.

- Czy zna pani szczegóły śmierci Fullera? Wyglądało na to, że go nie słyszy.

- Chciałabym ci opowiedzieć pewną historię. Bob nie miał cierpliwości słuchać jej opowieści.

- Którą?

- Taką, której jeszcze nie słyszałeś. - Uniosła wyczyszczoną figurkę do światła. - Mój dziadek opowiedział mi ją jeszcze w Irlandii. Był wspaniałym gawędziarzem.

- Na pewno, ale...

- To opowieść o trzech braciach, którzy walczyli z elfami o starożytnego kamiennego anioła. - Oczy Patsy rozbłysły, przez moment wyglądała na niemal szczęśliwą. - To była jedna z ulubionych historii Deirdre.

- W takim razie nie może być smutna. Deirdre nie lubiła smutnych opowieści.

- Nie lubiła, prawda? Chodź, Bob. Zrobię herbatę i podgrzeję ci trochę ciemnego chleba. Upiekłam go dziś rano. To przepis mojej matki. Ojciec mówił, że mama piekła najlepszy ciemny chleb w całym West Cork.

Bob nie miał wyboru - musiał pójść za Patsy do kuchni, pomóc jej przygotować herbatę i ciepły, gęsty chleb. Ile razy siedział tu z Eileen i Deirdre, słuchając starych irlandzkich legend Patsy... Usiedli przy stole. Policzki Patsy zarumieniły się, kiedy smarowała masłem mały kawałek chleba.

- Dawno, dawno temu... - zaczęła, zadbawszy o irlandzki akcent - było sobie trzech braci, którzy mieszkali na południowo-zachodnim wybrzeżu Irlandii: rolnik, mnich pustelnik oraz próżniak, który był, oczywiście, ulubieńcem wszystkich...

Bob pił herbatę, jadł chleb i z trudem powstrzymywał łzy po stracie przyjaciółki, słuchając opowieści Patsy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okolice Mount Monadnock New Hampshire 17 czerwca, współcześnie godz. 16.00

Keira Sullivan odegnała komara, zastanawiając się, czyjego irlandzcy kuzyni będą tak samo natrętni. Już niedługo się o tym przekona, pomyślała, idąc ścieżką prowadzącą do domku matki w lasach południowego New Hampshire. Jutro poleci do Irlandii, by na południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy zgłębiać starą historię o intrydze, magii i starożytnym kamiennym aniele.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy zaszyje się w wynajętej irlandzkiej chatce z przyborami do malowania, laptopem, aparatem i dobrymi butami.

Przez sześć następnych tygodni będzie mogła rozmyślać, marzyć, rysować, malować, badać i, być może, pogodzić się ze swoją przeszłością. A dokładniej, z przeszłością jej matki.

11

Ale wcześniej musiała odwiedzić matkę i pójść na przyjęcie w Bostonie. Na horyzoncie pojawił się domek, przytulony do wiecznie zielonego pagórka nad potokiem. Keira słyszała jego szum i czuła, jak woda chłodzi wilgotne późnowiosenne powietrze. Wokół świergotały ptaki - pewnie sikorki.

Keirę dzieliły dwie godziny drogi od Bostonu, ale zdawało jej się, że trafiła na zupełnie inną planetę. Pocila się w czerwcowym upale, była rozczochrana, a nogi miała całe w biocie. Żałowała, że nie włożyła długich spodni zamiast szortów, w razie gdyby jej samotny komar wezwał posiłki.

Komar, który dorwał Keirę na ślepej drodze gruntowej, przy której zostawiła samochód, i dotrzymywał jej towarzystwa podczas długiej wędrówki przez las, pokonał z nią ostatnie kilka metrów ścieżki.

Stała na płaskim szarym kamieniu, który służył jako schodek do tylnych drzwi domu. Matka sama zbudowała tę chatkę z miejscowego drewna. Nie przyjęła pomocy rodziny i znajomych. Wynajęła fachowców tylko do robót, z którymi nie mogła sobie poradzić sama.

W domu nie było centralnego ogrzewania, elektryczności, kanalizacji. Matka nie miała telefonu, radia, telewizji, nie wspominając o samochodzie. Do domu nie docierała poczta.

Mroźne zimowe noce musiały być tu nieznośne, a nawet niebezpieczne, ale Keira wiedziała, że mama nigdy by się nie poskarżyła. Wybrała proste, surowe życie religijnej ascetki. Nikt jej go nie narzucił.

16

Keira zajrzała do środka przez siatkę w drzwiach. Na szczęście minimalistyczny styl życia jej matki dopuszczał moskitierę. Dzięki niej wstrętny komar zostanie za drzwiami.

- Cześć, mamó. To ja, Keira.

Jak gdyby jej matka miała inne dzieci. Jak gdyby po odcięciu się od świata zapomniała, jak ma na imię jej jedyna córka.

Keira odwiedziła mamę kilka tygodni wcześniej, ale nie na długo.

Spędziły ze sobą niewiele czasu w ciągu ostatnich paru lat, nie mówiąc o ostatnich osiemnastu miesiącach, od kiedy mama wybrała tę drogę.

Zawsze była religijna. Keira szanowała jej wiarę, ale to życie pustelniczki było nie w porządku - pomyślała, odganiając nieustępliwego komara.

- Keira! - zawołała radośnie mama. - Wchodź, jestem we frontowym pokoju. Zostaw buty na progu, dobrze?

Zrzuciła buty i weszła do kuchni - a raczej tego, co ją udawało. Było w niej kilka prostych szafek i podstawowe urządzenia kuchenne, które mama wygrzebała na wyprzedażach. Ksiądz namówił ją na kupno lodówki zasilanej gazem. Próbował też przekonać do kuchenki gazowej i najskromniejszego wodociągu - choćby tylko kranu z zimną wodą - ale mama nie dała się namówić. Twierdziła, że zawsze, może poza najmroźniejszymi dniami, mogła przynieść sobie wodę z pobliskiego strumyka.

Przekonanie do czegoś Eileen O'Reilly Sullivan nigdy nie było łatwym zadaniem.

Keira przeszła po nierównej sosnowej podłodze do głównego pokoju. Mama, ubrana w luźną bluzkę i spodnie z gumką w pasie, wstała z wysokiego stołka przy brzozyowym blacie, który służył za biurko. Jej prosto obcięte siwe włosy nasunęły Keirze skojarzenia z zakonnica, jednak mimo religijnego życia matka nie złożyła ślubów.

- Dobrze cię znów widzieć, Keiro.

- Ciebie też - powiedziała szczerze Keira. By zobaczyć się z matką, musiała przyjechać tutaj - mama nie odwiedziłaby jej w Bostonie. - Ładnie tu. Miło i przytulnie.

- To mój dom.

Matka usiadła z powrotem na stołku. Z okna za jej plecami rozciągał się malowniczy widok na zielony pagórek nad strumykiem, który podobał się Keirze. Jednak choć od czasu do czasu także odczuwała potrzebę bycia samej, nie mogłaby tu mieszkać.

Ciepły powiew wiatru wpadł do maleńkiej chatki. Nie licząc drewnianego krzyża, ściany głównego pokoju były gołe. Poza biurkiem i stołkiem stało w nim jeszcze żelazne łóżko z cienkim materacem, bujane krzesło i wąska komódka. Mały żelazny piecyk był nie tylko jedynym źródłem ciepła w domu, ale też miejscem, gdzie matka gotowała wszystkie posiłki. Sama rąbała drewno na opał.

Ziemia, na której stał dom, należała do małżeństwa z południowego Bostonu. Oni sami mieszkali za lasem, na drugim końcu ścieżki, którą obrała Keira, idąc do matki. Uważała, że są po części odpowiedzialni za odwrót jej matki od świata - od

18

jej własnej rodziny. Pozwolili jej wybrać miejsce na domek i nie wtrącali się, aż w końcu matka wprowadziła się tu poprzedniego lata.

Rok w tym miejscu, pomyślała Keira. Rok, a ona wygląda na szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

- Naprawdę dobrze cię widzieć, słońce - powiedziała cicho matka.

- Nie chcę przeszkadzać ci w pracy.

- Tym się nie przejmuj.

Na biurku leżał arkusz taniego papieru do szkicowania. Zanim matka zaszyla się w lesie, prowadziła sklep z przyborami dla artystów w rąalym miasteczku w New Hampshire, do którego wprowadziła się jako wdowa z małą córeczką. Po latach stała się biegła w kaligrafii oraz trudnej sztuce pozłacania. Dorabiała naprawianiem złoconych ram i luster, a także tworzeniem wymyślnych zaproszeń ślubnych. Teraz połączyła swoje umiejętności, oddając się niemal zapomnianej sztuce iluminowania rękopisów. Małżeństwo, które pozwoliło jej wybudować dom na swojej ziemi, znalazło też kogoś, kto był gotów zapłacić jej za zilustrowanie kilku fragmentów Biblii. Klient poprosił o celtycki styl i wybrał fragmenty, ale całą resztę pozostawił jej decyzji.

To była żmudna praca - spokojna, fachowa, wymagająca wyobraźni. Matka miała wszystkie przybory pod ręką - pędzle, pióra, farby, stalówki do kaligrafii, narzędzia do złocenia, tkaninę do polerowania i gładziki.

- Pracujesz nad własną Księgą z Kells - powiedziała Keira z uśmiechem.

15

Matka pokręciła głową.

- Księga z Kells to arcydzieło. Mówią, że to dzieło aniołów. A ja jestem tylko człowiekiem.

Kolejny podmuch wiatru zatrzęsł drzewami na wzgórzu. W powietrzu wisiała burza.

Zbliżający się zimny front miał przepędzić wilgotne powietrze, które od tygodnia panowało nad Nową Anglią. Keira chciała wrócić do samochodu, zanim zacznie padać.

- Widziałaś Księgę z Kells, kiedy studiowałaś w Irlandii?

- Tak. - Głos matki był chłodny, opanowany. Przeniosła wzrok na białą kartkę papieru, jak gdyby wyobrażała sobie skomplikowany, tysiącletni zdobiony manuskrypt. - Nigdy jej nie zapomnę. To, co ja robię, jest zupełnie inne. O wiele prostsze.

- Będzie wspaniale.

- Dziękuję. Księga z Kells składa się głównie z czterech ewangelii, ale ja mam zacząć od wygnania Adama i Ewy. - Oczy matki, o dziwnym bławatkowym odcieniu błękitu, zaśniły w nagłym przyplywie dobrego humoru. - Jeszcze nie wybrałam odpowiedniego węża.

Keira zwróciła uwagę na serię małych szkiców przyklejonych do blatu.

- To dopiero dzikie węże. Nie trafia cię szlag, kiedy tak siedzisz sobie sama i rysujesz węże i błyskawice?

Mama roześmiała się.

- Niestety, żadnych błyskawic. Chociaż... - Zamyśliła się na chwilę. - Nie wiem, Keiro, może coś
20

w tym jest. Jasna błyskawica w rajskim ogrodzie to całkiem niezły pomysł, nie uważasz?

Keira poczuła, jak opuszczają napięcie. W styczniu, po krótkim pobycie w San Diego, przeprowadziła się do Bostonu. Mogła zostać w San Diego albo przenieść się do Miami, Mozambiku albo na Tahiti

- albo do Irlandii, pomyślała. Do krainy jej przodków.

Kraju jej ojca. Prawdopodobnie.

Keira myślała, że będą się częściej spotykać, gdy zamieszka bliżej. Przywędrowała tutaj w rakietach śnieżnych z nadzieją, że matka będzie żywa i przy w miarę zdrowych zmysłach. Zastała ją w ciepłym i przytulnym domku z garnkiem chili bulgoczącym na piecyku, zadowoloną z surowej rutyny pracy i modlitwy.

Przyływ humoru u mamy nie trwał długo, a figlarna iskierka w jej oczach zgasła niemal natychmiast. Wystudiowana obojętność sprawiła, że jej twarz stała się bez wyrazu. Świadomie wycofała się z zaangażowania w sprawy świata. W tym wypadku

- świata, który uosabiała jej córka. Keira starała się nie czuć urażoną.

- Przyszłam się pożegnać. Jutro wyjeżdżam do Irlandii na sześć tygodni.

- Sześć tygodni? To długo.

- To będzie inna podróż niż dotychczas. - Keira zawahała się, po czym dodała: - Wynajmę domek na południowo-zachodnim wybrzeżu. Na półwyspie Beara.

Matka spojrzała na zalesione zbocze. Drugie

drzwi otwierały się na jeszcze jeden kamienny schodek i małe podwórko z ogródkiem warzywnym, ogrodzonym od saren i Bóg wie jakich jeszcze zwierząt.

W końcu westchnęła.

- Zawsze byłaś taka niespokojna.

To prawda, pomyślała Keira. Jako dziecko przemierzała lasy z blokiem rysunkowym i kredkami. Na uniwersytecie nie przepuściła żadnej okazji, by gdzieś pojechać. Wędrowała po zachodniej części kraju z przyjaciółmi, wskoczyła na kuter rybacki z chłopakiem, spędziła lato w Paryżu niemal bez pieniędzy. Po studiach próbowała różnych rzeczy, zanim całkowicie oddała się temu, co kochała najbardziej - rysowaniu, malowaniu, folklorowi. Z powodzeniem połączyła swoje zainteresowania, zyskując sławę ilustratorki poezji i opowieści ludowych. Mobilna praca pozwalała jej zaspokajać swoją potrzebę przygody, co było dodatkową zaletą.

- Kiedy byłam tu ostatnio - powiedziała - wspomniałam ci o projekcie, w który jestem zaangażowana. Pracuję z profesorem z Irlandii, który organizuje konferencję o folklorze irlandzkim w przyszłym roku. Część jej odbędzie się w Bostonie, a część w Cork.

- Pamiętam - odpowiedziała matka.

- Jednym z tematów będą Irlandczycy, którzy wyemigrowali do Ameryki w dwudziestym wieku. Zdecydowałam się zebrać i zilustrować ich historie. Babcia opowiedziała mi jedną tuż przed śmiercią. Była z West Cork...

18

- Wiem. Keiro... - Oczy matki były pełne smutku.

- O co chodzi? Byłam już w Irlandii. Nie na półwyspie Beara, ale... Mamo, czyżbyś bała się, że wpadnę na swojego ojca?

- Twoim ojcem był John Michael Sullivan. Ale Keira mówiła o swoim biologicznym ojcu. Jej mama jako dziewiętnastolatka wróciła w ciąży z letniej szkoły w Irlandii. Gdy Keira miała roczek, mama wyszła za Johna Sullivana, starszego o dziesięć lat elektryka z południowego

Bostonu. Dwa lata później zginął w wypadku samochodowym, a matka z Keirą wyprowadziły się z Bostonu i rozpoczęły nowe życie.

Keira nie miała wspomnień z nim związanych, ale gdy patrzyła na jego zdjęcia, ogarniała ją przytłaczająca czułość, wdzięczność i smutek, jak gdyby jakaś jej część jednak go pamiętała.

Matka nigdy nie opowiadała o tej podróży do Irlandii trzydzieści lat temu. Biologicznym ojcem Keiry mógł być ktokolwiek: jakiś turysta ze Szwecji albo inny student z Ameryki.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

- Skontaktowała się ze mną pewna kobieta z twojej ulicy w Bostonie, która usłyszała o moim projekcie. Opowiedziała mi niesamowitą historię o trzech braciach, którzy walczą ze sobą nawzajem

1 z elfami o starożytnego kamiennego anioła...

- Patsy McCarthy - powiedziała matka obojętnie.

23

- Tak. Wspomniała, że opowiedziała ci tę historię, zanim pojechałaś do Irlandii. Bracia wierzyli, że ta figurka to jeden z aniołów, które odwiedzały świętą Itę. A elfy - że to nie żaden anioł, tylko jeden z nich, zamieniony w kamień. Ta historia jest jeszcze ciekawsza.

- Pani McCarthy opowiadała ich wiele.

- Jej dziadek usłyszał ją, gdy pracował w kopalni miedzi na półwyspie Beara. Opowiedział ją Patsy, gdy była małą dziewczynką. Nazwa wsi, w której mieszkali bracia, nie jest podana, ale znamy wystarczająco dużo szczegółów...

- Żeby ją ustalić. Tak, wiem.

- I to miejsce, w którym mieszkał mnich pustelnik. Można spróbować je znaleźć, jeśli zna się opowieść. - Keira odczekała chwilę, ale gdy mama nie odpowiedziała, mówiła dalej: - Patsy powiedziała, że chciałaś odszukać wieś i chatkę pustelnika, gdy byłaś w Irlandii przed moim urodzeniem.

- Jest bardzo utalentowaną gawędziarką.

- To prawda.

Matka uniosła mały, niemal przezroczysty arkusz złota do światła, które wpadało przez okno. Użycie złota - prawdziwego złota - cechowało autentyczny iluminowany manuskrypt, ale Keira wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, by pozłacać dzieło matki.

- Czy wiesz, jaka jest różnica między grzechem i złem, Keiro?

Keira nie miała ochoty rozmawiać o grzechu i złu. Chciała porozmawiać o starej historii Patsy, o magii, intrygach i elfach.

24

- Nie myślę o tym zbyt często.

- Adam i Ewa zgrzeszyli. - Matka obróciła arkusz złota w taki sposób, by błyszczał w świetle późnego popołudnia. - Chcieli zadowolić Boga, ale ulegli pokusie. Żalowali swojego nieposłuszeństwa. Nie czerpali przyjemności z tego, co zrobili.

- Innymi słowy, zgrzeszyli.
- Tak, ale wąż to zupełnie inna sprawa. Rozkoszuje się swoimi złymi uczynkami. Cieszy się z tego, że krzyżuje szyki Bogu. Wydaje mu się, że jest zaprzeczeniem Boga. W przeciwieństwie do Adama i Ewy wąż nie popełnił grzechu w raju. Wybrał zło.
- Mamo, naprawdę nie wiem, jak możesz wytrzymać, myśląc o takich rzeczach w samotności. Matka położyła cienki złoty płatek na śnieżnobiałej kartce. Keira wiedziała z doświadczenia, że ze złotymi płatkami pracuje się ciężko, ale za to są elastyczne i mogą wytrzymać duży nacisk, nie rozpadając się na kawałki. Jeśli się je właściwie nałoży, wyglądają jak jednolita złota powierzchnia, a nie jedynie strzępki złota.
- Wszyscy grzeszymy, Keiro - powiedziała matka bez cienia uśmiechu - ale nie wszyscy jesteśmy źli. Diabeł to rozumie. Zło jest szczególnym stanem duszy.
- Czy to ma coś wspólnego z Irlandią? Z tym, co się stało, kiedy...
- Nie. To nie ma nic wspólnego z Irlandią. - Matka wzięła głęboki oddech. - No więc jak idzie praca?

Keira poczuła się, jakby została zlekceważona, i być może o to chodziło mamie. Jednak zdusiła w sobie zdenerwowanie nagłą zmianą tematu. Wiedziała, że nie przyszła do tego lasu, by oceniać matkę ani nawet po to, by się czegoś od niej dowiedzieć. Przyszła się po prostu pożegnać przed wyjazdem z Bostonu.

- Świetnie, dziękuję.

Po co miała się wdawać w szczegóły, skoro świat już nie interesował jej matki?

- Miło mi to słyszeć. Dziękuję, że wpadłaś. - Wstała i przytuliła Keirę na pożegnanie. - Żyj własnym życiem, kochanie. Nie pogrążaj się do reszty w tych starych historiach. I proszę, nie przejmuj się mną. Radzę sobie dobrze.

Wracając przez las, Keira powstrzymała chęć spojrzenia przez ramię, czy nie ma tam diabła ani węży. Zamiast tego przypomniała sobie, jak była małą dziewczynką, a mama śpiewała jej irlandzkie piosenki i czytała różne historie. O wrózkach, czarodziejach i gigantach, o hobbitach, elfach i panach ciemności, księżętach i księżniczках, wiedźmach, skrzatach, szewcach, odkrywcah i awanturnikach.

Jak to się stało, że taka towarzyska, kochająca zabawę kobieta wylądowała na tym pustkowiu? Ale Keira musiała przyznać, że dostrzegala znaki tego, co miało nastąpić. Obserwowała u matki momenty przygnębienia i poczucia winy, tęsknoty za spokojem, którego nie mogła osiągnąć.

Mama zarzekała się, że nie odrzuciła świata ani

22

swojej rodziny, tylko praktykowała wiarę na swój prywatny, głęboki sposób. Twierdziła, że jest częścią wielowiekowej klasztornej tradycji.

Bez wątplenia była to prawda, ale Keira nie wierzyła, że ta ucieczka do odosobnionego domku w lesie była spowodowana tylko i wyłącznie wiarą. Słuchając historii Patsy McCarthy, zaczęła się zastanawiać, czy podróż matki do Irlandii trzydzieści lat temu nie miała wpływu na jej późniejszy wybór życia pustelniczki.

Jeszcze jeden komar - a może ten sam - znalazł Keirę. Bzycząc nad jej uchem, sprowadził ją z powrotem na ziemię, do jej własnego życia. Zamachnęła się na niego, zmierzając wąską leśną ścieżką w stronę ślepej uliczki, przy której zaparkowała samochód.

W historii o trzech braciach, elfach i kamiennym aniele nie chodziło o garniec złota na końcu tęczycy. Ta opowieść, pomyślała Keira, była raczej o związkach rodzinnych i głębokim ludzkim pragnieniu kontaktu z innymi, pragnieniu powodzenia i szczęścia.

A przede wszystkim był to po prostu świetny materiał - fascynująca historia, którą Keira mogła zilustrować i opowiedzieć na kartach swojej nowej książki.

**„Mówią, że kamienny anioł leży pogrzebany w ruinach chaty starego mnicha po dziś dzień”.
Może tak, a może nie. Patsy McCarthy, a przed nią jej dziadek, mogli przez lata ubarwiać tę historię. To jednak nie miało znaczenia. Keira połknęła**

bakcyła i nie mogła się doczekać podróży do Irlandii.

Wcześniej musiała wrócić do Bostonu na przyjęcie i aukcję charytatywną na rzecz konferencji folklorystycznej, dzięki której znalazła się przecież w kuchni Patsy.

Po raz ostatni spojrzała w stronę lasu. Chciała, by jej matka mogła zjawić się na wieczornym przyjęciu.

- Nie tylko ze względu na mnie, mamó - wyszeptala. - Ze względu na ciebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ogród Miejski Boston, Massachusetts 17 czerwca godz. 19.00

Victor Sarakis nie pozwolił, by zatrzymała go ulewa. Nie mógł.

Musiał ostrzec Keirę Sullivan.

Krople deszczu rozpryskiwały się na asfaltowych alejkach w Ogrodzie Miejskim, wiktoriańskiej oazie w centrum Bostonu. Przyspieszył kroku, żalując, że nie wziął parasola lub choćby kurtki z kapturem. Ale nie miał daleko. Po wyjściu z ogrodu musiał już tylko przejść przez Charles Street i dojść Beacon Street do budynku stojącego tuż koło zwieńczonego złotą kopułą Massachusetts State House.

Uda mu się. Musi się udać.

Szare, stłumione światło i zadziwiająco silny deszcz

wprawili go w przygnębienie i jeszcze bardziej zaniepokoiły.

- Keira nie może jechać do Irlandii.

Zdziwił się, że wypowiedział te słowa na głos. Choć wielu ludzi nie uważało go za zupełnie zdrowego na umyśle, nigdy wcześniej nie mówił do siebie.

- Nie może szukać kamiennego anioła.

Był przemoczony do nitki. Będzie wyglądał jak szaleniec, kiedy zjawi się w eleganckim budynku, gdzie odbywa się aukcja, w której bierze udział Keira. Nie może pozwolić, by to go powstrzymało. Musi ją przekonać, by go wysłuchała. Powiedzieć jej, z czym będzie musiała się zmierzyć.

Co chce ją dopaść.

Zło.

Czyste zło.

Nie szaleństwo, nie grzech, ale zło.

Victor musi ostrzec ją osobiście. Nie może powiadomić władz i zostawić im tej sprawy. Musi powstrzymać Keirę przed wyjazdem do Irlandii. Potem będzie się zastanawiał, jak poinformować policję. Co powiedzieć.

- Victor.

Wydawało mu się, że wiatr niesie jego imię. Ciepły, intensywny deszcz lał się strumieniami po jego twarzy, plecach, wlewał do butów. Zwolnił.

- Victor.

A więc głos nie był tylko wytworem jego wyobraźni.

Spojrzał w stronę płytkiego stawu. Deszcz bębnił

25

o lustro szarej wody. Słynne łódki z łabędziem na rufie były przycumowane na noc. Podczas burz w Ogrodzie Miejskim nie było nikogo. *Żadnych świadków.*

Victor zaczął biec. Zastanawiał się, co ma robić. Mógł podążać alejkami w stronę Charles Street albo spróbować uciec przez płytki staw.

Ale już wiedział, że nie ma ucieczki.

- Victor.

Zachwiał się. Nie mógł biec tak szybko. Nie był wysportowany, ale nie o to chodziło. Nie mógł prześcignąć takiego zła. Nie mógł prześcignąć wysłannika diabła. Nikt nie mógł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Beacon Hill Boston, Massachusetts 17 czerwca godz. 20.30

Nie po raz pierwszy w życiu Simon Cahill wdał się w dyskusję z upartym snobem. Tym razem w Bostonie, ale równie dobrze mógłby to zrobić w Nowym Jorku, San Francisco, Londynie albo Paryżu. Bywał we wszystkich tych miastach. I cenił sobie ciekawy spór, zwłaszcza z kimś tak nieznośnym i pretensjonalnym jak Lloyd Adler.

Adler wyglądał na czterdzieści kilka lat. Miał na sobie dzinsy, pogniecioną czarną lnianą marynarkę i biały T-shirt. Siwiejące włosy związał w kucyk. Wskazał na akwarelę przedstawiającą kamienną irlandzką chatkę, która wisiała po drugiej stronie eleganckiego salonu.

- Keira Sullivan przypomina raczej Tashę Tudor albo Beatrix Potter niż Picassa, nie sądzisz, Simon?

32

Być może, ale Simona to nie obchodziło. Artystka, o której była mowa, powinna już się zjawić. Adler też zaczął narzekać z tego powodu, ale jej opieszałość nie powstrzymała kilku osób przed licytowaniem dwóch obrazów, które ofiarowała na aukcję. Na drugim była wróżka albo elf, czy coś w tym rodzaju, w magicznej dolinie. Dochód przeznaczono na konferencję o irlandzkim i irlandzko-amerykańskim folklorze w Bostonie i Cork.

Keira Sullivan była nie tylko popularną ilustratorką, ale także wytrawną znawczynią tego folkloru.

Simon nie przyjrzał się uważniej żadnemu z jej obrazów. Tydzień temu był w Armenii, ratował ludzi, którzy przeżyli niszczycielskie trzęsienie ziemi. Zginęło ponad sto osób. Mężczyźni, kobiety, dzieci.

Głównie dzieci.

Teraz był w garniturze - drogi garniturze - i pił szampana w salonie na parterze eleganckiej dziewiętnastowiecznej kamienicy z widokiem na park Boston Common. Pomyślał, że zasłużył na to, by wzięto go za snoba.

- Beatrix Potter to ta od „Piotrusia Królika”?

- Tak, oczywiście.

Simon sięgnął po jeszcze jeden kieliszek szampana. Był niezły. Simon nie pozował na znawcę. Lubił to, co lubił, i nie przejmował się resztą.

- Kiedy byłem dzieckiem, mama ozdobiła mój pokój scenami z „Piotrusia Królika” wyhaftowanymi krzyżykiem.

- Słucham?

28

- Haft krzyżykowy. No wiesz, liczysz te nitki i... - Simon urwał celowo i wzruszył ramionami. Wiedział, że nie wygląda na kogoś, kto miał w dzieciństwie króliczki na ścianach, ale mówił prawdę. - Tak się zastanawiam, co też się stało z moimi małymi króliczkami.

Adler zmarszczył czoło i zachichotał.

- To zabawne - powiedział, jak gdyby nie wierząc, że Simon mówi serio. - Keira Sullivan jest dobra w tym, co robi, oczywiście, ale serce mi się kraje, gdy widzę, że jej akwarele odwracają uwagę od kilku bardzo ciekawych prac. To wstyd, naprawdę.

Simon spojrział na Adlera, który gwałtownie poczerwieniał i ruszył w tłum, mamrocząc, że musi się z kimś przywitać.

Dyskusje z nim tak się zwykle kończyły, pomyślał Simon. Dopił szampana, odstawił pusty kieliszek i wziął sobie pełny z innej tacy. Dobry catering, dobra zabawa. Większość gości na przyjęciu była elegancko ubrana. Z zasłyszanych strzępów rozmów zorientował się, że byli wśród nich bardzo różni ludzie: pracownicy naukowci, studenci, artyści, muzycy, etnologowie, dobroczyńcy, kilku księży, politycy i bogaci kolekcjonerzy sztuki.

Oraz przynajmniej dwoje policjantów, ale Simon trzymał się od nich z daleka.

- Lloyda Adlera nie tak łatwo wystraszyć - powiedział Owen Garrison, kręcąc głową.

Owen był szczupły i przystojny, tak jak wszyscy Garrisonowie. Simon miał posturę byka. Trudno to inaczej ująć.

29

- Dziś jestem grzeczny - uśmiechnął się, zuchwale wystawiając mały palec, gdy popijał szampana. Owen przewrócił tylko oczami. Simon stwierdził, że wypił już dość i odstawił kieliszek na stół. Zbyt dużo bąbelków i wda się w bójkę. - Nic mu nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby czmychnął.

- Niemożliwe. Jestem czarujący. Wszyscy tak mówią.

- Nie wszyscy.

Może i tak, ale Simon zwykle dobrze dogadywał się z ludźmi. Przyszedł na przyjęcie ze względu na Owena, do którego krewnych, nieprzypadkowo, należał ten budynek. Garrisonowie byli arystokratyczną rodziną, która przeprowadziła się z Bostonu do Teksasu po śmierci siostry Owena, Dorothy, gdy ta miała czternaście lat. To była straszna historia. Jedenastoletni wówczas Owen widział, jak jego siostra spada z urwiska i tonie obok letniego domu Garrisonów w Maine. Nie mógł zrobić nic, by ją uratować.

Simon przypuszczał, że tamto bolesne doświadczenie stało się główną przyczyną, dla której Owen założył Fast Rescue, międzynarodową organizację ratunkową. Miała siedzibę w Austin i utrzymywała się głównie ze środków prywatnych. Wysyłała - w ciągu dwudziestu czterech godzin - profesjonalne grupy ratownicze złożone z ochotników na miejsce katastrofy, naturalnej lub spowodowanej przez człowieka.

Simon był ochotnikiem w Fast Rescue od osiemnastu miesięcy. Ta decyzja pogmatwała jego życie bardziej, niż przypuszczał. I to nie dlatego, że misja w Armenii wypadła w szczególnie niedogodnym dla niego momencie.

Owen, który sam był profesjonalnym ratownikiem, też miał na sobie drogi garnitur, ale i tak zdawał się nie pasować do domu, który jego pradziadek kupił sto lat temu. Wnętrze było urządzone w barwach beżu i zieleni - najwyraźniej ulubionych kolorach Dorothy. Parter przeznaczono na spotkania i przyjęcia, pierwsze i drugie piętro mieściło biuro fundacji nazwane imieniem Dorothy i zajmującej się projektami, które mogłyby być jej bliskie.

Owen zerknął na główne drzwi wejściowe.

- Wciąż ani śladu Keiry Sullivan. Jej wujek się niecierpliwi.

Jej wujkiem był Bob O'Reilly, starszy brat matki i jeden z dwójki detektywów bostońskiej policji obecnych na przyjęciu. Drugim była Abigail Browning, narzeczona Owena. O'Reilly był potężnym, piegowatym rudzielcem z kilkudziesięcioletnim stażem pracy w policji. Abigail miała trzydzieści kilka lat, ciemne włosy, szczupłą sylwetkę i opinię wschodzącej gwiazdy w wydziale zabójstw.

Była córką Johna Marcha, dyrektora FBI, przez którego związek Simona z Fast Rescue skomplikował się. Simon pracował kiedyś dla Marcha. Właściwie nadal to robił. Tak jakby. Simon postanowił unikać Abigail i O'Reilly'ego.

31

Wiedział, że oboje bezbłędnie wykryją każde jego kłamstwo.

- Czy mamy się martwić o zabląkaną artystkę?

- Jeszcze nie. Leje. Red Sox dziś grają - pewnie już ich wyplukalo. Jazda w tę pogodę musi być koszmarem.

- Nie możesz do niej zadzwonić?

- Nie ma komórki. Ani telefonu u siebie na górze.

- Dlaczego?

- Taka już jest.

Niezbyt odpowiedzialna, pomyślał Simon. Słyszał, choć szczególnie go to nie interesowało, że Keira wynajmowała kawalerkę na ostatnim piętrze kamienicy Garrisonów. Miała tam mieszkać do czasu podjęcia decyzji, czy pozostanie w Bostonie. Rozumiał jej potrzebę przemieszczania się

- nie bez powodu sam mieszkał na łodzi.

- Abigail licytuje jeden z obrazów Keiry - powiedział Owen.

- Wróżki czy chatkę?

- Chyba chatkę.

Były to radosne obrazy świadczące o bogatej wyobraźni. Keira miała talent do tworzenia nastroju - pół realnego, pół fantastycznego miejsca, w którym aż chciało się być. Jej prace nie były sentymentalne, nie wyrażały niepokoju i zaabsorbowania sobą. Obraz z chatką czy wróżkami nie był Simonowi do niczego potrzebny. Przede wszystkim nie miał domu, w którym mógłby go powiesić.

Rozległa się irlandzka melodia. Simon dostrzegł

37

w przeciwnym rogu zespół młodych muzyków, którym gra na tradycyjnych instrumentach najwyraźniej sprawiała wiele radości. Rozpoznał flażolet irlandzki, harfę, bodhran, mandolinę, skrzypce i gitarę. Nieźle, pomyślał. Lubił irlandzką muzykę.

- Dziewczyna, która gra na harfie, to Fiona O'Reilly - powiedział Owen. - Najstarsza córka Boba.

Simon nie był pewien, czy chce wiedzieć coś więcej o znajomych Owena z Bostonu, szczególnie tych związanych z egzekwowaniem prawa, lub o ich krewnych. To zbyt skomplikowane. Zbyt niebezpieczne. Igrał z ogniem.

Wzrok Owena powędrował z powrotem w stronę narzeczonej. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, śmiała się i podrygiwała w rytm żwawej muzyki. Zauważyła, że na nią patrzy, i pomachała mu z jeszcze szerszym uśmiechem. Razem z Owenem starali się ustalić datę ślubu. Simon planował wyjechać na ten czas z kraju.

- Nie możesz powiedzieć jej o mnie, Owen.

- Wiem. - Oderwał wzrok od Abigail i westchnął. - Sama się dowie, że nie jesteś zwykłym ochotnikiem. Odkryje twoje powiązania z jej ojcem. I to, że zatailem je przed nią. A wtedy dostanie się nam obojgu.

- I zasłużymy na to. Ale i tak nie możemy jej powiedzieć. Moje stosunki z Marchem są tajne. Nie powinniśmy o nich tutaj rozmawiać.

Owen skinął głową.

Simona ogarnęło współczucie dla przyjaciela.

33

- Przepraszam, że stawiam cię w takiej sytuacji.

- To nie twoja wina. Tak się po prostu stało.

- Powiniennem być skłamać.

- Skłamałeś. Po prostu nie uszło ci to na sucho. Piosenka się skończyła. Zespół zaczął grać

„Wschód księżycyca” - balladę, którą Simon znalazł w pubach w Dublinie na tyle dobrze, że mógłby ją zanucić. Ale nie zanucił, bo skoro wzięto go już za krytyka sztuki - a przynajmniej snoba - za chwilę ktoś mógłby go wziąć za krytyka muzycznego. Wtedy musiałby na nowo przemyśleć swój stosunek do życia, a przynajmniej wszcząć bójkę.

- W pewnym sensie - powiedział - moje kłamstwo było prawdziwsze niż prawda.

Owen podniósł kieliszek szampana.

- Tylko ty mogłeś wymyślić coś takiego, Simon.

- Są fakty i jest prawda. To nie zawsze jedno i to samo.

Uwagę Simona zwróciło zamieszanie koło wejścia. Postanowił dać sobie spokój z tłumaczeniem, co miał na myśli.

W drzwiach stała przemoczona kobieta. Z jej długich blond włosów spływała woda.

- Zabłąkana artystka, jak mniemam. Wypowiadając te słowa, zauważył, że coś jest nie tak. Owen wstrzymał oddech i Simon wiedział, że jego przyjaciel też to dostrzegł. Kobieta - musiała być Keirą Sullivan - była nienaturalnie blada i chwiała się na nogach. Szeroko otwartymi oczami zdawała się szukać kogoś wśród tłumu.

Simon ruszył naprzód, Owen tuż za nim. Gdy

podeszli do niej, ożywiła się trochę. Wyprostowała się i odgarnęła mokry kosmyk z twarzy. Była ubrana jak na wycieczkę do lasu. Miała w sobie coś z wróżki: błękitne oczy otoczone czarnymi rzęsami i jasne włosy, na pół upięte, na pół rozpuszczone, sięgające niemal do łokci. Była szczupła i drobna.

Simon wiedział, że spotkało ją coś niedobrego.

- Tam jest ciało - powiedziała. - Mężczyzna. Nie żyje.

Tego Simon się nie spodziewał. Owen ujął ją za nadgarstek.

- Gdzie, Keiro?

- W Ogrodzie Miejskim. Chyba się utopił. Simon znał Boston na tyle dobrze, by wiedzieć, że Ogród Miejski jest niedaleko Beacon Street.

- Czy jest tam policja? - zapytał. Pokiwała głową.

- Zadzwoniono pod dziewięćset jedenaście. Znaleźli go dwaj studenci Uniwersytetu Bostońskiego. Wszystkich nas złapał deszcz, ale oni szli przede mną i pierwsi zauważyli ciało. Było w stawie. Wyciągnęli je. Tojeszcze dzieci. Byli w szoku... Nikt nie mógł już nic zrobić. - Nawet w tym trudnym momencie zdołała zachować spokój. Jej oczy się zwężyły. - Mój wuj ek tu jest, prawda?

- Tak - powiedział Simon, lecz nie był pewien, czy go usłyszała.

Zauważył, że Browning i O'Reilly zmiierzają w stronę Keiry z dwóch stron sali. Wyraz ich twarzy wskazywał na to, że już dowiedzieli się o znalezionym ciele. W końcu mieli pagery i komórki.

40

Elegancki tłum, zwawa irlandzka muzyka, śmiech, stukanie kieliszków kontrastowały z poważną i przemoczoną postacią Keiry i z jej relacją o martwym mężczyźnie.

Abigail dotarła do Keiry pierwsza.

- Właśnie dowiedziałam się, co się stało. Chodźmy do foyer. Tam jest ciszej.

Keira ani drgnęła.

- Nic nie widziałam. Inaczej policjanci nie pozwoliliby mi się stamtąd ruszyć. - Była konkretna i opanowana. - Nie jestem świadkiem, Abigail.

Nagle Keira podskoczyła tak gwałtownie, że z jej włosów prysnęła woda, i czmychnęła do foyer, dalej od gapiów z sali. Simon domyślił się, że chciała uniknąć spotkania z wujem, który przedzierał się przez tłum w jej stronę.

Simon żałował, że już odstawił swój kieliszek.

- Ciekawe, kim był ten nieboszczyk. Owen wyprostował się.

- Simon...

- Tylko się zastanawiam.

Zanim Owen mógł odpowiedzieć, zjawił się O'Reilly, wyraźnie niezadowolony z wieczoru.

- Gdzie jest Keira?

- Rozmawia z Abigail - odparł szybko Owen, jak gdyby nie chciał dopuścić do głosu Simona.

O'Reilly spojrział w stronę wejścia.

- Dobrze się czuje?

- Wyjątkowo - powiedział Owen. - To nie ona znalazła ciało.

- Zgłosiła znalezienie. - O'Reilly'emu wyraźnie

36

się to nie podobało. Wziął głęboki oddech. - Jak to możliwe, by dorosły człowiek utonął w stawie w Ogrodzie Miejskim? Ten staw ma sześćdziesiąt centymetrów głębokości. To nawet nie jest prawdziwy staw.

Dobre pytanie, ale Simon nie pospieszył z odpowiedzią. Wolał nie zwracać na siebie uwagi O'Reilly'ego.

Detektyw spojrzał na swoją córkę, Fionę, harfistkę. Jej zespół zrobił sobie przerwę.

- Muszę iść za Abigail i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział O'Reilly do Owena. - Mógłbyś przypilnować, żeby Fiona tu została, dopóki nie wrócę?

- Jasne.

- I Keira. Ją też tu zatrzymaj.

Owen wydawał się zaskoczony tą prośbą.

- Bob, przecież ona jest już dorosła...

- Tak, nieistotne. Uważaj tylko, żeby nie włóczyła się już po Ogrodzie Miejskim i nie narobiła sobie kłopotu. Ona taka już jest. Zawsze taka była.

- Nie ma powodu, by myśleć, że to coś więcej niż tylko nieszczęśliwy wypadek?

- Na razie nie - uciął O'Reilly i ruszył do foyer. Tym razem Simon postanowił się wtrącić.

- Czy on jest w dobrych stosunkach ze swoją córką i siostrzenicą?

- W niezłych - odpowiedział Owen - ale Bob czasem zapomina, że Keira jest o dziesięć lat starsza od Fiony. I że Fiona ma dopiero dziewiętnaście lat. Skomplikowana rodzina.

37

- Jak wszystkie, nawet te najlepsze. - Simon przesunął się w stronę wejścia do foyer w momencie, gdy Keira zaczęła wchodzić boso po schodach, trzymając w ręku mokre buty i skarpetki. Była ładniejsza, niż przypuszczał. Zjawiskowo piękna. Zauważył, że jej wuj patrzy na nią spod łba. Uśmiechnął się i zwrócił do Owena: - Być może zwłaszcza te najlepsze. Dziesięć sekund później oboje detektywi wyszli.

Zespół znów zaczął grać - tym razem spokojniejszą melodię.

Owen podszedł do Fiony O'Reilly, która spojrzała na niego zaniepokojona. Była piegowata, ale poza tym nie przypominała za bardzo ojca. Jej włosy miały leciutki rudawy odcień, lecz były niemal tak jasne jak włosy jej kuzynki. Urodą znacznie przewyższała ojca.

Tłum zdawał się nie mieć pojęcia o tym, co się stało. Kelnerzy wnieśli tace z ciepłymi przystawkami. Miniaturowe quiche ze szpinakiem, rożki z ciasta francuskiego z serem, nadziewane grzyby, koreczki z kurczaka. Simon nie był głodny. Dostrzegł Lloyda Adlera wymądrzającego się przed starszym małżeństwem, które chyba też uważało go za pretensjonalnego dupka.

Simon oddalił się od Adlera i podszedł do tylnej ściany, na której wisiały dwie akwarele Keiry. Postanowił licytować tę z chatką, tylko po to, by się czymś zająć.

Akwarela przedstawiała białą kamienną chatkę na tle polnych kwiatów, zielonych pastwisk i oceanu.

Żadna część Irlandii, którą odwiedził, tak nie wyglądała. Pomyślał, że o to właśnie chodzi - o stworzenie miejsca z wyobraźni i marzeń. Pięknego, idyllicznego miejsca. Nie z tego świata.

A przynajmniej nie ze świata, w którym żył i pracował.

Simon złożył ofertę, która praktycznie zapewniła mu wygraną aukcji. Mógł dać obraz Abigail i Owenowi. Nie zamierzał przyjść na ich wesele, ale prezent ślubny mógł im przecież wręczyć.

Kusiło go, by wybrać się do Ogrodu Miejskiego z detektywami, ale powstrzymał się. Widział już wystarczająco wiele trupów. Wiedział, że zobaczy kolejne.

Postanowił wypić jeszcze jeden kieliszek szampana, zjeść kilka koreczków z kurczakiem i poczekać, aż zjawi się tu sucha już i spokojniejsza Keira Sullivan.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Beacon Hill Boston, Massachusetts 17 czerwca godz. 20.45

Keira zdjęła szorty i rzuciła je na stertę mokrych rzeczy leżących na podłodze łazienki w swoim mieszkanku na poddaszu. Drżały jej ręce, gdy ochlapywała twarz zimną wodą. Starła się nie myśleć o nieboszczyku i studentach, którzy gorączkowo sprawdzali mu puls, niepewni swoich poczynań. Chcieli zachować się właściwie, choć dotykanie ciała topielca było odrażające.

- Biedny człowiek - powiedziała do swojego odbicia w lustrze. - Ciekawe, kim jest. - Skrzywiła się i wyszeptala: - Był.

Wysuszyła włosy ręcznikiem najlepiej, jak mogła. Spodziewała się, że wypadnie z nich gałązka albo martwy komar - pamiątka ze spaceru do matki. Nic nie wypadło, więc rozczesala i upięła włosy. Bardzo

się cieszyła na tę aukcję i przyjęcie, ale wizyta u matki i przerażająca scena w Ogrodzie Miejskim sprawiły, że podekscytowanie zniknęło. Chciała mieć ten wieczór za sobą i siedzieć już w samolocie do Irlandii.

Ale gdyby nie Irlandia, nie pojawiłaby się dziś w Ogrodzie Miejskim. Zostawiła samochód u przyjaciółki w dzielnicy Back Bay, by ta zaopiekowała się nim przez następne sześć tygodni. W drodze do domu Garrisonów zobaczyła studentów, którzy wyciągali ciało ze stawu. Biegąc wzdłuż Beacon Street po przyjeździe policji, nie mogła pozbyć się wrażenia, że to przez słowa jej matki o grzechu i złu znalazła się w Ogrodzie Miejskim w niewłaściwym momencie.

To niesprawiedliwe tak myśleć, stwierdziła. Żałowała, że nie może zadzwonić do matki i opowiedzieć jej o tym, co się stało.

Wszystko się zmienia.

Wyciągnęła z niewielkiej szafy długą letnią spódnicę i bluzkę. To mieszkanie było tak samo prowizoryczne jak wszystkie, które wcześniej zajmowała, ale lubiła je - małe meble, światło, widok na park. Nie było tak wystawne jak reszta domu, ale miało swój urok i charakter.

Odpowiadało jej. Pomyślała, że w porównaniu z chatką mamy wydawało się pałacem.

Pięć minut później była już ubrana i umalowana. Zbiegała ze schodów. Dwa głębokie oddechy i weszła do pokoju. Zespół jej kuzynki Fiony grał wesołą piosenkę, która nie pasowała do nastroju Keiry, ale i tak starała się ją docenić.

46

Natychmiast dołączył do niej Owen. Uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko w porządku - powiedziała, zanim zapytał.

- To dobrze.

Było w nim coś uspokajającego. Keira wyobraziła sobie, jak wiele otuchy musiał dodawać uwięzionym ofiarom trzęsienia ziemi.

- Kim był ten facet, z którym cię wcześniej widziałam? - zapytała. - Potężny mężczyzna. Jeszcze jeden policjant?

Wydalo jej się, że Owen stłumił uśmiech, ale nie zawsze było go łatwo rozgryźć.

- Pewnie chodzi ci o Simona Cahilla. Jest ochotnikiem w Fast Rescue.

- Z Bostonu?

- Stamtąd, gdzie akurat przebywa. - Owen uśmiechnął się, wziął kieliszek szampana z tacy i podał go Keirze. - Trochę tak jak ty. Nie wiem, co się z nim stało. Sekundę temu jeszcze tu był. Pewnie się ulotnił, pomyślała. Zauważyła go w szczytowym momencie swojego zdenerwowania. Owen pomógł jej się uspokoić, ale obecność Simona miała przeciwny skutek. Przez te kilka sekund czuła się przesłuchiwana, jak gdyby Simon uznał, że coś ukrywa, i starał się ją przejrzeć. Podziękowała Owenowi za szampana i wmieszała się w tłum. Większość osób, z którymi się przywitała, nie zwróciła uwagi na jej spóźnienie, co zaoszczędziło jej wyjaśnień.

Colm Dermott, żyłasty, energiczny Irlandczyk,

41

podszedł do niej ze swoim zwykłym szerokim uśmiechem. Poznała go dwa lata temu na wycieczce do Irlandii, gdzie był uznanym profesorem antropologii na uniwersytecie w Cork. Przyjechał do Bostonu w kwietniu po uzyskaniu dotacji na zorganizowanie konferencji i natychmiast poprosił Keirę o pomoc.

- Aukcja idzie świetnie. - Wyglądał na bardzo podekscytowanego. - Pewnie nie możesz się doczekać jutrzejszej podróży.

- Jestem już spakowana i gotowa na wyjazd - odpowiedziała.

- Będziesz się świetnie bawić.

Keira dała mu kiedyś kopię filmu z Patsy McCarthy opowiadającą swoją historię, ale nie mówiła mu nic o matce i jej podróży do Irlandii przed laty.

Rozmawiali jeszcze chwilę, jednak Keira nie mogła się rozluźnić. Colm westchnął.

- Keiro, czy coś się stało? Wypiła duży łyk szampana.

- To był dziwny dzień.

Zanim wyjaśniła coś więcej, jej kuzynka przedarła się przez tłum. Niebieskie oczy Fiony błyszczały.

- Wszystko w porządku, Keiro? - zapytała Fiona. - Owen właśnie powiedział mi o mężczyźnie, którego znalazłaś. Zastanawiałam się, dlaczego tata i Abigail tak szybko wyszli.

Colm był w szoku.

- Nie miałem pojęcia... Keiro, co się stało? Wszystko szybko im wyjaśniła. Colm i Fiona słuchali uważnie.

- To nie była przyjemna scena. Żałuję, że nie

48

przyszłam tam wcześniej, ale nie wiem, czy to by pomogło. Mógł mieć wylew albo zawał i dlatego wpadł do wody.

- Wiesz, kto to był? - zapytał Colm. Keira potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia.
- Mam nadzieję, że to nie było morderstwo
- powiedziała nagle Fiona.
- Ja też - przytaknęła Keira. Pamiętała, że jej kuzynka jest córką detektywa z dużym doświadczeniem. - Przynajmniej jest tam teraz policja.

Owen podszedł do nich i zwrócił się do Fiony:

- Rozmawiałem właśnie z twoim ojcem. Zostanie tam dłużej i poprosił mnie, żebym cię odwiózł.
- Mogę pojechać metrem.
- Nie ma mowy.

Fiona przewróciła oczami.

- Tata za bardzo się martwi.

Jednak nie zamierzała klócić się z Owenem. Razem z kilkorgiem znajomych wynajęła na lato mieszkanie, które jej ojciec uważał za norę przy niebezpiecznej ulicy, daleko od metra.

Twierdził, że to zbyt poważny krok dla córki, która zaledwie rok wcześniej skończyła szkołę średnią.

Keira nie wtrącała się do dyskusji.

- Zajmę się twoimi kwiatami, kiedy będziesz w Irlandii - powiedziała Fiona z uśmiechem.
 - A może uda mi się naciągnąć tatę na bilet do Irlandii. Wskoczyłabym tam na tydzień.
- Siedziałybyśmy w pubach i słuchały irlandzkiej muzyki.

- Byłoby fajnie - stwierdziła Keira.
- Prawda? Teraz niestety muszę się zbierać.
- Szkoda, że nie udało mi się was dłużej posłuchać.
- Byli fantastyczni - wtrącił Colm.

Fiona promieniała. Ruszyła do wyjścia z Owenem.

Colm zwrócił się do Keiry z uśmiechem:

- Fiona bardziej przypomina ojca, niż jej się wydaje, prawda? - Nie czekał na odpowiedź. Jego uśmiech zbladł. - Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie jestem.
- Doceniam to. Dziękuję, Colm.

Odszedł, by porozmawiać z kimś innym, a Keira wzięła kolejny kieliszek szampana. Popijając, już spokojniejsza, zauważyła w foyer drobną, siwowłosą Patsy McCarthy. Natychmiast do niej podeszła.

- Patsy, proszę, wejdź. Cieszę się, że przyszałaś.
- Dziękuję, że mnie zaprosiłaś. - Podczas pierwszego spotkania miesiąc temu Patsy już po kilku sekundach odrzuciła wszystkie formy grzecznościowe i nalegała, by przeszły na ty. Skinęła głową w stronę drzwi. - Myślałam, że ten deszcz już nigdy się nie skończy.
- To była straszna ulewa.

Patsy gwałtownie złapała Keirę za rękę.

- Chciałam się z tobą zobaczyć, zanim pojedziesz do Irlandii. Jedziesz szukać kamiennego anioła, prawda?
- Będę w wiosce, w której toczy się akcja opowieści...

50

- Będziesz w Irlandii w dzień przesilenia letniego. Poszukaj wtedy anioła. Przesilenie letnie odgrywało kluczową rolę w tej historii.
- Zrobię, co w mojej mocy.

- Elfom zależy, by go odnaleźć, tak samo jak tobie. Anioł zaginął dawno temu, ale one nie zapomniały o nim. Jeśli wykazesz się sprytem, mogą ci pomóc. - Patsy puściła dłoń Keiry i wyprostowała się. - Nie chcę przez to powiedzieć, że sama wierzę w elfy. Keira nie próbowała uporać się z tą sprzecznością.
- Jeśli elfy uważają, że anioł to jeden z nich, zamieniony w kamień, i chcą go odzyskać, to dlaczego miałyby mi pomóc?
- Właśnie dlatego musisz być sprytna. Nie mogą się dowiedzieć, że ci pomagają.
- Postaram się.
- Bracia też będą szukać anioła, na swój sposób. Tak samo jak wróżki chcą, żeby bitwa o niego rozgorzała na nowo. I rozgorzeje. - Patsy mocno ścisnęła dłoń Keiry. - Jeśli znajdziesz anioła, zostaw go na powietrzu. W letnim słońcu. A on trafi tam, gdzie jego miejsce. Nie pozwól, żeby zamknięto go w muzeum.
- Obiecuję, Patsy - powiedziała Keira, zaskoczona determinacją starszej kobiety. - Poszukam anioła w czasie przesilenia letniego. Potem będę sprytna i jeśli znajdę anioła, zostawię go na słońcu - oczywiście, jeśli to będzie ode mnie zależało. Irlandczycy mogą mieć inny pomysł.

Patsy wyglądała na zadowoloną. Rozluźniła się. Dostrzegła prawie pustą tacę z truskawkami w czekoladzie.

Keira uśmiechnęła się.

- Często się. Chciałabyś się rozejrzeć?

- Pewnie - odpowiedziała Patsy, nakładając sobie truskawkę na serwetkę. - Wiesz, że mam wszystkie twoje książki. Myślisz, że mogłabyś zilustrować kiedyś jedną z moich opowieści?

- Bardzo bym chciała.

- To by było coś. To dobra historia, prawda?

- Fantastyczna.

Patsy uśmiechnęła się. Jej oczy rozbliły.

- Bracia z Irlandii, anioł i elfy. We wszystkich najlepszych historiach są elfy, nie uważasz?

- Uwielbiam opowieści o elfach.

Z Keirą u boku, Patsy zajadała truskawkę i przesuwała się od jednego dzieła sztuki do drugiego, jak w muzeum, aż doszła do dwóch obrazów Keiry.

- Och, Keiro. Moja droga Keiro. W rzeczywistości twoje obrazy są jeszcze bardziej niesamowite

- zamilkła wzruszona. - Właśnie taką Irlandię pamiętam.

Nieważne, czy była to prawda, czy wspomnienie wypaczone przez czas i nostalgię. Keira była wdzięczna Patsy za ten komentarz.

- Wiele dla mnie znaczy, że podobają ci się moje prace.

Kiedy Patsy zakończyła przechadzkę po salonie, wzięła jeszcze jedną truskawkę i poszła w stronę foyer.

52

- Mogę cię odprowadzić do domu? Patsy pokręciła głową.

- Przywiózł mnie ksiądz z mojej parafii. Ojciec Palermo. Jak to miasto na Sycylii. Nie mógł znaleźć miejsca parkingowego, więc jeździ w kółko, dopóki nie wyjdę. Wiesz, że mój kościół jest pod wezwaniem Świętej Ity?

Keira uśmiechnęła się.

- Tej irlandzkiej świętej z twojej opowieści.

- Życie nas czasem zaskakuje, prawda? Wyszły razem. Przy krawężniku czekał skromny czarny samochód. Wsiadł z niego przystojny ciemnowłosy mężczyzna w garniturze i koloratce. Spojrzał na nie sponad błyszczącego dachu auta.

- Jest już pani gotowa? Mogę zrobić jeszcze jedno okrążenie. Nie chcę poganiać.

- Już skończyłam. To jest artystka, o której ojcu opowiadałam. Keira Sullivan.

- Ach, pani Sullivan. Wiele o pani słyszałem. Keira nie potrafiła rozgryźć jego tonu, a Patsy dodała uprzejmie:

- Keiro, poznaj ojca Michaela Palermo. Odchylił głowę nieco do tyłu, jak gdyby ją oceniał.

- Pani McCarthy mówiła, że zbiera pani opowieści imigrantów z Irlandii.

- Tak. Patsy poświęciła mi bardzo wiele czasu. Patsy machnęła lekceważąco ręką.

- Jestem po prostu starą kobietą, która lubi dobre historie.

Ojciec Palermo wpatrywał się w Keirę.

- Pani matka wychowała się niedaleko domu pani McCarthy.
- Dwa domy dalej - powiedziała krótko Keira. - Miło mi pana poznać.
- Mnie również.

Wsiadł do samochodu. Patsy usiadła obok niego i uśmiechnęła się do Keiry.

- Pozdrów ode mnie Irlandię - powiedziała, mrugając okiem.

Odjechali, a Keira została na chodniku. Ucieszył ją silny powiew suchego powietrza. Kałuże na chodniku wyschną do rana.

- Zatem wybierasz się do Irlandii na poszukiwanie elfów i aniołów. - Simon Cahill uśmiechnął się do Keiry, opierając się o czarną żelazną barierkę przy schodach do domu Garrisonów. - Wierzysz w elfy?

- To nie jest istotne w mojej pracy.

- Rozumiem. Wymijająca odpowiedź, ale to nieważne. Masz na imię Keira, prawda?

- A ty Simon. Znajomy Owena. Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś.

- Muszę zapłacić za mój obraz.

- Twój obraz?

- Za akwarelę z irlandzką chatką. Nie mogłem się oprzeć.

- Licytowałeś mój obraz? Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie?

Keira nie odpowiedziała. Simon był typem mężczyzny, który mógł wszystko osiągnąć za pomocą

54
swego uroku. Czowała się przy nim skrepowana - nie, nie skrepowana, zakłopotana. Może dlatego, że był pierwszą osobą, którą dostrzegła, gdy weszła do domu.

W końcu odparła:

- Nie obchodzi cię obraz z irlandzką chatką.

- Obchodzi. Ale nie kupilem go dla siebie. Podobał się Abigail. Pomyślałem, że będzie to miły prezent ślubny dla niej i Owena. Spodoba się jemu, bo podoba się jej. - Kąciki jego ust drgały z rozbawienia. - Nie smuć się. On też uważa, że jesteś dobra.

Keira pomyślała, że Simon jest nie tylko niebezpiecznie czarującym mężczyzną, ale też baczny obserwatorem. Poza tym ujął ją szczerością.

- Dziękuję, że wylicytowałeś mój obraz. Zrobimy dobry użytek z dochodu z aukcji. Nie jesteś stąd, prawda?

- Nie.

- Gdzie mieszkasz?

- Ależ ty jesteś bezpośrednia. Mam łódź. Od wczoraj jest przycumowana do mołu we wschodnim Bostonie. Wcześniej była w Maine. Poznałem Owena i paru innych ludzi z Fast Rescue u niego, na wyspie Mount Desert, tuż po naszej misji w Armenii.

Keira czytała o niszczycielskim trzęsieniu ziemi.

- Musiało być ciężko.

- Owszem. - Nie rozwinął tematu. - Byłem w Londynie, kiedy to się stało. Jutro wracam.

- Co jest w Londynie?

- Królowa. Zamki. Dobre restauracje.

Ten mężczyzna miał interesujące poczucie humoru. Mimo napięcia, które nie opuszczało jej przez kilka ostatnich godzin, Keira poczuła, że się rozluźnia.

- Bardzo śmieszne. Chodziło mi o to, co czeka na ciebie w Londynie.

- Odwiedzam przyjaciela. A Irlandia? Co tam na ciebie czeka oprócz elfów i aniołów?

Odpowiedzi, pomyślała, ale wzruszyła tylko ramionami.

- Dowiem się na miejscu.

Zmrużył oczy. Dostrzegła w nich żywy, głęboki odcień zieleni.

- Szukasz przygody?

- Chyba tak.

- W takim razie życzę miłej podróży. Odszedł powoli wzdłuż Beacon Street. Kiedy Keira wróciła do salonu, zwróciła się do Colma:

- Za ile sprzedano mój obraz?

- Za dziesięć tysięcy. Keira nie kryła zaskoczenia.

- Dolarów?

- Tak, dolarów. Cztery razy więcej, niż wynosiła najwyższa oferta. Kupił go Simon Cahill.

Znasz go?

- Dopiero dziś go poznałam. A ty?

- Rozmawiałem z nim przez trzydzieści sekund. No cóż, pewnie chce wesprzeć konferencję.

- Na pewno. Jestem mu bardzo wdzięczna.

- Ja też - powiedział Colm.

Keira pożegnała się i poszła w stronę schodów.

50

Nie mogła uwierzyć, jak Simonowi udało się wywrzeć na niej tak silne wrażenie w tak krótkim czasie.

To pewnie przez to, że wiele się zdarzyło w ciągu tych kilku godzin. Co oni mieli ze sobą wspólnego?

Rankiem wszystko wróci do normy. Skończy się pakować i wieczorem pojedzie na lotnisko. Przynajmniej nie leci do Irlandii przez Londyn, więc nie ma ryzyka, że będą siedzieli obok siebie w samolocie. To będzie długa podróż przez Atlantyk.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ogród Miejski Boston, Massachusetts 17 czerwca godz. 22.00

Abigail Browning chodziła w kółko po chodniku nad brzegiem sztucznego stawu, w którym dwóch studentów znalazło ciało Victora Sarakisa, pięćdziesięcioletniego mieszkańca Cambridge. Zgodnie ze wstępną opinią eksperta medycyny sądowej utopił się w zbiorniku o głębokości sześćdziesięciu centymetrów.

Do tej pory Ogród Miejski wydawał się Abigail spokojnym, przyjemnym miejscem z wiktoriańskimi alejkami i pomnikami, eleganckimi klombami, drzewami z opisami na tabliczkach i małym mostkiem nad stawem. Właściwie był to ogród botaniczny - pełne zieleni schronienie w samym sercu Bostonu.

Ale dzisiaj park stał się miejscem zagadkowej

58

śmierci. Koguty na dachach policyjnych radiowozów i latarnie w wiktoriańskim stylu oświetlały punkt, w którym uwijali się detektywi, policjanci, technicy kryminalistyczni i reporterzy.

Już jutro rano nie będzie śladu po tym, co się stało. Łódki z łabędziem, główna atrakcja Ogrodu Miejskiego od ponad stulecia, znów będą mogły z gracją przemierzać płytką wodę.

Abigail zatrzymała się. Na szczęście na przyjęcie włożyła spodnie i buty na płaskiej podeszwie.

Drzewa, kwiaty i trawa wciąż były mokre od deszczu. Prawdopodobnie padało, i to mocno, gdy Victor Sarakis znalazł się w wodzie. Ekspert medyczny zabrał już ciało, by przeprowadzić sekcję zwłok. Wszystko było możliwe. Zawał serca, wylew, nieszczęśliwe poślizgnięcie w strugach deszczu.

Popchnięcie. Podstawienie nogi. Cios w tył głowy.

Abigail nie chciała wyciągać pochopnych wniosków. Spojrzała kątem oka na Boba O'Reilly'ego, który sam postanowił przesłuchać studentów. Jeszcze raz, pomyślała zirytowana. Przesłuchali ich już policjanci, którzy przyjechali na wezwanie. Abigail też z nimi rozmawiała. A teraz Bob.

Bez wyraźnej przyczyny, poza tą, że był starszym detektywem z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem, więc pewnie wiedział, co robi. Ale ona by wolała, żeby wrócił na Beacon Street i posłuchał, jak jego córka gra irlandzką muzykę.

Przesłuchiwanie - studenci inżynierii, którzy przyjechali tu na letnią wymianę ze środka kraju

53

- wyglądali na wykończonych. Opowiedzieli Bobowi tę samą historię. Wracali przez Ogród Miejski z księgarni przy Newbury Street. Mieli nadzieję, że dotrą do mieszkania kolegi przy Cambridge Street, zanim zacznie się burza. Gdy lunęło, zastanawiali się, czy wrócić do księgarni, czy biec do znajomego.

I wtedy zauważyli ciało w stawie.

- Stwierdziliście, że jest martwy, tylko patrząc na niego? - Bob uraczył ich sceptycznym prychnięciem, które było jego znakiem firmowym. - Niby jak?

- Nie wiem - powiedział chudszy ze studentów. Miał skąpy zarost i trzął się w mokrym ubraniu.

- To było oczywiste.

- Nie wyglądał, jak gdyby leżał w wodzie zbyt długo - dodał jego kolega. Był pulchniejszy, tak samo przemoczony, jednak się nie trzął.

- Ale leżał tam wystarczająco długo - stwierdził Bob.

Studenci nic nie odpowiedzieli.

- Nie widzieliście go, zanim zauważyliście go w stawie? - zapytał.

Pokręcili głowami. Już odpowiedzieli na to pytanie, może nawet dwukrotnie. Abigail była pewna, że je zadała.

Bob spojrział na nich zamyślnym wzrokiem.

- Jak wam się podoba Uniwersytet Bostoński?

Chudy student nie krył zdziwienia, a nawet lekkiej irytacji tym pytaniem. Podobnie jak jego przyjaciel.

60

- Co?

- Moja córka tam studiuje. Na wydziale muzykologii.

- Nie znamy nikogo z tego wydziału - odparł szybko pulchny chłopak.

Abigail gryzła się w język, słuchając tej rozmowy, ale Bob nie wymienił nazwiska Fiony i w końcu polecił studentom, by wracali do akademika.

Odwrócił się w jej stronę. Jego rude włosy skręciły się od deszczu, a piegi kontrastowały z bladą cerą.

- Wyglądasz, jakbyś chciała mnie trzasnąć.

- To jest myśl.

Bob się nie przejął. Dotąd nie spotkała nikogo tak gruboskórnego. Mieszkała w trzypiętrowym domu w Jamaica Plain, dzielnicy Bostonu, razem z nim i trzecim detektywem. Zawsze uważała, że to dobre rozwiązanie, ale dzisiaj po raz pierwszy pomyślała o potencjalnych komplikacjach. Jest tu pełno dziennikarzy - powiedział Bob, wskazując głową w stronę ekipy telewizyjnej.

-Jakiś bogaty gość z Cambridge potyka się o sznurówki i tonie w stawie w Ogrodzie Miejskim.

- Nie wiemy, czy był bogaty, a poza tym to się nazywa laguna.

- Laguna? Kojarzy mi się z serialem „Wyspa Gilligana”. Czemu nie nazwą tego po prostu stawem?

- Może to jakaś wiktoriańska nazwa. - Abigail przeczesiała palcami krótkie ciemne loki.

Wyczuła mokre miejsca, na które kapiała woda z pobliskich

drzew. - A Sarakis miał na sobie mokasyny. Żadnych sznurówek, o które mógłby się potknąć.

- To taka figura retoryczna. Abigail milczała.

- To zwyczajne śledztwo w sprawie śmierci, Abigail. Facet biegnie w deszczu, potyka się, upada, wali głową w beton, wpada do wody i tonie. Dziwny wypadek.

- Dobry detektyw nie wyciąga wniosków na podstawie przypuszczeń - powiedziała, dodając z nutką sarkazmu: - Ciekawe, kto dał mi tę radę, gdy zaczynałam pracę?

- Daj spokój. Nie jestem w nastroju.

Nie winiła go za to, że chciał, by śmierć Victora Sarakisa okazała się wypadkiem. W końcu to jego siostrzenica wezwała policję.

Zwykle doceniała wnikliwość Boba i jego pytania. Pracował w bostońskiej policji od lat, do tego w okresie najgorszym pod względem liczby przestępstw. Mimo to nie był zgorzkniały i wypalony, raczej cyniczny. Lubił mówić, że widział wszystko i niewiele w tym było dobrego. Ale teraz nie chciała z nim rozmawiać. Nie tylko z powodu uwikłania Keiry w tę sprawę.

- Pal sześć mój nastrój. Od kilku dni jesteś drażliwa.

- No i co z tego?

Nie odpowiedział. Czują, że badają tak samo jak przy pierwszym spotkaniu osiem lat temu. Nie wierzył, że będzie z niej dobra policjantka, a już na pewno nie detektyw. Powoli, mimo tego, co nazywał

62

jej bagażem, przeciągnęła go na swoją stronę. Jej ojciec był dyrektorem FBI - z punktu widzenia Boba był to kłopotliwy fakt, bo zwracał na nią uwagę. To wystarczyło, by przekreślił ją jako policjantkę. Ale to nie wszystko. Jej mąż został zamordowany podczas ich podróży poślubnej w Maine. Wtedy zrezygnowała ze studiów prawniczych. Ta tajemnicza sprawa pozostała nierozwiązana przez siedem lat, aż do ostatniego lata. Przez siedem lat tylko tego Abigail chciała w życiu. Odpowiedzi. Sprawiedliwości. Zrzucenia z siebie ciężaru niewiedzy, co

się stało tamtego okropnego dnia. W końcu dowiedziała się, w jaki sposób zginął Chris - jej pierwsza miłość - i kto go zabił. Ale rozwiązanie tej sprawy zmieniło jej życie w sposób, którego się nie spodziewała. W czasie pościgu za zabójcą znów otworzyła się na miłość.

Poczuła na sobie wzrok Boba i zmusiła się, by wrócić do rzeczywistości.

- Nie ma dowodów, że to morderstwo - powiedział.

Abigail starannie dobrała słowa:

- Na razie nie ma.

- Miał portfel w tylnej kieszeni spodni. Portfel znacznie ułatwił identyfikację Sarakisa, bo znajdowały się w nim karty kredytowe, prawo jazdy, karty ubezpieczenia, karta stałego klienta księgarni i siedemdziesiąt siedem dolarów gotówką. Żadnych drobnych, chyba że wypadły z kieszeni do wody albo na trawę. Gdyby tak było, policjanci by je znaleźli.

57

Jednak Abigail wiedziała, że Bob wspomniał o portfelu, bo wpisywał się w jego pragnienie, by śmierć Sarakisa była wypadkiem.

- Jak myślisz, co on robił tutaj w czasie ulewy? - zapytała, wiedząc, że Bobowi nie spodoba się to pytanie. Ale nie mogła pozwolić, by narzucił jej swoje zdanie.

- Kino, teatr, kawiarnia. To Boston w czerwcu. Mógł robić milion różnych rzeczy.

- Jest z Cambridge.

- Wielu ludzi z Cambridge przejeżdża rzekę, by spędzić wieczór w mieście.

Zdawała sobie z tego sprawę. Nie była pewna, dlaczego o tym wspomniała - może dlatego, że Victor Sarakis nie sprawiał wrażenia kogoś, kto lubi bawić się w mieście. Miał na sobie drogie, nieco konserwatywne ubranie - spodnie khaki, koszulkę polo i mokasyny. Bez skarpet. Nie znalazła w jego kieszeniach rachunku z pobliskiej restauracji albo sklepu ani żadnych biletów. Policjanci pojechali do jego domu w Cambridge, by zawiadomić krewnych, ale na razie nikogo nie zastali.

- Keira spóźniła się na przyjęcie. Zastanawiam się...

- Nawet nie próbuj - powiedział Bob ostro. - Nie masz powodu, by to ciągnąć.

Abigail nie pozwoliła się zastraszyć.

- Martwy człowiek. To wystarczający powód. Odchylił głowę do tyłu w sposób, który dobrze знаła. Oznaczał, że wie, że Abigail celowo go

64

prowołuje. Że nic nie mówi, bo nie chce dać jej szansy, by jeszcze bardziej się pogryzła. Więc zrobiła to.

- Zastanawiam się, czy Sarakis szedł na aukcję. Może chciał wylicytować jeden z obrazów Keiry.

Bob zakolysał się na piętach. Abigail pracowała z nim wystarczająco długo. Wiedziała, że jej komentarz go zdenerwuje. Ale Bob, choć nie był pozbawiony uczuć, potrafił trzymać je na wodzy.

Z tego, co zauważyła Abigail, nigdy nie wiedział, co myśleć o swojej siostrzenicy. Niemal trzydziestoletnia Keira była doskonałą ilustratorką i folklorystką, ale nie miała korzeni, nie czuła przywiązania do żadnego miejsca. Od kiedy skończyła szkołę średnią, wciąż żyła na walizkach. Bob przeciwnie - przez całe życie mieszkał w Bostonie.

- Wątpię, czy było to jedyne przyjęcie w Beacon Hill, ale mów dalej, Abigail - powiedział. - Sprawdź listę gości. Zapukaj do każdych drzwi w promieniu dziesięciu ulic stąd. W końcu nie masz nic innego do roboty, prawda?

Miała mnóstwo spraw. Tak samo jak każdy detektyw z wydziału. Wzruszyła ramionami.

- Próbuję sobie przypomnieć, w jaki sposób dowiedziałam się o aukcji. Nie pamiętam, żebym dostała jakieś zaproszenie. Może to było po prostu ogłoszenie. - Westchnęła. Nie wiedziała, dlaczego zrażała do siebie Boba. - Zapomnij o tym. Trochę się rozpędziłam.

- To pewnie ta pora roku. Zbliża się przesilenie

letnie. To gorsze niż pełnia. Za dużo słońca. Przyciąga szajbusów.

Abigail nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Bob, nikt już nie używa słowa „szajbus”. Uśmiechnął się szeroko.

- Ja używam.

- O co chodzi z tym przesileniem letnim?

- O nic. - Ziewnął i zatoczył kilka kółek ramionami, jak gdyby chciał się rozluźnić. - Muszę wracać. Podziękuj Owenowi za odwiezienie Fiony.

- Nie ma sprawy. Przykro mi, że Keira znalazła się tu akurat dzisiaj. Nie jest miło natknąć się na trupa.

- Fiona chce spędzić tydzień w Irlandii z Keirą, chodząc po pubach i grając. Wyobrażasz je sobie razem? - Zmarszczył się i odetchnął. - Fiona powtarza mi, że za bardzo się martwię. Może i tak. Nie lubię nawet, kiedy sama jeździ metrem, nie mówiąc już o samotnym locie do Irlandii.

- Ciągle jeździ metrem. Studiuje muzykologię. Wykłady, próby...

- Gra na tej cholерnej harfie. Moja córka jest harfistką. - Potarł szyję, jak gdyby go bolała. - A moja siostrzenica maluje wróżki i kwiaty i zbiera szalone historie, które ludzie opowiadają przy kominku.

- Obie są niesamowicie uzdolnione, a Keira odniosła sukces w bardzo trudnej dziedzinie - uspokajała go Abigail. - Poza tym z obiema jesteś w świetnych stosunkach, a to już coś.

Ręka Boba opadła bezwładnie wzdłuż ciała.

66

- Poczekaj, aż sama będziesz miała dzieci. Jego słowa były jak policzek. Abigail odwróciła wzrok, wymamrotała „dobranoc” i szybko poszła w stronę techników, zastanawiając się, o co mogłaby ich zapytać. O cokolwiek. Nieważne. Nie chciała, by Bob ujrzał jej wyraz twarzy i zastanawiał się, jakie demony ją prześladowają.

Cholera, to było bardzo osobiste. To wyłącznie jej sprawa.

Dzieci.

Wyobrazila sobie siebie z duzym brzuchem, Owena z dzieckiem na barana, cala trojke w Ogrodzie Miejskim pieknego czerwcowego dnia. Ale to tylko fantazja. Rzeczywistosc byla o wiele bardziej skomplikowana. Nie byli jeszcze nawet malzenstwem, dzieci zmienilyby zycie ich obojga.

Abigail znów skoncentrowala się na stawie. Co właściwie sprowadzilo Sarakisa do Bostonu? Do diabla z nastrojami: Boba i jej. To pytanie wymagało odpowiedzi.

Dostrzegła technika z wydziału kryminalnego, którego znała. Jak on się nazywa? Nie mogła sobie przypomnieć. Był nowy. Bardzo młody. Dorastał na niebezpiecznej ulicy w Roxbury.

- Malcolm - wyszeptała, po czym podniosła głos. - Malcolm, poczekaj chwilę!

- Tak?

Spojrzała na Boba, który wystawił palec w jej stronę i nim pokiwał. To był jego sposób na poinformowanie jej, że wie, do czego ona zmierza, i że będzie ją obserwował.

61

Malcolm zmarszczył brwi. Abigail wskazała na chodnik.

- Chcę tylko, żebyśmy dostali zdjęcia wszystkich nierówności w alejkach, o które mógł się potknąć facet biegnący w deszczu.

- Oczywiście. Nie ma problemu.

- Dziękuję.

Bob przeszedł po malowniczym mostku nad stawem. Abigail odetchnęła z ulgą. Wpatrywała się w punkt, w którym Sarakis dokonał żywota. W tej części stawu nie było płotka. Gdyby potknął się na przeciwległym brzegu, sięgająca do kolan siatka powstrzymałaby upadek i być może uchroniłaby go od utonięcia. Ale z tej strony woda była tak płytka... dlaczego się nie podniósł? Musiał być nieprzytomny...

Sekcja zwłok wykaże więcej, ale na razie musiała się zgodzić z Bobem i ekspertem medycznym, że przedwczesna śmierć Victora Sarakisa była najpewniej spowodowana wypadkiem.

Miała dużo pracy, a przed sobą - długą noc.

Dotknęła komórki, ale pomyślała: nie. Owen już wiedział, że ona ma sprawę i wróci do domu późno. Wstał o świcie, by dojechać na spotkanie Fast Rescue w Austin. Bez przerwy podróżował - Austin, Boston, jego dom w Maine, miejsca katastrof i szkoleń na całym świecie.

Niech idzie spać, pomyślała Abigail, i nie martwi się o mnie. Nie chciała, by usłyszał w jej głosie coś, co wskazywało, że dręczy ją jakiś problem. Na pewno kazałby jej wyjaśnić, a ona nie była pewna,

62

czy potrafi. To, co się z nią działo, nie było jego zmartwieniem.

Przez te długie lata po śmierci Chrisa przyzwyczaiła się do rozwiązywania swoich problemów samodzielnie.

Zastanawiała się, czy Victor Sarakis osierocił jakieś dzieci, ale odegnała od siebie tę myśl i razem z Malcolmem przystąpiła do szukania pęknięć w chodniku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lotnisko Logan International Boston, Massachusetts 18 czerwca godz. 10.00

Dyrektor FBI John March powitał Simona krótkim uściskiem dłoni w prywatnej poczekalni dla VIP-ów na bostońskim lotnisku Logan. March przyleciał rankiem z Waszyngtonu specjalnie na to spotkanie. Miał obstawę złożoną ze zwalistych agentów specjalnych FBI, ale wszyscy zostali w holu.

Był szczupłym mężczyzną po pięćdziesiątce. Jego włosy, choć całkiem siwe, przypomniały Simonowi córkę Marcha, Abigail. March nie chciał się z nią dziś widzieć. Nie ryzykował. Simon wiedział, że to nie tylko dlatego, że March zabezpiecza poufną misję. Nie chciał wyjaśniać córce - a do tego policjantce - skomplikowanej sprawy Cahillów, o której nie miała pojęcia. To nie musiało być tajemnicą. Ale było.

70

- Czasami, Simon - powiedział - żałuję, że nie zostałeś hydraulikiem.
- Jeśli to cię pocieszy, ja też. - Gdy Simon poznał Marcha, miał czternaście lat i płakał nad trumną ojca podczas tradycyjnego irlandzkiego czuwania w Georgetown. - Kiedy jesteś hydraulikiem i stoisz po kolana w gównie, nikt nie próbuje ci wmówić, że to czekolada.
- Postawiłem cię w niezręcznej sytuacji.
- Sam się w niej postawiłem. A ty z tego korzystasz. To twoja praca. Nie mam ci tego za złe.
- Ale moja córka będzie miała. - Ton Marcha był niezmiennie chłodny i konkretny. - Mam przed nią zbyt wiele tajemnic.

Simonowi wydawało się, że wyczuł nutkę żalu w głosie Marcha. Simon nie miał dokładnych informacji, ale najwyraźniej March wiedział więcej o zabójstwie pierwszego męża swojej córki, agenta specjalnego FBI, niż przyznawał. Choć nie było w tym niczego, co umożliwiłoby szybsze schwytanie mordercy, to Abigail mogła mieć inne zdanie.

- To nieodłączna część tej pracy - powiedział Simon bez współczucia.

Nie prosił Marcha o pomoc, gdy ten, wówczas jeszcze agent specjalny FBI, był przytłoczony zgrozotą i poczuciem winy, bo nie udało mu się zapobiec egzekucji Brendana Cahilla, wysłannika rządowej agencji do walki z narkotykami w Kolumbii, a zarazem przyjaciela. March i tak nie mógłby nic zrobić. Zabójcy sfilmowali stracenie. Było widać, jak wiążą ojca Simona. Zawijają mu oczy. Oddają dwa

64

strzały w głowę. Simon widział to nagranie. Przez lata sądził, że się na nie zwyczajnie natknął - że był sprytny i przechytrzył genialnego, potężnego Johna Marcha. Teraz nie miał już złudzeń. March chciał, by Simon znalazł nagranie i zobaczył śmierć swojego ojca.

Simon nie był wściekły, rozgoryczony ani zdradzony. Czuł, że go zrozumiano. March wiedział, że gdy tylko syn Brendana Cahilla dowie się o istnieniu nagrania, znajdzie sposób, by je obejrzeć.

Do niedawna Simon nie zdawał sobie sprawy, że March nigdy nie wspomniał córce o nim ani o jego ojcu. Ani razu w ciągu tych dwudziestu lat.

Trudno go było rozgryźć.

March wciąż stał.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Simon nie wierzył, ale wzruszył tylko ramionami.

- Świetnie. Będę cierpliwie czekać w Londynie.

- Mamy go, Simon. Mamy Estabrooka. Dzięki tobie.

Przy odrobinie szczęścia to „dzięki tobie” zostanie między Simonem i Marchem. Ale Simon nie liczył już na szczęście.

- Poczuję się lepiej, kiedy go aresztują.

- Rozumiem.

Simon wyczuł skrepowanie Marcha. W normalnych okolicznościach skupiłby się na obrazie całości

1 nie przejmowałby tym, co jakaś misja znaczy dla Simona. Ale ta misja była inna. Osiemnaście miesięcy temu Simon opuścił FBI i zaczął nowe życie.

72

Został ochotnikiem w Fast Rescue; zarabiał na życie, pomagając firmom i osobom prywatnym zabezpieczyć się na wypadek katastrof. To nie było złe zajęcie. Miał dobrą reputację, przyzwoite zarobki i wolność, na jaką nie pozwalała praca agenta federalnego.

Norman Estabrook był publicznie znany jako poszukujący przygód miliarder, którego pasją była wspinaczka, ryzykowne loty balonem, spływy kajakowe odległymi rzekami pełnymi węży - wszystko, co dawało mu zastrzyk adrenaliny. Wąski krąg zaufanych współników wiedział także, że Estabrook jest w samym centrum siatki, która zajmuje się handlem narkotykami i praniem brudnych pieniędzy dla bardzo podejrzanych osób. Estabrook nie potrzebował pieniędzy. Na pewno nie obchodziło go też wspieranie jakiegokolwiek sprawy. Po prostu lubił pełną napięcia akcję. I lubił psuć szyki władzom.

Najbardziej lubił psuć szyki Johnowi Marchowi.

Simon miał idealną pozycję do prześwietlenia siatki Estabrooka. I to właśnie zrobił.

Od początku wiedział, że jeśli Estabrook - jako groźny przestępca - zostanie aresztowany, a rola Simona jako agenta federalnego pozostanie w tajemnicy, to jego nazwisko wciąż będzie kojarzone z Estabrookiem i przestępczą siatką. Kto go wtedy zatrudni, nie mówiąc o powierzeniu mu swojego życia?

Gdyby został ujawniony, kariera agenta federalnego też byłaby dla niego skończona.

Niezależnie, czy zostanie ujawniony czy nie, Estabrook będzie go chciał załatwić. Simon pomyślał, że to ryzyko zostało wliczone w jego pracę.

Ciągle stał, March też. Obaj zdawali się nie zauważać wygód poczekalni. Potrzebowali po prostu miejsca, w którym mogli się spotkać.

Simon uśmiechnął się do rzeczowego dyrektora FBI.

- Jeśli to nie wypali, zawsze mogę zostać hydraulikiem.

- Mogło być gorzej - powiedział March.

- Estabrook nie zbil fortuny na tym, że był głupi.

- Odegrałeś swoją rolę, Simon. Dzięki tobie rozbiliśmy siatkę tego drania. Jest kiepskim aktorem, tak samo jak jego kumple. - March uśmiechnął się blado. - Oczywiście poza tobą.

- Oczywiście.

- Nic więcej nie możesz w tej chwili zrobić. Estabrook pojechał na swoje ranczo w Montanie.

Myśli, że odwiedzasz przyjaciela i regenerujesz siły po misji w Armenii.

Simon wzruszył ramionami.

- Często wdaję się w bójki, kiedy nie mam zajęcia.

- Masz zajęcie. Po prostu przełączyłeś się na tryb oczekiwania.

- To jest to samo.

- Jeśli wydarzy się jakaś katastrofa...

- Nie życzę nikomu katastrofy tylko po to, żebym miał co robić. Owen chce mnie wkręcić w szkolenia dla Fast Rescue. Flaki mi się przewracają,

67

kiedy myślę, że miałbym uczyć ludzi tego, co sam już umiem.

March spuścił wzrok, a Simon mógłby przysiąc, że dostrzegł uśmiech na jego twarzy.

- Po prostu rób to, co konsultant do spraw bezpieczeństwa i ratownik robiłby między zleceniami, i będzie dobrze.

- Zatrzymam się u Willa Davenporta w Londynie.
- A, sir Davenport. Czy może lord Davenport?
- Jedno z dwojga. Albo jedno i drugie. Nie wiem. Oczy Marcha nie zmieniły wyrazu. Ani usta. Jednak Simon wyczuł jakąś różnicę. Will Davenport był zamożnym Brytyjczykiem, który uważał, że zawdzięcza Simonowi życie. Być może tak było, ale Simon nie prowadził rachunków. Podobno Will miał jakieś przejścia - niezbyt przyjemne - z dyrektorem FBI. Simon nie wiedział, o co chodziło, i nie był pewien, czy chce wiedzieć.
- Rozumiem, że Davenport nie zdaje sobie sprawy z powodów, dla których jedziesz do Londynu. To było stwierdzenie, ale Simon odpowiedział.
- Jeśli wie, zachowuje to dla siebie.
- To by było coś nowego - powiedział March, kierując się w stronę drzwi. - Simon, mamy Esta-brooka, rozsadzimy tę siatkę i uratujemy ludziom życie. Wielu ludziom. Wiesz o tym, prawda?
- Wiem. I wiem też, że Abigail niedługo się dowie o naszych powiązaniach.
- To nie twój problem.

Abigail nie rozłościłoby to, że March od dwu-

dziestu lat był dla Simona niczym przybrany ojciec. Byłaby zła, że jej nie powiedział. Na początku Simon był za bardzo skupiony na własnym smutku i wściekłości, by zauważyć, że March nigdy nie przedstawił go swojej rodzinie. Przychodził na mecze, w których grał, kilka razy pojawił się na komisariacie po tym, gdy Simon wdał się w bójkę, i dzwonił do niego co jakiś czas. Gdy Simon studiował na Uniwersytecie Massachusetts, March odwiedzał go parę razy w semestrze, zabierał na pizzę, pytał o stopnie. Nigdy nie proponował mu kariery w FBI. Nie był wtedy dyrektorem. Gdy Simon postanowił ubiegać się o przyjęcie do biura, nie skonsultował tego pomysłu z Marchem. March otworzył drzwi.

- Bądź w kontakcie - powiedział.
- Będę. Znasz Keirę Sullivan?
- Poznałem ją. Bardzo ładna, utalentowana artystka.
- Znalazła wczoraj trupa w Ogrodzie Miejskim.
- To była ona?

Simon nie wiedział, dlaczego o niej wspomniał.

- Jedź dzisiaj do Irlandii, żeby zbadać jakąś legendę o braciach, elfach i kamiennych aniołach. Zastanawiam się... Może zapomnę o Willu i będę ścigał wróżki na wzgórzach Irlandii... - Zamilkł, widząc zmianę w wyrazie twarzy Marcha. - Coś nie tak?
- Po prostu ciągle myślę o Estabrooku. - Uśmiechnął się sztucznie. - Keira Sullivan to pokusa, której nie potrzebujesz w tej chwili. Prawda?

69

Simon nie odpowiedział, a March wyszedł, gwałtownie zamykając za sobą drzwi.

Sfrustrowany Simon opadł na pluszowy fotel i położył nogi na stoliku. Dostrzegł na nim egzemplarz „Boston Globe”. Na pierwszej stronie widniało czarno-białe zdjęcie mężczyzny, który utonął w Ogrodzie Miejskim. Zamożny, w średnim wieku, nie miał żony ani dzieci.

Funkcjonariusze wydziału zabójstw bostońskiej policji wszczęli śledztwo, ale nic nie wskazywało na morderstwo.

Simon przypomniał sobie, jak Keira wpadła do domu na Beacon Hill po wezwaniu policji. Błada, przemoczona... Dwadzieścia minut później wyglądała jak smukła irlandzka wróżka. Musiał przyznać, że zaintrygowała go, ale March miał rację. Simon z łatwością wymieniłby tysiąc powodów, dla których nie powinien oddawać się fantazjom o Keirze.

Była znajomą Owena Garrisona, który ukrywał prawdę o Simonie przed Abigail i nie chciałby okłamywać też Keiry.

Simon opuścił nogi na podłogę.

Kogo on próbuje oszukać? Przecież właśnie oddaje się fantazjom o Keirze Sullivan.

Zaraz miał lot do Londynu. Postanowił kupić wodę i batonik do samolotu.

Gdy wychodził z poczekalni, stanął - a właściwie zawisł - mu przed oczami obraz z irlandzką chatką, który kupił na aukcji. Poczul się, jak gdyby tam był - w świecie Keiry. Wyobraził ją sobie' z pędzlem w dłoni. Jej upięte blond włosy i niebies-

kie oczy skupione na miejscu, w którym za chwilę pojawi się następna odrobina farby.
Westchnął.

- Weź się w garść - wymamrotał. W holu nie było już agentów FBI. Niedługo miał wchodzić do samolotu.

Szybko więc udał się na poszukiwanie batonika.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 20 czerwca godz. 18.00

Drugiego dnia w Irlandii Keira zamówiła „przysmak z grilla” - zapiekana kanapkę z szynką, serem, pomidorem i cebulą, oraz kubek kawy ze szczodrym dodatkiem irlandzkiej whiskey. Nie wybrała marki. Powiedziała Eddiemu O'Shea, właścicielowi jedyne pubu w małej wiosce na półwyspie Beara, gdzie miała spędzić sześć tygodni, że ma ochotę na whiskey. Whiskey z Irlandii. Nic innego się nie liczyło.

- Jeszcze jedną kawę? - zapytał Eddie.

Był drobnym, jasnowłosym mężczyzną z poczuciem humoru i o przyjaznym usposobieniu, które idealnie pasowało do jego pracy.

- Nie, dziękuję. - Keira zauważyła ślad bostońskiego akcentu w swoim głosie. Zaskoczyło ją to, w końcu wiodła tułaczę życie. Wzięła do ręki

trójkątną kanapkę. Z białego chleba wyciekał roztopiony ser, wystawał spieczony plasterek szynki i spiralny kawałek cebuli. Niecałe dwa dni na wybrzeżu Irlandii, a ona już się zadomowiła i cieszyła na resztę pobytu. - Gdybym wypila więcej kawy, wypilabym też więcej whisky. A wtedy miałabym problem.

Eddie spojrzał na nią w sposób, który mogłaby opisać jedynie jako sceptyczne rozbawienie.

- Przecież pani nie prowadzi.

- Chcę się przejść. - Podniosła kubek pełen gorącej kawy i ogrzała o niego ręce. - Uwielbiam te długie czerwcowe dni. Jutro przesilenie letnie. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy o tej porze roku.

- Idzie pani tańczyć z elfami i zajmować się magią? Proszę uważać, bo jeszcze wezmą panią za królową elfów.

- Więc pan w nie wierzy?

- Nie jestem zabobonny.

Nie powtórzyła mu opowieści Patsy.

Keira pomyślała, że wnikanie w opowieść o braciach, elfach i kamiennym aniele wymagało jasnego, ale nie całkiem jasnego umysłu. Miała nadzieję, że połączenie whiskey i kofeiny zadziała. Chciała być odważna, ale nie lekkomyślna, zdeterminowana, ale nie szalona.

Eddie oddalił się z tacą pełną drinków i zaniósł je grupce mężczyzn siedzących wokół małego telewizora. Keira dowiedziała się, że byli to miejscowi rolnicy i rybacy, którzy znali się całe życie. Przez ostatnią godzinę przychodzili do pubu, jeden po

80

drugim, by obejrzeć mecz hurlingu i posprzeczać się dobrodusznie. Gdyby klócili się o wróżki, magię, starożytne rytuały albo stare historie opowiadane przy kominku, wtedy - pomyślała Keira - ich rozmowa przyciągnęłaby jej uwagę. Być może nawet przyłączyłaby się do nich. Nie

wiedziała nic o hurlingu poza tym, że to szybka, brutalna i niezwykle popularna wśród znajomych Eddiego gra.

Poprzedniego wieczoru też zjadła kolację w pubie. Natychmiast zaprzyjaźniła się z Eddiem. Zdawała sobie sprawę, że mieszkańcy wioski zaczęli snuć domysły, dlaczego pojawiła się wśród nich. Pomagała im trochę, raz po raz rzucając jakąś ciekawostkę. Nie była to fikcja ani cała prawda. Ale też żadnemu z nich nie skłamała.

Myśleli, że przyjechała do Irlandii, by - jak typowa Amerykanka irlandzkiego pochodzenia - szukać swoich korzeni i siebie. Pomyślała, że trochę tak było.

Zostawiła kilka euro na drewnianym kontuarze, zabrała kubek z kawą i wyszła. To był jeden z najpiękniejszych wieczorów, jaki widziała. Dobry początek pobytu, pomyślała. Złe samopoczucie po locie powoli ustępowało, podobnie jak napięcie ostatnich godzin w Bostonie. Mężczyzna w wyświechtanej tweedowej marynarce, wełnianych spodniach, irlandzkiej wełnianej czapce i ubłoconych kaloszach usiadł przy stole koło wejścia do pubu. Zwrócony w stronę ulicy, palił papierosa. Spojrzał na Keirę oczami koloru najczystszej błękitu. Miał ogorzałą, pokrytą głębokimi

zmarszczkami twarzy i krótkie, proste siwe włosy. Mógł mieć sześćdziesiąt albo osiemdziesiąt lat. Albo sto osiemdziesiąt, pomyślała. Było w nim coś ponadczasowego.

Powiedział po irlandzku coś, co nie zawierało żadnego z około pięćdziesięciu słów, jakie znała. Jej mama znała irlandzki - przynajmniej kiedyś.

- Przepraszam...

- Miłego spaceru, Keiro Sullivan. - Wypuścił z ust chmurę papierosowego dymu i lekko się uśmiechnął. - Znam cię. O tak. Dobrze cię znam.

Była tak zaskoczona, że aż się potknęła i niemal wylała na siebie kawę.

Kiedy odzyskała równowagę i upewniła się, że nie rozlała kawy, mężczyzny już nie było.

Dokąd tak szybko czmychnął?

Keira spojrzała na cichą, wąską ulicę, wzdłuż której stały kolorowe domy. Żywy błękit, fuksja, zieleń i żółć potrafiły rozjaśnić nawet najbardziej pochmurny dzień. Z latarni zwisały kosze z lawendą i różowymi pelargoniami. Przy ulicy stało kilka samochodów, ale nie było żadnego ruchu. Słyszał tylko szczekanie psa nad wodą i sporadyczne gwizdanie mężczyzn z pubu.

Keira zastanawiała się, czy nie wejść do pubu, by zobaczyć, czy jest tam tajemniczy mężczyzna, albo zapytać, czy widział go Eddie. Nie chciała jednak dawać mu powodu do kolejnych plotek. Być może tamten mężczyzna wypił za dużo guinnessa i szedł teraz chwiejnym krokiem pobliską dróżką. Albo mieszkał w jednym z domów przy

82

głównej ulicy i najzwyczajniej w świecie wrócił do siebie.

Może postanowił zabawić się kosztem amerykańskiej turystki.

Nie mogła zrozumieć, co miał na myśli.

Keira zajęła jego krzesło przy stole. Popijając letnią już kawę, zauważyła, że w przyjemnym wieczornym powietrzu nie było śladu zapachu dymu z papierosa.

Wsunęła ręce w kieszenie swetra z irlandzkiej wełny, który kupiła w Kenmare, znanym ze sklepów i restauracji uroczym miasteczku położonym nad zatoką Kenmare, rozdzielającą półwyspy Beara i Iveragh, dwa z pięciu cyplów w południowo-zachodniej Irlandii, które wcinają się w Ocean Atlantycki.

Skręciła w polną drogę równoległą do okrytej szarością przystani. Był czas odpływu. Po przeciwnej stronie zatoki, na półwyspie Iveragh, na tle popielatego nieba widać było zarys pasma MacGil-licuddy Reeks. Po prawej stronie wznosiły się nagie, postrzępione góry słabo zaludnionego półwyspu Beara. Strzępy chmur, a może mgły, tonęły w zagłębieniach skalnych.

Keira słyszała beczenie owiec, które białły na zielonych wzgórzach.

Stare kamienne mury wzdłuż drogi pokrywały bujnie róże i dzikie kwiaty - niebieskie, fioletowe i żółte osty, różowe naparstnice i rozmaite białe kwiatki.

I ostrokrzew, zauważyła z uśmiechem Keira.

Zgodnie z tradycją ścięcie ostrokrzewu przynosiło nieszczęście.

Rosły tam wysokie rododendrony i gdzieś tam jaskrawe fuksje, których od dawna nikt nie pielęgnował. Dzięki prądowi zatokowemu klimat południowo-zachodniej Irlandii jest łagodny przez cały rok, przyjazny dla podzwrotnikowych roślin mimo silnych wiatrów.

Chatka, którą wynajęła, znajdowała się niedaleko. Był to tradycyjny domek z szarego kamienia, który, przyznała z ulgą, okazał się uroczy i doskonały na jej pobyt. Przypomniała sobie, że musi wysłać pocztówkę do Colma Dermotta w podziękowaniu za pomoc w znalezieniu tej chatki.

Mocniej otuliła się swetrem i odegnała od siebie myśli, które mogłyby ją skusić, by po powrocie nalać sobie szklaneczkę whiskey, włączyć muzykę, a potem nakryć się ciepłym kocem i rysować irlandzkie pejzaże. To było pociągające, ale musiała pamiętać o swojej misji.

Skręciła w dróżkę prowadzącą przez pełne kamieni, ostro wznoszące się pastwisko ogrodzone drutem kolczastym. Szła tędy już wczoraj, by poznać trochę okolicę. Zdziwiła się, jak wiele szczegółów zgadzało się z tymi z opowieści Patsy.

Owce pasły się wysoko na wzgórzach, które były częścią gór Slieve Miskish biegnących wzdłuż półwyspu aż do Atlantyku i nieczynnych już kopalń miedzi, w których pracował dziadek Patsy.

76

Przez chwilę dróżka była zupełnie równa. Keira usłyszała chrząknięcie w pobliżu. *Krowa. To tylko głupia krowa. Zaraz usłyszała śmiech i głos kobiety.*

- O, nie! Wdepnęłam! Jakiś mężczyzna zachichotał.

- Najwyraźniej krów nie obchodzą prehistoryczne ruiny.

Przeszli przez ogrodzenie z drutu kolczastego na dróżkę. Musieli być Amerykanami. Lekka bryza bawiła się koniuszkami ich siwiejących włosów. Szurali nogami, by pozbyć się krowiego nawozu. Kobieta uśmiechnęła się do Keiry.

- No cóż, jeśli chce się włączyć po pastwisku, należy się spodziewać krowich placków. Wybiera się pani do kamiennego kręgu?

- Nie dzisiaj - powiedziała Keira.

Oglądała kamienny krąg tuż po przyjeździe. By dostać się do niego, musiała przejść przez kilka płotów, omijać krowy, doły, kamienie i krowie placki. Krąg był jedną z ponad stu tajemniczych megalitycznych konstrukcji w hrabstwie Cork; wyjątkowo atrakcyjny, bo dość duży, i brakowało w nim tylko jednego z jedenastu kamiennych bloków.

Kobieta przestała szurać butami.

- Jest niesamowity. Szczególnie o tej porze roku... - Promieniała, wyraźnie zadowolona ze swej przygody. - Emocjonujące. Mieliśmy nadzieję, że natkniemy się na tańczące wróżki.

Jej towarzysz westchnął.

- To ty miałaś nadzieję.

85

Rozbawiona, przewróciła oczami i zwróciła się do Keiry:

- Mój mąż nie ma w sobie ani krztyny romantyzmu. - Wskazała na przystań i wioskę na dole. -

Zatrzymaliśmy się w Kenmare. Pani też jest z Ameryki?

- Tak, z Bostonu. Wynajmuję tu domek - powiedziała Keira i na tym skończyła wyjaśnienia.

- Cudownie. No cóż, miłego spaceru.

- Proszę uważać na krowie placki - dodał jej mąż.

Keira życzyła parze dobrej nocy. Gdy schodzili żwirową dróżką, poczuła się spokojniejsza.

Jednak nie było to tak daleko, jak jej się wydawało. Zresztą była przygotowana. Miała jedzenie, wodę, latarkę, apteczkę i gwizdek na wszelki wypadek.

Będiesz w Irlandii w dzień przesilenia letniego. Poszukaj wtedy anioła.

Przesilenie miało nastąpić dopiero jutro, ale Keira postanowiła dobrze się rozejrzeć, lepiej poznać okolicę. Przy odrobinie szczęścia opowieść Patsy zaprowadzi ją prosto do pustelni mnicha.

W każdym razie był to piękny wieczór, a Keira cieszyła się pierwszym pełnym dniem w Irlandii z sześciu tygodni, po których wiele sobie obiecywała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cambridge, Massachusetts 20 czerwca godz. 15.00

Abigail zaparkowała nieoznakowany samochód policyjny na cichej uliczce niedaleko Memorial Drive, wzdłuż której ciągnęły się okazale domy i rosły stare drzewa. Taki był charakter Cambridge. Victor Sarakis mieszkał w klasycznym domu w stylu kolonialnym, krytym szarym gontem, z czarnymi okiennicami. Odkryła, że był nie tylko bogaty, ale i nieco ekscentryczny.

Wyłączyła silnik i spojrzała spode łba na siedzącego obok Boba O'Reilly'ego. Wskoczył na fotel pasażera, zanim zdążyła zablokować zamki i odjechać. Denerwował ją, ale przecież nie on jeden.

- Nie powinieneś przekładać teraz jakichś papierków?

Otworzył drzwi i spojrzał na nią.

- Przez całą jazdę nad tym myślałaś?

79

- Nie, tak mi się powiedziało.

- To dobrze. Udam, że nie słyszałem. Abigail nie odpowiedziała. Wiedziała, że nie podoba mu się jej przyjazd do Cambridge. Nie bez powodu. Ekspert medycyny stwierdził, że przyczyną śmierci Victora Sarakisa było utonięcie. Nie było dowodów, że popełniono morderstwo albo że denat przed śmiercią upił się lub brał narkotyki. Choć pracowano jeszcze nad pełnym sprawozdaniem z sekcji zwłok, wszystko wskazywało na nieszczęśliwy wypadek. Abigail wiedziała z doświadczenia, że ciąg zdarzeń wiodący do śmierci Sarakisa być może nigdy nie zostanie odtworzony.

Bob dawał jej jasno do zrozumienia, że nie obchodziło go, jak w rzeczywistości wyglądał ten ciąg. Chciał, żeby Abigail skupiła się na jednoznacznie stwierdzonych zabójstwach. Po serii publikacji w mediach otrzymał zadanie podniesienia wykrywalności spraw w wydziale zabójstw. Choć Abigail nie była jego podwładną, uważał, że może wydawać polecenia także jej. Abigail miała nadzieję, że zdoła wyjechać do Cambridge i wrócić do komendy bez wiedzy Boba. Mężczyzna w średnim wieku, najwyraźniej zdrowy, utonął w płytkiej wodzie. Warto było poświęcić tej sprawie trochę więcej czasu. Bob miał prawo się z tym nie zgadzać, ale nie powinien się wtrącać.

Wyszła z samochodu i z impetem zatrzaskała drzwi. Było gorąco - za gorąco jak na czerwiec. Jutro będzie padać, ale ona nie przestanie narzekać.

80

Biorąc pod uwagę swój nastrój, musiała przyznać, że Owen wybrał świetny moment na wyjazd do Austin.

Okrążyła samochód i weszła na chodnik. Tom Yarborough, jej partner od sześciu miesięcy, podzielał opinię Boba o utonięciu Sarakisa, ale nie protestował, gdy powiedziała mu, że chce przyjechać tu sama.

Bob dał znak, by szła przed nim.

- To twoje dochodzenie - powiedział. Abigail zignorowała jego sarkazm i rozejrzała się. Cegły tworzące alejkę wiodącą do drzwi były popękane. Drzwi frontowe prosiły się o nową warstwę ciemnozielonej farby. Żelazna barierka przy schodkach chwiała się. Wszystko wymagało renowacji, malowania, dobrego stolarza. Przydałoby się też sprawdzić, czy nie ma termitów. Abigail nie sprawdziła jeszcze dochodów Sarakisa, ale zastanawiała się, czy zaniedbanie tego domu można było wyjaśnić ekscentrycznością właściciela.

Jej uwagi nie umknął wysoki strych, przeszklona weranda i garaż na dwa samochody.

- Jak myślisz, Bob... pięć, sześć sypialni?

- Przynajmniej, ale raczej nie sypialni. Nie miał żony ani dzieci. Przeszedł na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat. Będzie miał bibliotekę, pokój do gier, pokój na martwe zwierzęta - no wiesz, wypchane ptaki i głowy jeleni.

- Myślisz, że polował?

- Niekoniecznie.

Po latach pracy z Bobem wiedziała, że nie jest dosłowny. Po prostu określił Sarakisa jako

zamożnego, ekscentrycznego samotnika o rozległych zainteresowaniach. Na pewno nie należało do nich zajmowanie się ogródkiem, pomyślała, patrząc na mlecze, kępy trawy i łyse plamy ziemi. Ten dom był brzydkim kaczątkiem na tej ulicy.

Nacisnęła dzwonek. Cichy dźwięk w środku dał jej znać, że działał.

- Jutro przesilenie letnie - powiedział Bob tak, jakby to wyjaśniało dziwną śmierć w Ogrodzie Miejskim.

Abigail spojrzała na niego.

- Nie zaczynaj znowu. To radosny okres. Dużo słońca, kwiatów, ogniska, tańce...

- Za dużo słońca. Ludzie wariują. Nie dają sobie z tym rady. Wychodzi z nich najgorsze.

Nie miała pojęcia, czy mówi serio.

- Ja wiem, co mnie gryzie. Przesilenie letnie i to, że moja siostrzenica ugania się za elfami w Irlandii. No ale ty? Co się z tobą dzieje?

- Dzieje się to, że próbuję wykonywać swoją pracę, a ty się wtrącasz.

- Nie o to chodzi. Przyzwyczaiłaś się, że się wtrącam. Wiesz, że nie musisz tu być. Pozwalasz, żeby całkowicie pochłonęło cię zwyczajne śledztwo.

- Co robił Sarakis przy stawie? Musiało padać, kiedy wylądował w lagunie. - Użyła słowa „laguna” zamiast „staw” tylko po to, żeby zirytować Boba. Dobrze mu tak. - Rozsądnie byłoby trzymać się alejek i jak najszybciej znaleźć schronienie.

- Może karmił gołębie.

Zanim ponownie nacisnęła dzwonek, drzwi się

90

otworzyły. Na progu stał szczupły, krótko ostrzyżony siwiejący mężczyzna. Wyglądał na zmęczonego. Miał na sobie spodnie w kant i luźny jedwabisty sweter. Abigail odczytała z jego twarzy, że wie, kim są, ale i tak pokazała mu odznakę, przedstawiła siebie i Boba.

- Nazywam się Jay Augustine. Jestem szwagrem Victora. - Odsunął się i otworzył szerzej drzwi.
- Proszę wejść.
- Przykro mi z powodu pana straty - powiedziała Abigail.
- Dziękuję. - Począł, aż Abigail i Bob wejdą, po czym zamknął drzwi. - Może porozmawiamy na werandzie?
- Dobrze - zgodziła się Abigail.

Poprowadził ich przez korytarz. Wnętrze sprawiło na niej wrażenie gustownego i - w przeciwieństwie do niechlujnej fasady - nieskazitelnego. Przeszli przez elegancką jadalnię do małego pokoju, przeszklonego z trzech stron. Lekkie drzwi otwierały się na taras. Abigail zauważyła, że Bob jest skupiony, starał się zapamiętać każdy szczegół. Pomyślała, że to raczej przyzwyczajenie po latach pracy niż prawdziwe zainteresowanie tą sprawą.

Jay Augustine stanął pośrodku werandy, jak gdyby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

- Victor spędzał tutaj dużo czasu. To jedyny normalny pokój w tym domu. - Głos mu zadrżał. Odchrząknął. - Pozostałe są zawałone jego różnymi kolekcjami. Zabawne, że tutaj spędzał najwięcej czasu.

- Co zbierał? - zapytała Abigail.

- Mój szwagier miał mnóstwo zainteresowań, a także sporo czasu i pieniędzy, by się im oddawać. Zwiedził cały świat. Ja i moja żona jesteśmy antyk-wariuszami, ale większość z tych rzeczy kupił Victor w czasie podróży. Żył pełnią życia. Przynajmniej to jakieś pocieszenie. Abigail nie odpowiedziała.

- No cóż... - Augustine wziął głęboki oddech. - Państwo są detektywami, prawda? Pokiwała głową.

- To normalna procedura, że przeprowadza się dochodzenie, gdy...

- Gdy ktoś potyka się i upada w Ogrodzie Miejskim w Bostonie?

Wyczuła lekkie rozdrażnienie w jego głosie.

- Gdzie państwo mieszkają?

- Mamy dom w Newton. Nasz antykwariat znajduje się w Bostonie, przy Clarendon Street.

- Kiedy ostatni raz widział pan szwagra?

- Wpadłem do niego dwa tygodnie temu. Charlotte - moja żona - była ze mną, ale nie mogę mówić za nią. Być może widziała się później z Victorem. Byli blisko, ale bez przesady.

Bob podszedł do przeszklonych drzwi i wyjrzał na taras, tak samo zapuszczony jak front domu.

- Gdzie jest teraz pani Augustine? - zapytał.

- W Bostonie, w naszym antykwariacie - odpowiedział Jay. - Tam jest spokojnie. Większość klientów się z nami umawia. Ona bardzo to przeżywa. Victor był tak ważny dla nas obojga.

Właściwie

92

poznałem Charlotte dzięki niemu. Jesteśmy małżeństwem dopiero od dwóch lat... Znalazłem włoski renesansowy gobelin, którego poszukiwał Victor. Mój szwagier był trochę inny niż wszyscy, jak sami państwo widzą, ale był dobrym człowiekiem.

- Gdzie pan przebywał, gdy pana szwagier zginął? - zapytała Abigail.

- W Nowym Jorku, służbowo. Charlotte była w domu. - Przelknął ślinę i kiwnął głową w stronę tarasu. - Victor mówił, że chce wynająć ogrodników i zrobić remont domu. Sąsiedzi skarżyli się na bałagan. Nie gniewał się na nich. Wiedział, że jest zupełnie nieświadomy istnienia takich rzeczy jak luszcząca się farba, wyszczerbione okiennice, chwasty. Po prostu go to nie obchodziło, dopóki miał dach nad głową, a jego kolekcje były bezpieczne.

Bob zaczął chodzić w kółko - to znak, że się niecierpliwił. Abigail odwróciła się w stronę jadalni. Zauważyła figurkę dużego drewnianego słonia, wytworne srebra, szereg azjatyckich masek, wielką kolorową misę pośrodku stołu. Sama nigdy nie gromadziła antyków ani bibelotów.

- Jesteśmy z żoną zajęci - powiedział Jay Augustine zza jej pleców. - Nie dostaliśmy żadnego ostrzeżenia... staramy się poradzić sobie z tą tragedią najlepiej, jak umiemy. Mógłbym znaleźć czas, by oprowadzić państwa po domu, ale nie wiem, jaki to by miało sens.

Abigail też jeszcze tego nie wiedziała. Augustine przeszedł koło niej, a ona i Bob wyszli za nim na korytarz.

- Co państwo teraz robią? - zapytał Bob. Jay wydawał się zaskoczony tym pytaniem.
- Teraz? To znaczy z domem Victora i jego kolekcjami? Zostawił testament, dzięki Bogu. Charlotte jutro spotka się z prawnikiem.

Bob pochylił się trochę i przyjrzał rządowi figurek żyraf na szafce.

- Zbierał żyrafy? Czy pańska żona jest jego jedyną krewną?

- Tak. Victor nigdy się nie ożenił.

- Czy prowadził spis wszystkich posiadanych przedmiotów?

- Raczej nie.

- Miał coś, co mogłoby chcieć jakieś muzeum? Augustine wziął głęboki oddech, jakby starał się powstrzymać zniecierpliwienie.

- Wiele egzemplarzy z jego kolekcji mogłoby zainteresować muzeum. Mnie i Charlotte też, jeśli do tego pan zmierza.

Bob nie zareagował. Abigail wiedziała, że nie obchodzi go, czy irytuje Augustine'a.

- Czy pana szwagier zaznaczył, co ma się stać z jego kolekcją?

- Pozostawił tę decyzję mojej żonie. Jeśli mam być szczery, jestem bardzo zasmucony, ale nie całkiem zaskoczony, że Victor umarł w taki sposób. Był bardzo roztargniony. Często zapominał, gdzie jest i co robi. Traci pani czas, pani Browning. Jestem pewien, że mieszkańcy Bostonu mają dla pani wiele pilniejszych spraw niż śledztwo w sprawie przypadkowego utonięcia.

94

- Bardzo mi przykro z powodu pana szwagra - powiedziała.

- Wcale nie jest pani przykro - warknął i poszedł żwawo korytarzem.

Kiedy znaleźli się w przedpokoju, Abigail zauważyła, że przesuwane drzwi do pokoju po prawej stronie są uchylone. Tuż za nimi stał brązowy posąg z rogami, wylupiastymi oczami i rozwidlonym językiem. Półtorametrowy posąg diabła.

- Pozwoli pan, że zajrzemy tutaj? - zapytała delikatnie.

- Jak pani sobie życzy.

Bob przesunął drzwi dwoma palcami i zagwizdał, gdy wszedł z Abigail do wyłożonego drewnem pokoju. Posąg diabła był straszny, ale nie stał tam sam. Zarówno ściany, jak i meble - duże dębowe biurka niczym z biblioteki, mniejsze stoliki, otwarte i przeszklone regały - były pełne przedmiotów, które miały jakiś związek z diabłem.

- Stary bies żyje - powiedział Bob.

- Victor był samoukiem i niezależnym myślicielem - rzucił Augustine tonem wyjaśnienia.

Abigail dostrzegła na małym stoliku stos książek, z których wszystkie zdawały się dotyczyć piekła, potępienia, diabłów albo zła.

- Skąd on to wszystko miał? - zapytała.

- Z różnych miejsc - odparł Jay. - Wszystko, czym Victor się zainteresował, przeradzało się w obsesję. Jakieś trzy lata temu zaczął interesować się złem, piekłem i diabłem. Nie uważał tego

87

za bardziej niezwykle niż czyjeś zamięłowanie do goblinów i trolli.

- Ja na przykład lubię kwiaty - powiedziała Abigail.

- Nie wszystkie te przedmioty to oryginały. - Jay skinął w stronę niepokojącego obrazu przedstawiającego nagich mężczyzn cierpiących w piekielnym ogniu. - Na przykład ten Bosch jest kopią. Znają państwo Boscha, prawda?

- Ja nie znam - oznajmił Bob.

- Hieronim Bosch to średniowieczny malarz niderlandzki, znany ze swoich wyobrażeń piekła i potępienia. Mocno wierzył, że człowiek jest z zasady zły. W jego świecie, tak wspaniale przedstawionym na obrazach, człowieka może zbawić jedynie wiara w Boga.

- Nie wygląda na to, żeby ktoś na tym obrazie został zbawiony - zauważyła Abigail.

- Nosi tytuł „Piekło”. To jeden z serii czterech obrazów, które namalował pod koniec piętnastego wieku. Pozostałe to „Wzniesienie błogosławionych do raju”, „Raj ziemski” i „Upadek potępionych”.

- Wygląda na to, że pan też wie co nieco o tej kolekcji - powiedziała Abigail.

Augustine wzruszył ramionami.

- Latem widziałem oryginały w czasie podróży do Włoch. Pomogliśmy Victorowi znaleźć malarza, który zrobił tę kopię.

Wyraźnie poruszyło to Boba.

- Ale po co?

- Chciał ją mieć.

96

Bob podszedł bliżej do obrazu.

- Wygląda trochę jak Mordor w ekranizacji „Władcy pierścieni”. Nie czytałem powieści. Moje córki czytały, ja przebrnąłem tylko przez „Hob-bita”.

Z przyzwyczajenia Bob nigdy nie używał imion swoich córek - Fiony, Madeleine i Jayne. Dziewiętnastoletnia Fiona była najstarsza i w miarę samodzielna. Madeleine miała czternaście lat, a Jayne -jedenaście. Obie mieszkały z matką w Lexington, na tyle blisko, by regularnie odwiedzać ojca. Były grzecznymi dziećmi i dobrze się rozumiały z ojcem, co nie zawsze było łatwe.

Ale Abigail nie chciała teraz myśleć o dzieciach.

Obeszła pokój dookoła. Kolekcja Sarakisa zawierała obrazy, rysunki, ilustracje, ceramikę, książki oraz, co odkryła z zaskoczeniem, filmy - od Vincen-ta Price'a do „Omenu” i „Soku z żuka”.

- Ciarki mnie przechodzą - wyznał Bob. Abigail wskazała na zamknięte drzwi po przeciwnej stronie.

- Co tam jest?

- To klimatyzowany pokój Victora - powiedział Jay z lekkim poirytowaniem. - Jest mały i ciasny. Panuje w nim temperatura i wilgotność potrzebna do zabezpieczenia niektórych przedmiotów.

Hałas na korytarzu ponownie skierował ich uwagę na przesuwane drzwi.

Stał w nich mężczyzna z burzą włosów - wyglądał najwyżej na dwadzieścia pięć lat - w koszulce Uniwersytetu Harvarda i workowatych szortach.

- Wydawało mi się, że stoi tam samochód policyjny. Augustine był wyraźnie zadowolony z tego najścia.
 - Liam, dobrze cię widzieć. To jest Liam Butler, asystent Victora.
 - Brzmi dumnie - powiedział Liam. Jego wesołość kontrastowała z obrazami piekła i potępienia.
 - Studiuję na Harvardzie. Politologię. Nie mam pojęcia o sztuce i antykach. To była idealna praca. Elastyczne godziny, przyzwoita płaca, pokój na górze, niezależność. Było fantastycznie! - Wydał z siebie krótki jęk i przejechał palcami po włosach. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.
 - Jak pan poznał pana Sarakisa? - zapytała Abigail.
 - Pracował razem z moim ojcem w firmie maklerskiej w Bostonie. Ojciec wciąż haruje w biurze w Chicago. Victor przeszedł na emeryturę sześć miesięcy temu. Pomagałem mu przejrzeć i skatalogować kolekcję. Miał różne rzeczy porozrzucane po całym domu. Założę się, że znajdziemy egipską mumię pod jakimś łóżkiem.
 - Teraz to kwestia prawna, skoro Victor nie żyje
 - wtrącił chłodno Jay.
- Abigail czekała na reakcję Liama, ale ten nie zauważył nawet, że Jay coś powiedział.
- Jak długo pracował pan dla pana Sarakisa?
 - zapytała.
 - Osiemnaście miesięcy. Będę tęsknił za tą pracą.

98

- Co pan teraz robi? Westchnął i pokręcił głową.
 - Zostanę tu tak długo, jak będę mógł, a potem znajdę nowe mieszkanie. Może zamieszkać ze znajomymi. Czysze są tu bardzo wysokie, ale dzięki Victorowi trochę zaoszczędziłem.
 - Victor zawsze bardzo chwalił Liama.
- Bob przesunął się w stronę czarnej rzeźby przedstawiającej wyjątkowo wstrętne diabła.

- Wygląda jak pokręcona czapla modra. Czy siostra Victora też interesuje się złem i diabłem? Augustine był wyraźnie spięty.

- Jestem pewien, że Charlotte chętnie odpowie panu na wszystkie uzasadnione pytania.

Bob wzruszył ramionami.

- Dobrze.

Abigail zauważyła, że Liam wycofał się na korytarz, słysząc tę wymianę zdań.

- Czy widział się pan z panem Sarakisem w dniu jego śmierci? - zapytała.

- Tylko przy śniadaniu. Pomagałem koleżance przygotować się do egzaminów. No, może nie tyle przygotować, ile poradzić sobie ze stresem.

- W jakim nastroju był pan Sarakis?

- Był czymś zaabsorbowany. Ale to nic nadzwyczajnego. Ciągle nad czymś rozmyślał. Był wybitnym, dociekliwym człowiekiem... - Liam zamilkł na chwilę, ogarnięty wzruszeniem. - Takim szlachetnym, prawdziwym człowiekiem renesansu.

- Był też trochę dziwny - wtrącił Bob.

- Tak. No i co z tego? - Ton Liama nie był ani

91

obronny, ani poirytowany. Zadał pytanie, starając się zrozumieć, co dziwactwa Sarakisa mogły mieć wspólnego z jego śmiercią.

Dobre pytanie, pomyślała Abigail.

- A nad czym tak rozmyślał? - zapytała.

- Nie wiem. Nie powiedział mi, a ja nie pytałem. To nie było nic niezwykłego. Często zatapiał się w myślach. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Był wspaniałym człowiekiem. Ale wystarczy się rozejrzeć, żeby pojąć, dlaczego przeszedł na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, prawda?

Racja, pomyślała.

- Wie pan, po co pojechał do Bostonu tamtego wieczoru?

- Nie - odpowiedział Liam bez wahania. - Proszę pani, bardzo chciałbym pomóc, ale nie wiem, co Victor robił w Bostonie ani dlaczego się utopił. Przykro mi, że to się stało, to wszystko. Byłoby dobrze, gdybyśmy to już zakończyli. Chciałbym pójść do swojego pokoju.

- Proszę bardzo - powiedział Bob. - Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, będziemy w kontakcie.

Liam odszedł z wyrazem ulgi na twarzy i zniknął na schodach. Abigail wyszła z Bobem na korytarz. Jay minął ich i otworzył skrzypiące drzwi.

- Doceniam państwa wnikliwość, ale jeśli nie ma powodów, by myśleć, że śmierć Victora nie była tylko nieszczęśliwym wypadkiem, to... Chyba wiedzą państwo, co chcę powiedzieć.

Cienia nadgorliwości, pomyślała Abigail. Żadnego przypuszczenia, że niezwykle zainteresowania

92

Sarakisa miały jakiś wpływ na jego śmierć. Bogaty ekscentryk zafascynowany diabłem tonie w płytkiej wodzie. Dziennikarze byliby wniebowzięci. Państwo Augustine musieli chronić swoją firmę i starali się uniknąć sensacji.

Przeszła z Bobem przez zachwaszczony ogródek do samochodu. Stał w cieniu, więc wewnątrz było w miarę chłodne. Otworzyła okno, by wpuścić trochę cieplejszego powietrza.

- Przyznaję - powiedział Bob - cały ten diabeł jest dziwny.

- Coś jest nie tak ze śmiercią tego człowieka, Bob.

- Być może. Zawiadom policję w Cambridge. Szukaj dalej - dodał szyderczo: - Oczywiście to nie jest rozkaz, bo nie odpowiadasz przede mną...

- Dziękuję za zielone światło.

- Żółte. Nie zielone.

Abigail przekręciła kluczyk w stacyjce. Bywały dni, kiedy Boba O'Reilly'ego nie dało się zadowolić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Półwysep Beam, południowo-zachodnia Irlandia 21 czerwca, przesilenie letnie godz. 20.00

Keira przeszła przez ogrodzenie z drutu kolczastego - trzeci płot tego wieczoru - i opadła na miękką, gęstą trawę po drugiej stronie. Sięgała ona do kostek, co wskazywało, że w pobliżu nie pasły się krowy ani owce. Z tego, co zdążyła zobaczyć, niemal każdy centymetr bezdrzewnych pagórków był przeznaczony na pastwisko. Owce, sprytniejsze niż krowy, pokonywały strome skały w wyższych partiach gór.

Zarzuciła plecak na ramię. Zawsze była przygotowana. W czasie spaceru poprzedniego wieczoru potwierdziło się jeszcze więcej szczegółów z opowieści Patsy i zawęziła się liczba miejsc, gdzie mogła znajdować się chatka mnicha - lub gdzie wciąż się znajdowała. Keira miała nadzieję ją odszukać lub znaleźć miejsce, które stworzyła sobie w wyobraźni.

102

Długie czerwcowe wieczory były jasne, więc zanim pojawi się konieczność wyciągnięcia latarki, będzie już w domu, w ciepłym łóżku. Otwarta przestrzeń sprawiła, że poczuła się mniej odizolowana od świata. Nie miała też wrażenia, że popada w szaleństwo, szukając wśród irlandzkich wzgórz dowodu na to, że stara historia opowiedziana jej w bostońskiej kuchni nie była tylko wymysłem.

Przypomniała sobie Patsy McCarthy z pasmami siwych włosów i jasnymi oczami, które błyszczały, gdy opowiadała:

„Mnich, który był dobrym i szczodrym człowiekiem, żył w modlitwie i ubóstwie w kamiennej chatce, którą zbudował własnymi rękami kolo strumienia pośród kamiennych wzgórz nad przystanią...”.

Keira uśmiechnęła się, zbierając rzeczy. Wciąż była na pastwisku, nad strumykiem, który wyrzeźbił wąwóz w zboczach wzgórz. Droga pozostała z tyłu. Ostry kolec wbił jej się w udo, gdy przechodziła przez pierwszy płot, ale zdusiła w sobie przekleństwo, nie chcąc niepokoić byka

wspomnianego na tabliczce z napisem „Uwaga, byk”, przybitej do słupka tuż przed drewnianym mostkiem. Ziemia należała do brata Eddiego O'Shea, Aidana, który pozwolił jej po niej spacerować. Po drodze minęła stodołę i mocno zużyte narzędzia rolnicze, które teraz zniknęły jej z pola widzenia.

Zeszła zboczem wzgórza. Nagie skały i trawa ustąpiły drzewom i bujnemu poszyciu wzdłuż

brzegów strumienia. Ziemia była tu bardziej mokra i miękka, powietrze chłodniejsze.

Wystarczyło, że wejdzie na wzgórze, by znów znalazła się na otwartej przestrzeni.

Czy jej matka przyszła tutaj w dniu przesilenia letniego trzydzieści lat temu?

„Co roku, w dniu przesilenia, walka rozpoczynała się na nowo”.

Strumień był jednym z istotnych elementów opowieści. Kamienny krąg, przystań, kształt i rozmieszczenie wzgórz - wszystko to pomogło określić położenie wsi i potwierdzić, że historia, nawet jeśli była mitem, opowiadała o rzeczywistym miejscu.

„Bracia mnicha nie pomogli mu przy budowie chatki koło strumienia. Musiał polegać na pracy swoich rąk, nosić kamienie ze wsi. Nie przeszkadzało mu to. Zawsze wołał własne towarzystwo. Odpowiadało mu życie w samotności”.

Keira szła brzegiem strumienia, omijając gałęzie, odgarniając płataninę kłaczy i ostrokrzewu.

Bujna roślinność rzucała ruchome cienie i tworzyła zupełnie inny nastrój niż na pastwisku.

Keira przyspieszyła, zastanawiając się, ile czasu poświęcić na poszukiwania.

Gdy nad tym rozmyślała, zatrzymała się gwałtownie, nie wierząc własnym oczom.

Stała przed czymś, co wyglądało na ruiny starej chatki na zboczu - zupełnie jak w opowieści

Patsy. Spod dzikiego bluszczu wyzierały szare kamienie.

96

Starając się opanować podniecenie, Keira okrążyła wielki dąb, by lepiej się przyjrzeć ruinom.

Rozpoznała przednią ścianę, pozostałości komina i wejścia. Same drzwi pewnie przeznaczono na coś innego kilka dziesięcioleci temu. Strzecha dawno zniknęła; zastąpiła ją naturalna osłona z pnączy i gruzów. Nie potrafiła ocenić wieku chatki, ale mogła poprosić Eddiego o kontakt z kimś, kto to wie. Colm Dermott, szanowany naukowiec, na pewno byłby skłonny pomóc.

Opuszczone domy nie były rzadkością w południowo-zachodniej Irlandii, szczególnie dotkniętej głodem i masową emigracją, ale te ruiny uruchomiły wyobraźnię Keiry. Mnich z opowieści Patsy - albo jego pierwowzór - mógł mieszkać tutaj, w maleńkiej chatce nad strumieniem.

„Choć mnich był szczęśliwy w swojej samotni, jego braciom wydawało się, że potrzebuje towarzystwa - że potrzebuje ich. Inaczej wyobrażali sobie jego życie”.

Keira słyszała szum strumienia tuż za sobą oraz, w oddali, beczenie owiec. Te dźwięki podniosły ją trochę na duchu - były znajome, zwyczajne. Ten, kto tu mieszkał, na pewno prowadził nieskomplikowane życie. To nie musiał być mnich z opowieści Patsy. Być może jej ojciec, lub ojciec jej ojca, przechadzał się tędy i postanowił uwiecznić ruiny w swej opowieści, by ją ulepszyć.

„Nie tylko bracia inaczej wyobrażali sobie jego życie. O, nie”.

W tym momencie Patsy zawahała się w trakcie

105

opowiadania. Keira wyczuła, że nie chce się przyznać do wiary w elfy.
„To mnich pierwszy odkrył anioła. Znalazł go w popiele koło ogniska w równonoc wiosenną. Na początku myślał, że włożyli go tam jego bracia. Że to jeszcze jeden z ich figli”.

Keira usłyszała szelest i wstrzymała oddech, rozglądając się.
Koło krzewu głogu, na zboczu, stał wielki czarny pies. Warczał na nią.
- Spokojnie, piesku - powiedziała cicho. Nigdy nie przepadała za psami, a ten nie był towarzyskim irlandzkim owczarkiem. - Spokojnie...
Pies warknął. Czarna sierść na grzbiecie zjeżyła się.
Keira zdobyła się na bardziej stanowczy ton.
- Przestań. Nie ma powodu, by na mnie warczeć. Dysząc ciężko, pies ruszył w jej stronę.
Była przygotowana na wszystko - poza groźnymi psami.
Błoto, opadłe liście, bluszcz, kamienie i w połowie uschnięte drzewo zablokowały część wejścia do domu, ale Keira odsunęła płataninę pnączy i wskoczyła do środka w nadziei, że pies nie podąży za nią. Sięgnęła do plecaka po gwizdek. Może przynajmniej odstraszy psa, jeśli ją zaatakuje.
Usłyszała jeszcze jedno warknięcie, głośnie szczeknięcie i znów szelest.
A potem - cisza.
Stwierdziwszy, że pies uciekł, Keira zrzuciła plecak na glinianą podłogę i zbadła wnętrze chatki.

106

Była bardzo ciasna, z małym okienkiem pod niemal nienaruszonym strychem i drugim oknem nad otworem na drzwi - jak się zorientowała, jedynym wejściem. Drewniana belka podtrzymująca strop wyglądała na solidną, ale krokwie się zapadły. Suche liście, bluszcz i opadłe gałęzie utworzyły naturalny dach. Przy ścianie naprzeciwko strychu znajdował się nietknięty komin z szarego kamienia.

„Mnich nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego od tego kamiennego anioła. Był tak piękny, że mnich godzinami przesiadywał przy ognisku, wpatrując się tylko w niego”.

Gdy Keira przywykła do półmroku panującego w chatce, wyciągnęła z plecaka wodę i plastikową torebkę z batonikami energetycznymi, orzechami i jabłkiem. Próbowała wyobrazić sobie pustelnika z opowieści Patsy. Jeśli istniał i mieszkał tutaj, to jak wyglądał? Jak wyglądało jego życie w chatce na zboczu wzgórza? Na pewno było ciężkie. Większość czasu musiało mu zajmować zdobywanie pożywienia i wody, utrzymywanie ciepła i dbanie przynajmniej o podstawową higienę.

Keira pomyślała, że życie w chatce przypominało trochę życie jej matki w lesie.

Patsy zafascynowała Keirę, opowiadając jej w szczegółach, jak to bracia starali się dociec, skąd się wziął kamienny anioł i co oznaczał. Zgodnie uznali go za zwiastun szczęścia. Mnich wierzył, że zesłała go sama święta Ita, by nawrócić jego i jego braci na drogę modlitwy, miłosierdzia i ubóstwa,

zapewniając im duchowe szczęście. Z kolei brat rolnik uważał, że anioł przyniesie mu obfite plony, wiele cieląt i jagniąt.

Brat próżniak, naturalnie, miał zupełnie inny pomysł. Twierdził, że anioł ma pomóc braciom - a właściwie całej wiosce - zdobyć pieniądze, za które mogliby otworzyć pub.

Wszyscy trzej byli przekonani, że anioł otrzymał od świętej Ity dar przewidywania.

Gdy tak się spierali, trzy miesiące później - w noc przesilenia letniego - pojawiły się elfy i skradły anioła.

Keira uśmiechnęła się na wspomnienie radości, z jaką Patsy opowiadała tę część historii.

Mnich potraktował kradzież jako próbę wiary i duchowej siły. Postanowił odzyskać anioła.

Przez następne trzy miesiące gonił elfy po polach, aż wreszcie, w równonoc jesienną, anioł znów pojawił się w jego chacie.

Trzymał to w tajemnicy przed braćmi. Gdy przesilenie zimowe minęło bez wizyty wróżek, uznał, że pomyślnie przeszedł próbę, poprawnie odczytał znaczenie anioła i że wszystko będzie dobrze.

Jednak bracia szybko odkryli jego oszustwo. Nazwali go kłamcą i hipokrytą.

Wciąż się spierali, ale bez wzajemnej urazy

- w końcu żyli kłótnią. Do tego przywykli, to w sobie nawzajem kochali. Z powodu porządnej kłótni mogli trochę pobyć razem.

W następne przesilenie letnie wróżki wróciły po

108

anioła. W jesienną równonoc znów pojawił się przy palenisku.

I tak to trwało. Mnich kłócił się z braćmi i ścigał wróżki, anioł zniknął albo pojawiał się w czasie przesilenia lub równonocy.

Opowiadając to, Patsy starannie dobierała słowa; wiedziała, kiedy zamilknąć. Zmieniała ton, by wyrazić frustrację, rozbawienie, figlarność. Rozkleiła się pod koniec - pewnego razu bowiem anioł zniknął na zawsze. Nikt go nie miał - ani elfy, ani bracia.

Keira popijała wodę, stojąc niedaleko wejścia do chatki. Wspomnienie głosu Patsy trochę ją uspokoiło. Czula ostry zapach błota, pnączy i gnijących liści; wilgoć. Łatwo jej było wyobrazić sobie radość mnicha na widok pięknego anioła przy jego własnym palenisku.

To było tutaj... przy ogniu...

- Keiro.

Zastygła. Zatrzymała butelkę w pół drogi do ust. Czy to wiatr, czy przed chwilą ktoś wyszeptał jej imię?

Nagle usłyszała trzask, jakby ktoś wyrywał drzewo z korzeniami - a potem ostre zgrzytanie kamienia o kamień. Bluszcz nad jej głową poruszył się. Na podłogę spadły gnijące liście i gałązki.

Keira rzuciła się do wyjścia, ale nie dotarła do drzwi. Kilka krokwi zawałiło się, a tuż przed nią spadł zmieszany z błotem gruz. Usłyszała, jak staczają się kamienie od strony komina.

Nie było czasu.

Musiała się ukryć.

101

Wskoczyła pod strych i schowała się w najdalszy kąt chatki. Rzuciła butelkę z wodą i jedzenie w błoto, ukryła głowę w ramionach.

Po kilku sekundach gruz przestał spadać. Keira wstrzymała oddech. Nie śmiała poruszyć się ani wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Czekala. Minęła minuta. Dwie.

Nic.

W nadziei że najgorsze już minęło, opuściła ręce i wpatrywała się w klepisko, starając się ocenić sytuację.

Kto tam był? Kto wyszeptał jej imię?

W ciemności dostrzegła na pół zniszczony komin i... coś. Zmrużyła oczy, zamknęła je i znów zmrużyła.

Na gruzach przed paleniskiem stała mała kamienna figurka.

Anioł.

Przy palenisku.

Keira podejrzewała, że to jej wyobraźnia pod wpływem adrenaliny stworzyła mitycznego anioła z opowieści Patsy. Pomyślała, że jeśli jeszcze raz mrugnie oczami, anioł zniknie i okaże się zwykłym kamieniem.

Ale nie zniknął. Widziała skrzydła, piękną twarz o delikatnych rysach i małą harfę w jego dłoniach.

W opowieści Patsy wszyscy trzej bracia zgodzili się co do tego, że anioł grał na harfie.

Święta Ita żyła w szóstym wieku, ale Keira nie potrafiła określić, czy anioł miał tysiąc czterysta czy sto lat - czy może ktoś go kupił w sklepie ogrodniczym tego ranka i ustawił tam dla żartu.

Być może

102

nie była jedyną osobą w okolicy, która słyszała tę historię. W tym momencie, pomyślała, wszystko było możliwe.

Gdy postanowiła podejść bliżej, usłyszała głośny trzask. Kolejna część dachu się zawaliła. Nawet z twarzą przyciśniętą do kolan czuła w ustach smak ziemi i pyłu ze spadających kamieni i zaprawy. Jeśli ta strona chatki się zawali, będzie po niej.

Ale wiedziała, że nic się nie stanie.

Po prostu to wiem, pomyślała, zaskoczona swoją absolutną pewnością.

Keira pozostała skulona, dopóki hałas nie umilkł i słyszała tylko spokojny szum strumyka i wiatr buszujący w liściach pobliskich drzew.

Nie wiedziała, jak długo siedziała tak nieruchomo - przynajmniej godzinę - ale gdy była już pewna, że nic więcej się nie zawali, podniosła głowę, zakaszła i rozejrzała się.

Wielka sterta gruzu zablokowała przejście do drzwi. Nie mogła wyjść wtedy, którądy weszła, ale nie miała wyboru. W chatce nie było tylnego wyjścia, a małe okna znajdowały się za wysoko, by mogła ich dosięgnąć bez drabiny.

Podniosła wodę i torbę z jedzeniem. Skrzywiła się, gdy zdała sobie sprawę, że jej plecak został gdzieś pod gruzami.

Mimo długich czerwcowych wieczorów za parę godzin robi się ciemno.

Nie potrzebowała więcej czasu, by ocenić sytuację, w której się znalazła. Wszystko stało się jasne.

Była uwięziona.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Londyn 22 czerwca godz. 17.00

Simon zabrał telefon komórkowy do cichszej części gwarne go baru w londyńskim hotelu i poprosił Owena Garrisona, by powtórzył to, co przed chwilą powiedział. Coś o artystce, która zaginęła w Irlandii.

Keira Sullivan.

Płowowłosa królowa elfów z talentem do wpadania w tarapaty.

- Widziałeś ją na przyjęciu w Bostonie - powiedział Owen.**
- Pamiętam. - Simon przypomniał sobie, jak wbiegła do salonu w długiej spódnicy. - Pojechała do Irlandii, żeby zbadać starą legendę. Co się stało?**
- Dziś rano miała zadzwonić do wuja z pubu w wiosce, gdzie wynajmuje domek. Nie odezwała się, więc zadzwonił do tego pubu. Barman powie-**

112

dział, że spodziewał jej się wczoraj, ale nie przyszła, a dziś nikt jej nie widział. Nie ma komórki, a w jej domku nie ma telefonu.

Simon poczuł, jak sztywnieje mu kark.

- Czy jej wuj nie może poprosić kogoś z pubu, żeby do niej poszedł?**
- Zrobił to. Nie było jej. Samochód, który wypożyczyła, stoi na podjeździe.**
- Jest dorosła. Skąd wiemy, że po prostu nie wskoczyła do autobusu i nie wybrała się do Dublina na parę dni?**
- Nie wiemy. Bob nie panikuje, ale cała sprawa ma jakiś związek z przesileniem letnim. Oznacza nieszczęście dla jego rodziny czy coś w tym rodzaju. Wiem, że proszę o wiele, ale skoro nie masz co robić, to może mógłbyś zobaczyć, o co chodzi? Policjant z Bostonu miałby wobec ciebie dług wdzięczności.**
- A to zawsze dobry pomysł.**

- Wysłałem ci mejla z plikiem o Keirze. Link do jej strony internetowej, wskazówki, jak dojechać do jej chatki.

Simon był przyzwyczajony do akcji ratunkowych po poważnych katastrofach - nie do szukania artystek, które wybrały się na irlandzką wieś. Chociaż ta artystka była bardzo atrakcyjna.

- Dobra. Zobaczę, co da się zrobić. - Już chciał się rozłączyć, ale dodał: - Dawno nie ratowałem żadnej panny z opresji.

- Bob powiedział jeszcze, żeby ci przekazać, że Keira nigdy nie chybia ze swojego glocka.

105

- Czyżby? - Było to wyraźne ostrzeżenie, żeby Simon zachował się właściwie, ale bardziej go to rozbawiło, niż przestraszyło. - To jeszcze lepiej. No i jest ładna.

- Niestety - powiedział Owen - to jej trzeba przyznać.

Simon wiedział też - tak samo jak Owen i Bob O'Reilly - że jeśli coś poszło nie tak i Keira ma kłopoty, to im szybciej zacznie jej szukać, tym większe są jej szanse na przeżycie.

Gdy się rozłączył, wrócił na swój stół przy barze, obok ostatniego rozmówcy, bankiera z Londynu, również przyjaciela Willa Davenporta. Bankier zamówił kolejne martini i najwyraźniej chciał spędzić wieczór, pokazując amerykańskiemu par-weniuszowi, gdzie jego miejsce. Był w wieku Simona, ale wystrojony tak, jakby właśnie wrócił z herbatki u króla Edwarda. Gdyby nie obowiązujące w hotelu zasady, Simon przyszedłby w dżinsach. Zamiast nich włożył czarne spodnie i ciemnoszary sweter.

- Wybacz, stary - powiedział do bankiera. - Obowiązki wzywają.

- Ten udawany angielski akcent jest denerwujący, Simon.

- I o to chodzi.

Simon udał się do windy, która miała go zabrać do eleganckiego pokoju, gdzie starał się nie zwracać na siebie uwagi, w czasie gdy FBI i inne służby specjalne ścigały Normana Estabrooka i jego ludzi.

Czy John March uznałby podróż do Irlandii, by sprawdzić, co się dzieje z artystką, która nie za-

114

dzwoniła do wuja policjanta, za niezwracanie na siebie uwagi?

Raczej nie, pomyślał Simon, włączając laptop i sprawdzając pocztę.

- Nieźle.

Po spotkaniu z Keirą Sullivan spodziewał się czegoś ładnego. Na zdjęciu na jej stronie internetowej uśmiechała się, a w lśniących jasnych włosach miała kwiaty - różyczki oraz coś lekkiego

i fioletowego. Miała przepiękne niebieskie oczy i czarne rzęsy, była ubrana w ciemnozieloną aksamitną sukienkę, w której wyglądała jak księżniczka elfów rodem z Tolkiena - księżniczka z bardzo ładnym dekoltem. Nie mógł go nie zauważyć, choć kwiaty we włosach na chwilę odwróciły jego uwagę.

- To nie może być dobry znak - wymamrotał, klikając na link do jej biografii.

Urodziła się w południowym Bostonie i wychowała na południu New Hampshire, ale od tamtej pory mieszkała w wielu miejscach - Nowym Jorku, Nashville, Sedonie, San Diego. Wyglądało na to, że utrzymuje się z wykonywania ilustracji do wierszy i opowiadań ludowych, ale miała też wykształcenie w dziedzinie etnografii.

Ani słowa o mężu albo dzieciach.

Simon zadzwonił do asystentki Willa, Josie Goodwin. Josie, dość wybredna, lubiła Simona, bo uratował życie Willowi. Przynajmniej Will tak mówił. Simon pamiętał, że to nie była łatwa operacja. Tylko on, lina i siekiera. Wyciągnął Willa ze

107

zbombardowanej jaskini w Afganistanie. Will nigdy nie wyjaśnił, co tam robił, a Simon nie pytał. Sam też nie mówił, skąd się tam wziął.

W czasie tego pobytu w Londynie nie widział się jeszcze z Willem. Podobno ten pojechał na ryby do Szkocji. Ale gdy leżał półżywy w gruzach afgań-skiej jaskini, jego znajomi też myśleli, że łowi ryby w Szkocji.

To było dwa lata temu, zanim Simon poznał Owena Garrisona i usłyszał o Fast Rescue i jej szeregach wykwalifikowanych ochotników.

- Muszę jechać do południowo-zachodniej Irlandii.

- Kiedy? - zapytała Josie.

- Teraz.

- Aha. Uwielbiasz stawiać ludziom wyzwania

- usłyszał stukanie klawiatury. - Mogę zarezerwować bilet do Kerry na dziś wieczorem, ale musiałbyś się pospieszyć. Samochód podjedzie po ciebie za dziesięć minut.

- Będę gotowy. - Uśmiechnął się do słuchawki.

- Dziękuję, panno Moneypenny.

- Masz się za Jamesa Bonda, co? Przypominasz raczej Hulka, a może Conana Barbarzyńcę. -

Wystukała jeszcze coś. - Daj mi teraz zamówić samochód, a sam idź się pakować.

- Jestem ci winien...

- Nie, nie jesteś - powiedziała, tym razem poważnie.

Dziesięć minut później był już na dole. Czekał na niego samochód.

108

Za parę godzin znajdzie się w chatce Keiry Sullivan. I co potem?

Nie miał pojęcia, ale w świecie, w którym żył, fascynacja irlandzkimi opowieściami, magią i wrózkami nie zapowiadała nic dobrego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Półwysep Beam, południowo-zachodnia Irlandia 22 czerwca godz. 19.00

Keira ugryzła ostatni z trzech batoników energetycznych. Owsiany z rodzynkami, nawet niezły, choć marzyło jej się ciepłe ciasto rabarbarowe z kruszonką w pubie Eddiego O'Shea. Tkwiła uwięziona w ruinach od niemal dwudziestu czterech godzin. Była brudna, głodna i źle się czuła, ale choć jej kąt pod strychem był wilgotny i nieprzyjemny, zupełnie się nie bała. Nic się jej nie stało, była w miarę sucha i bezpieczna, wciąż miała wodę i jedzenie. Miała też plan, jak się wydostać. Tylko jego realizacja trwała dłużej, niż by tego chciała.

Przydymione światło sączyło się przez pokrywę z bluszczu i śmieci nad gruzami. Półpełny księżyc trochę pomógł poprzedniej nocy, ale musiała się pospieszyć, jeśli nie chciała spędzić kolejnej nocy

118

w chatce. Latarka została w plecaku pod gruzami, podobnie jak reszta zapasów.

- Żadnych więcej przerw - powiedziała głośno, wstając. Zakasała rękawy swetra.

Gdy wskoczyła do chatki, próbując uciec przed psem, musiała naruszyć jakiś kamień lub korzeń

- albo po prostu kawałek ziemi - i wywołała reakcję łańcuchową. Krokwie, błoto, zaprawa i kamienie spadły między nią a kominem, pozbawiając ją szansy na wydostanie się przez drzwi. Nie odważyła się ruszać tego gruzu. Nie była inżynierem; nie mogła ryzykować, że reszta chatki też się zawali.

Oznaczało to, że musiała wydostać się górą.

Strych był za wysoko, by mogła dosięgnąć go, stając na kamieniu albo podskakując. Musiała zbudować drabinę. W teorii było to proste. W praktyce

- niekoniecznie. Trzeba było zadbać o bezpieczeństwo i stabilność, a znalezienie odpowiednich „szczebli” i umocowanie ich wymagało czasu, energii, siły i odporności na siniaki, zadrapania,

otarte kostki i połamane paznokcie. Choć Keira chciała się jak najszybciej wydostać, postanowiła nie spieszyć się, by nie ryzykować.

Najniższym „szczeblem” był duży i w miarę płaski kamień. Na razie wszystko w porządku.

Kolejne stopnie utworzyły dwa mniejsze kamienie, które wyciągnęła ze sterty gruzu. Wciąż bez problemu. Wyżej - kawałek drewna, prawdopodobnie z krokwi. Był mniej pewny niż kamienie, ale uznała, że też się nada.

Pozostało jeszcze kilkadziesiąt centymetrów.

110

Wypatrzyła na stercie młode drzewko i zastanawiała się, czy mogłaby jakoś połączyć ostatni stopień ze skrajem strychu.

Zauważyła grubego czarnego ślimaka sunącego po podłodze i skrzywiła się. Pierwszego ślimaka dostrzegła o poranku, a pierwszego pająka - godzinę później. Wiedząc, że ma towarzystwo, nie mogła znieść myśli o spędzeniu jeszcze jednej nocy w tej celi. Brakowało łazienki, ale mogła sobie bez niej poradzić. Martwiły ją za to ślimaki, pająki i ciemności. Chciała jak najszybciej wyjść.

Zamierzała uwolnić się przed zmrokiem i pójść do pubu, zanim ktoś za nią zateškni. Musiała jak najszybciej zadzwonić do wujka, ale tego dnia pracował i na pewno nie zauważył, że jego siostrzenica nie zadzwoniła rankiem z Irlandii, tak jak obiecała.

Keira ominęła ślimaka i sięgnęła po drzewko. Jej gwizdek leżał gdzieś w błocie, ale nie była pewna, czyby go użyła. Wolala się stąd samodzielnie wydostać i robić swoje. Żeby wszyscy myśleli, że chodziła po galeriach w Kenmare, i niczego nie podejrzewali. Na wszelki wypadek zostawiła w swoim domku kartkę z opisem trasy, którą zamierzała pokonać, ale najwyraźniej jej nieobecność nikogo nie zaniepokoiła na tyle, by tu dotrzeć. Usłyszałaby przecież ekipę poszukiwawczą.

Pewnie nikt nie pospieszy jej na ratunek, pomyślała, ostrożnie wyciągając drzewko, centymetr po centymetrze. Jeśli kamienie zaczną spadać, czmychnie z powrotem do swojego kącika.

111

Spod strychu nie widziała kamiennego anioła ani nie mogła po niego sięgnąć, ale postanowiła zbadać ruiny z zewnątrz, gdy już się uwolni. Czy zapadnięty dach go zmiażdżył?

Czy może przyszły po niego elfy?

Keira uśmiechnęła się na tę myśl. Jeszcze godzina, góra dwie - i będzie wolna.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 22 czerwca godz. 20.00

Skręć w uliczkę tuż za pubem.

Szukaj róż i malej kamiennej chatki po prawej.

Wskazówki Owena, jak dojść do wynajmowanej przez Keirę Sullivan chatki, były krótkie, ale gdy Simon dojechał do maleńkiej wioski w zatoce Ken-mare, nie miał powodu, by myśleć, że są niewystarczające. Josie Goodwin załatwiła mu sportowy samochód na lotnisku Kerry County, ale zapłacił za niego sam. Nie chciał wykorzystywać chęci jej szefa, by odwdzińczyć się Simonowi za uratowanie mu życia. Choć Simonowi daleko było do bogactwa Willa Davenporta, nie był też biedakiem.

A teraz wyświadczał przysługę Owenowi, nie prowadził misji z Fast Rescue.

Simon spędził trochę czasu w Irlandii, zarówno służbowo, jak i dla przyjemności. Podobały mu się

122

wąskie, kręte drogi na półwyspie Beara. Ktoś mu kiedyś mówił, że ptaki z Ameryki Północnej czasem przypadkiem przelatują Atlantyk i lądują na wyspie Dursey u szczytu półwyspu. Sam nieraz znalazł się w odległym kraju, dokąd wcale się nie wybierał, więc nietrudno było mu wyobrazić sobie ptaki, które trafiały na irlandzkie pastwisko zamiast na ulice

Brooklynu. Ponieważ w wiosce był tylko jeden pub, z łatwością znalazł właściwą uliczkę.

Zwolnił, gdy zobaczył malowniczą chatkę tonącą w różach i dzikich kwiatach. To musiał być domek, który wynajęła Keira. Zaparkował na podjeździe za stojącą tam micrą - pewnie też wypożyczoną przez nią - i wysiadł. Zatrzymał się na chwilę, by poczuć atmosferę tego miejsca. Delikatna mgielka pozostawiła krople wody na trawie i kwiatach. Powietrze było tu chłodniejsze i wiał silniejszy wiatr.

W domku nie świeciło się światło. Podchodząc do drzwi, nie dostrzegł śladu niczyjej obecności. Na wszelki wypadek zapukał głośno.

- Keira? To Simon Cahill.

Odczekał chwilę, ale nadal panowała cisza.

Drzwi nie były zamknięte. I tu, pomyślał, tkwił problem.

To był kiepski zamek i intruz mógł z łatwością dostać się do środka. A otwarte drzwi zapraszały problemy. Popchnął je i zapalił światło w środku.

Wisząca lampa oświetliła jaskrawożółte ściany głównego pokoju, który łączył kuchnię i salon.

113

Musiałoby tu miło w ciemne, ponure dni, pomyślał Simon, patrząc na wygodne meble - wielką kanapę i fotel w kolorowe kwiaty, stoliczki pełne książek, solidny sosnowy stół z dwoma krzesłami. Był zasłany kredkami, pastelami, temperówkami, kartkami papieru i szkicownikami.

Otworzył jeden z nich, spodziewając się wymyślnych pejzaży sielankowej Irlandii. Zamiast nich znalazł trzy mroczne rysunki, najwyraźniej zainspirowane lokalnym skalistym krajobrazem. Już miał zamknąć szkicownik, gdy dostrzegł małego, radosnego czerwonego krasnala siedzącego na płocie na górnym rysunku. Nie mógł się nie uśmiechnąć. To był ślad dziwacznej, jasnowłosej Keiry, której szukał.

Sprawdził kuchnię. Czajnik elektryczny był odłączony od prądu, zimny i pusty. W zlewie nie było żadnych brudnych naczyń. Żadnego jedzenia. Otworzył małą lodówkę - tam też nie znalazł żadnych wskazówek. Keira miała trochę masła, ser, chleb, mleko, kawę, pół ogórka, marchewki i dwa jabłka.

Szukał notatki z informacją, gdzie ona jest, ale nie znalazł.

Poczęstował się jednym z jabłek i poszedł do sypialni. Jeszcze więcej jaskrawej farby - tym razem w kolorze fuksji. Podwójne łóżko z kołdrą w kwiaty, starannie zakrywającą poduszki. W szafie na wieszakach wisiało kilka bluzek i jedna spódnica, a pod nimi leżała sfatygowana walizka i sportowe sandały. Na haczyku wisiał jeszcze biały jedwabny szlafrok.

114

Simon pomyślał, że jego zaginiona ilustratorka mogła mieć jeszcze jedną torbę na krótsze wycieczki. Ale dlaczego zostawiła tu swój szlafrok?

Otworzył szuflady wysokiej sosnowej komody. Jeszcze więcej ubrań - porządnych rzeczy na wycieczki po okolicy.

- No dobra, Keiro, gdzie jesteś?

Simon spojrział przez okno na piękny krajobraz. Mogła wsiąść do autobusu i pojechać na parę dni do Dublina. Albo iść na spacer po wzgórzach i spaść z urwiska do Atlantyku. Kto, do diabła, mógł to wiedzieć?

Tłumiąc irytację jej kiepskim planowaniem, przejrzał stertę rachunków i ulotek na komodzie. Nie znalazł żadnej notatki, listu ani nawet gryzmołów, które wskazywałyby na miejsce jej pobytu - nic, co pomogłoby mu ją znaleźć.

Wyszedł z domku, wyciągnął z samochodu kurtkę - w końcu nie jeździ się do Irlandii bez czegoś od deszczu - i przy świetle księżycy przeszedł się uliczką. Keira wybrała sobie miejsce rodem z irlandzkiej legendy, to trzeba było jej przyznać.

Wiejski pub był oświetlony, pełen jedzenia, picia i rozmów wśród tłumu turystów i tubylców. Simon usiadł na stołku przy barze i zamówił kawę. Zaczynało się robić ciemno, a on musiał zachować jasny umysł.

- Nazywam się Simon Cahill - przedstawił się barmanowi o rudawych włosach. - Próbuję odnaleźć Keirę Sullivan.

Barman - prawdopodobnie Eddie O'Shea, z któ-

rym rozmawiał wuj Keiry - przechylił głowę i spojrzał na Simona podejrzliwie.

- Przyjechał pan z Ameryki?

- Z Londynu. - Simonowi nie przeszkadzała wyraźna troska O'Shea o Keirę. - Wuj Keiry poprosił mnie przez wspólnego znajomego, żebym jej poszukał. Rozmawiał pan z nim wcześniej. To detektyw z Bostonu.

- Jak się nazywa?

- Bob O'Reilly. Szczerze mówiąc, nie znam go za dobrze.

O'Shea wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Dwa dni temu Keira siedziała dokładnie tu, gdzie pan.

- Mówiła, że się gdzieś wybiera?

- Powiedziała, że czeka na przesilenie letnie.

Simon przypomniał sobie, że przypadkiem usłyszał, jak ta stara kobieta w Bostonie wspominała o przesileniu letnim. Miało coś wspólnego z jej opowieścią o aniele, braciach, elfach. Żałował, że nie podsłuchał, o czym dokładnie rozmawiała z Ke-irą.

O'Shea wsypał świeżą kawę do zaparzacza, zalał gorącą wodą i postawił go razem z kubkiem na kontuarze. Wyciągnął z małej lodówki dzbanuszek ze śmietanką i postawił obok.

- Keira lubi łązić po okolicy.

Simon wcisnął tłok zaparzacza i nalał sobie kawy. Była strasznie mocna, więc dodał tyle śmietanki, ile tylko mógł.

- Zmąciła trochę spokój okolicy?

126

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jest tu krótko, ale widać, że chadza własnymi drogami.

- Zostawiła otwarte drzwi w chatce.

- No i co z tego? Myśli pan, że ktoś by ją tu okradł?

- Nigdy nic nie wiadomo.

Eddie O'Shea zrobił się czerwony na twarzy.

- Akurat ja coś o tym wiem.

Simon nie był ani zakłopotany, ani urażony reakcją barmana.

- Wie pan, gdzie ona może teraz być?

- Trudno powiedzieć.

- Dała panu jakieś wskazówki?

Już spokojniejszy, O'Shea pokręcił głową.

- Lubi gadać o elfach i leprechaunach. Zawsze jej mówię, że nie zajmuję się takimi głupotami.

- Pana zdaniem jest przezorna? Stosuje normalne środki ostrożności?

- To zależy, co pan uważa za normalne. Martwiłbym się, że jest zimno, a skały są mokre. Jedno poślizgnięcie i koniec. - O'Shea pstryknął wymownie palcami.

No właśnie, pomyślał Simon.

- Muszę przyznać... - O'Shea zabrał zaparzaczkę i postawił go z tyłu. - Nieważne.

Simon odczekał chwilę, ale ponieważ barman wciąż milczał, ponaglił go.

- Co pan chciał powiedzieć, panie O'Shea?

- Nie przypominam sobie, że bym podawał panu swoje nazwisko.

Simon wiedział, że Eddie wystawia go na próbę, i postanowił nie bawić się z nim w kotka i myszkę.

117

- Nie podawał pan. Podał je pan wujkowi Keiry. O'Shea westchnął, już mniej skory do konfrontacji.

- Keira miała jakieś plany. Nie wyjawiała mi żadnych szczegółów, a ja nie pytałem. - Wziął do ręki białą szmatkę i przetarł czyściutki, lśniący kontuar. - Być może pojechała pocałować kamień z Blarney albo coś takiego.

- Gdyby to okazało się konieczne, czy pomógłby mi pan zorganizować ekipę poszukiwawczą o poranku?

- Tak.

Simon wypił jeszcze trochę kawy i chciał zapłacić, ale O'Shea nie chciał przyjąć pieniędzy.

- Dziękuję - powiedział cicho Simon, wyczuwając, że O'Shea się martwi. - Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Na razie jego wyprawa była po prostu tanią wycieczką do Irlandii. Wyszedł na ulicę, zastanawiając się, co robić. Pomyślał, że wszyscy goście w pubie podsłuchiwali jego rozmowę z O'Shea i podzieliliby się z nim informacjami o Keirze, gdyby je mieli.

Simon zauważył mężczyznę w prostym stroju rolnika, który palił papierosa przy stoliku koło wejścia do pubu.

- Twoje dziewczątka rusza rzeczy, które najlepiej zostawić w spokoju. - Nieznajomy miał przenikliwe błękitne oczy i pewny, poważny głos. - Są dobre duchy i złe duchy. Najlepiej zostawić je wszystkie w spokoju.

118

- Czy Keira mówiła coś o tych duchach? Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Wygląda pan jak Irlandczyk.

Nie powiedział nic więcej. Po raz ostatni zaciągnął się papierosem, wstał i odszedł cichą ulicą.

Simon chciał go zawołać, ale zanim wydobył z siebie choćby słowo, mężczyzna rozplynął się we mgle.

Gdy Simon wracał, mgła zeszła ze wzgórz, przez co to miejsce wydało się jeszcze bardziej ponure i odosobnione. Najwyraźniej jego zbiegła artystka nie była tchórzliwa. Musiał przyznać, że rozumie, co ją pociągało w samotnej podróży tutaj.

To kraina jej i jego przodków, co już miało swój urok. Było tu też trochę niebezpiecznie. Łatwo ulec romantycznemu klimatowi tego miejsca, zapominając o czujności.

Światła w domkach wzdłuż uliczki i kolo przystani świadczyły o tym, że w wiosce toczy się życie. Rodziny zbierają się przed telewizorami, sprzątaję, szykują się do snu. Simon zaznał niewiele takiej normalności.

Gdy wrócił do chatki Keiry, przerzucił strony innego szkicownika. Zatrzymał się na nakreślonym w pośpiechu rysunku krętego strumyka wśród masywnych drzew i gęstego poszycia. Czy to realne miejsce, czy wytwór jej bogatej wyobraźni? Simon przewrócił kartkę. Znowu strumyk - tym razem wijący się pod małym drewnianym mostkiem

przy drodze biegnącej przez usiane kamieniami pastwisko.
Wyrwał tę kartkę, złożył ją i wsadził do kieszeni marynarki.
Jeśli strumyk, dróżka i mostek istniały, to Keira narysowała wystarczająco wiele szczegółów, by mógł je odnaleźć - i, przy odrobinie szczęścia, ją samą.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Beacon Hill Boston, Massachusetts 22 czerwca godz. 16.00

Abigail wyszła z Bobem O'Reillym na schody domu Garrisonów. Fiona i jej znajomi mieli próbę w salonie.

- Już milion razy ćwiczyli „Boil the Breakfast Early” - powiedział Bob. - Jeszcze raz i wypadną mi plomby.
- Nie znam się na muzyce irlandzkiej, ale ta piosenka mi się podoba.
- Przynajmniej ma wesołą melodię. Te smutne sprawiają, że chce mi się jechać na strzelnicę.
- Uczyłeś się grać, kiedy byłeś mały?
- Na skrzypcach. Nienawidziłem tego.
- A taniec irlandzki? - zapytała.
- Odmawiam składania zeznań.
- No, nie wiem, Bob. Wyobrażam sobie ciebie

jako małego rudego chłopca, który tańczy step irlandzki...

- Mam broń, Abigail.

Oparła się o barierkę przy schodach, czując, jak po kilku suchych dniach robi się gorąco i parno.

- Są jakieś wieści od Simona?

- Wydaje ci się, że przesadnie reaguję.

- Tego nie powiedziałam.

- W innym czasie... każdym innym miejscu... - urwał. - Keira nigdy nie miała łatwego życia.

Martwy człowiek w Ogrodzie Miejskim, a teraz to.

- Kontaktowałeś się z irlandzką policją? Jakies doniesienia o wypadkach, niezidentyfikowane...

- Nie. Nie zamierzam. Wszystko z nią w porządku.

Abigail nie wiedziała, co powiedzieć.

- Pewnie szybko dowiesz się czegoś od Simona. Owen mówi, że jest jednym z najlepszych ludzi w Fast Rescue, a poza tym to konsultant od katastrof.

- Keira sama jest jedną wielką katastrofą - burknął Bob.

- Wcale tak nie myślisz. Po prostu się martwisz.

Abigail znieruchomiała, widząc Charlotte Augustine na Beacon Street. Kobieta niosła w ręku książkę.

- Co? - zapytał Bob.

- Nieważne. Może powinieneś wejść do środka i zobaczyć się z Fiona.

Przeniósł wzrok na Charlotte.

- Kto to jest?

132

- Siostra Victora Sarakisa. Słuchaj, pozwól mi się tym zająć...

- Co ona tu robi?

- Nie wiem, Bob - odparła Abigail z rozdrażnieniem. - Czy mógłbyś wejść do środka i ...
- Nie. Grają teraz pieśń żalobną. Nie jestem w aż tak złym nastroju. - Kiwnął głową w stronę ulicy.

- No dalej. Udawaj, że mnie tu nie ma.

Nie dyskutowała. Zeszła po schodach i zatrzymała Charlotte.

- Witam, pani Augustine, czy mogę w czymś pomóc?

Kobieta miała około pięćdziesięciu lat. Była szczupła i wyglądała przeciętnie, nie licząc źle ufarbowanych czerwono-brązowych włosów. Miała na sobie klasyczny wełniany granatowy kostium, który wydał się Abigail zbyt ciepły na późny czerwiec. Poznały się poprzedniego dnia w jej domu w Newton. To była krótka wizyta. Zostawiła Charlotte wizytówkę, ale nie było na niej adresu domu Garrisonów.

- Nie chcę się wtrącać, ale pomyślałam, że tu panią znajdę. Byłam w naszym salonie i próbowałam pracować. Jest ciężko... - Głos jej się załamał.

- Nie mogę pogodzić się z tym, co się stało. Bob zszedł dwa schodki niżej.

- Czy pani Browning umawiała się tutaj z panią?

- O, nie. Nie, nie. - Charlotte poczerwieniała.

- Po prostu czytałam o morderstwie jej męża poprzedniego lata i o tym, że był związany z fundacją imienia Dorothy Garrison.

- Jej męża nie zabito poprzedniego lata. Poprzedniego lata Abigail dowiedziała się, kto to zrobił. Poza tym nie był związany z fundacją. Mężczyzna, z którym...

- Nieważne - wtrąciła Abigail, zanim Bob zdołał opowiedzieć tej kobiecie o całym jej życiu.

Charlotte podała Abigail książkę.

- To jest historia szatana, o której wczoraj wspominałam.

Abigail wzięła ją od niej.

- Dziękuję.

Było to ciężkie, stare tomisko. Zerknęła na tytuł. No, oczywiście. „Historia diabła”. Bob nachylił się nad nią.

- Niezbyt lekka lektura, prawda?

- To szczegółowe, choć podstawowe dzieło

- powiedziała Charlotte. - Victor... Nie wiem, dlaczego tak go fascynował ten temat. To on dał mi tę książkę.

- W prezencie urodzinowym? - zapytał Bob.

- Nie. Wydaje mi się, że chciał, żebym zrozumiała jego zainteresowania. Lubił mi przypominać, że diabeł jest pojedynczym bytem. Ludzie zapominają, że jest tylko jeden szatan. Jeden diabeł. Dziś myślimy, że jest ich wielu, prawda? Stał się kliszą.

- Chyba ma pani rację - powiedziała Abigail.

- Pani Augustine.... czy myśli pani, że obsesja brata miała coś wspólnego z jego śmiercią?

Charlotte wydawała się jakby nieobecna.

- Nie wiem, co mam myśleć - powiedziała.

134

- Pani jest detektywem. Sądzi pani, że większość zabójstw to dzieło diabła?

- Ja nie - wtrącił Bob.

- Nieważne, co my myślimy - odparła Abigail.

- Czy w to wierzył pani brat?
 - Nigdy nic o tym nie mówił.
 - Kiedy po raz ostatni...
 - Rozmawialiśmy o diable? - Charlotte roześmiała się gorzko. - O niczym innym nie rozmawialiśmy. Proszę mi powiedzieć, jeśli Bóg jest wszechmogący, to dlaczego nie zbawi nas od szatana? Dlaczego nie pokona diabła i nie uwolni nas od jego wpływu?
 - Albo jej - powiedział Bob. - Diabeł może być kobietą, prawda?
- Charlotte nawet się nie uśmiechnęła.
- Diabeł jest wrogiem Boga, ale jest też naszym wrogiem. Wrogiem ludzkości. Kusi, zwodzi, mami. Przybiera wiele kształtów, by czynić zło. Wciąż szuka nowych sług - młodych, zdolnych uczniów.
- Bob potarł palcem kącik ust.
- To jest w książce, tak? Zdawała się go nie słyszeć.
 - Jeśli Bóg nie potrafi pokonać szatana, jak my, zwykli ludzie, możemy na to liczyć? - Uśmiechnęła się nagle, jak gdyby właśnie zdała sobie sprawę, że mówi niczym szalona. - Mam nadzieję, że książka wyda się pani interesująca.
- Abigail uśmiechnęła się lekko.
- Na pewno.
 - Nie wierzę, że jest jakiś związek między

zainteresowaniami mojego brata i jego śmiercią. Po prostu... nie wiem. Wydaje mi się, że ta książka pozwoli pani docenić zainteresowania Victora, tak jak to było w moim wypadku.

- Rozumiem, pani Augustine.

Wyglądało na to, że jej ulżyło. Znow się uśmiechała. Skinęła w stronę salonu.

- Wspaniała muzyka. Irlandzka, prawda? Bob wyraźnie się najeżył.

- Nie znam się na muzyce.

- Oczywiście - wymamrotała Charlotte. - No cóż, już pójdę. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

-1 odeszła.

Abigail obserwowała ją przez chwilę, po czym zwróciła się do Boba:

- Nie mówiłam jej, żeby tu przychodziła.

- Dobrze, że nas zastała. Nie chciałbym, żeby zostawiła Fionie książkę o diable. Wiesz, Abigail, prościej jest być detektywem, kiedy ma się anonimowe życie.

Musiała przyznać, że ostatnio jej życie nie było ani trochę anonimowe. Nigdy nie było, ponieważ jej ojciec był rozpoznawalny, ale wszyscy przyzwyczaili się do tego. Brali pod uwagę, że jest córką obecnego dyrektora FBI. Ale przez wstrząsającą śmierć jej męża i złapanie jego mordercy poprzedniego lata o Abigail wciąż było głośno. Związek z jednym z Garrisonów, a do tego założycielem Fast Rescue, jeszcze bardziej skomplikował jej życie.

Bob westchnął, patrząc na książkę.

- Kiedy na katechezie zakonnice zaczynały opo-

125

wiadać o piekle, potępieniu i diable, wymykałem się do sklepu i kupowałem komiksy. No wiesz, dobrzy goście i źli goście. Źli przegrywają. Dobrzy wygrywają. Proste.

- W wypadku Victora Sarakisa nic nie jest proste.

- Pracuję w tym zawodzie od wielu lat i nigdy nie spotkałem się z morderstwem popełnionym przez diabła. Wszystkie popełniali ludzie. Koniec, kropka.

W drzwiach za jego plecami pojawiła się Fiona O'Reilly w wąskich dżinsach i workowatej koszulce irlandzkiej drużyny rugby.

- Tato?

Odwrócił się gwałtownie.

- Hej. Skończyliście?

- Zrobiliśmy sobie dziesięciminutową przerwę. Tato, kto to był?

- Jakaś kobieta, która chciała dać książkę Abigail.

Ale Abigail dostrzegła, że Fiona jest blada, nawet przestraszona.

- Znasz ją, Fiono?

- Nie! Po prostu... z waszą pracą i w ogóle... chciałam wiedzieć. Tato, nie musisz na mnie czekać, jeśli masz coś innego do roboty.

Abigail zasłoniła przed Fioną pierwszą stronę okładki, ale zapomniała o ostatniej. Były na niej piekielne płomienie i czerwone diabły z rozwidlonymi językami.

Jeden diabeł, przypomniała sobie. Reszta to jego sługi.

137

- Nic nie mam do roboty - odpowiedział jej Bob. Obserwował ją przez chwilę, po czym powiedział: - Fi, co się dzieje?

Patrzyła obok niego, na ulicę.

- Czy ona знаła tego mężczyznę, który się utopił?

- Był jej bratem - powiedziała Abigail. Bob spojrział na nią. Fiona przelknęła ślinę.

- Czy on miał coś wspólnego z tą starą kobietą i księdzem, którzy tu byli?

- Fiono, jaką starą kobietą i księdzem? - zapytał ojciec.

Jej oczy zalśniły, a policzki zaróżowiły się.

- Nieważne. Zapomniałam, że ciebie i Abigail tu wtedy nie było. Nie widzieliście ich...

Abigail weszła na schody.

- Fiono, spokojnie. Możesz nam o tym powiedzieć. Jeśli to ważne, musimy wiedzieć.

- To nic. Mój błąd. Naprawdę.

Nie kłamie, pomyślała Abigail, ale nie mówi też wszystkiego, co wie. Bob też to pewnie widział.

Ale powiedział tylko:

- Wejdźmy do środka, Fi. Możecie coś zagrać, a ja zobaczę, czy jeszcze pamiętam, jak się to tańczy.

Abigail starała się ukryć zniecierpliwienie.

- Bob...

Popatrzył na nią przez ramię.

- Idź do domu, Abigail. Poczytaj o diable. - Na jego twarzy zagościł wymuszony uśmiech. - Nie ma mowy, żebym tańczył w twojej obecności.

- Jeśli Fiona...

127

- Pozwól, że sam zajmę się swoją córką. Abigail westchnęła i pokiwała głową. Dostrzegła zmartwienie na jego twarzy i nie chciała go naciskać.

- W porządku. Daj znać, jeśli dostaniesz jakieś wieści od Simona. Ja zrobię to samo. Nie odpowiedział. Wchodząc do domu, Fiona odwróciła się i spojrzała na ulicę. Znow była blada. Nie odezwała się i Abigail też milczała. Kiedy otwierała drzwi samochodu, znow usłyszała irlandzką muzykę i z trudem się powstrzymała, by nie zajrzeć przez okno i nie zobaczyć, jak Bob O'Reilly tańczy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 22 czerwca godz. 21.15

Keira usłyszała szelest na dworze i znieruchomiała. Górną częścią ciała leżała na stryszku, trzymając się krokwi i bluszczu. Balansowała niepewnie na gałęzi, którą oparła na szczycie swojej prowizorycznej „drabiny”.

Ten czarny pies? Zabłąkana owca?

Ktoś, kto wyszeptał wczoraj jej imię?

- Keira!

Była tak zaskoczona, że omal nie straciła równowagi. To nie był złowieszczy szept - ktoś najwyraźniej jej szukał.

Eddie O'Shea?

- Keiro Sullivan, jesteś tam?

Nie Eddie. Ale mężczyzna, bez wątpienia Amerykanin. Miał pewny, opanowany głos, a do tego - dziwnie znajomy.

140

Drabina chwiała się pod nią. To tylko kwestia czasu - kilku minut - kiedy się załamie. Chciała siedzieć już bezpiecznie na stryszku zamiast z niego zwisać, kiedy to się stanie.

- To ja, Simon. Simon Cahill.

Keira rozluźniła uścisk na ułamek sekundy, po czym znów się przytrzymała. Zakłęła pod nosem. Że też akurat on! Nie było z nią tak źle, żeby od razu wzywać eksperta z organizacji ratunkowej. Czy naprawdę musiało trafić na niego?

- Poznaliśmy się na przyjęciu w Bostonie. O, tak.

Obecność Simona oznaczała, że jej wuj, dla którego zawsze była tajemnicą, jeśli nie rozczarowaniem, zaczął się martwić natychmiast, gdy nie otrzymał od niej telefonu. Pewnie skontaktował się z Owenem, który z kolei zadzwonił do Simona, przebywającego w Londynie.

Keira chłodno oceniła swoją sytuację. Simon był potężnym mężczyzną. Wiedział, jak wyciągać ludzi z ruin. Za chwilę zrobi się ciemno. Poza tym byłaby nieuprzejma i niewdzięczna, gdyby pozwoliła mu po prostu przejść obok siebie, skoro już z jakiegoś powodu zadał sobie trud i przyjechał tu, by ją odszukać. Jeśli będzie na nią potem patrzeć triumfująco, to trudno. Mogła zapomnieć o swojej upartej dumie. Potrzebowała jego pomocy.

- Jestem tutaj! - zawołała. - Koło strumyka... tu są ruiny...

- Widzę. Co się stało?

130

- Dach się zawalił i mnie uwięził. Nie jestem ranna. Już prawie wychodzę górą.
- Miałaś ze sobą wodę i jedzenie?
- Tak. Wszystko w porządku.
- Zaraz cię wyciągnę. - Jego głos był opanowany i brzmiał, jakby Simon był blisko, gdzieś za chatką. - Powiedz mi, gdzie dokładnie jesteś.

Wytłumaczyła mu.

- Jedyne drzwi są zablokowane.
- Widzę. Jak to się stało?
- Nie mam pojęcia. - Keirą nie chciała wdawać się w szczegóły o opowieści Patsy, czarnym psie, głosie, aniele i elfach.

Usłyszała skrzypienie i łomot. Sekundę później bluszcz i ziemia kilkadziesiąt centymetrów nad nią runęły, powstał większy otwór. Do środka wlało się przydymione światło.

Simon spojrział z góry na Keirę.

- Jak się tam wdrapałaś?
- Zbudowałam drabinę.
- Zmyślnie.
- Nie wiem, czy widzisz, ale próbuję wejść na stryszek. Nie wiem, na ile jest stabilny.
- To może cię wyciągnę i skończymy na dziś? Wolalbym do ciebie nie schodzić. Mogą tam być szczury.
- Nie ma szczurów. Tylko ślimaki i pająki.
- Nie mam nic przeciwko pająkom, ale już wolę szczury niż ślimaki.

Keira pomyślała, że Simon stara się ją trochę uspokoić. Zaczęła podciągać się dalej na strych,

131

ale poczuła, że gałąź pod jej stopami przechyla się.

- Czuję się jak Kubuś Puchatek, kiedy utknął w wejściu do króliczej nory. Nie mógł się ruszyć ani w przód, ani w tył. Ale gdybym mogła...
 - Trzymaj się, dobra? Zrzucę ci linę. Chcę, żebyś ją złapała i trzymała się, a potem zawiązała ją wokół talii. Możesz to zrobić?
 - Pewnie.
 - Tylko tyle mogę zrobić, chyba że chcesz poczekać na straż pożarną.
 - Nie chcę czekać.
- Raczej poczuła jego uśmiech, niż zobaczyła.
- Tak myślałem.
- Simon wrzucił linę przez otwór. Złapała ją rękami osłabłymi i obolałymi od wielogodzinnego ciągnięcia, noszenia i kopania.
- Tam jest okno. Jeśli go dosięgnę, mogę przez nie wyjść.
 - Jeśli jesteś wrózką i potrafisz się zmienić w ptaka albo nietoperza, to tak. Jest za małe, pewnie mniejsze, niż ci się wydaje.
 - Mogłabym wejść na krokwie...
 - Keiro, nie wszystko naraz.
- Trzymała się liny. Nie wiedziała, jak ma ją zawiązać, by drabina nie straciła stabilności. Nie chciała ryzykować.
- Jak zabezpieczyłeś tę linę? Nie trzymasz jej po prostu, prawda? Nie chciałabym ci złamać kręgosłupa.
- Roześmiał się.

- Nie martw się.

Popisuje się, pomyślała. Dzięki jego krótkim wskazówkom i własnemu pragnieniu wydostania się z ruin Keira zdołała się wdrapać dalej na stryszek.

Drabina zaczęła się walić. Zanim Keira zareagowała, Simon sięgnął jedną ręką przez otwór i wciągnął ją na tylną ścianę chatki. Objął ją w talii, by nie spadła. Choć chatka była przytulona do zbocza, było tam dość wysoko.

Simon był silnym, potężnym mężczyzną o szerokich ramionach. Nie musiała robić nic poza oddychaniem.

- W porządku? - zapytał.

Balansowała obok niego na starych kamieniach i kłęczach bluszczu.

- Tak, dziękuję.

- Poczekaj chwilę, pomogę ci zejść.

Keira ucieszyła się, gdy poczuła na twarzy powiew wiatru. Spojrzała na Simona. Już w Bostonie zauważyła, że jest przystojny, ale teraz, w czerwcowy wieczór na południowo-zachodnim wybrzeżu Irlandii, wydał jej się niesamowicie seksowny. Jego bliskość wystarczyła, żeby ścisnęło ją w gardle.

Wyglądał na zupełnie zrelaksowanego, jak gdyby właśnie wyszedł z pubu.

Szybko rzuciła mu linę.

- Mogę skoczyć - powiedziała. Pokręcił głową.

- Nie radziłbym.

Ale już zeskakiwała z muru. Nawet jeśli mógł ją zatrzymać, nie zrobił tego. Ugięła kolana i wylądowała

133

wała na dole. Opadła na przedramiona w wysokiej trawie pod dębem.

Wstała, otrzepała się i uśmiechnęła do Simona.

- **Dobrze jest być wolną.**
- **Masz szczęście, że nie spadłaś na kamień.**
- **Pewnie tak.**

Zeskoczył obok niej. Nie musiał lądować na czworakach.

- **Gdzie się nauczyłaś tak upadać?**
- **W akademii policyjnej. Pokręcił głową.**
- **Nie będę nawet pytał.**
- **To jeden z moich życiowych falstartów - powiedziała. - Dziękuję. Jestem ci wdzięczna za pomoc.**

Wyglądał na rozbawionego, ale szybko i profesjonalnie ocenił jej stan.

- **Mam sprawdzić, czy nie jesteś ranna?**
- **Nie jestem. - Keira wyobraziła sobie dotyk jego wielkich dłoni na swoim ciele i poczuła przypływ gorąca, choć przypisała go uczuciu ulgi i adrenalinie. Zmieniła temat.**
- **Miałeś jakieś problemy ze znalezieniem mnie? Czy moje wskazówki się przydały?**
- **Jakie wskazówki?**
- **Na kartce, którą zostawiłam w mojej chatce. Myślałam, że tam najpierw poszedłeś.**
- **Nie widziałem żadnej kartki.**
- **Nie? Była na barku. Może wiatr zwał ją na podłogę. W takim razie jak mnie znalazłeś?**
- **Wziąłem twoje rysunki.**

Przyjęła do wiadomości informację, że przeglądał jej szkicowniki. Ale w tej sytuacji nie mogła narzekać.

- Znalazłem linę i latarkę w kuchni.

- Jesteś dobry w wyciąganiu ludzi z tarapatów, prawda?

- Po raz pierwszy przybyłem na ratunek Amerykance w Irlandii.

Zdała sobie sprawę, że nie śmieje się z niej. Otrzepując się, pomyślała, jak okropnie musi wyglądać. Brudne włosy i paznokcie, otarte kostki. Wyobrazila sobie swoją twarz - umorusaną, pewnie bladą. Wszystko ją bolało: od napięcia, noszenia kamieni, czołgania się w ruinach.

- Co się stało? - zapytał Simon cicho.

W ciemnościach ruiny wyglądały upiornie. Keira nie wiedziała, jak ma wytłumaczyć to, co się zdarzyło, twardo stąpającemu po ziemi mężczyźnie.

- Nie jestem pewna...

Wpatrywał się w nią, a ona mogła wyczuć jego pytania, jego wątpliwości co do jej rozsądku. Ale podniósł tylko linę, przerzucił ją sobie przez ramię i nie nalegał, by mu wytłumaczyła.

- Miałś straszną noc. Wracajmy lepiej do twojej chatki.

- Sprawdzę tylko jedną rzecz.

Nie czekając na jego odpowiedź, Keira zeszła w dół, przedzierając się przez wysoką trawę, i podeszła do drzwi chatki. Tak jak sądziła, stare drzewo zatarasowało wejście - był to albo skutek zapadnięcia się dachu, albo jego przyczyna.

135

Simort stanął obok niej i czubkiem stopy dotykał rozłożystej gałęzi drzewa z nielicznymi suchymi liśćmi.

- Wiało wczoraj?

- Nie, raczej nie.

- Widać, jak ziemia uległa erozji pod tym rogiem chatki. Kiedy drzewo runęło, razem z nim zawałowała się cała ta część. Na szczęście cię nie przygniotła.

- W ogóle się nie bałam - powiedziała Keira. - Przynajmniej na początku.

- To adrenalina.

- To nie była tylko adrenalina.

- Aha. Elfy?

Ulżyło jej, gdy usłyszała jego zabawny docinek, ponieważ oznaczał, że Simon nie szukał już urazów ani skutków stresu. Nachyliła się nad drzewem i starała się zajrzeć do chatki.

- Chciałabym coś sprawdzić - powiedziała na wpół do siebie, po czym spojrzała na Simona. -

Czy mogłabym pożyczyć twoją latarkę? Moja jest tam, w plecaku.,

Podał jej małą latarkę.

- Nie kuś losu. Nie mogę cię uratować przed kamieniem, który spadnie ci na głowę.

- Jeśli coś mi spadnie na głowę, to z mojej winy.

- Tylko że ja będę musiał to wyjaśnić twojemu wujowi.

Miał rację, ale Keira nie zamierzała wracać do domu, nie sprawdzwszy, czy anioł jest jeszcze koło paleniska. Chwyciła małą gałąź i odciągnęła ją od wejścia.

- Myślę, że zobaczę to, co chcę, nie wchodząc do środka.
- Miałem powody, żeby cię tędy nie wyciągać.
- Tak, bo byłam w środku i nie chciałeś pogarszać mojej sytuacji. Ale już nie jestem w środku. Właściwie to już prawie się wydostałam, kiedy przyjechałeś. - Uśmiechnęła się do niego w nadziei, że wydała mu się choć trochę zdrowa na umyśle.
- Nie zamierzam się sprzeczać, ale nie użyłabym słowa „uratować”.
- A jakiego byś użyła?
- Nie wiem. Muszę się zastanowić. Pomożesz mi?

Wskazał na chatkę.

- Co tam jest, Keiro?

Nie odpowiedziała od razu. Nie wiedziała, co ma myśleć o tym człowieku i o swojej reakcji na niego. Ale poprzedniej nocy spała niewiele, nie jadła i nie piła wystarczająco dużo, biorąc pod uwagę ciężką pracę fizyczną, którą wykonała. Mogła nie ocenić sytuacji zbyt dobrze. Wiedziała, że jest ochotnikiem w Fast Rescue, ale to oznaczało, że mógł być wszystkim. Strażakiem, sanitariuszem, inżynierem. Wydawał się wyluzowany, ale nie dała się oszukać

- był skupiony, czujny i najwyraźniej bardzo dobry w odnajdywaniu i ratowaniu ludzi. Należała mu się przynajmniej szczerza odpowiedź, choćby nawet niepełna.
- Nie jestem pewna - odparła w końcu. - Powiedzmy, że widziałam tam coś, czemu chcę się jeszcze raz przyjrzeć.

137

Spróbowała odciągnąć gałąź na tyle daleko, by skierować światło latarki do środka, ale zdała sobie sprawę, że sama sobie nie poradzi. Potrzebowała trzech rąk lub przynajmniej więcej siły.

- Pomożesz mi? Westchnął.
- No dobra. - Staął za nią. - Ale jeśli uznam, że struktura jest zbyt niestabilna, to dajemy sobie spokój i idziemy do domu.

- W porządku.

Chwycił większą, grubszą gałąź i podniósł ją, tworząc otwór na tyle duży, by Keira mogła się wcisnąć między gałąź i pień. Nachyliła się, opierając się o szorstką korę, włączyła latarkę i skierowała snop światła do środka. Nie dosięgną! komina, więc musiała przechylić się jeszcze bardziej.

Gdy to zrobiła, zdała sobie sprawę, że Simon mógł bez trudu obserwować jej tyłek.

- Po co przyszłaś tu sama? - zapytał. Przesunęła się jeszcze o kilka centymetrów.

- A ty?

- Musiałem ratować piękną pannę z opresji.

W jego głosie nie było krytyki. Nie było też rozbawienia. Po prostu stwierdzał fakt. Ale Keira nie czuła się panną w opresji. Piękną? Nie dzisiaj.

- Musiałam coś sprawdzić - powiedziała. - Zabezpieczyłam się, w razie gdybym się zgubiła albo zraniła. - Wsunęła się jeszcze kilka centymetrów dalej. Jeszcze trochę, a znów by wpadła do chatki. - Zabrałam gwizdek ostrzegawczy.

- Użyłaś go?

149

- Nie. Został... - Nie dokończyła. Zastygła. Latarka oświetliła coś, co wyglądało na część paleniska. - Poczekaj.

Nachylając się ostrożnie, Keira spróbowała skierować światło na palenisko, gdzie zobaczyła anioła. Poczula na biodrze rękę Simona, który ją przytrzymał, ale udała, że to tylko wytwór jej wyobraźni. Nie chciała, by coś ją rozpraszało.

Zapach błota wewnątrz chatki, jego smak, myśl o pająkach i ślimakach i chłód chropowatego kamienia, o który opierała się wolną dłonią, przypomniały jej pierwsze chwile po zawaleniu się dachu. Ale nie chciała o tym myśleć.

Trzymając latarkę nieruchomo, przesunęła się jeszcze o parę centymetrów; już tylko jej uda znajdowały się na pniu. Simon chwycił ją mocniej.

- Keira - powiedział ostrzegawczym tonem.

- Sekundkę.

Zmrużyła oczy i spojrzała na pozostałości paleniska. Wyobraziła sobie mnicha pustelnika siedzącego samotnie przy ogniu w noc taką jak ta, czekającego na wróżki i kontemplującego tajemnicę kamiennego anioła.

Keira przesuwiała strumień światła w górę i w dół. Być może zawalenie się kamieni, błota, drzew, bluszczu i martwych liści zmyliło ją i szukała nie tam, gdzie trzeba. Gdy dostrzegła anioła, znajdowała się w środku, a teraz patrzyła na palenisko pod zupełnie innym kątem. Była w chatce zaledwie przez kilka minut, zanim dach zaczął na nią spadać.

Gdy po raz trzeci machnęła latarką, była przeko-

139

nana, że znalazła właściwe miejsce. Nie było potrzeby przeciskać się do środka, by dokładniej je obejrzeć.

Nie zmieniłoby to faktu, że nic tam nie było.

Kamienny anioł zniknął.

Jeśli, pomyślała, w ogóle tam kiedyś był.

Ale przecież był! Wycofała się, prześlizgując się nad pniem i pod gałęzią. Przed oczami stanęło jej oszalamiające piękno anioła. Figurka jej się nie przyśniła.

Simon przytrzymał jej biodra, dopóki nie zsunęła się z pnia i nie stanęła na własnych nogach.

Zmrużył swoje niesamowite zielone oczy. Zauważyła, że się spał.

- Nie ruszaj się.

Jego ostry ton sprawił, że serce zamarło jej na chwilę. Podążyła za jego wzrokiem i spojrzała na swój brzuch. Zrozumiała, co jest nie tak.

Była cała we krwi.

Krew pokrywała jej brzuch od piersi do talii. Czula ją teraz - była raczej lepka niż mokra.

Nabrała powietrza w odruchu przerażenia.

- Simon... nie mogę... nie mogę oddychać...

- Skaleczyłaś się?

- Nie. - Złapała go za ramię, starając się opanować. - Nie jestem ranna.

- Keira...

- To nie jest moja krew.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 22 czerwca godz. 22.00

Owca krew.

Keira odchyliła głowę do tyłu, pozwalając, by gorąca woda z prysznicą w jej chatce spłynęła po włosach i plecach. Jej skóra była zaczerwieniona od szorowania. Użyła cytrusowego żelu pod prysznic i szamponu. Wciągnęła orzeźwiający zapach, zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik. Wyszła spod prysznic.

Gdy zobaczyła krew, powstrzymała chęć zrzucenia z siebie ubrania. Simon był tak sprawny i konkretny, jak wcześniej. Zachował kamienną twarz, gdy odkrył wnętrze i strzępy owczej wełny w poszyciu koło chatki, od strony komina. Na widok tych makabrycznych szczątków Keira zwymiotowała na trawę.

Nie była zażenowana. Simon częściej widywał takie rzeczy.

152

Robiło się ciemno, gdy wrócili do jej domku. Keira pobiegła prosto do sypialni, skąd wzięła czyste ubranie, a potem od razu pod prysznic.

Myślała tylko o tym, by się umyć.

Owinęła się ręcznikiem, drugim osuszyła włosy i związała je w luźny kucyk. Ubrała się, szczęśliwa, że w końcu ma na sobie czyste, suche dżinsy i sweter.

Gdy wróciła do kuchni, Simon sprawdzał boczne drzwi.

- Te drzwi są zamknięte. Frontowe nie.

- Zamknęłam jedno i drugie, a przynajmniej próbowałam. Te zamki nie są najlepsze. Może ten we frontowych drzwiach się otworzył.

- Gdzie masz klucz?

- Został w plecaku w ruinach. Ale zaraz dam ci zapasowy. - Otworzyła schowek koło kuchni i zdjęła klucz z haczyka nad pralką. - Nie ma żadnego śladu włamania. Może tę moją kartkę zwiąło pod lodówkę...

Wzruszył ramionami.

- Możemy sprawdzić. Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Nie wierzysz, że zostawiłam notatkę, prawda?

- Przeżyłaś traumę, Keiro. Wmawianie sobie, że zostawiłaś wskazówki, pozwoliło ci się z tym uporać. Nie ma w tym nic złego.

- Napisałam ją moim ulubionym ołówkiem. U dołu narysowałam koniczynkę.

Był nieugięty.

- Tak. W swojej głowie.

142

- Zamknęłam też frontowe drzwi. Odsunął się od bocznych drzwi.
- No dobra. Po kolei. Jesteś wykończona. Może zrobię ci coś do jedzenia? Tosty, jajecznicę...
- Zdamy jeszcze pójść do pubu. Chcę światła, ludzi... - Wzięła głęboki oddech. - I mam ochotę na ciepłe ciasto z rabarbarem. Całą noc i cały dzień myślałam o ciepłym cieście z rabarbarem.
- To chodź, zobaczymy, czy Eddie O'Shea jeszcze je ma.

Gdy wyszli na uliczkę, Simon zapytał, czy chce, by ją odwieźć do pubu, ale pokręciła głową. Wolą się przejść. Było tuż po zachodzie słońca, zmrok jeszcze nie zapadł. I było tak cicho. Prawie bezwietrznie. Słyszała tylko beczenie owiec na wzgórzach w oddali. Owce i krowy w zagrodach przy uliczce nie odzywały się.

Keiry nie zmyliło milczenie Simona.

- Pewnie masz strasznie dużo pytań - powiedziała.
- Mogą poczekać.

Gdy dotarli do pubu, Simon zajął miejsce przy stole z trzema tubylcami, którzy gawędzili ze sobą. Wyglądali na zaskoczonych, ale gdy zamówił kolejną dla wszystkich, od razu go zaakceptowali.

Keira usiadła na stolku przy barze. Eddie O'Shea pokręcił głową na jej widok.

- Wpakowała się pani w tarapaty, co?
- Tak - odpowiedziała. - Proszę, niech pan mi powie, że zostało jeszcze trochę ciasta z rabarbarem.

154

- Jest świeżutkie, pieczone po południu.
- Wspaniale. I szklaneczkę whiskey, poproszę. Niech pan wybierze rodzaj.
- Powie mi pani, co się stało?
- Miałam wypadek w ruinach na wzgórzu ponad moją chatką. - Wypiła trochę whisky. Palila gardło, ale i tak jej smakowała. - Przepraszam, jeśli przysporzyłam komuś zmartwień.

- Już jest pani bezpieczna. To najważniejsze. Za jej plecami Simon z zadziwiająco naturalnym irlandzkim akcentem rzucił prowokujący komentarz o irlandzkiej pogodzie. Mężczyźni zaprotestowali

1 rozpoczęła się dobroduszną kłótnia. Wszystko uchodzi mu na sucho, pomyślała Keira. Był czarujący i serdeczny. Ten krzepki facet doskonale pasował do Irlandczyków. Wszyscy siedzieli z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyprostowanymi nogami. Czuli się dobrze w swoim towarzystwie, śmiali się i sprzecali.

Keira pomyślała, że gdyby Simon pil z grupką inwestorów z Wall Street, też by do nich pasował. Był nie tyle kameleonem, ile mężczyzną, który dobrze się czuł sam ze sobą.

Eddie postawił na barze talerz z parującym ciastem i uśmiechnął się szeroko.

- Jest lepiej, niż gdyby miał panią uratować któryś z nas, prawda?

Poczuła, że się rumieni, ale zrzuciła winę na whiskey.

- Doceniam pomoc Simona, ale już prawie się wydostałam, zanim on się pojawił.

- Więc to tak?

Zanurzyła łyżeczkę w topniejącej kulce lodów na słodko-cierpkim cieście, poczuła zmęczenie i głód. W jej głowie wirowały obrazy z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zauważyła, że Eddie patrzy na jej podrapane dłonie. Zmarszczył czoło i wrócił do pracy.

- Zna pan kogoś z okolicy, kto ma czarnego psa? - zapytała.

Stał tyłem do niej i zdejmował szklanki z półki.

- Jakiej rasy?

- Nie wiem. Psa... który jest czarny.

- Krótkowłosego, długowłosego, dużego, małego?

- Podobnego do czarnego labradora, ale mniejszego. Kundla.

Odwrócił się do niej i zaczął nalewać piwo.

- Tak wygląda połowa psów, które wyganiem stąd od rana do wieczora.

- Straszny, wredny czarny pies...?

- To pies mojej teściowej. - Jego oczy rozbłysły figlarnie. Postawił pełną szklankę na tacy. - A może to po prostu moja teściowa.

Jeden z mężczyzn przy stoliku roześmiał się.

- Przecież nie masz teściowej, ty kłamliwy wężu! Eddie skinął na mężczyznę, również niebieskookiego, jasnowłosego i żylastego.

- To, pani Keiro, mój nic niewarty brat Patrick. Poznała Aidana O'Shea, trzeciego brata, gdy tylko przyjechała na półwysep Beara. Był właścicielem chatki, którą wynajęła, i pastwiska, gdzie natknęła się na ruiny. Zastanawiała się, czy któryś

156

z nich będzie coś wiedział o martwej owcy. Ale nie zapytała. Nie miała ochoty myśleć teraz o owcy.

- W głębi duszy wierzy pan w elfy, prawda?

- powiedziała, gryząc kolejny kęs ciasta. Zamiast odpowiedzieć, podszedł do stolika z tacą z piwem. Ale gdy stawiał szklanki na stole, spojrzął na nią z ukosa, co świadczyło o tym, że przynajmniej usłyszał pytanie.

Gdy zjadła ciasto i popijała whiskey, do kontuaru podszedł Simon. Stał obok niej.

- Dziś rano widziałem mężczyznę, który siedział przy stole przed pubem - zwrócił się do Eddiego.

- Starszy facet w wełnianej kamizelce i kaloszach, zupełnie jak z pocztówki z Irlandii. Palł papierosa. Widział go pan?

Eddie z powrotem stanął za barem i chwycił ścierkę.

- Starszy facet, mówi pan?

- Siedział tam, a po chwili jakby się rozplynął.

- Naprawdę? - Eddie wytarł małą plamkę.

- Nie zauważyłem.

Keira wypila whiskey i przypomniała sobie swoje dziwne spotkanie dwa dni wcześniej. To musiał być ten sam człowiek.

Simon odsunął się od baru.

Eddie wzruszył ramionami.

Keira chciała coś dorzucić, ale Simon wyciągnął portfel, najwyraźniej po to, by zapłacić za piwo i jej ciasto.

Eddie podniósł rękę i pokręcił głową.

- Na koszt firmy.

- Dziękuję - wymamrotała Keira. Miała zawroty głowy ze zmęczenia i od alkoholu. Gdy wstała, zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie Simon chce spędzić noc. - Możemy iść. Pewnie chcesz wracać do Cork czy Kenmare, gdziekolwiek się zatrzymałeś...

- Nigdzie się dziś nie ruszam.

Mężczyźni przy stole wpatrywali się w dwoje Amerykanów z oczekiwaniem i nadzieją na kłótnię. Ich oczy lśniły figlarnie. Keira pomyślała, że staną po stronie Simona. Nie mógł jej się trafić bardziej pociągający wybawca. Nie mogła też winić jego ani jego nowych znajomych za to, że uważali ją za lekkomyślną, ekscentryczną i nierozważną osobę, skoro ostatnie dwadzieścia cztery godziny spędziła uwięziona w ruinach.

- Chodźmy - powiedział cicho Simon. Eddie przerzucił sobie ścierkę przez ramię.

- Proszę na siebie uważać, pani Keiro. Kiwnęła głową.

- Dziękuję.

Gdy wyszła, zatrzęsa się z zimna i mocniej otuliła swetrem. Znad zatoki wiał lodowaty wiatr.

- Coś jest w tym miejscu... - Poczula zapach lawendy z koszów wiszących na latarniach wzdłuż cichej uliczki. - Tak jakby była tu częśćka mojej duszy. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Nie musisz - powiedział Simon. Porzuciła tę myśl. Nie wiedziała nawet, dlaczego przyszła jej do głowy. Pewnie przez whiskey.

- Gdybym nie obiecała wujkowi, że będę dzwonić rano, nikt by się nie dowiedział...

147

- Są ludzie, którzy troszczą się i martwią o ciebie. Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Jesteś tylko człowiekiem. - Simon uśmiechnął się do niej szeroko. - Przynajmniej mnie się wydaje, że jesteś tylko człowiekiem. Może księżniczką elfów...

- Zmieniam postać - powiedziała, idąc w stronę dróżki prowadzącej do chatki. - W każdej chwili mogę się przeobrazić w jaszczurkę albo węża.

- Nie w węża. Nie w Irlandii. Uświadomiła sobie, że czuje się przy nim tak

dobrze jak mężczyźni w pubie. Ratował ludzi ze strasznych sytuacji, ale nie powiedziała, że jest rycerski. To jej odpowiadało. Podobał jej się naturalny urok, ale wymuszona uprzejmość sprawiłaby, że czułaby się osaczona.

- Zimno ci? - zapytał.

- Niezbyt.

- Keiro... zostaję dziś z tobą. Wieść o tym, co przeżyłaś, rozniesie się, a biorąc pod uwagę twoją pracę i urodę, nie wiadomo, jaki szaleniec może zawitać do twoich drzwi.

- Pewnie żaden.

- No cóż - westchnął. - Nie zawsze można liczyć na magię i wróżki, prawda?

- Czasem przydaje się trochę siły. Uśmiechnął się.

- I wdzięku.

- Sugerowanie mi, że jestem zbyt głupia, by żyć, wcale nie jest wdzięczne.

- Szczerłość jest potrzebna. Jesteś wykończona i musisz odpocząć. Ale chcę wiedzieć, co się stało

159

w tych ruinach. Poszłaś tam z powodu opowieści tej kobiety z Bostonu, prawda? Pokiwała głową.

- To wspaniała opowieść, Simon. Jest w niej intryga, magia, wróżki, irlandzcy bracia. - Zadrżała, gdy skręcali w jej uliczkę. - To nie jest mroczna, tragiczna historia.

- Czy miejscowi ludzie ją znają?

- Nie miałam jeszcze okazji się dowiedzieć. Pytałam Colma Dermotta. On też był na przyjęciu w Bostonie. Jest ekspertem od irlandzkiego folkloru, ale nigdy nie słyszał tej opowieści ani żadnej podobnej.

Simon objął ją swoim wielkim ramieniem.

- Chciałbym usłyszeć tę magiczną opowieść.

- Nie potrafię jej opowiedzieć tak, jak robi to Patsy. Znam ją dopiero od kilku tygodni, ale moja mama i wujek mieszkali niedaleko niej, w południowym Bostonie. Patsy jest urodzoną gawędziarką.

- Jak się zaczyna ta historia?

- Żyli sobie trzej bracia - rolnik, mnich pustelnik i próżniak.

Keira opowiedziała krótszą wersję. Gdy skończyła, zdjął rękę z jej ramion.

- Uwielbiasz to, prawda?

- Tak. Na ogół nie obchodzi mnie, czy historia jest prawdziwa. Nie w tym rzecz. Ale ta... - Spojrzała na ciemniejące niebo obsypane gwiazdami. - Pomyślałam, że może być ciekawie zobaczyć, czy da się odnaleźć chatkę mnicha. Przekonać się, co tam się stało w noc przesilenia letniego.

149

- Więc twoim zdaniem to elfy zwały ci dach na głowę?

- Nie wiem. - Przypomniała sobie złowieszczy szept i pokręciła głową. - Nie. Jednak wiem. Nie potrafię powiedzieć, czy tam były, czy nie. Ale to nie elfy spowodowały zawalenie.

**Keira poczuła na sobie jego wzrok i dostrzegła nagłą rezerwę. Nie było w nim już niesforne-
uroku. Zerwał różowy kwiat z ogromnego krzewu róży, który porastał stary mur przed jej
chatką.**

- Keiro...

- Wskoczyłam tam, żeby uciec przed psem - powiedziała. - Usłyszałam głos. Szept.

Wetknął kwiat róży w jej włosy i przesunął palcem po jej policzku.

- Opowiedz.

**Opowiedziała mu o wszystkim, co się stało poprzedniego dnia - o tym, jak znalazła starą
kamienną chatę, napotkała psa, usłyszała głos tuż przed zawaleniem dachu.**

I o aniele. O tym też mu powiedziała.

Gdy szła w stronę drzwi, czuła, że Simon ją obserwuje. Odwróciła się w jego stronę.

**- Myślisz, że zobaczyłam jakiś kamień i wzięłam go za mitycznego anioła. I że ten pies był
zwykłym owczarkiem, a nie jakąś wielką, straszną bestią. - Zamilkła, zmarznięta od wiatru. - A
szept był powiewem wiatru.**

**- Masz bogatą wyobraźnię i przeżyłaś traumę. Poza tym jesteś wyczerpana i kręci ci się w głowie
od whiskey.**

161

- Czy zgadłam, co sobie pomyślałeś? Podszedł do niej i złapał kwiatek, który wypadł jej z za ucha.
 - Nie znam się na kwiatach. Powinienem sprawdzić, czy nie ma w nim robaków, co?
 - Simon...
 - Byłaś o włos od nieszczęścia.
 - W domu też bywałam.
 - Zobaczymy, jak będą wyglądały sprawy rano. Nie podoba mi się ta krew i wnętrzności. Czy słyszałaś coś, co...
 - Mogło być owcą w szponach śmierci? Nie, nie słyszałam.
 - Skinął głową bez słowa.
 - Może to, co się stało, nie ma nic wspólnego ze mną ani z opowieścią Patsy.
 - Wierzysz w to?
 - Nieważne, w co wierzę. Liczą się fakty. - Spróbowała się roześmiać. - Teraz mówię jak mój wujek.
 - Na szczęście nie wyglądasz jak on.
 - Mamy takie same oczy - powiedziała.
 - Może tego samego koloru. Ech, Keiro, Keiro... - powiedział Simon z przesadnym, sztucznym irlandzkim akcentem. - Odważna jesteś, to ci trzeba przyznać.
 - Nie mogła się nie uśmiechnąć. Otworzyła boczne drzwi i weszła do środka. Spojrzała na niego przez ramię.
 - Możesz wejść. Nie każę ci spać w samochodzie, a wiem, że nigdzie nie pójdziesz. Mogę ci
- 151
- oddać swoje łóżko. - Wskazała na salon. - A ja się prześpię tam, na kanapie.
 - Simon wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi.
 - Nie ma mowy.

- Zaslugujesz na spokojny odpoczynek po tym, jak pospieszyles mi na ratunek, a ja sie zmieszczę na kanapie latwiej niz ty. Zasnęlabym na kamieniu. Chcę się tylko zwinąć pod stertą koców...

- Mogę spać obok ciebie w łóżku. Będę trzymał ręce przy sobie. - Mrugnął do niej i uśmiechnął się lekko. - Jestem zdyscyplinowany.

Wlepila w niego wzrok.

- Chyba żartujesz!

- Trzeba było pomyśleć o konsekwencjach, zanim wyruszyłaś na wzgórza.

- Pomyślałam o nich. Zresztą, kto to mówi! Poszedłeś mnie szukać zupełnie sam. Nie znasz okolicy.

- Skały, trawa, owce. Co jeszcze miałbym znać?

- Jest jeden wredny byk... Zaśmiał się.

- Zawsze biorę pod uwagę wredne byki. Poza tym Owen czekał na wiadomość ode mnie i miałem ze sobą działającą komórkę. No i byłem przygotowany.

- Miałeś linę i latarkę. To nie jest przygotowanie.

- I scyzoryk.

Był pewny siebie, ale nie zarozumiały. Na takiego mężczyznę nikt nie mógłby się długo gniewać. Keirze podobało się, że powiedział wprost, co myśli o jej eskapadzie. Nie znosiła, gdy ktoś na nią chuchał. Ale nie zamierzała się poddać.

- Jeśli będziesz leżał koło mnie, nigdy nie zasnę.

Zmarszczyła brwi, gdy zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Poczula nagły przyływ gorąca.

Wbiegła do sypialni, zerwała z łóżka dodatkowy koc i wróciła do salonu.

Simon, gwizdząc wesoło jakąś irlandzką melodię, udał się do łazienki.

Opadła na kanapę i nakryła się kocem. Nie miała siły wrócić po poduszkę.

Naprawdę potrzebowała łóżka.

- To jakieś szaleństwo - wymamrotała, ciągnąc za sobą koc z powrotem do sypialni.

Zamiast koszuli nocnej włożyła spodnie od dresu i T-shirt. Wgramoliła się do łóżka i naciągnęła kołdrę aż po brodę. Jako ochotnik w Fast Rescue, Simon na pewno był przyzwyczajony do prymitywnych warunków. Zbyt krótka kanapa nie będzie dla niego problemem.

Słyszała prysznic.

Nie. Nie wyobrażaj go sobie nago.

Chciała już tylko zaniknąć oczy, zasnąć i zapomnieć o ostatnich dwudziestu czterech godzinach.

Jeśli się wyśpi, będzie wystarczająco wypoczęta, by wejść na wzgórze, przejść przez płoty, strome pastwisko i obejrzeć ruiny w świetle dnia.

Gdy szum wody ustał, wciąż jeszcze nie spała. Do pokoju wszedł Simon w koszulce z logo Guinnessa i szortach. Nie pachniał jej cytrusowym żelem, tylko zwykłym mydłem, które było w chatce. Zauważyła twarde mięśnie jego nóg i rąk i pomyślała o jego

153

dłoni na swoim biodrze, gdy wczółgała się do chatki, by odszukać kamiennego anioła.

Odciągnął kołdrę po drugiej stronie i położył się.

- Milutko - powiedział. - Rozumiem, że gdybyś nie chciała mnie tu widzieć, położyłabyś się na środku i nie zostawiła miejsca dla mnie.

- Nigdy bym nie zasnęła na kanapie. - Przesunęła się jeszcze kilka centymetrów w stronę krawędzi łóżka. - Wyobraź sobie, że w środku jest płot elektryczny.

Poprawił poduszkę.

- Tak jest.

- Czarne psy często pojawiają się w legendach. Mają nadprzyrodzoną zdolność zmieniania postaci.

- Lepiej o tym teraz nie myśl.

- Mogą czynić dobro albo zło - powiedziała.

- Wyobraź sobie ten twój obraz, który wylicytowałem w Bostonie.

Zamknęła oczy.

- To na pół realne, na pół wymyślone miejsce. Pies był prawdziwy. Nie wymyśliłam go sobie.

- Może i nie. - Głos Simona był zadziwiająco delikatny. - Wyśpij się, Keiro.

- Ty też.

- Dobrze, jak tylko przestaniesz mówić o zmieniających postać czarnych psach.

Uśmiechnęła się.

- Słodkich snów.

- Tak. Słodkich snów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Południowy Boston, Massachusetts 22 czerwca godz. 20.00

Bob O'Reilly zadzwonił do drzwi jednorodzinnego domku Patsy McCarthy przy czystej ulicy w południowym Bostonie, gdzie wychował się ze swoją siostrą. Na ogół starał się nie rozpamiętywać zabójstwa Deirdre sprzed trzydziestu lat, ale teraz pomyślał o niej - biegającej po ulicy nastolatce, bardziej atrakcyjnej, niż jej się wydawało. Nigdy nie spotkał nikogo takiego jak ona.

Było gorąco i późno. Nie chciał tu być.

Patsy otworzyła drzwi. Gdy go zobaczyła, zasłoniła usta ręką i nabrała powietrza.

- Nic się nie stało...

- Nie - powiedział. - Wszystko w porządku.

- Ty i to twoje spojrzenie policjanta... - Rozluźniła się trochę i opuściła rękę. - Pamiętam, jak byłeś małym chłopcem i przychodziłeś tu z takim samym

166

wyrazem twarzy. Twoja mama i ja wiedziałyśmy, że zostaniesz policjantem.

- Pani McCarthy, co pani powiedziała Keirze?

- A o co chodzi?

- Widziała się z nią pani dzień przed jej wyjazdem do Irlandii.

Patsy otworzyła drzwi szerzej i wyszła na werandę. Mocniej otuliła się swetrem, mimo że było gorąco. Bob widział stąd korytarz. Jedna ze ścian była pokryta pocztówkami z Irlandii i naklejkami z koniczynką albo kapeluszem leprechauna. Tak było zawsze. Sama nigdzie się nie ruszała, ale prosiła innych, by przysyłali jej kartki z podróży. Nawet gdy Eileen pojechała do szkoły do Irlandii, Patsy poprosiła ją o pocztówki do powieszenia na ścianie.

- Nie mówiłam Keirze o Deirdre - powiedziała z poważnym wyrazem twarzy. - Jeśli o to pytasz. Bob nie owijał w bawełnę.

- Tak.

- Nie ode mnie powinna to usłyszeć.

Bob zrozumiał aluzję - to on powinien powiedzieć siostrzenicy, a być może i swoim trzem córkom o zamordowanej sąsiadce z dzieciństwa. Nie ciągnął tego tematu.

- To co jej pani powiedziała?

- Opowiedziałam jej kilka historii przekazywanych w rodzinie.

- Tę o braciach i kamiennym aniele? Rozchmurzyła się trochę.

- Pamiętasz ją?

156

- Oczywiście. Nieżle pani namieszała, opowiadając Keirze tę historię. I mówiąc jej, że jej matka szukała wioski, w której toczy się akcja, podczas podróży do Irlandii przed urodzeniem Keiry.

- Ojej, Bob. - Patsy machnęła kościstymi palcami. - No i co z tego? Może Keira znajdzie anioła. To by było coś, nie?

Bob jęknął w duchu. Tak, pomyślał, to by było coś. Po tym, jak wyciągnął z Fiony to, co usłyszała z rozmowy Patsy z Keirą w domu Garrisonów, wiedział, czego się spodziewać. Ale potwierdzenie jego przypuszczeń było dla niego ciosem. Trzydzieści lat temu siostra wyruszyła na poszukiwanie tego głupiego anioła. Nie znał szczegółów. Eileen nigdy mu ich nie wyjawiała, ale od dawna przeczuwał, że ta przygoda miała wiele wspólnego z jej ciążą.

Bez dwóch zdań, Keira odtwarzała podróż matki. Bob nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby Simon Cahill nie wyciągnął jej z ruin.

Nie znaczyło to, że Bob nie miał żadnych wątpliwości co do Cahilla. Faceta przystojnego i czarującego.

Zacisnął zęby. Wszystkie jego córki podziwiała Keirę. On też ją bardzo kochał, ale było zupełnie inaczej, zanim przeprowadziła się do Bostonu - gdy mieszkała w San Diego czy innych miastach. Fiona zamęczała go teraz, by pozwolił jej najakąś samotną eskapadę.

- Bob?

- Nic się nie stało - powiedział. - Nie zrobiła pani nic złego. Kiedy się pani zaprzyjaźniła z Keirą?

168

- Kilka miesięcy temu. Mam wszystkie jej książki. Jest bardzo utalentowana, prawda?

- To jej trzeba przyznać. To pani skontaktowała się z nią czy ona z panią?

- Wysłałam do niej mej la. Jakoś radzę sobie z komputerem. Usłyszałam o tym irlandzkim przedsięwzięciu i weszłam na jej stronę internetową...

- Jak się pani dowiedziała o tym planie?

- Od Billiego i Jeanette Murphych. Pamiętasz ich?

Bob kiwnął głową. Byli parę klas wyżej od niego, gdy chodzili do szkoły, a teraz mieszkali w luksusowym kondominium nad wodą, które administracyjnie należało jeszcze do południowego Bostonu, ale nie do starej części dzielnicy. Byli właścicielami ziemi, na której jego siostra wybudowała sobie chatkę.

- Komu jeszcze opowiedziała pani tę historię? - zapytał.

- Opowiadam ją wszystkim od lat. Dlaczego nie miałabym tego robić?

- Nie powiedziałem, że nie powinna pani.

- To o co chodzi? Dlaczego tu przyjechałeś? Westchnął.

- Keira wpakowała się w jakieś kłopoty w Irlandii. Nic jej nie jest, ale ja się trochę za bardzo denerwuję. Pewnie przez Eileen. Tamto lato...

Patsy złapała go za rękę i wbiła swoje kościste palce w jego dłoń.

- Na pewno nic jej nie jest?

158

- Na pewno. Proszę się nie martwić. Nie jest tam sama.
- Opowiedziałam jej trzy albo cztery historie, które usłyszałam od ojca. Wszystkie jej się podobały, ale najbardziej ta o trzech braciach. To była też ulubiona opowieść Deirdre. Chciała, by Eileen poszukała w Irlandii kamiennego anioła. Bob, pamiętasz, jak bardzo Deirdre była podekscytowana podróżą Eileen?

Zdjął małą rękę Patsy ze swojej dłoni i ścisnął ją delikatnie. Ucałował ją w policzek.

- Pamiętam każdą chwilę, którą spędziłem z Deirdre. Była najlepsza. Wszystko w porządku? Czy jest jeszcze coś, o czym mi pani nie powiedziała?

- Dobry z ciebie chłopak, Bob. Zawsze taki byłeś To nie była odpowiedź.

- Nie, nie jestem taki dobry. - Chciał się rozluźnić, ale nie mógł. Wsunął w jej dłoń swoją wizytówkę. - Proszę to zatrzymać. Są tu wszystkie numery do mnie. Jeśli uzna pani, że powinienem o czymś wiedzieć, jeśli stanie się coś dziwnego, proszę zadzwonić. Przewrotny zawsze ubezpieczony, prawda?

Pokiwała głową.

Ate wiedział, że nie ufa mu do końca. Może nie odwiedzał jej tak często, jak powinien, ale znał ją od zawsze i czuł jej powściągliwość, opór...

- Proszę pani...

- Zadzwonię do ciebie, jeśli coś sobie jeszcze przypomnę - powiedziała, po czym uśmiechnęła się i puściła jego dłoń. - Nie martw się.

Uśmiechnął się szeroko.

159

- Teraz mówi pani jak jedna z moich byłych żon. Dobrze znów panią widzieć. A ten ksiądz, który zawiózł panią na spotkanie z Keirą...? Nie znam go.

- Pracuje w parafii świętej Ity od ponad roku. Ojciec Palermo. Wpadł na pomysł, żebyśmy urządzili w kościele kiermasz przedmiotów z motywem anioła. Pokazałam tam całą moją kolekcję. Świetnie się bawiliśmy.

- Przykro mi, że mnie tam nie było. Uśmiechnęła się figlarnie.

- Wcale nie jest ci przykro.

- Powiniennem częściej tu przychodzić.

- Powinieneś.

- Mogłaby mi pani opowiedzieć tę historię jeszcze raz. Świetnie się nadaje do nowej książki Keiry.

- Też tak myślę. To by było wspaniale, prawda?

- Wyglądała na bardziej zadowoloną, spokojniejszą.

- Tak się cieszę, że cię zobaczyłam, Bob. Przyjedź znowu. ,

- Dobrze. - Zaczął schodzić po schodach, ale odwrócił się i wskazał na nią palcem. - Zadzwoń pani, okej? O dowolnej porze. Jestem dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przewróciła oczami.

- Naprawdę za bardzo się martwisz.

Pewnie tak, pomyślał, wracając do samochodu. Nie opuszczał go niepokój. Chciał zrzucić winę na przesilenie letnie i swój notoryczny pesymizm, ale wiedział, że nie tylko o to chodzi. Winne były zwłoki w Ogrodzie Miejskim, pokój nieboszczyka pełen diabłów, a teraz jeszcze kłopoty Keiry w Irlandii.

I Fiona. Jego córka nie powiedziała mu wszystkiego.

Zastanawiał się, czy jeszcze raz nie porozmawiać z Patsy, ale stwierdził, że nic to nie da. Była bardzo miła, ale też uparta i tajemnicza. Na swój sposób była twarda jak stal. Przypomniał sobie, jak zabrał ją nad wodę, gdzie wypłynęło ciało Deirdre. Opowiadała o sposobach walki z diabłem. Jeśli ktoś mógł go pokonać, to na pewno była to Patsy McCarthy.

Gdy Bob wyszedł, Patsy przebrała się w szlafrok i kapcie i naląła sobie odrobinę irlandzkiej whiskey do szklanki, którą zabrała do jadalni. Wiedziała, że trudno będzie jej zasnąć. Była przyzwyczajona do samotności i nie bała się we własnym domu. Ale nie o to chodzi, pomyślała, stojąc przed gablotką, w której stały najładniejsze z aniołów Deirdre.

Powinnaś była zaprosić Boba na herbatę.

Zostałby. Wiedziała, że jego zdaniem nie powiedziała mu wszystkiego. Chciałby, żeby otworzyła się przed nim przy herbacie, ale ona nie miała tego zamiaru.

Siedziała przy stole, sącząc whiskey i patrząc na anioły.

W końcu wstała, by pójść do łóżka, ale usłyszała hałas. Weszła do kuchni. Włączyła światło na tylnej werandzie z nadzieją, że to jakiś kot potracił jej dzwonki wietrzne. Zostały jej już tylko te jedne. Kiedyś miała ich sześć, ale narzekała na nie jedna z sąsiadek, młoda koordynatorka imprez w hotelu, która „odkryła” wschodnią część południowego

161

Bostonu i zamieszkała obok. Patsy nigdy nie poskarżyłaby się na coś takiego, ale sąsiadka nie miała takich skrupułów i zażądała, by te ostatnie dzwonki też zostały usunięte. Na targ staroci z nimi, powiedziała.

- Jeśli nie ma zakazu posiadania dzwonków wietrznych, to powinni go jak najszybciej wprowadzić - dodała.

Jak można było odmówić starszej kobiecie przyjemności słuchania dźwięku tych jedynych dzwonków wietrznych?

Dawniej Patsy знаła wszystkich sąsiadów, ale może to i lepiej, że nie wiedziała, jak nazywa się ta kobieta. Wyznała Patsy, że ta ulica spodobała jej się ze względu na bliskość centrum Bostonu i wody. Nie wspomniała nic o rodzinie ani znajomych. Mówiła o „uszlachetnianiu” dzielnicy.

Patsy nienawidziła tego słowa.

- Nie ma tu żadnej szlachty - burknęła, patrząc przez okno kuchenne.

Jeśli to kot poruszył dzwonki, postanowiła nie wyżywać się na bezbronnym zwierzęciu. To by było nie w porządku, choć jej sąsiadka pewnie nie miałaby podobnych oporów.

Było teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Deirdre dorastała i przyprowadzała do domu przyjaciół. Patsy uwielbiała piec dla nich ciasta i opowiadać im różne historie. Chciała mieć pięcioro albo sześcioro dzieci, ale nie wyszło. Była tylko Deirdre.

Otworzyła tylne drzwi. Wciąż miała na sobie wygodny bawełniany szlafrok i kapcie. Nie dostrzegła

173

żadnego kota, jej dzwonki wietrzne milczały w ciężkim, parnym powietrzu.

Znieruchomiała. Czyżby słyszała teraz muzykę?

- O mój Boże - wyszeptała. - Tak!

To nie były dzwonki wietrzne ani jej wyobrażenia. Nie oszalała. Słyszała piękną, smutną muzykę.

Nie rozpoznała melodii, ale brzmiała jak jakaś irlandzka piosenka. Skąd dochodziła?

Czyżby nucił ją sąsiad, który zataczał się w drodze z pubu do domu?

Dzieci?

Muzyka ucichła. Dzwonki poruszyły się lekko, pobrzękując przyjemnie. Patsy nie wiedziała, dlaczego zaczęły tańczyć. Nie czuła żadnego wiatru.

Gdy odwróciła się, by to sprawdzić, zauważyła kamienną figurkę anioła na barierce werandy.

Jedną ręką chwyciła połę szlafroka i wyszła na werandę z myślą, że być może wypila więcej whiskey, niż jej się wydawało. Jednak wyraźnie widziała figurkę - to na pewno był anioł, miał około sześćdziesięciu centymetrów wysokości, był wyrzeźbiony z szarego kamienia, w ręce trzymał irlandzką harfę. Miał twarz tak pełną miłości i spokoju, że Patsy od razu pomyślała o swojej córce.

Jak ta figurka się tu znalazła? Czy to był prezent do kolekcji?

Chwyciła oparcie metalowego krzesła na werandzie. Ta muzyka nie mogła dobiegać z figurki, chyba że była to jakaś skomplikowana pozytywka.

Czy ktoś jej robi kawał?

163

Prawdziwi aniołowie ukazują się tym, którzy są tego godni, przypomniała sobie.

Nie jestem godna.

Walczą też z demonami.

Jestem grzesznicą... nie demonem.

A to była figurka - piękna figurka.

Zadzwoń do Boba. Poproś, żeby tu przyjechał. Powie mu wszystko. Wszystko, co wie. Wszystko, co podejrzewa.

Zostawiła anioła na werandzie i wróciła do kuchni, zamykając za sobą drzwi na klucz.

- Patsy...

Głos dochodził z jadalni.

- Patricio Brigid McCarthy...

Ktokolwiek wyszeptał jej imię, musiał znajdować się z nią w domu. Patsy sięgnęła po wizytówkę Boba, ale wiedziała, że jest już za późno. Nie było czasu.

Przyszedł po nią diabeł.

Rzuciła się do telefonu z modlitwą na ustach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 23 czerwca godz. 5.30

Gdy Keira spała, jej ręka opadła na brzuch Simona. Od dłuższego czasu nie spał. No to koniec z jej elektrycznym płotem, pomyślał. Nie żeby miał coś przeciwko. Czuł jej ciepło obok siebie. Promienie porannego słońca wpadały przez okno, oświetlając długie, płowe włosy Keiry i jej jasną, gładką twarz. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, stałaby się natchnieniem do kolejnej historii opowiedanej przy kominku.

Nie spała spokojnie. Jęczała, przewracała się z boku na bok. Czuł, że całe jej ciało jest napięte. Zacisnęła dłoń w pięść, chwytając jego koszulkę. Miała krótko obcięte paznokcie, dłoń i nadgarstek były podrapane i poranione. To była mocna, lecz również delikatna dłoń. Simon wyobraził sobie, jak muskają go jej smukłe palce.

176

Umarłby szczęśliwy.

Zastanawiał się, jak wielu rzeczy o podróży do Irlandii Keira mu jeszcze nie powiedziała. Była samodzielna i nie wpadała w panikę, ale nie zdziwiłoby go, gdyby przyjechała na południowo-zachodnie wybrzeże Irlandii, myśląc, że wróżki będą ją miały w swojej opiece. Kto wie, może to one ją chroniły. Z zewnątrz ruiny wyglądały tak, jak gdyby nikt nie miał prawa przeżyć zapadnięcia się dachu. Keira nie tylko żyła, ale nawet nie doznała większych obrażeń.

Simon musiał przyznać, że gdyby się nie zjawił, pewnie udałoby jej się wydostać samej. Ale nie wiedział, co by zrobiła, gdyby nie było go tam, kiedy wstała cała we krwi.

Krzyknęła coś przez sen i wbiła palce w jego tors. Poczul, jak zbliża się do niego jej kolano, ale odparł cios. W tym momencie drugą ręką uderzyła go w głowę.

Porają obudzić. Nieraz widział, jak jego koledzy z ekipy ratunkowej mieli koszmary senne.

Zwykle rzucił w nich zegarkiem albo butelką wody i mówił: Stary, pobudka. Śni ci się koszmar. Ale nie zamierzał w ten sposób potraktować Keiry - nie dlatego, że chciał być dla niej delikatny.

Chciał, żeby ona się z nim delikatnie obeszła. Leżeli w jednym łóżku, a ona była w dobrej formie. Jeden dobrze wymierzony cios mógłby zepsuć mu cały dzień. Poza tym teoretycznie nie mogli się dotykać. Kolejny dobrze wymierzony cios jeszcze bardziej skomplikowałby tę sytuację.

166

Położył rękę na jej dłoni - tej, którą chwyciła jego koszulkę, trochę skóry i włosów, które wolałby zatrzymać.

- Keira.

Wyprostowała się gwałtownie, wciąż jeszcze śpiąc. Oddychała szybko i głęboko. Wyglądała, jakby walczyła z przerażającymi obrazami.

- Keiro, śni ci się jakiś koszmar.

Spojrzała na niego, a jej oczy się rozszerzyły. Puściła jego rękę i przesunęła się na swoją połowę łóżka. Simon nie wiedział, co ją bardziej zestresowało - koszmar czy pobudka przy nim.

- Byłam... - Przejechała ręką po włosach i odsunęła się od niego jeszcze bardziej. - Łaziły po mnie pająki i ślimaki.

Simon opadł na poduszki.

- Fúj.

Odetchnęła i zadrżała.

- To było straszne.

- Koszmary po traumatycznych przeżyciach są normalne.

Spojrzała w okno. Roleta była podniesiona, a koronkowe firanki odsunięte, dzięki czemu mogła zobaczyć małą zagrodę dla owiec.

- Miewasz koszmary? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Czasami. Przeszedłem szkolenia, które nauczyły mnie, jak radzić sobie z takimi doświadczeniami. Ty - nie.

Spojrzała na niego intensywnie niebieskimi oczami.

167

- Nic ci nie zrobiłam?

- Nie - uśmiechnął się do niej. - To nie była taka zła pobudka. Gdybym został w Londynie, obudziłbym się w wielkim, eleganckim, pustym łóżku. Tu jest przytulnie, we dwójkę...

- Pójdę do drugiego pokoju. Śpij dalej.
- Już się obudziłem. - Zrzucił z siebie kołdrę i wstał. - Nie spiesz się. Zrobię kawę.
- Byłoby wspaniale. Ja wciąż... - Machnęła ręką.
- Wciąż odganiam pająki i ślimaki.

Miała włosy w nieładzie i przekrzywioną koszulkę. Simon stwierdził, że skoro była już bezpieczna, to jej umysł - świadomie lub nieświadomie - dopuścił do siebie strach, obrzydzenie, klaustrofobię i inne emocje, które blokował, gdy była uwięziona.

Udał się do kuchni, nalał wody do czajnika elektrycznego, włączył go i poszedł do łazienki, by przebrać się w dżinsy i sweter. Jego włosy też były w nieładzie. Zmoczył ręce i przesunął nimi po głowie, wrócił do kuchni. Wsypał kawę do zaparza-cza i zalał ją wrzątkiem.

Wyjmując z szafki dwa kubki, wyobraził sobie, że jest tu z Keirą w najzwyczajniejszy w świecie poranek, robi dla nich kawę i planuje dzień. Nie wpiłaby się w niego paznokciami w czasie koszmaru sennego, a on nie wyskoczyłby z łóżka jak oparzony

- tego był pewien.

Simon bawił się tą myślą przez kilka sekund, po czym wyrzucił ją ze świadomości, nalał sobie mocnej, gorącej kawy do kubka i wyszedł przed dom. Na pastwisku za płotem pasło się koło tuzina owiec.

Słońce to wychodziło, to chowało się za szarymi chmurami, a powietrze było rześkie i pachniało różami, wilgotną trawą i, mógłby przysiąc, morzem.

Dołączyła do niego Keira z kubkiem kawy. Skinął w stronę imponujących wzgórz w centrum półwyspu.

- Pięknie, ale żeby spędzać tu sześć samotnych tygodni?

- Czeka mnie dużo pracy. I poszukiwań. - Uśmiechnęła się bez cienia zakłopotania. - Zresztą nie będę sama przez cały czas. Mam znajomych z San Diego, którzy za kilka tygodni przyjeżdżają do Irlandii na wakacje i chcą mnie odwiedzić. Pod koniec lipca przyjedzie Colm Dermott z rodziną. A dzięki temu, że jestem tu sama, mam okazję poznać mieszkańców.

Simon zmierzył ją wzrokiem.

- Keiro, zadzwoniłem na policję, żeby przyjrzała się tej ruinie. Już tam jadą.

- Kiedy zadzwoniłeś?

- Wczynie rano. Gdy śniłaś o ślimakach i pająkach.

- Chyba dobrze zrobiłeś, zawiadamiając policję. - Wypiła łyk kawy i skrzywiła się. - Mocna.

- Wsypane na oko.

- Jest dobra. Dziękuję.

Rozczesała włosy. Mimo wszystko Simon musiał przyznać, że serce zabiło mu mocniej na jej widok. Pomyślał, że połowa mężczyzn, którzy ją znali, pewnie zakochała się w niej po kilku sekundach w czasie pierwszego spotkania. Dlaczego nie przyje-

169

chała tu z facetem? Zastanawiał się, czy mądrze będzie ją o to spytać. W końcu się zdecydował.

- Nie masz chłopaka, który by tu z tobą przyjechał?

Nie odwróciła wzroku.

- Nie. Tak jak powiedziałam: czeka mnie tu wiele pracy.

- I chłopak tylko by zawadzał?

- Tego nie powiedziałam.

Podeszła do plotu, objęła kubek obiema dłońmi i popijała kawę, patrząc na pastwisko. Simon obserwował ją, świadom, że myślami jest gdzie indziej. Albo wciąż w swoim koszmarze, albo - co bardziej prawdopodobne - w ruinach. Milczał, nie ponaglał jej. Zdał sobie sprawę, że chce się wdrzeć do każdego świata, w którym była uwięziona, i uratować ją. Pokonać jej demony, jeśli zajdzie taka potrzeba. To szaleństwo, ale byłby kłamcą, gdyby nie przyznał się do odruchu opiekuńczego. Keira chodziła własnymi drogami, nie tyle z przekory, ile z powodu swojego usposobienia. Taka była i już.

Taki był też jego ojciec. Przyplacił to życiem.

Przeszła przez podjazd do krzewów róż i innych dzikich kwiatów. Na dole, w porannym słońcu lśniło morze. Keira napawała się krajobrazem i nowym dniem. Miała w sobie jakąś bezpretensjonalność i jasność, z której Simon zdawał sobie sprawę. Chciał wziąć ją w ramiona i zanieść do środka domku na resztę dnia. I niech pada.

- W ogóle cię nie znam - powiedziała nagle i spojrzała na niego.

181

Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- A co tu jest do poznania?

- Jesteś ochotnikiem w Fast Rescue. O ile nie jesteś bajecznie bogaty, oznacza to, że masz jakąś pracę. Czym się zajmujesz, że możesz rzucić wszystko i błyskawicznie pojechać na miejsce katastrofy, mieszkać na łodzi, jechać do Londynu...

- Mam własną firmę. - To była prawda. - Pomagam korporacjom i klientom indywidualnym zabezpieczyć się przed katastrofami i zaplanować akcję, gdyby się jednak wydarzyły. Poza tym prowadzę szkolenia. Bywam przewodnikiem.

- Przewodnikiem? Spojrzał jej w oczy.

- Jeśli jakaś artystyczna dusza chce poszukać tajemniczych ruin na odległym irlandzkim półwyspie w noc przesilenia letniego, zapewnię jej bezpieczną podróż tam i z powrotem.

- To nie była noc. W czerwcu słońce zachodzi dopiero o dziesiątej.

- No to wykreślmy noc. Keiro, nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego o tym, dlaczego tu jesteś.

- Jak się znalazłeś w Fast Rescue? Westchnął. Najwyraźniej chciała postawić na swoim.

- Znajomy znajomego skontaktował mnie z Owenem.

Ale to nie było takie proste. Tym znajomym był John March, który skontaktował go z Owenem, 171

ponieważ Fast Rescue potrzebowała ekspertów od akcji poszukiwawczych i ratunkowych.

Simon, który zastanawiał się wtedy, co zrobić ze swoim życiem po FBI, był takim ekspertem.

March wiedział wtedy o Owenie tylko tyle, że był sąsiadem jego zamordowanego zięcia, Chrisa Browninga, agenta FBI. Owen jeszcze wtedy nie zakochał się w Abigail, wdowie po Chrisie i córce Marcha.

Gdy to się stało, Simon znów pracował w FBI, tym razem jako tajny agent, i ścigał Normana Estabrooka. Owen, który był sumienny, troszczył się

o Fast Rescue i miał rozległe kontakty, odkrył powiązania Simona z Marchem, jego status tajnego agenta i to, że jego misja prawdopodobnie dotyczyła Normana Estabrooka.

Gdy pojmano Estabrooka i rozbito jego siatkę, Owen znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie mógł powiedzieć kobiecie, którą kochał, tego, co wie o Simonie, jej ojcu i ich przyjaźni. To były tajne informacje, a Abigail nie powinna ich znać.

Ani Keira Sullivan, pomyślał Simon.

Do płotu po drugiej stronie dróżki przypałała się brązowa krowa. Simon pogłaskał ją. Przycisnęła głowę do jego dłoni, wyraźnie zadowolona.

- No więc, pani Krowo, co pani widziała tamtego dnia? Widziała pani, jak Keira wyrusza na wzgórze?

1 jak ktoś zakrada się do jej chatki i zabiera kartkę z notatkami? - Zbliżył ucho do pyska krowy, udając, że słucha. - No tak. Elfy. Rozumiem. Było przesilenie letnie i widziała pani tańczące elfy.

- Znów

183

spojrzał na Keirę. - Nie chciałabyś, żeby krowy umiały mówić?

- Dobra, dobra. - Keira roześmiała się i wylała resztkę kawy na trawę. - Wyjdźmy na spotkanie stróżom prawa.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 23 czerwca godz. 6.30

Kawa i słońce sprawiły, że Keira poczuła się lepiej. Próbowwała dotrzymać kroku Simonowi, idąc pastwiskiem w stronę ruin.

- Zwolnij - powiedziała. - Mam długie nogi, ale kiedy idziesz, muszę biec. Nie dogonię cię.

Spojrzał na nią z ukosa. Wiatr bawił się koniuszkami jego czarnych włosów.

- Myślałem, że moja kawa doda ci trochę energii-

- Dodała. Bez niej bym pełzła.

Nad wzgórzami zbierały się groźne chmury. Wiatr się nasilał, ale Keira rozkoszowała się rześkim powietrzem w nadziei, że rozjaśni jej umysł i pozwoli zapomnieć o pobudce z koszmaru niemalże w ramionach Simona. Zdrowy rozsądek przestrzegał ją, by nie dała mu zawrócić sobie w głowie. Simon

niedługo wróci do Londynu. Żył zupełnie innym życiem niż ona. Przygoda na jedną noc mogłaby okazać się przyjemna, ale Keira unikała takich przeżyć.

Gdy doszli do kolejnego płotu, Simon przeskoczył przez niego, po czym odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Z trudem powstrzymała się, by nie skoczyć mu prosto w ramiona. Złapał ją w tali i postawił na ziemi z lekkim uśmiechem.

- Omal nie wylądowałaś w owczym łajnie. Spojrzała w dół. Nie żartował.

- Widzę, że dostosowujesz swoje umiejętności poszukiwawczo-ratunkowe do każdej sytuacji.

- Dobrze wiedzieć, że mam do czynienia z kimś, kto nie uważa na siebie.

Simon zszedł ze wzgórza w stronę błotnistego, gęstego poszycia wzdłuż strumyka. Keira dotrzymywała mu kroku, nie pozwalając, by za bardzo się oddalił.

- Nie jestem paranoiczką. Nie będę siedzieć w domu tylko dlatego, że coś mi się może stać, jeśli wyjdę.

- Właśnie widzę. - Doszedł do strumyka i odgarnął dolną gałąź dębu, która prawie dotykała wody. - Jeśli ten anioł nie był po prostu kawałkiem kamienia, to jak się tam znalazł? Czemu nikt go nie zabrał i nie sprzedał do muzeum albo w Internecie?

- Nie wiem.

- Co ważniejsze, gdzie się podział?

174

Keira zadrżała, żalując, że nie włożyła płaszcza, zamiast narzucić sweter na koszulkę.

- Tego też nie wiem.

Pytania, którymi ją zarzucał, od kiedy wyszli z chatki, pomogły jej skupić się na szczegółach całej przygody i lepiej je sobie przypomnieć.

- Opowiedz mi o elfach z tej legendy - powiedział, idąc wzdłuż strumyka. - To miał być samotny elf, *banshee*, leprechaun czy gromada elfów?

- Znasz się na folklorze irlandzkim?

- Nie za dobrze, ale wystarczająco, żeby zadawać pytania.
 - I wywołać kłótnię w pubie, jak sędzę. To była gromada elfów, przynajmniej według Patsy. Są stanowcze i nieustępliwe. Uważają, że mają prawo do figurki...
 - Ponieważ twierdzą, że to jeden z nich, zamieniony w kamień.
- Keira uśmiechnęła się.
- A jednak słuchałeś wczoraj uważnie. Puścił do niej oko.
 - Trudno się oprzeć urokowi magicznej historii opowiedzianej ciemną irlandzką nocą.
 - Od razu widać, skąd się wzięła w Irlandii silna tradycja ustna. W każdym razie elfy nie dadzą za wygraną. Chcą odzyskać figurkę.
 - Patsy McCarthy najwyraźniej wierzy, że figurka istnieje, a przynajmniej chce w to wierzyć. - Simon odgarnął kolejną nisko zwisającą gałąź koło strumyka. - Nie słyszałem wszystkiego, co ci
- 187

mówiła, ale rozumiem, że podobnie jak bracia uważa, że anioł przynosi szczęście.

- Poprosiła mnie, żebym go poszukała w przesilenie letnie - powiedziała Keira.

- Anioł po raz pierwszy pojawił się w chacie mnicha właśnie w tę noc. Każdy, kto zna tę historię, wie o tym.

- I mógłby wybrać tę samą noc co ja, by tu przyjść. Keira zauważyła za drzewami spowitą bluszczem

chatkę. Z powodu zawalonego dachu trudno było jej nie zauważyć. Opanowała nagły lęk, widząc, że Simon nie zwolnił ani trochę.

Ale w tym momencie zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku?

Pokiwała głową, nie zwracając uwagi na ściśnięte gardło.

Skoncentruj się na rozwiązywaniu zagadki.

- Myślałam o tym trochę - powiedziała, wspinając się na wzgórze. - Podejrzewam, że zawalenie mogło odsłonić anioła. A jeśli został zagrzebany w ruinach?

- Wtedy rodzi się pytanie, co wywołało zawalenie w tym właśnie momencie.

- Ktoś, kto myszkował tak samo jak ja. Ale dlaczego zostawił mnie tam uwięzioną? - Stała przy drzewie, które zabarykadowało jedyne wejście do chatki.

Oczy Simona pociemniały.

- Dobrze pytanie. Opowiadałaś tę historię komuś poza profesorem Dermottem?

176

Pokręciła głową.

- Może Patsy...

- Kto wie, że przyjechałaś tutaj, by zbadać irlandzką legendę?

- Nie robiłam z tego tajemnicy, ale nie podawałam szczegółów wielu ludziom. Na przykład adresu mojego domu tutaj. Zdaję sobie sprawę, że jestem tu sama.

Próbując się lepiej przyjrzeć stercie gruzów, Keira o mało nie nadepnęła na strzępek owczej wełny. Stłumiła falę obrzydzenia.

- Keiro?

- Staram się zorientować w terenie - powiedziała, odsuwając od siebie wspomnienie krwi na swoim ubraniu.

Simon podszedł bliżej. Jeszcze kilka centymetrów, a otarłby się o nią ramieniem.

- Przypominasz sobie jakieś szczegóły?

Stojąc plecami do ruin, Keira spojrzała na strumyk. W płytkiej, przejrzystej wodzie tańczyło światło i cień.

- To urocze miejsce, prawda? - Gdy nie odpowiedział, odwróciła się ponownie i przez zmrużone powieki spojrzała na drzewo i na wpół zawałony komin. - Nie przyszedłam tu w tajemnicy. Nie śpiewałam ani nic takiego, ale też nie martwiłam się, że ktoś mnie usłyszy. Gdy zobaczyłam psa, skoncentrowałam się na nim. Na pewno narobiłam sporo hałasu. Jeśli ktoś tu był, mógł mnie obserwować niezauważony. Jeśli chodzi o owcę... - Skrzywiła się. - To biedne zwierzę nie zdechło w sposób naturalny.

189

- Nie mamy wystarczających dowodów, by stwierdzić to na pewno. Zobaczymy, co powie policja.

Patrzyła na pozostałości maleńkiej chatki.

- To nie moja wyobraźnia spowodowała zawalenie.

- Nie, raczej twoje buszowanie po niestabilnym budynku bez odpowiedniej wiedzy i sprzętu. -

Ton Simona był rzeczowy, nie krytyczny. - Bałaś się psa i nie uważałaś.

- To nie wyjaśnia zniknięcia anioła. Może ktoś celowo spowodował zawalenie, by mnie uwięzić, a potem stwierdził, że jestem martwa albo unieruchomiona, i ukradł anioła. Jeśli to autentyczna celtycka figurka, to jest bardzo cenna.

- A jeśli to lity kamień, to jest też ciężka.

- Ma mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów wysokości. Nie może być aż tak ciężka.

- Więc ktoś, kto tu był, wczółgał się do chatki po zawaleniu, chwycił anioła i...

Keira pokręciła głową.

- Nie po zawaleniu. W trakcie. Zauważyłam anioła w czasie chwilowej przerwy. Kiedy to się znów zaczęło, niewiele już widziałam. Siedziałam skulona pod stryszkiem, uważając, by nie spadł mi na głowę kamień albo krokiew. Ktoś mógł wtedy zabrać anioła.

- Ryzykowne.

- Ktoś wykorzystał sytuację. - Wskazała na drzewo blokujące wejście. - Założę się, że on - albo ona - wychodząc, zwałił drzewo, umyślnie lub nie,

178

po czym udał się do mojej chatki i ukradł kartkę z informacją, by opóźnić akcję ratunkową albo odnalezienie mojego ciała.

- Masz jakichś kandydatów?

- Nie.

Zdała sobie sprawę, że Simon ją obserwuje. Obróciła się w jego stronę. Zauważyła, że jego oczy są tak zielone jak roślinność na wzgórzu. Poczula kroplę deszczu na włosach. Wiatr wzbierał na sile. Słyszała, jak wyje wśród pagórków. Zaraz przyjedzie policja, a ona będzie musiała opowiedzieć wszystko jeszcze raz - dlaczego się tu znalazła, co się stało; każdy szczegół ostatnich dwóch dni.

Jej wzrok padł na plamkę zaschniętej krwi na ziemi obok zwałonego drzewa. Gwałtownie odwróciła się i zaczęła biec w górę, przedzierając się przez drzewa i poszycie. Zwolniła tylko przed ogrodzeniem z drutu kolczastego i przeszła przez nie.

Na otwartej przestrzeni wiatr był silniejszy. Słyszała beczenie owiec, a stojąc na sterczącej z ziemi skale, widziała przystań daleko w dole, kutry rybackie, łódź. Skrzyżowała ręce na piersi przy mocniejszym podmuchu wiatru i spojrzała na postrzępione góry MacGillicuddy Reeks po drugiej stronie zatoki. Pewnie niedługo okryją je ciemne chmury i mgła.

Obok niej stanął Simon.

- Poczekamy tu na policję - powiedział spokojnie.

Garda, pomyślała Keira. Irlandzka policja.

- Garda Siochana - powiedziała do siebie.

- Kłaczę wymowę, ale to znaczy „Strażnicy Pokoju”. Podoba mi się.

- Keiro...

- Wszystko w porządku. Miałam mały napad paniki. - Zeszła ze skały, wciąż żalując, że nie włożyła nic cieplejszego. - Muszę wracać do Bostonu. Przynajmniej na kilka dni. Chcę zobaczyć się z Patsy, by się upewnić, czy nie zapomniała o jakimś szczególe, który pomógłby mi zrozumieć, co tu się stało. I chcę porozmawiać z Colmem Dermottem. Nie mogę... - Zamilkła i zaczęła jeszcze raz: - Muszę zrozumieć, co się stało w ruinach, Simon. Nie mogę zostać tu jeszcze sześć tygodni, nie wiedząc tego.

- W porządku. Zabiorę cię z powrotem do Bostonu. Nawet dzisiaj, jeśli chcesz.

Skinęła głową.

- Chcę. Dziękuję. Nie jestem dzisiaj tak wypoczęta, jakbym tego chciała.

Jej zmęczenie nie było spowodowane wyłącznie przygodą w ruinach czy koszmarem.

Przyczyniła się do tego też noc w łóżku z Simonem i pobudka w jego objęciach. To jeszcze jeden powód, by wracać do Bostonu, pomyślała.

Simon wziął głęboki oddech.

- Keiro...

Nie wiedziała, czy to ona zrobiła pierwszy krok, czy on, ale nagle znalazła się w jego ramionach.

W momencie gdy odnalazł ustami jej wargi, opadło z niej całe napięcie. Objęła go za szyję i pocałowała mocniej. Rozkoszowała się jego smakiem, dotykiem

180

jego twardego ciała, jego ciepłem mimo zimnego, wilgotnego wiatru.

Podniósł ją. Jej koszulka podjechała do góry, a on objął dłońmi jej nagie plecy. Przyłgnęła do niego, pewna, że usłyszała jęk żądz tak dzikiej i nieokiełznanej, jak jej własna.

Od strony wzgórz zawiał mocniejszy wiatr i spadło więcej kropli. Połączenie lodowatego powietrza i wody z żarem ich pocałunku rozpałiło w ciele Keiry ogień. Nikt nigdy nie wzbudził

w niej takiej reakcji jak Simon. Chciała przeczesać palcami jego włosy, posmakować każdą część ciała, poczuć go w sobie. To nie była tylko adrenalina albo atmosfera irlandzkiego wzgórza - wywołał w niej silną reakcję już podczas pierwszego spotkania w Bostonie.

- Wracajmy do chatki - powiedziała między pocałunkami. - Idzie burza. Moglibyśmy zapomnieć o tym wszystkim...

Simon postawił ją z powrotem na wilgotnej ziemi. Odzyskała równowagę, wzięła głęboki oddech, poprawiła koszulkę i spojrzała na puste pastwisko.

Dobrze, że opanowali się akurat w tym momencie, pomyślała, bo do ruin zbliżało się właśnie dwóch mężczyzn.

- Przybyli stróże prawa - powiedział Simon z nutką rozbawienia w głosie.

- W samą porę, co?

- Nie powiedziałbym. - Przypieczętował swoje słowa szybkim, namiętym pocałunkiem. -

Dokończymy innym razem. To jeszcze nie koniec.

Keira nie odpowiedziała. Pobieгла w stronę

policjantów i pomachała do nich, w nadziei że będą mieli jakieś informacje. Może powiedzą, że aresztowali kogoś, kto zabija owce i terroryzuje turystów.

Wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne, bo odpowiedzi należało szukać poza Irlandią. W Bostonie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jamaica Plain, Massachusetts 23 czerwca godz. 10.00

Śrubokrętem pożyczonym od Boba Abigail otworzyła puszkę niebieskiej farby, którą położyła na gazecie w sypialni. Z czarno-białej fotografii patrzył na nią Victor Sarakis, jak gdyby przypominając, że śledztwo w sprawie jego śmierci nie zostało jeszcze zakończone.

Próbowała skupić się na farbie.

- Podoba ci się ten kolor? - zapytała Owena, który obserwował ją, stojąc w drzwiach.

- Ładny odcień.

Nie obchodziła go żadna farba. Wiedziała o tym, ale i tak zapytała. Chciała, by mu się podobała, by miał jakiś wpływ - choćby niewielki - na jej wybór. Poprzedniego dnia wrócił do Bostonu z Austin. Jej wzrok padł na podwójne łóżko - większe nie zmieściłoby się w maleńkiej sypialni.

Nie posłała go. Pościel, w której się kochali, była skłębiona.

- Jeśli wolisz inny kolor, teraz możesz wyrazić swoje zdanie - oznajmiła.
- Niebieski może być. Mogę pomóc...
- Jest tu tak mało miejsca, że będziemy się o siebie tylko obijać i wszystko poplamimy. - Zdjęła pokrywkę, położyła ją na twarzy Victora, odłożyła śrubokręt i podniosła drewniane mieszadło, które kupiła razem z farbą. - Nie wyganiam cię.

- Wiem.

Nie była tego taka pewna.

- Jestem pochłonięta sprawą. - Zanurzyła mieszadło w farbie i uśmiechnęła się, a przynajmniej spróbowała. - Ciągle myślę o diable.

Gdy Owen wrócił poprzedniego wieczoru, czytała książkę od Charlotte Augustine.

- To twój dzień wolny - powiedział. - Mogłabyś siedzieć w fotelu, pić wino i czytać Jane Austen.

- Brzmi kusząco. - Były tysiące rzeczy, które wolałaby robić, zamiast malować sypialnię.

- Simon i Keira wracają.

- Bob mi powiedział, kiedy wyszłam po gazetę. Jest wściekły. Nie dziwię mu się. Najpierw Keira natknęła się na zwłoki w Ogrodzie Miejskim, a teraz to zamieszanie w Irlandii. - Ponownie wepchnęła drewnienko do puszki. - Nie lubię zbiegów okoliczności.

- Jest jakiś powód, by sądzić, że te dwa zdarzenia są powiązane?

- Nie.

Nie powiedziała nic więcej. Owen, oparty dotąd o framugę, wyprostował się.

183

- Muszę zrobić parę rzeczy w fundacji. Nic ważnego. Fiona O'Reilly i jej znajomi przyjeżdżają na próbę. Jeśli chcesz, wpadnij później. - Uśmiechnął się. - Zatańczymy taniec irlandzki.

Abigail rozluźniła się trochę.

- A potrafisz?

- Nie, ale może Bob nas nauczy.

- Chciałabym to zobaczyć.

Zamieszała farbę. Piękny kolor. Wybrała go, gdy Owen wyjechał. Stać go było na malarzy, ale jej nie - nie z pensji detektywa. Poza tym nie chciała nikogo wynajmować. Myślała, że wspólnie odnowią sypialnię, ale nie wyszło.

- Bob się na mnie gniewa - dodała. - Gdy czekałam na ciebie wczoraj, siedziałam przed domem, czytając historię szatana. Ten facet, który utonął, miał obsesję na punkcie diabła.

- Bob uważa, że marnujesz czas?

- Walczę z nim i z każdym, z kim pracuję. Naciskają na nas, żebyśmy podnieśli procent wykrywalności, a to... W tej chwili to nawet nie jest jeszcze żadna sprawa. Zostały podjęte wstępne działania. Powinnam poczekać na pełny raport z sekcji zwłok. To może potrwać jeszcze kilka tygodni.

- Uważasz, że powinnaś poczekać, czy wszyscy inni tak myślą?

- Jedno i drugie. - Wyjęła mieszadło i starła nadmiar farby o krawędź puszki. - Coś dziwnego jest w śmierci tego człowieka, Owen.

- Innymi słowy, jako główny detektyw nie

197

uważasz, że czekanie na wyniki sekcji będzie dobre dla śledztwa.

- To lepszy sposób ujęcia tego niż powtarzanie, że robię problemy. - Spojrzała na niego znad puszek farby. - Kocham cię, Owen. Wiesz o tym, prawda?

- Nigdy w to nie wątpię. Abigail...

- Kolor ściemnieje, kiedy farba wyschnie.

- Będzie idealny. Ale chyba nie zamierzasz dziś malować?

Przeniosła ciężar ciała na pięty. Nie odpowiedziała od razu. Jedną z rzeczy, które najbardziej w nim kochała, była jego wnikliwość. Nie musiała mu się cały czas tłumaczyć.

- Jeszcze nie zdecydowałam. Przyznaję, że nie mogę przestać myśleć o tym Sarakisie. Ciągłe wydaje mi się, że coś mi umyka i jeśli nie dowiem się co, ktoś może na tym ucierpieć.

- Zrób dziś to, co masz zrobić.

- Dzisiaj grillujemy. Keira i Simon przyjdą, prawda?

Owen skinął głową.

- Odbieram ich z lotniska.

- Dobrze, że irlandzka policja przeprowadza dochodzenie. A jeśli jakiś świr poleciał za Keirą do Irlandii i próbował ją zabić? To mogło być dziwne połączenie przypadku, zbiegu okoliczności i jej wyobraźni. Ale na miejscu irlandzkich detektywów chciałabym wiedzieć więcej.

- Chcesz wiedzieć więcej jako detektyw z Bostonu.

Westchnęła.

185

- Chyba tak. Nic na to nie poradzę.

- Simon jest na tropie. Ma kontakty, o których nawet ja nie wiem. - Owen wszedł do pokoju i pocałował ją delikatnie. - Wiesz, że jak dla mnie, mogłabyś pomalować ten pokój na seledynowo, prawda? Nie na ściany patrzę, gdy tu jestem.

Roześmiała się.

- Powinnam sprawdzić, czy tak właśnie myślisz, i zamienić ten piękny błękit na naprawdę ohydny seledyn. Zobaczymy, co wtedy powiesz.

Wyszedł, a trzydzieści sekund później Abigail zrobiła dokładnie to, co przewidział, i przestała malować. Szczelnie zamknęła puszkę i wstała, żalując trochę, że Owen nie kopnął puszki i nie zabrał jej na cały dzień na plażę. Za około dwie godziny, w zależności od korków, mogliby być w południowym Maine.

Pojechał na Beacon Hill nie dlatego, że malowała sypialnię czy miała głowę zaprzątniętą utonięciem w Ogrodzie Miejskim. Po prostu chciał jej dać czas na zastanowienie się, co się z nią właściwie dzieje.

Czy nie dlatego się w nim zakochała?

Przeszła przez małą kuchnię pełną mebli z Ikei do ogrodu. Mieszkała na parterze, w najmniejszym z trzech mieszkań w domu w Jamaica Plain, który kupiła z Bobem i Scoopem Wisdomem, detektywem wydziału spraw wewnętrznych. Abigail słyszała, jak Scoop wychodzi rano do pracy, i myślała, że Bob też wyszedł, ale natknęła się na niego w ogrodzie, gdzie pił kawę i czyścił grill.

199

- Przed chwilą widziałem wychodzącego Owena - powiedział. - Dlaczego nie pojechałaś z nim?

- Maluję sypialnię.

- Nieprawda. Rozmyślasz nad tym przypadkowym utonięciem.

Wiedziała, że powiedział „przypadkowym” celowo, by ją zirytować.

- Dobrze wiesz, że nie ustalono...

- Oficjalnie nie. - Wetknął skrobaczkę do grilla w spieczony kawał jakiegoś czarnego paskudztwa. - Nie wiem, co się dzieje między tobą i Owenem, ale powinniście porozmawiać, zanim ktoś oprócz mnie zauważy, jaki to ma wpływ na twoją pracę.

- Nic się nie dzieje między mną i Owenem, a praca idzie mi dobrze. Kiedy stałeś się ekspertem od związków?

Zignorował ją i rzucił czarną kulę na papierowy ręcznik. Miał na sobie szorty, koszulkę z napisem Red Sox i sportowe sandały. Nie ubrałby się tak do pracy.

- Rozmawiasz z kimś, kto ma za sobą dwa nieudane małżeństwa. Najgorzej jest, kiedy znowu leży się samemu w łóżku, wiedząc, że należało ze sobą rozmawiać o wszystkim, dać upust emocjom. Może uratowałyby to związki, może nie, ale przynajmniej człowiek by wiedział, że zrobił wszystko, co było można.

Abigail nie chciała rozmawiać z nim o związkach.

- Nie idziesz dziś do pracy?

- Nie. Abigail, musisz mnie posłuchać. – Wyce-

187

lował w nią skrobaczkę do grilla. - Przez siedem lat byłaś sama. Przez ten czas koncentrowałaś się na tym, by zostać detektywem i odnaleźć zabójcę swego męża.

- Żyłam swoim życiem, Bob - powiedziała cicho, wiedząc, że on nie skończy.

- Tak, ale twoje życie obracało się wokół odnalezienia zabójcy Chrisa. Wszystko inne było sprawą drugorzędną. Wiesz, że tak było. Poprzedniego lata znalazłaś odpowiedzi, ale nie miałaś

czasu przyjąć ich do wiadomości, zanim ty i Owen zakochaliście się w sobie na zabój. - Bob znów zaatakował grill. - Wydaje mi się, że nie wiesz, czy chcesz jeszcze być detektywem.

- To jakieś szaleństwo. Co miałabym robić?

- Źle postawione pytanie. Zapytaj, czy ta praca jest dla ciebie tak samo ważna jak poprzedniego lata, zanim dostałaś tę wskazówkę, która zaprowadziła cię do Maine.

Na wyspę Mount Desert, pomyślała, tam, gdzie urodził się i wychował jej mąż. Gdzie zginął w czasie ich miesiąca miodowego, na skalistym wybrzeżu między własnym domem rodzinnym a letnim domem Owena. Zabójca Chrisa czekał tam na niego, zastrzelił go i zostawił. Owen znalazł martwego przyjaciela następnego ranka. Teraz, osiem lat później, Abigail doprowadziła do tego, co ludzie nazywali - niezręcznie, niewłaściwie - zamknięciem sprawy.

- O nic sobie nie pytam - powiedziała.

- W takim razie za długo już gadamy. W tej

201

pracy niełatwo jest rozmawiać. Przyzwyczajamy się, że nie wnikamy w pewne *rzeczy*. Tłumimy je w sobie. - Zmusił się do uśmiechu. - Tyle że ja nie jestem tak głęboki. Nie mam czego tłumić.

- Wszystko jest w porządku między mną i Owenem - powiedziała Abigail, czując, jak jej rozdrażnienie wraca. - Prawie skończyłam czytać książkę, którą pożyczyła mi Charlotte Augustine. Wiesz, że Lucyfer jest upadłym aniołem?

Bob wlepił w nią wzrok.

- No i?

- Keira pojechała do Irlandii, by zbadać legendę o aniele dwadzieścia cztery godziny po odnalezieniu Victora Sarakisa...

- Chcesz mnie wkurzyć, to proszę bardzo - powiedział Bob, rzucając drucianą szczotkę na grill. - Tylko pamiętaj o jednym. Jestem starszym detektywem i mogę kopnąć cię w tyłek, tak że polecisz stąd do Bunker Hill, jeśli się nie uspokoisz.

Abigail nie poddała się.

- Coś mi mówi, że jest jakiś związek między śmiercią Sarakisa a tym, co się przytrafiło Keirze w Irlandii. Też byś tak myślał, gdyby nie twoje emocje.

Wiedziała, że podważanie jego osądów i instynktów oraz mówienie mu, że jest emocjonalnie związany z tą sprawą, rozwścieczy go. I tak się stało. Wpatrywał się w nią, twarz mu poczerwieniała.

- Zabiorę ci to śledztwo.

- Tylko spróbuj. Zobaczysz, co ja na to. Zrobił się fioletowy, zaklął pod nosem i wbiegł po 202

zewnątrznych schodach do swojego mieszkania na drugim piętrze.

Abigail westchnęła. Czowała się kiepsko. Bob był jej przyjacielem i przeżył kilka trudnych dni. Nie powinna była go tak podpuszczać.

Zastanawiała się, czy pójść do niego na górę i przeprosić, ale porzuciła ten pomysł. Skończyłoby się to tylko jeszcze większą kłótnią.

Żadne z nich nie potrafiło się ostatnio z nikim dogadać.

Wróciła do domu po kluczyki do samochodu i wyszła.

Salon Jaya i Charlotte Augustine'ów w Back Bay znajdował się nad ekskluzywnym klubem fitness pełnym spoconych, szczupłych ludzi na bieżniach, stepperach, eliptykach i piłkach gimnastycznych. Obok bieżni zainstalowano telewizorki, a większość maszyn ustawiono przy dużych oknach wychodzących na ulicę. Abigail chodziła na policyjną siłownię. Nie była taka zła, choć urządzono ją niedbale.

Klaustrofobiczną windą wjechała na drugie piętro odnowionego budynku z cegły. Wyszła z niej do holu, gdzie stały dębowy sekretarzyk, pusty ergonomiczny fotel na kółkach i biurko z telefonem, komputerem i skrzynkami pełnymi papierowych teczek. Za biurkiem była ścianka działowa i zamknięte drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do głównego pokoju.

Drzwi się otworzyły. Liam Butler, asystent Sarakisa, wystawił głowę.

190

- Dzień dobry, pani detektyw - powiedział.
- Wydawało mi się, że słyszę windę.
- Wpadłam, żeby podziękować pani Augustine za książkę, którą mi pożyczyła.
- Znam tę książkę. To ja zaproponowałem, by ją pani pożyczyć. Fascynująca, prawda? Może pani wierzyć lub nie, ale na studiach są całe kursy o diable. Victor mógłby taki poprowadzić - dobrze się na tym znał.
- A pan?
- Nie jestem tak zwariowany na tym punkcie, jeśli mam być szczery. Miałem koszmary, kiedy zaczynałem dla niego pracować, ale po jakimś czasie przełamałem swój opór. Victor to rozumiał. Mówił, że to naturalne unikać stawiania czoła złu, nawet na płaszczyźnie intelektualnej.
- To mechanizm obronny-powiedziała Abigail.
- Czy mogę się tu rozejrzeć?
- Gdybym powiedział „nie”, potrzebowałaby pani nakaz, prawda?
- Gdyby powiedział pan „nie”, wyszłabym.
- Niech mnie pani nie kusi. Ale to by było prowokacyjne... Gdybym powiedział, żeby pani spadała?

Nie odpowiedziała. Pomyślała, że będzie potrzebowała więcej czasu, by lepiej poznać Liama Butlera. Miał na sobie chyba to samo ubranie, które widziała na nim podczas pierwszego spotkania. Jego włosy były bardziej przetłuszczone - miała wątpliwości, czy wziął prysznic. Nie wiedziała, czy to u niego normalne, czy nagła śmierć właściciela

191

mieszkania, przyjaciela i pracodawcy wytrąciła go z rytmu. Wydawał się tak niefrasobliwy, jak wtedy w pełnym diablów pokoju Victora. Abigail wiedziała z prywatnego i zawodowego

doświadczenia, że nie wszyscy przeżywają stratę tak samo. Zachowanie Liama - nawet pytanie o nakaz rewizji - nie było wcale takie dziwaczne.

- Mam klucz, jeśli się pani nad tym zastanawia - powiedział. - Przychodzę tu, kiedy Jaya i Charlotte nie ma w mieście. Najwyżej raz albo dwa razy w tygodniu.

- Nie zatrudniają nikogo?

- Czasem kogoś do recepcji, ale tylko gdy przychodzą klienci i potrzebują pomocy. Nie ma tu stałych godzin otwarcia. Większość klientów się z nimi umawia osobiście.

- Czy państwo Augustine wiedzą, że pan tu jest? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie widziałem ich. Wydaje mi się, że jeszcze do nas nie dotarło, co się stało. -

Otworzył drzwi na oścież i kiwnął ręką. - Chce pani wejść? Żartowałem tylko z tym nakazem. Nikt tu nie ma nic do ukrycia.

Abigail weszła do pokoju, który wyglądał, jak gdyby zajmował większą część drugiego piętra tego wąskiego budynku. Większe przedmioty - meble, posągi, kufry - stały w rzędzie na podłodze. Spojrzała na głębokie półki z kolorowymi porcelanowymi wazonami, małymi figurkami zwierząt i nagich wojowników, bogato rzeźbionym pudełkiem i starym orłem z brązu.

205

- Jay i Charlotte prowadzą dobrą dokumentację - powiedział Liam. - Wiedzą o wszystkim, co tu jest, łącznie z mysimi bobkami.

Abigail uśmiechnęła się. Jego poczucie humoru było zaraźliwe.

- Specjalizują się w czymś?

- Muszą myśleć pragmatycznie, ale gdyby mogli, sprzedawaliby tylko antyczne i wczesnośredniowieczne dzieła.

- Europejskie?

- Najchętniej tak.

Przeszła się między stertami drewnianych skrzyń.

- Na przykład?

- Nie wiem, trudno mi nawet dokumentować kolekcję Victora. Jay i Charlotte nie przechowują tu najcenniejszych rzeczy. Wiele z nich nadawałoby się do muzeum, a salon nie jest wystarczająco bezpieczny. Najcenniejsze przedmioty sprzedaje się inaczej - idą prosto z rąk sprzedawcy do kupującego. Państwo Augustine słyną z tego, że znają się na rzeczy i można im ufać.

- Dobrze im idzie ten interes?

- Większość rocznych dochodów przynosi im kilka dużych transakcji, przynajmniej tak mówił Victor.

Abigail nie miała powodu, by w to wątpić.

- Przeczytałam w tej książce, że antropomorficz-ne wizerunki szatana pojawiły się dopiero około szóstego stulecia. Czy państwo Augustine byliby zainteresowani...

- Nie interesują się diablem tak bardzo jak Vic

193

tor. Jest wiele innych motywów religijnych. Weselszych. Sprzedają sporo biżuterii i przedmiotów gospodarstwa domowego. - Liam uśmiechnął się lekceważąco. - Zdziwiłaby się pani, jaką popularnością cieszą się nocniki.

Abigail usłyszała, jak otwierają się drzwi windy.

- O! - zawołał Liam. - Złapano panią. Natrętna detektyw wraca z kolejnymi pytaniami.

Zignorowała go i wyszła do holu.

Oboje wydawali się zdziwieni, gdy ją zobaczyli, ale Jay zreflektował się pierwszy i przywitał się uprzejmie.

- Miło panią widzieć. W czym możemy pomóc? Nie odpowiedziała wprost.

- Prowadzą państwo ciekawą firmę. Czy zajmujecie się też sztuką celtycką?

- Kiedy możemy coś dostać - powiedziała Charlotte, wyraźnie zakłopotana.

Abigail wątpiła, czy Charlotte powiedziała mężowi, że dała książkę o diable detektyw prowadzącej dochodzenie w sprawie śmierci jej brata. Na pewno dla Augustine'ów prościej byłoby, gdyby śmierć Victora okazała się wypadkiem.

- Jest. duże zapotrzebowanie na sztukę celtycką - dodał jej mąż.

Abigail nie ciągnęła tego tematu i zastanawiała się, czyby to zrobiła, gdyby był z nią Bob.

- Czy pan Sarakis mógł tu wpaść...

- W dzień swojej śmierci? - zapytała Charlotte, łapiąc powietrze. - Nie, nie sądzę.

- Czy miał własny klucz? - zapytała Abigail.

Liam pokręcił głową.

- Nie przy sobie. Ja go miałem.

Jay usiadł przy sekretarzyku i obrócił fotel w stronę komputera.

- Może się pani rozglądać do woli, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, musimy trochę popracować.

- Na razie skończyłam.

- Gdzie jest pani kolega? - zapytała Charlotte. Jay stuknął w klawiaturę komputera.

- Pani jest tu sama - powiedział, rzucając Abigail chłodne spojrzenie. - Prawda?

Nie odpowiedziała.

- Jeśli będzie pani miała jeszcze jakieś pytania, wie pani, jak się ze mną skontaktować.

Gdy zjechała na dół, weszła do klubu fitness, by zadać kilka pytań. Nie było kierownika, ale zostawiła wizytówkę szczupłemu chłopakowi w recepcji.

- Proszę powiedzieć kierownikowi, by do mnie zadzwonił. - Wskazała na komputer. - Czy klienci klubu meldują się przy wejściu i wyjściu?

- Tylko przy wejściu.

- Pan prowadzi dokumentację?

- Tak. Wszystko jest w komputerze.

- Czy do klubu należą państwo Augustine? Chłopak skinął głową.

- Pani Augustine przychodzi częściej niż jej mąż. Ale kiedy on już przyjdzie - nie do wiary, co tu się wtedy dzieje. Korzysta z każdego urządzenia.

Abigail nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Dziękuję za pomoc.

195

- Nie ma za co.

Gdy wychodziła, zasalutował. Roześmiała się i poszła do samochodu, zdając sobie sprawę, że zupełnie nic nie działała. Przejechała kilka ulic do Beacon Street i zatrzymała się przed domem Garri-sonów. Gdy otworzyła drzwi samochodu, usłyszała irlandzką muzykę i przypomniała sobie, że to był jej dzień wolny. Nie musiała rozmawiać o diabłach, sztuce średniowiecznej i regulaminie siłowni. Mogła tańczyć z Owenem, nawet jeśli żadne z nich tego nie potrafiło. Zanim wyszła z auta, zadzwoniła jej komórka. Mężczyzna z silnym irlandzkim akcentem przedstawił się jako Seamus Harrigan, śledczy z irlandzkiej Gardy.

- Dzwoniła pani do mnie. W czym mogę pomóc? Abigail została za kółkiem i zamknęła drzwi.**
- Chciałabym porozmawiać o wypadku na półwyspie Beara. - Zawahała się na ułamek sekundy.**
- Chodzi o Amerykankę, Keirę Sullivan.**

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 23 czerwca godz. 20.00

Eddie O'Shea skulił się w ulewnym deszczu i gwałtownym wietrze. Gdy policja i Amerykanie wyjechali, zerwała się prawdziwa wichura. Jakie to romantyczne, pomyślał, przytrzymując czapkę i idąc dalej dróżką. Zostawił pub pod opieką swojego brata, Patricka; nie będzie tłumu, więc lokal chyba się nie spali przed powrotem Eddiego.

Krople deszczu kłuły go w twarz jak setki małych igiełek. Krajobraz był szarzielony.

Wydawał mu się zupełnie zwyczajny, ale przypuszczał, że Keira Sullivan uwieczniłaby go na obrazie tak, by wyglądał niezwykle. Eddie mieszkał tu przez całe swoje życie. Jego przodkowie żyli na półwyspie Beara od ponad tysiąca lat, a przynajmniej tak mówiła matka. Kto mógł temu zaprzeczyć?

**Pojawienie się we wsi jankeski irlandzkiego po-
210**

chodzenia, która przyjechała z powodu legendy o elfach czy innych bzdurach, nie było wcale niezwykle. Eddie na ogół nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

Ale ta historia i ta jankeska były inne.

Doszedł do zbocza wzgórza i przeszedł przez drewniany mostek nad krętym strumykiem, tak samo, jak to robił, od kiedy w wieku trzech lat po raz pierwszy wymknął się mamie.

Zatrzymał się przy ogrodzeniu i złapał oddech. Stał tyłem do wiatru. Trawa i kamienie będą śliskie. Będzie błoto i rozmokłe krowie placki. Eddie nie miał złudzeń co do tego, że mógłby zostać dobrym rolnikiem.

Nie chcę iść na pastwisko.

Ale wiedział, że musi, jeśli chce odzyskać spokój.

Policjanci, Keira i ten wielki mężczyzna - Simon Cahill - nie znaleźli w ruinach nic poza krwawymi zwłokami owcy. Eddie wyciągnął przynajmniej część szczegółów od Seamusa

Harrigana, detektywa z Gardy, który przyszedł do pubu na zupeł. Harrigan nie wiedział, co myśleć o zbieracz-ce folkloru z Ameryki i jej opowieści, ale w ruinach nie odnaleziono jej plecaka - ani, jak twierdził, żadnych irlandzkich znalezisk. Harrigan zmarszczył brwi, mówiąc „znalezisk”, ale nie dlatego, że jej nie wierzył. Powiedział Eddiemu, że Keira była szczerą - i bardzo piękną. Po prostu nie wiedział, co jest faktem, a co wytworem wyobraźni. Harrigan polubił Cahilla. Tak jak wszyscy.

198

Eddie popatrzył z niezadowoleniem na ogrodzenie. Zbyt długo już zwlekał. Gdyby był chłopcem, już by przez nie przelazi. Stał na kamieniu. Przechodząc przez płot, poczuł szarpnięcie w udo. Zahaczył spodniami o ostry kolec. Niemal słyszał, jak jego brat zanosi się od śmiechu - ale nie Patrick, który pilnował pubu. Był zawadiaką bez pracy i celu, ale zawsze pełen radości i nie mówił o nikim złego słowa. Eddie nie mógł tego powiedzieć o Ai-danie, rolniku, najstarszym z braci O'Shea.

Trzech braci - zupełnie jak w legendzie, którą ich babcia opowiedziała ich mamie, a ona przekazała im.

Tej samej, która przywiodła do Irlandii Keirę Sullivan, a wcześniej - jej matkę.

Musi tak być. Tylko to ma sens.

Eddie zapadł się na pięć centymetrów w błoto i nawóz po drugiej stronie płotu, ale nie upadł. W takie dni wolał zostać w pubie. Gotować zupę z jagnięciny, zamiatać podłogę albo po prostu siedzieć przy kuflu piwa i rozmyślać o swoim życiu.

Bardziej instynkt niż pamięć zaprowadził go na znaną z dzieciństwa ścieżkę przez pastwisko nad strumykiem. Chodził tędy z braćmi tysiące razy. Trzeba było przejść przez kilka płotów, pokonać wiatr i deszcz. Gdy Eddie znalazł się wśród drzew, poczuł niepokój i zarazem podniecenie. Przetrwał najgorszą wichurę. Zobaczył zdeptaną trawę, gdzie chodzili Keira, Simon i policjanci.

Eddie wiedział, że niczego nie znajdą.

Trzydzieści lat temu matka Keiry przyszła w to

199

samo miejsce. Przyjechała autobusem z Dublina i sama rozbiła namiot na wzgórzu. Eddie i jego bracia, którzy byli jeszcze nastolatkami, nie przeszkadzali jej. To były czasy przed rozkwitem gospodarczym w Irlandii, na długo zanim utworzono Beara Way - niemal dwustukilometrową płataninę oznakowanych szlaków, ścieżek i dróg, która ciągnęła się po obu stronach półwyspu.

Była popularna wśród piechurów i rowerzystów, a dzięki położeniu pubu na jej trasie Eddie odczuł większy ruch w interesie. Ale odosobnienie półwyspu Beara nie przeszkadzało Eileen O'Reilly.

Nie była ładna - a już na pewno nie olśniewała pięknnością, jak jej córka. Ale Eddie pamiętał, że była miła. Rozmawiała z jego matką na temat legendy o trzech braciach i walki z elfami o kamiennego anioła. Już wtedy jego mama była ostatnią osobą we wsi, która знаła tę opowieść. Tak samo jak Eileen wierzyła, że walka rozpocznie się na nowo, jeśli anioł zostanie kiedykolwiek odnaleziony. Ze tak musi być.

Eddie nie stracił nawet dwóch sekund na szukanie tej figurki.

Nie wierzył ani w kamiennego anioła, ani w elfy.

Więc dlaczego jesteś tutaj, zamiast w swoim ciepłym, suchym pubie?

Zły na siebie, Eddie przedarł się przez trawę i zarośla do ruin, tak szarych jak niebo nad nim.

To miejsce nie miało dla niego żadnych tajemnic. Nie odkrył nic nowego. Przychodził tu z braćmi wiele razy. Gdyby znajdował się jakiś kamienny anioł, na

213

pewno by go znaleźli. Nie był tu od kilku lat, jego bracia też nie.

W ostatnich godzinach życia mama Eddiego prosiła, by opowiedział jej historię, którą od niej usłyszał, a którą ona знаła z ust swojej matki.

- Tę o rolniku, mnichu pustelniku i próżniaku. Opowiedz mi ją, Eddie, synku...

Siedział na drewnianym stolku koło kominka i opowiadał, patrząc, jak mama odchodzi.

- Idę do aniołów, Eddie... Widzę świętą Itę... Była pobożna, wierzyła w anioły i elfy. Eddiego nic one nie obchodziły.

Zmarła dwa dni po tym, jak Eileen O'Reilly wróciła do Bostonu.

Deszcz nie padał już tak mocno. Eddie podszedł do ruin. W strumyku leżało zwalone drzewo - Sea-mus Harrigan opowiadał, jak razem z Simonem Cahillem przeciągnęli je tam sprzed wejścia do chatki. Odszukali resztki drabiny, którą zbudowała Keira, ale nie znaleźli nic więcej. Eddie czuł się strasznie z myślą, że Keira tam była, uwięziona i przestraszona, a on nic o tym nie wiedział. Razem z braćmi pospieszyliby jej na ratunek. To była kolejna część opowieści Keiry, która rozbawiła i zaciekała Harrigana - Keira utrzymywała, że przez większość dnia i nocy, które tu spędziła, nie bała się, pewna, że uda jej się stamtąd samodzielnie wydostać.

Choć Eddie znał ją od niedawna, nie zaskoczyła go jej siła i determinacja. Mniejsza o to, że te cechy mogły ją sprowadzić na manowce.

201

Podszedł do wejścia do starej chatki i wyraźnie zobaczył, że ziemia pod przednim rogiem muru od strony komina uległa erozji. Keira miała szczęście, że nie zginęła ani nie odniosła poważnych obrażeń.

A to co?

Marszcząc brwi, Eddie podszedł do miejsca, gdzie rosło zwalone drzewo. Wyżej na wzgórzu, koło komina - lub tego, co z niego zostało - rósł ostrokrzew. Wśród jego woskowatych liści i zdrowych gałęzi stała łopata, jak gdyby jakiś rolnik ją tam przed chwilą zostawił.

Czy to policjanci kopali nią w ruinach, gdy przeszukiwali je dziś rano?

Nie, pomyślał Eddie, pocierając opuszkami palców solidne stylisko łopaty. Nie zostawił jej tutaj rolnik ani policjanci. Nie potrafił powiedzieć, kto to był, ale wiedział, że zostawiono ją dla niego, jak gdyby ten, kto oparł ją o ostrokrzew, był pewien, że Eddie przyjdzie i przegapi łopatę, jeśli nie będzie jej miał pod nosem.

Z jego czapki sphywał deszcz. Przykucnął, by uważniej przyjrzeć się łopacie. Kawalki szarej zaprawy i świeże szczyrby na ostrzu wskazywały na to, że ktoś jej niedawno używał.

No i masz.

Eddie wstał i zdjął czapkę. Przetarł czoło ramieniem, czując zapach mokrej wełny. Ktoś tu kopał. I to kopanie sprawiło, że chatka zawałiła się, gdy Keira chowała się w środku przed czarnym psem.

Po co kopał?

Eddie znał odpowiedź na to pytanie.

215

Kopał, by znaleźć kamiennego anioła z opowieści jego matki.

Przypomnił sobie, jak Eileen O'Reilly wróciła do wsi tamtej jesieni. Mimo wełnianej peleryny nietrudno było dostrzec, że spodziewa się dziecka. Została wtedy tydzień. Spacerowała po wzgórzach przy każdej pogodzie, nie rozmawiała z nikim. Eddie chciał jej pomóc, ale co mógł zrobić? On i jego bracia właśnie pochowali matkę.

- Ach - powiedział głośno - to było dawno temu.

Wziął łopatę i zarzucił ją na ramię. Jeśli zostawiono ją tu dla niego, to on powinien dojść do tego, co z nią zrobić, prawda?

Gdy Eddiego dzieliło już tylko kilka metrów od dróżki, jego wzrok przyciągnęło coś koło skał na stromym zboczu nad nim. Znowu lało. Wiatr wyl, a mgła ruszyła na dół ze wzgórz jak jakieś żywe stworzenie. Wyobraził sobie, że znów siedzi w pubie, z kubkiem kawy z odrobiną whiskey i z czymś, co przygotował na kolację Patrick. Na pewno nie było to nic dobrego, ale przynajmniej było ciepłe.

Zimnymi palcami starł krople deszczu z twarzy, starając się zobaczyć, co takiego znajdowało się na wzgórzu. Cokolwiek to było, nie pasowało tam - w przeciwnym razie by tego nie zauważył.

Pierś ścisnęła mu się ze strachu.

Nie chcę tam iść.

Ale zanim zdążył to pomyśleć, już szedł w górę. Wzgórze robiło się coraz bardziej strome, więc zdjął łopatę z ramienia i podpierał się nią jak kijkiem,

203

choć wiedział, że w ten sposób niszczy pozostałe na niej ślady. Oglądał seriale kryminalne.

Wiedział o takich rzeczach.

Ciężko dyszał z wysiłku, a deszcz lał tak mocno, że przy każdym oddechu miał pełne usta wody.

Było tu mnóstwo kamieni, wystarczająco dużych, by na nich usiąść i podziwiać widoki - przy lepszej pogodzie, i gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy, by podziwiać ten krajobraz.

Kamienie, trawa, owce i owcze bobki. Oparł się o łopatę. Był gotów zrezygnować i uwierzyć, że to, co widział, było tylko pułapką wyobraźni.

Gdy się wyprostował, serce zabiło mu szybciej, a pierś ścisnęła się, tak że mógł oddychać tylko bardzo płytko, jak gdyby jego ciało już zareagowało na to, czego umysł nie mógł jeszcze pojąć. Między kamieniami leżała martwa owca - lub to, co po niej zostało. Jej wełna była nasiąknięta wodą. Choć stał daleko, Eddie widział, że musiała być martwa już od kilku dni.

Nie zginęła śmiercią naturalną.

To też widział. Jakiś łobuz brutalnie potraktował to biedne zwierzę. Dręczył je bezlitośnie, aż wydało ostatni dech.

Nigdy nie widział czegoś podobnego.

Zrobił znak krzyża, wziął łopatę i pobiegł w dół, ślizgając się na mokrej trawie i kamieniach, wpadając w bobki i błoto, starając się nie stracić równowagi na stromym zboczu.

Musiał zawiadomić policję, zadzwonić do Seamu-sa Harrigana i opowiedzieć, co przed chwilą zobaczył.

217

I musiał wymazać z pamięci ten obraz, pomyślał w rozpaczy, choć wiedział, że nigdy mu się to nie uda.

Widok tego żalosego, niewinnego stworzenia pozostanie z nim do końca jego dni.

Eddie pojawił się w pubie przemoczony do nitki, z łopata na ramieniu i sercem wciąż walącym ze strachu. Przestało padać. Postanowił, że ogrzeje się i wysuszy, zanim zadzwoni na policję.

Gdy zdejmował łopatę, automatycznie zerknął na stolik koło wejścia do pubu, by sprawdzić, czy Patrick go posprzątał. W jego stylu byłoby zapomnieć. Nawet gdy padało, ktoś czasem wychodził tu zapalić.

Eddie zauważył plecak leżący na ławce koło stolika. Nie pierwszy raz jakiś wycieczkowicz albo rowerzysta czegoś tu zapominał. Eddie postawił łopatę na ziemi, by przyjrzeć się plecakowi.

Otworzył główną kieszeń, ciesząc się, że może zrobić coś zwyczajnego - coś, co pozwoli mu choć na chwilę zapomnieć o martwej owcy... i o swoim niepokoju dotyczącym tego, co się stanie.

Znalazł latarkę, zwinięty koc, czapkę Red Soksów.

Z walącym sercem włożył rękę głębiej i wyciągnął szkicownik i plastikową torebkę z kredkami.

Wyprostował się, głęboko wstrząśnięty. Nie czuł się już zmarznięty ani głodny.

Przed jego pubem leżał zaginiony plecak Keiry.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Boston, Massachusetts 23 czerwca godz. 16.00

Keira wiedziała, że znów śni. Ale jakaś jej część była przekonana, że Simon się z nią kocha.

Wyraźnie czuła na swoim ciele dotyk jego dłoni. Byli razem, gdzieś w słońcu. Nie wiedziała gdzie, ale to się nie liczyło. Był wytrwały, czuły, tak niesamowicie podniecający. Wszedł w nią głęboko, a ona poddała się tysiącu różnych doznań, potrzebie zarówno emocjonalnej, jak cielesnej.

Obudził ją hałas.

- Lądujemy - powiedział Simon.

Keira usiadła prosto, wciąż podniecona. Simon rozwiązywał krzyżówkę sudoku. Nie dał jej znaku, że we śnie krzyknęła coś w ekstazie, więc pewnie tego nie zrobiła. Inaczej coś by powiedział.

- Miałaś jakieś sny?

206

- Tym razem nie o ślimakach i pajakach. - Zauważyła, że prawie wytarł gumką dziurę w jednym z kwadracików krzyżówki. - Nie powinieneś zgadywać. To tylko jeszcze bardziej ci miesza.
- Nie zgadywałem. Pomyliłem się.
- W każdym razie tu będzie siódemka. Spojrzał na nią.
- Niemożliwe, żebyś to wiedziała po dwóch sekundach.
- Możliwe. Zobacz. Na górze jest siódemka, na dole siódemka i...
- Masz rację. Siedem. - Uśmiechnął się do niej. - Nienawidzę tej gry.

Dziesięć minut później byli już na ziemi. Keira przestawiła zegarek na czas wschodnioamerykański. Nie była w Irlandii wystarczająco długo, by jej ciało przyzwyczało się do czasu brytyjskiego, ale nie było też dostosowane do czasu bostońskiego. Dwa loty przez Atlantyk w ciągu tygodnia, nie mówiąc o tym, co działo się pomiędzy, dały jej się we znaki. Tak samo jak siedzenie w samolocie tuż przy Simonie przez siedem godzin. Każdy nerw w jej ciele był naelektryzowany. Z kolei na Simona ta bliskość zdawała się w ogóle nie działać. Czując nagły przyływ gorąca, Keira zdjęła sweter.

- Mam nadzieję, że ty i Owen macie do omówienia jakieś sprawy związane z Fast Rescue. Nie chciałabym, żebyś podróżował na marne.

Wzruszył ramionami.

207

- Nie jestem aż tak zaangażowany w Fast Rescue.
 - A twoja praca?
 - Jestem akurat między zleceniami.
 - Masz jakąś rodzinę, którą mógłbyś odwiedzić? - Wyjęła torbę spod siedzenia, starając się opanować nagle uczucie paniki na myśl, że Simon się do niej przyczepi. - Ojca, matkę, braci, siostry, byłe żony, zwierzęta, dzieci - kogokolwiek?
- Zamknął książkę z sudoku.

- Nikogo z powyższych.
 - Nie jesteś chyba sam na świecie?
 - Tego nie powiedziałem.
 - A dziewczyny, narzeczona, była narzeczona, której jesteś winien pieniądze?
- Jego żywe, zielone oczy błyszczały z rozbawienia.
- Spanikowałaś na myśl, że będziesz mnie miała przy sobie, co?
 - Nie potrzebuję ochroniarza. Jestem pewna, że masz lepsze rzeczy do roboty...
 - Nie dzisiaj. - Wstał i wyszedł na korytarz. Choć był potężny, ruszał się z gracją. - Uspokój się.
- To nic niezwykłego przywiązać się do swojego ratownika.
- Nie uratowałeś mnie.
 - Wyciągnąłem cię stamtąd czy nie?
 - Tak, i jestem ci za to wdzięczna, ale wciąż uważam, że wydostałabym się stamtąd sama.
 - Opowiedz to swoim wnukom.

Nie zmiękł, gdy wysiedli z samolotu. Kiedy

przeszli odprawę celną i spotkali się z Owenem, Keira zapomniała o swoim ostatnim śnie erotycznym. Ale i tak upewniła się, że Simon będzie siedzieć z przodu, a nie na tylnym siedzeniu razem z nią.

- Twój wujek zaprosił cię na kolację - powiedział Owen.

- Zaprosił czy wezwał? - zapytała Keira.

- Czy to się u niego czymś różni? - Owen włączył się w sznur samochodów wyjeżdżających z lotniska. - Nie powie tego, ale cieszy się, że wróciłaś z Irlandii w jednym kawalku.

- Nigdy nie znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział. Keira oparła się w fotelu. Dokuczało jej zmęczenie i kiepskie samopoczucie po podróży. I nerwy, przyznała. Przyzwyczaiła się, że jest sama, że nikt się o nią nie martwi. Mogła być mądra, głupia, lekkomyślna, tchórzliwa - kogo to obchodziło? Miała przyjaciół i znajomych, ale żaden z nich nie pomyślałby nawet, by uderzyć na alarm, gdyby nie zadzwoniła z Irlandii, jak obiecała. Inne miała relacje z wujkiem Bobem, gdy mieszkała w San Diego, a inne teraz, gdy mieszkali w tym samym mieście.

Mężczyźni, pomyślała, patrząc na czarne włosy Simona w słońcu późnego popołudnia.

Przypomniała sobie, jak zanurzyła w nie swoje palce, jak gdyby była to rzeczywistość, a nie wywołany przyływem adrenaliny sen. Od kiedy przeprowadziła się z San Diego do Bostonu, rzadko umawiała się z mężczyznami.

222

nami. A wcześniej... Prawdę mówiąc, w jej życiu nie było przedtem nikogo, kto choć trochę przypominałby Simona. Speszyło ją to bardziej niż myśl, że jej reakcja na niego była naturalna, a nawet spodziewana w tych okolicznościach. Jeśli się w nim zakocha, nic dobrego z tego nie wyniknie. Simon wydawał się wyluzowany.

- No i co, Owen - powiedział od niechcienia - czy ustaliliście już z Ab datę ślubu?

Owen milczał chwilę, po czym oznajmił krótko:

- Nie.

- Skąd ta zwłoka?

Keira uniosła brwi, słysząc bezceremonialne pytanie Simona, ale Owen nie zmienił tonu.

- Nie zwlekamy. Abigail jest zajęta pracą. Dam jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała. Jestem cierpliwy.

- Uważaj, żeby nie pomyliła cierpliwości z obojętnością.

- Słowa mądrości Simona Cahilla?

- Żebyś wiedział. Małżeństwo odmieni wasze życie. Chcecie mieć dzieci, prawda? Ty pomiesz-kujesz tutaj, w Austin, w Maine... Jeździsz wte i we-wte, jak ci się podoba. Ab jest pochłonięta pracą i ostatnią sprawą. Jest uparta jak osioł.

- Simon, już mnie głowa boli.

- Ab o tym wszystkim myśli. Zapamiętaj moje słowa.

- Nie znosi, kiedy się ją nazywa Ab.

- To może Abby?

- Tego też nie lubi.

210

Simon uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze wiedzieć.

Abigail chodziła nerwowo po kuchni, gdy zjawił się Owen z Keirą i Simonem. Choć Owen uprzedził Keirę, i tak zdziwiła się, jak bardzo Abigail jest zaabsorbowana i zatopiona w myślach.

Simon, niezrażony, podszedł do Abigail i objął ją swoim wielkim ramieniem.

- Cześć Ab, kiedy ślub?

Spojrzała na niego ponuro i wysunęła się z uścisku.

- Nie pozwalaj sobie, Cahill.

- Czy właśnie zostałem skreślony z listy gości weselnych?

- Nigdy cię na niej nie było. - Rozchmurzyła się trochę i zwróciła do Keiry: - Bob już na was czeka w ogrodzie. Ja czekam na telefon.

Wszyscy zrozumieli aluzję i udali się do małego ogródka.

Scoop Wisdom klęczał przy grządkach z warzywami.

- Hej, Keiro - powiedział, wstając z metalowym durszlakiem pełnym świeżo zerwanego groszku.

Był mocno zbudowanym mężczyzną, miał ogoloną głowę i stanowczy wyraz twarzy. - Witaj w domu. Jak podróż?

- Była długa.

Spojrzał na Simona i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No pewnie.

224

Bob O'Reilly zbiegł po schodach z drugiego piętra i westchnął, widząc Keirę.

- Wyglądasz, jakby cię w samą porę wyciągnięto z tych ruin. Napędziłaś mi strachu.

- Przepraszam, że przysporzyłam ci zmartwień.

- Zachowujesz się tak od dziecka. Może powinienem się przyzwyczać.

- I od dziecka potrafię się świetnie zatroszczyć o siebie.
 - Nie miałaś wyboru, skoro twoja mama przez większość czasu przebywała w innym świecie. Dobrze, że wyrosłaś na wsi. Kiedy miałaś cztery lata, zadzwoniła do mnie spanikowana Eileen, bo nie mogła cię znaleźć. Rysowałaś coś na werandzie, a za chwilę byłaś już w lesie. Zapakowałaś sobie kilka kromek chleba i poszłaś szukać wrózek czy innego cholerstwa.
 - Żab - powiedziała Keira. - Pamiętam to.
- Simon, wyraźnie rozbawiony, usiadł przy okrągłym plastikowym stole; wyciągnął długie nogi, ręce złożył na brzuchu. Obserwował Keirę i jej wujka policjanta. Była zbyt niespokojna, by usiąść.
- Nie mam już czterech lat, Bob - powiedziała.
 - Dwadzieścia dziewięć to też nie tak znowu dużo. - Kiwnął głową Simonowi. - Dziękuję, że ją pan uratował.
 - Nie ma problemu.
 - Wiem, że Keira uważa, że brakowało trzech sekund, by wydostała się stamtąd sama...
 - Raczej trzech minut - poprawiła. Wuj wysunął gruby palec w jej stronę.

- Nie myśl, że nie jesteś podobna do matki, bo jesteś. Nie przepisujesz Biblii na koziej skórze w ciemnym lesie, ale malujesz elfy i osety i jedziesz w dzikie zakątki Irlandii zupełnie sama. Nie ma wielkiej różnicy.

- Mama nie pisze na koziej skórze, tylko na pięknym papierze bawelnianym. Prawdziwe iluminowane rękopisy powielano na pergaminie z cielęcej, owczej lub koziej skóry, ale trudno go dziś dostać, a poza tym jest bardzo drogi.

- Nie prowokuj mnie.

Scoop opuścił swój ogródek warzywny z durszlakiem pod pachą.

- O co chodzi z twoją siostrą, Bob?

- O nic. - Złapał puszkę podpałki do grilla i polał nią stosik węgla. - Zapomnij.

Keira zauważyła, że oczy Simona zwęziły się, jak gdyby właśnie poznał jakąś jej tajemnicę.

Zwróciła się do Scoopa:

- Moja mama jest pobożną pustelniczką. Mieszka sama w chatce w południowym New Hampshire.

- Od kiedy?

- Od zeszłego lata. Między innymi dlatego wróciłam do Bostonu.

Scoop był wyraźnie w szoku. Keira wiedziała dlaczego. Młodszy detektyw znał jej wujka od lat, ale Bob widocznie nigdy nie wspomniał o tym, że jego siostra została pustelniczką.

- Czy ona jest... no wiesz...

- Zdrowa psychicznie? Tak - powiedziała Keira.

226

- To dobra, miła osoba. Pojechałam ją odwiedzić przed wyjazdem do Irlandii. Ma się dobrze. Pracuje nad iluminowanym rękopisem, połączeniem kaligrafii i ilustracji do Biblii. Prawdziwe iluminowane rękopisy pochodzą sprzed wieków...

- Zanim jeszcze wynaleziono druk - powiedział pragmatyczny Scoop.

Abigail wynurzyła się ze swojego mieszkania. Była spięta. Utkwiła wzrok w Keirze.

- Rozmawiałam właśnie z detektywem z Gardy, którego spotkaliście dziś rano...

- Seamus Harrigan. - Keira opadła na krzesło.

- Co się stało?

- Barman ze wsi, Eddie O'Shea, natknął się na martwą owcę, której krew była w ruinach.

- Czy ten pies...

- Nie - powiedział poważnie Simon. Stanął za Keirą i położył dłoń na jej ramieniu. - To nie pies, prawda?

Abigail pokręciła głową.

- Nie. Ktoś celowo ukatrupił owcę. To była samica. Pokrojona. - Abigail odwróciła na chwilę wzrok i wpatrywała się w ziemię, jak gdyby nie chciała patrzeć w oczy nikomu w ogrodzie. - To musiał być przerażający widok.

- Biedne zwierzę - szepnęła Keira. Wywracał jej się żołądek na myśl o krwi i strzępkach wełny w ruinach. Napotkała wzrok wujka, spojrzała znów na Abigail. - Jak się czuje Eddie?

Abigail westchnęła lekko.

- Harrigan mówi, że był wstrząśnięty. O'Shea

całe życie spędził wśród owiec, ale czegoś takiego jeszcze nie widział.

- Gdzie leżała ta owca? - zapytał Simon.

- Jakieś trzysta metrów nad ruinami. Na stromym wzgórzu między kamieniami. Kiedy wy i policjanci odjechaliście, O'Shea postanowił sam zbadać ruiny. Wracał inną drogą i zauważył owcę.

- Więc ktokolwiek to był... - Keira umilkła, wyobrażając sobie piękny, surowy krajobraz. - Ktokolwiek rozszarpał owcę albo zabrał krew i wnętrzności na dół, albo wciągnął ciało na górę.

- Możliwe, że ten ktoś używał ruin jako kryjówek, a nawet bazy do swoich zabaw - stwierdziła Abigail. - Harrigan powiedział, że szukają okaleczonych zwierząt i sprawdzają, czy nie zgłoszono podobnych wypadków w innych częściach Irlandii. Są otwarci na różne wyjaśnienia.

- Czy Eddie kogoś widział? - zapytała Keira.

- Nie powiedział nic policji. Chyba że masz iia myśli elfy...

- Nie mam na myśli nikogo ani niczego.

Keira próbowała uciec przed badawczym spojrzeniem Abigail. Bob podniósł worek z węglem i dorzucił trochę do grilla.

- No więc, Abigail - zaczął zwodniczo łagodnym tonem - o czym rozmawiałaś z naszymi kolegami z Gardy?

- Harrigan do mnie zadzwonił.

- Skąd miał twój numer?

- Zadzwoniłam tam i podałam go. Harrigan od-dzwonił. Na początku miałam kłopoty ze zrozumie-

215

niem jego akcentu, ale gdy go teraz słyszę, mam ochotę lecieć do Irlandii.

- Abigail.

- Chciałam wiedzieć, co się dzieje, więc zadzwoniłam. To proste.

- Nie ma związku między ciałem w Ogrodzie Miejskim i krwawym ścierwem w Irlandii.

Abigail zignorowała go i zwróciła się do Keiry:

- Czy mogłabyś opowiedzieć nam dokładnie, co się działo w Irlandii? Wiem, że rozmawiałaś już z Seamusem Harriganem...

- Nic się nie stanie, jeśli opowiem to jeszcze raz - odparła Keira.

Czekała na jakąś reakcję ze strony wujka, ale nie skomentował tego. Simon opadł na krzesło tuż koło niej. Abigail, wciąż spięta, usiadła na ogrodowym krześle koło Owena, który patrzył niemal wyłącznie na nią. Keira nie mogła nie zauważyć, jak bardzo jest zakochany w Abigail. A ona - w nim. Automatycznie podeszła do niego. Trudno było nie dostrzec jej fatalnego nastroju. Była zaledwie rok lub dwa starsza od Keiry, ale całkowicie poświęciła się egzekwowaniu prawa po tym, jak zamordowano jej męża. Keira nigdy nie przeżyła takiej tragedii.

Scoop usiadł przy stole ze swoim durszlakiem i zaczął obrywać końcówki strąków. Bob rozpałił grilla i odsunął się. Patrzył na ogień, słuchał. Keira jak nigdy dotąd była świadoma obecności Simona, który siedział tak nieruchomo jak w samolocie i patrzył na nią, gdy wyjaśniała, jak znalazła się w ruinach na chłostanym wiatrem wybrzeżu Irlandii.

229

Trzymała się faktów i nie rozwodziła nad swoimi emocjami i pytaniami. W czasie krótkiego pobytu w akademii policyjnej nauczyła się jednego: jak rozmawiać z policjantami.

Gdy skończyła, Scoop, który obral już połowę groszku, pokręcił głową.

- Nie wierzę, że te ruiny zawały się same. Ktoś im musiał pomóc.

- Może elfy - wtrącił Bob.

Keira zauważyła, jak zmienia się wyraz twarzy Abigail.

- To nie wszystko, prawda? Abigail pokiwała głową.

- Chciałam najpierw usłyszeć twoją wersję. Barman mówi, że kolo ruin znalazł łopatę, zanim natknął się na owcę.

Simon wyprostował się.

- Gdzie?

- Była oparta o drzewo tak, że nie mógł jej nie zauważyć. Harrigan mówi, że nie było jej rano, bo inaczej by ją zobaczył.

- Wczoraj też jej nie było - powiedział Simon. Keira poczuła pieczenie słońca na karku.

- Nie widziałam jej. Czy zdaniem policji ktoś odwiedził ruiny po naszym wyjeździe a przed przyjściem Eddiego?

- Być może - powiedziała Abigail.

- Ja nie zamierzam denerwować się głupią łopatą - stwierdził Bob, po czym spojrzał na Abigail. - Ale ciebie gryzie coś innego. O co chodzi?

217

Abigail z powrotem usiadła i zwróciła się do Keiry:

- Eddie O' Shea znalazł też twój plecak - na stole przed swoim pubem.

Ta wiadomość zaskoczyła Keirę.

- Jak on się znalazł w pubie? Przecież był w ruinach. Nie wiem, czy przysypał go gruz czy nie. Policjanci chcieli wejść dziś do środka, ale daleko nie dotarli. To było zbyt ryzykowne.

- Przeżyłaś trudne dwadzieścia cztery godziny - powiedziała Abigail. - Byłaś skoncentrowana na kamiennym aniele i owczej krwi. Czy to możliwe, że plecak znajdował się koło wejścia, nawet po zawaleniu?

- Nie wiem. - Keira zerwała się na równe nogi, bardziej wstrząśnięta, niż chciała przyznać. - W plecaku był klucz do chatki, którą wynajęłam.

Abigail potrząsnęła głową.

- Już go tam nie ma.

Scoop wrzucił ostatni strączek do durszlaka.

- To by wyjaśniało otwarte drzwi i zaginioną kartkę. Nasz przyjaciel wszedł do środka, zabrał notatkę i zapomniał zamknąć drzwi. Porzucił plecak, a jakiś piechur znalazł go i zostawił w pubie.

- Być może - zgodziła się Keira. - Ale skąd ktoś miałby wiedzieć, że zostawiłam tę kartkę? Poza tym nie zauważyłam, żeby coś jeszcze zginęło.

Bob westchnął.

- Nie wierzę, że pojechałaś do Irlandii z powodu jakiejś historii o elfach.

- To wspaniała opowieść, a ja pojechałam do

231

Irlandii, żeby wykonać swoją pracę. Ty przeprowadzasz śledztwo w sprawie zabójstw, a ja - starych historii.

Wuj odsunął się od płomieni.

- Kiedy przeprowadzam śledztwo, nie zakładam, że to elfy popełniły zabójstwo. Ty nie jesteś detektywem, Keiro. Nie myślisz jak detektyw. Nie masz praktyki.

- Nie utknęłam w ruinach, bo próbowałam być kimś, kim nie jestem.

- Pewnie nie. - Gdy tym razem na nią spojrział, jego oczy były przepelnione bólem i niepokojem.

- Strasznie tam było?

Ścisnęło jej się gardło.

- Trochę. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Były ślimaki.

Scoop skrzywił się.

- Nienawidzę ślimaków. - Skinął na swój ogródek. - Musiałem wkroczyć na ścieżkę wojenną przeciwko nim w czasie deszczów kilka tygodni temu. Wszystko zjadały. Jakie ślimaki tam były?

- Czarne, piętnastocentymetrowe... Wzdrygnął się.

- Przestań. Nie mogę tego słuchać.

Nawet Abigail uśmiechnęła się na myśl, że Scoo-pa i Wisdoma przerażają ślimaki.

- Od kogo usłyszałaś opowieść o braciach i elfach?

Bob wyjął paczkę gotowych hamburgerów z przenośnej lodówki.

- A jaka różnica? - Rozdarł opakowanie i ułożył

219

hamburgery na grillu. - Scoop, starczy groszku dla wszystkich?

- Jest nawet więcej. Abigail nie odpuściła.

- Co z tą opowieścią, Keiro?

- Daj spokój - powiedział Bob.

- Tylko pytam, Bob. To nie jest przesłuchanie. Ależ tak, pomyślała Keira, odzyskując nagle jasność umysłu. Abigail przeprowadzała dochodzenie, co irytowało Boba. Keirze wydawało się, że jego reakcja jest niewspółmierna do przewinienia. Zaczęła podejrzewać, że ma to coś wspólnego z wyprawą jej matki do Irlandii trzydzieści lat temu.

- Nieważne - powiedziała cicho Abigail. - Przepraszam, Keiro. Miałś ciężki dzień...

- Opowiedziała mi ją kobieta, która mieszka przy ulicy, gdzie wychował się mój wujek i matka. Podobno mama szukała tej wioski podczas pobytu w Irlandii przed moim urodzeniem.

Bob kipiał ze złości.

- Odwiedziła wiele miejsc w czasie tej podróży, a poza tym to było trzydzieści lat temu. Zostaw ją w spokoju.

Keira zwróciła się do Simona, próbując rozładować atmosferę.

- Teraz ktoś mógłby mnie uratować.

- E tam - uśmiechnął się krzepiąco. - Z tego też wybrniesz za trzy minuty.

- Mogłabyś narysować nam tego anioła? - poprosiła Abigail. - Psa, ruiny?

233

Keira nie kryła ulgi, jaką przyniosła jej zmiana tematu.

- Mogę spróbować.

- Poszukam czegoś do rysowania. - Abigail weszła do mieszkania i wróciła po chwili ze stertą papieru do drukarki i kubkiem pełnym kredek i mazaków. - Wiem, że nie do takich przyborów jesteś przyzwyczajona...

- Są w porządku. Dziękuję.

- To pomoże wyobrazić nam sobie, co przeszłaś, a poza tym może odświeżyć ci pamięć, ujawnić jakiś szczegół, o którym nie pomyślałaś.

Keira przejrzała zawartość kubka i wybrała czarny cienkopis.

- Nie wiem, czy uda mi się ująć piękno tego wieczoru. Moi przodkowie pochodzili z Irlandii - powiedziała. - Mój prapradziadek O'Reilly przyjechał do Ameryki w czasie głodu w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Moja babcia urodziła się w Irlandii.

- Ale to nie była twoja pierwsza wizyta w Irlandii? - zapytała Abigail.

- Czwartą. Eddie O'Shea i jego bracia mieszkają na półwyspie Beara całe życie. Ich rodzina żyje tam od stuleci. Ja jestem wiecznym tułaczem, więc pociąga mnie ta trwałość.

Simon nachylił się nad stołem tak, by jej nie przeszkadzać.

- Czy Patsy McCarthy pochodzi z tego półwyspu?

- Nie, z innej wsi w zachodnim Cork. Jej dziadek

221

pracował w kopalni miedzi. Złóża miedzi przyciągnęły osadników. Ruiny znajdują się na wzgórzu ponad megalitycznym kamiennym kręgiem. Niektórzy wierzą, że to siedlisko elfów. Przez chwilę wpatrywała się w czystą kartkę, wyobrażając sobie irlandzki krajobraz, ukryte ruiny, bluszcz, warczącego psa. Czy on warczał? Czy chciał ją skrzywdzić? Czy może zareagował tak na martwą owcę?

- Nie było tam owczej krwi - wyszeptała. - Nie wtedy, kiedy ja tam przyszłam.

Pozwoliła, by instynkty poprowadziły cienkopis po kartce. Rysowała szybko, ale uważnie, starając się dokładnie ująć szczegóły.

Odłożyła cienkopis. Zauważyła, że hamburgery skwierczą na grillu. Scoop zaniósł groszek na górę. Abigail siedziała oparta na krześle, Owen - obok niej. Bob wciąż stał przy grillu. Simon się nie poruszył.

- Nie wierzę, że czułam się bezpieczna, gdy parę metrów dalej ktoś rozlewał krew rozszarpanej owcy. - Keira spojrzała na dwoje detektywów i dwóch ratowników. - Ktoś tam był. Ten głos mi się nie przyśnił.

- Ale i tak czułaś się bezpieczna - powiedział jej wuj, już bez srogości w głosie.

- Potem. Nie na początku. Tylko później, w ciemnościach. - Spojrzała na swój szkic. Były na nim najważniejsze rzeczy. Pies, strumyk, szary kamień, gruz. Zwalone drzewo. I przynajmniej jakaś sugestia nastrojowego światła. - Tak, czułam się bezpieczna.

235

- A anioł? - zapytała Abigail. - Mogłabyś go narysować?

- To nie będzie takie łatwe. Mogę narysować to, co zobaczyłam, co pamiętam. Nie będzie miał szczegółów, o jakie pewnie ci chodzi. - Kilka falstartów i kilka odłożonych kredek i mazaków później udało jej się narysować anioła; przypominał tego, którego widziała tamtej nocy. - Nie potrafię... - westchnęła. - Tamten był piękniejszy. Prawdziwe dzieło sztuki.

Bob nachylił się nad nią.

- Patsy zawsze lubiła anioły - powiedział. Coś w jego głosie sprawiło, że Keira spojrzała na niego. Bob szybko wrócił do grilla. Scoop zszedł na dół z miską gotowanego groszku, a Abigail i Owen przynieśli tacę z papierowymi talerzykami, przyprawami, bułkami i miską pełną zielonej sałaty. Keira zdała sobie sprawę, że to u nich rytuał.

- Jesteś zmęczona podróżą? - zapytał Simon, przysuwając się.

Przypomniała sobie dotyk jego uda w samolocie podczas długiego lotu przez Atlantyk.

- Bardzo. Ta owca mnie niepokoi, Simon. Eddie O'Shea nie zasłużył sobie na takie okropieństwo. Jeśli to ja ściągnęłam do wsi tego, kto zabił to biedne zwierzę...

- Nie jesteś odpowiedzialna za czyny innych ludzi.

Jego proste, zwięzłe słowa pomogły jej wziąć się w garść, ale nie odeгнаły poczucia winy.

- To nie przypadek - powiedziała. - Ta historia, moja obecność, martwa owca...

223

- Też tak uważam.

I ten człowiek, który się utopił, pomyślała. Czy jego śmierć też była przypadkowa?

- Jutro rano pojedę do Patsy - powiedziała nagle. Oczy jej wujka były przymknięte.

- To stara kobieta, Keiro.

- Wiem. Będę uważać na słowa. Nie chcę jej denerwować. Po prostu muszę wiedzieć, czy jest jakaś część tej opowieści, jakiś szczegół, o którym nie myślała od lat, a który mógłby rozjaśnić tę sprawę. Potem porozmawiam z Colmem Dermottem.

- **Chcesz wrócić do Irlandii? - zapytała Abigail.**
- **Chciałabym, ale nie zamierzam wracać sama do chatki, dopóki nie dowiem się, co się tak naprawdę dzieje. Może irlandzka policja odkryje, że owcę zabił jakiś turysta, który nie ma nic wspólnego ze mną.**
- Nikt nic nie powiedział. Wszyscy uważali, że ta biedna zmaltretowana owca jak najbardziej miała coś wspólnego z tym, co przeszła Keira.**
- Czując nagły przypływ energii, sięgnęła po jasnozielony mazak i na czystej kartce narysowała zadziornego leprechauna.**
- Scoop Wisdom udał, że trzęsie się ze strachu.**
- **No nie wiem, Keiro. Wolałbym chyba spotkać wrednego czarnego psa we mgle niż tego gościa.**
- Wszyscy roześmiali się, ale gdy podano kolację, Keira nie wzięła nawet kawałka mięsa.**

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Beacon Hill Boston, Massachusetts 23 czerwca godz. 21.00

Gdy tylko Owen zatrzymał się przed domem Garrisonów na Beacon Street, Keira zabrała torbę z tylnego siedzenia i wyskoczyła z samochodu, zatrzaskując drzwi za sobą. Simon obserwował, jak biegnie do drzwi.

- Ma mnóstwo energii jak na kogoś, kto tyle przeszedł w ciągu ostatnich kilku dni.
- Może chce zachować jakiś dystans między wami - powiedział Owen.
- Pewnie tak.
- Simon... - Owen westchnął. - Co się, do jasnej cholery, dzieje?
- Sam chciałbym wiedzieć.

Simon patrzył, jak Keira kładzie torbę na schodach i wyjmuje klucze. Gdyby zaniknęła drzwi od

238

środka, zawsze mógł poprosić Owena, by go wpuścił. To był koszmarne lot. Rozwiązywał jedną krzyżówkę sudoku po drugiej, by nie zasnąć. Gdy zdarzyło mu się zdrzemnąć, śnił o seksie z kobietą siedzącą obok niego.

Przyznał, że czuł niepokój. Był przyzwyczajony do operacji ratunkowych, zmieniania stref czasowych. Do długich lotów też. Więc powodem niepokoju musiała być Keira. I kłopoty, w które się wpakowała.

Pocałunek pośrodku smaganego wiatrem krajobrazu Irlandii.

- A co z Johnem Marchem? - zapytał Owen. Simon nie chciał, by obraz twarzy dyrektora FBI przerywał mu wspomnienie pocałunku z Keirą, ale nic nie mógł zrobić.
- To znaczy?
- Czy on wie, że tu jesteś?

- Nagrałem mu wiadomość, zanim wyjechałem z Londynu. Powiedziałem, że muszę uratować panienkę w opresji. - Simon wzruszył ramionami.
 - Nie oddzwonił. Owen, im mniej wiesz o moich związkach z Marchem, tym lepiej . W każdym razie nic się za mną nie ciągnie, jeśli o to pytasz.
 - Nie wiem, czy powinienem był dzwonić do ciebie do Londynu.
- Simon zdobył się na dowcip. - Oszczędziłbyś mi nocy w irlandzkiej chatce z płowowłosą księżniczką elfów.
- Simon... na Boga... - Owen znów westchnął.
 - Czy ty wiesz, co robisz?

- Zamierzam zanieść swoją torbę na górę. Na którym piętrze jest mieszkanie bez telefonu?

- Na drugim. Ostatnie schody są wąskie i strome - dodał. - Nie przewróć się.

Simon wziął torbę z tylnego fotela, podziękował Owenowi za podwiezienie i, z nową energią, udał się do eleganckiej ceglanej kamienicy, wbiegł po schodach i chwycił drzwi w ostatnim momencie, zanim się zatrzasnęły.

Keira go wyprzedziła. Pobiegł za nią, przeskakując po dwa lub trzy schodki, ale zaraz zwolnił. Owen nie żartował. Ostatnie schody były bardzo wąskie i strome, niezaprojektowane z myślą o osobach rozmiarów Simona.

Gdy dotarł na poddasze, zauważył, że Keira zostawiła drzwi lekko otwarte. Wziął to za dobry znak.

- Możesz wejść, ale uważaj na głowę - powiedziała.

Musiał się schylić, przechodząc przez drzwi. Mieszkanie miało niskie, skośne sufity, ale otwarta przestrzeń łagodziła poczucie klaustrofobii. Sosnowy stół służył jako biurko - to rozwiązanie zastosowała też w irlandzkiej chatce. Wzdłuż jednego z brzegów stołu leżały przybory do rysowania. Otwarte regały pełne były książek i różnych przyborów, a na rozklekotanym stoliku widniał komputer z wielkim płaskim ekranem. Przy trzech oknach z widokiem na park stały kanapa, krzesło i niski stolik.

Simon rzucił torbę na porysowaną drewnianą

227

podłogę. Keira patrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Simon. Przeżyłam kilka trudnych chwil, ale nie chciałabym nadużywać twojej uprzejmości.

- Powiedz mi, że chcesz zostać sama, w bardziej przekonujący sposób.

- Nie spodziewałam się... - Zamilkła, próbując się opanować. - Nie spodziewałam się wiadomości o tej owcy. Ciągle myślałam o krwi... No i ta łopata, mój plecak... Strasznie mi szkoda Eddiego...

- Wygląda na człowieka, który niejedno już widział.
- Poza tym ma braci i tych wszystkich gości w pubie. - Ta myśl zdawała się ją trochę pocieszać. - To dziwne, że mój plecak się tam pojawił. Może Scoop ma rację, że znalazł go jakiś wędrowiec, zostawił w pubie i poszedł w swoją stronę. Ale być może to był ktoś, kto wiedział dokładnie, co to za plecak i zostawił go Eddiemu. Ktoś, kto chciał pozostać anonimowy. Wczoraj wspomniałeś, że widziałeś mężczyznę...
- Ty też go widziałeś, prawda? Pokiwała głową.
- Odbiliśmy dziwną rozmowę dzień przed moim uwięzieniem. Nie była złowroga, po prostu dziwna. Jak gdyby wiedział coś o mnie.
- Książę elfów? - Ton Simona był tylko w połowie beztroski.
- Zmęczony życiem, jeśli już - powiedziała Keira, zdobywając się na uśmiech. - Nie mówię, że

on ma z tym coś wspólnego, a już na pewno nie twierdzą, że zabił owcę.

- Seamus Harrigan wydaje się kompetentny. Przeprowadzi dochodzenie...

- Tak. - Odwróciła wzrok, lecz zauważył, że jej oczy są pełne łez.

- Keiro...

- Jest jeszcze jeden kawałek tej układanki. Nie wiem, gdzie ani czy w ogóle pasuje. Moja mama wróciła z Irlandii w ciąży. Rzuciła studia. Nigdy nie opowiadała o tym, co się stało. Kiedy pytam ją

o ojca, ona tylko... - Keira wciągnęła powietrze

1 odwróciła się w jego stronę. - Mówi, że moim ojcem był John Michael Sullivan. Właściwie był. Zaadoptował mnie po tym, jak ożenił się z mamą, miałam wtedy rok. Zginął w wypadku samochodowym, gdy miałam trzy lata. Prawie go nie pamiętam.

- Przykro mi, Keiro.

- Wszyscy mówią, że był wspaniałym człowiekiem. Mój wujek go bardzo lubił. Był elektrykiem. Stał się skałą, której potrzebowała moja mama.

- Pojechałaś do Irlandii, by odnaleźć swojego biologicznego ojca?

- Tak i nie. - Całe napięcie i strach z ostatnich dni skumulowały się. Zamrugła oczami, by ukryć łzy. - Pojechałam tam z powodu opowieści Patsy i książki, którą piszę. Ale też po to, by znaleźć jakieś odpowiedzi, albo przynajmniej pogodzić się z tym, że ich nie znam. Miałam szczęśliwe dzieciństwo, Simon. Moja mama jest kochającą, otwartą, głęboko wierzącą kobietą. Jednak w ostatnich latach zaczęła

229

się coraz bardziej oddalać od wszystkich i wszystkiego, co zna.

- Obwiniasz się o to?

- Jeśli ona tego chce, zaakceptuję to. Po prostu... - Keira przejechała palcami po włosach, a na jej twarzy pojawiło się zmęczenie. - Może gdybym została bliżej domu, gdybym bardziej interesowała się jej życiem...

- Keiro, przestań. Nie jesteś odpowiedzialna za szczęście swojej mamy.

- Co innego to wiedzieć, a co innego czuć. Tak naprawdę nie jestem nawet pewna, że zaszła w ciążę w Irlandii.

- Mnich w tamtej opowieści był pustelnikiem. Myślisz, że to zainspirowało twoją mamę? Uniosła ramiona i pozwoliła im opaść gwałtownie.

- Nie wiem.

- Próbuję wyobrazić sobie twoją mamę. Przypomina bardziej ciebie czy jej brata? Keira spojrzała na niego; pomyślał, że posunął się za daleko. Jednak po chwili dostrzegł błysk w jej oczach, nutkę uśmiechu.

- Jesteś niemożliwy, Simon. Wiesz o tym, prawda?

- Kto się dużo śmieje, ten długo żyje. A przynajmniej dobrze. Wszedł do jej mikroskopijnej kuchenki, wziął z półki dwie szklanki i butelkę whiskey marki Jameson. Keira go nie potrzebowała. W razie kłopotów mogła zadzwonić do któregoś z policjantów,

243

a poza tym była inteligentna, zdolna i zaradna - i mimo wszystko wcale nie lekkomyślna.

Postawił szklanki na kuchennym blacie. Otworzył butelkę i nalał trochę whiskey.

Podał jej szklankę i patrzył, jak pije.

- Keiro, chciałbym, żebyś wiedziała, że nie mam w zwyczaju całować kogoś, kogo uratowałem.

Nieważne, czy ten ktoś ma wątpliwości, kto go tak naprawdę uratował. Dziś rano...

- Wydaje się, jakby to było milion lat temu, prawda?

- Właściwie nie.

Jej policzki zaróżowiły się. Pomyślał, że to nie z powodu zakłopotania. Ona też wspominała ich pocałunek.

- Simon, wiem, że wyświadczasz przysługę Owenowi...

- Zrobiło się z tego coś więcej.

- Chyba tak. Nie wiem zbyt wiele o tobie, a tutaj... coś takiego. - Podeszła do stolika. - Jak to się stało, że zostałeś ratownikiem?

- Zacząłem nabywać pewnych umiejętności w szkole średniej i na uniwersytecie. Mój ojciec zmarł, kiedy miałem czternaście lat. Uczenie się, jak przeżyć i pomagać innym ludziom w ekstremalnych warunkach, dało mi jakieś zajęcie.

- Co się stało z twoim ojcem?

- Zabito go podczas służby. Był agentem Administracji Legalnego Obrotu Lekarstwami.

- To straszne. Masz rodzeństwo? Simon pokręcił głową.

231

- Mam kuzynów. Moja mama wyszła za mąż za faceta z trójką dzieci. - Podeszedł do stołu i podniósł książkę z piękną okładką, na której dziewczynka biegła przez baśniowy las. Od razu rozpoznał charakterystyczny styl Keiry. Zbiór baśni. Jej zdjęcie z kwiatami we włosach było z tyłu. - Czy to niedawno wydana książka?

- Ukazała się w ubiegłym roku. Na ogół nie trzymam swoich książek na widoku. Wolę się skupić na bieżących projektach. Ale sprawdzałam jeden wiersz przed wyjazdem do Irlandii. „Skrzaty” Williama Allinghama. „A kto by się ośmielił bez ich przyzwolenia”...
 - „Gonić po górach płowego jelenia”*. Keira uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona.
 - Znasz?
 - Mój ojciec mnie tego nauczył.
 - Zabawny wiersz. Niektórzy wierzą, że istoty z irlandzkich opowieści to anioły, które nie są na tyle dobre, by dostąpić zbawienia, ale też nie tak złe, by zostać potępione. Inni uważają, że to resztki starych pogańskich bogów i bohaterów, którzy musieli zejść do podziemi. Nie mam zamiaru udowadniać ani obalać opowieści Patsy. Po prostu chcę ją dokładnie utrwalić. Poza tym chcę stworzyć ilustracje, które uchwycą istotę tej legendy.
 - Zaangażowałaś się w to emocjonalnie.
 - Nie do końca. Przed aukcją odwiedziłam ma
- * Przel. Małgorzata Goraj, Ernest Bryll. Wiersz ze zbioru „Legendy irlandzkie”, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2005.

mę, zadałam jej parę pytań - nie otrzymałam odpowiedzi.

Simon zauważył, że Keira znów się spięła, i zmienił temat.

- Potrzebujesz ciszy i spokoju, by pracować?

- To zależy. - Zdjęła sweter i rzuciła go na oparcie krzesła. Wyglądała teraz na bardziej rozluźnioną. - Czasem zupełnie zapominam się w tym, co robię, i nic mnie nie rozprasza. Mogłabym być gdziekolwiek i to nie miałyby znaczenia. Ale czasem potrzebuję absolutnej ciszy i spokoju. Mieszkam na poddaszu, ale nie jestem typem artystki ze strychu.

- A co z chatką, którą wynajęłaś w Irlandii?

- Chciałam mieć trochę czasu dla siebie, ale też być wśród ludzi.

- No i miałaś misję. Pokiwała głową.

- Miałam zarówno osobiste, jak i zawodowe powody, by pojechać do Irlandii. Powinnam była powiedzieć ci o tych osobistych. - Wypiła szybko dwa łyki whiskey i odstawiła szklankę, po czym wskazała na kanapę. - Rozkłada się.

- Nie tak jak ta w chatce - powiedział. - Co będzie, jeśli znów przyśnią ci się ślimaki i pająki?

- Nie przyśnią się, uwierz mi. Przyniosę jakąś pościel. - Spojrzała na niego ze szczerością, która go zaniepokoiła, ale też pociągała. - Widzę, że nie wracasz na łódź.

Weszła do sypialni. Simon usiadł na kanapie i położył nogi na stoliku - wyglądało na to, że Keira

233
nie będzie miała nic przeciwko - i przekartkował książkę Keiry. Jej prace, które najwyraźniej podobały się zarówno dzieciom, jak i dorosłym, miały duszę, fantazję i niepowtarzalny charakter. Nawet ten snob na aukcji był urzeczony jej obrazami, choć pewnie nigdy by się do tego nie przyznał.

A ona nie miała telefonu, pomyślał, wstając, gdy wróciła z naręczem pościeli.

- Idź spać - powiedział. - Ja się tym zajmę.

- Pomogę ci.

Nie mógłby znieść widoku Keiry ścielącej łóżko, jeśli chciała tylko i wyłącznie spać.

- Mogę sam to zrobić.

**- Jesteś przy mnie, od kiedy wyciągnąłeś mnie z ruin - powiedziała, dotykając jego ramienia. -
Dziękuję.**

**- Nie ma za co. I to wszystko, prawda? Na tym się kończy wdzięczność. - Położył pościel na
krześle. - Po jakimś czasie to zaczyna przeszkadzać.**

**Keira nie zdjęła dłoni z jego ramienia, a on wiedział, że nie ma to nic wspólnego z wdzięcznością.
Był zmęczony, ona też. Powinien wysłać ją do łóżka, kazać jej przystawić krzesło do drzwi i
zrobić to samo. Tak żeby ich nie kusiło.**

Jednak nie należał do tych, którzy zawsze robią to, co wydaje im się rozsądne.

**Wyszeptał jej imię. To wystarczyło. Całowali się, zanim zdążył się zorientować, że w ogóle się
poruszył. Jej smak, dotyk szczupłego ciała były dokładnie takie, jak sobie wyobrażał w czasie
lotu przez Atlantyk.**

247

Ogarnęło go pożądanie. Nagłaçe, żarliwe. Chciał w nią wejść. Natychmiast.

Rozchyliła usta do pocałunku i przycisnęła się do niego mocno, jak gdyby wyobrażała sobie wcześniej tę chwilę, ćwiczyła ją w myślach.

- Śniłam o tym w samolocie - powiedziała między pocałunkami. - Przez te wszystkie godziny. To było gorsze niż koszmar, przysięgam.

Roześmiała się, seksownie i trochę dziko. Simon rozkoszował się błyskiem w jej oczach i rumieńcem na policzkach. Traumatyczne przeżycia ostatnich dni odeszły w niepamięć. Podniósł ją i położył na kanapie. Była szczupła i gibka, a jej długie, powabne nogi rozbudzały wyobraźnię. Przyszedł czas na koszulkę do gry w rugby i dżinsy. Chciał poczuć gładkość jej skóry, posmakować każdego centymetra jej ciała i sprawić, że będzie go pragnąć.

Coś w jego wyrazie twarzy musiało ją zaalarmować, ponieważ objęła go za szyję i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Kochaj się ze mną, Simon. Pozwól mi się z tobą kochać. Nie ma w tym nic złego. Wiem o tym.

- Ufasz swoim instynktom.

- To nie tylko instynkty. - Pocałowała go. - Pamiętaj, że wzięłam ze sobą wodę, jedzenie i latarkę, kiedy szłam do ruin.

- Nie wzięłaś liny.

- Gdybym miała linę, wydostałabym się stamtąd i zdążyłabym zadzwonić do Boba, a ty wciąż byłbyś w Londynie. Poza tym, kto idzie na spacer z liną?

Znów ją pocałował. Z trudem powstrzymał się od

235

zerwania wszystkich ubrań. Wsunęła dłonie pod jego koszulkę i objęła jego plecy. Słyszał jej oddech

- łapała powietrze, świadoma tego, co stanie się za chwilę. W kilka sekund zdjął jej koszulkę i rzucił na podłogę.

- Jesteś piękna...

Jej ręce drżały, ale nie ze zdenerwowania, pomyślał, patrząc, jak próbuje rozpiąć stanik.

- Nie mogę...

Simon zmierzył się z zapięciem, ale też mu się nie udało, więc je rozerwał.

- Kupię ci nowy - powiedział, rzucając go obok koszulki. Nic nie odpowiedziała, a on nie był pewien, czy Keira jest w stanie coś z siebie wydusić.

- Nie na darmo rozwiązywałem w samolocie te cholerne krzyżówki sudoku.

Musnął dłońmi jej piersi. Jęknęła, opadając na koronkową poduszkę. Zaczęła zdejmować dzinsy. Pomógł jej, zsuwając je ze smukłych nóg.

- Ja nie... - starała się złapać oddech. - Nigdy...

- Co nigdy, Keiro?

- To się dzieje tak szybko. Ty i ja...

- Ale to nic złego - wyszeptał i wsunął dłoń między jej nogi. Poczł jej reakcję, a w jej oczach dostrzegł to samo pragnienie, które było w nim.

- Powiedz, jeśli mam przestać.

- Nie. O, nie. - Uśmiechnęła się. - Nie przestawaj.

- Dobrze - powiedział.

Pozbyli się jego ubrań. Przyciągnęła go z powrotem do siebie, wędrując palcami po jego ciele

zupełnie jak w jego snach. Z tym że rzeczywistość była o wiele przyjemniejsza.

- Teraz - powiedziała, kierując go w swoją stronę. - Simon... proszę...

Nie opierał się. Spletli się w szaleńczej gorączce pożądania. Jego ciało było szybsze niż umysł. Reagowało, dawało, brało, nie miało wątpliwości. Poczul, jak jej ciało drży pod nim. Wpiła palce w jego ramiona, doznając rozkoszy. I jeszcze raz, i znowu. Wchodził w nią szybko, głęboko, czując, jak Keira kurczowo trzyma go za biodra i przyciąga do siebie, i porywa ze sobą, wznosząc się z nim na kolejny szczyt.

W ciszy, która nastąpiła, poczul szybkie bicie jej serca i uśmiechnął się.

- Niesamowite, że nie spadliśmy z tej malej kanapy.

- Jakoś się zmieściliśmy.

Keira wysunęła się spod niego, zebrała swoje rzeczy i włożyła koszulkę i majtki. Jej blond włosy lśniły w światłach miasta, które wlewały się przez małe okna. Jeśli nie wierzyła w to, co przed chwilą zrobili, nie dawała tego po sobie poznać.

Wskazała na pościel.

- Gdybyś potrzebował pomocy z kanapą, daj mi znać. Wiem, jest jeszcze wcześnie, ale moje ciało nie działa ani zgodnie z czasem irlandzkim, ani bostońskim. Jestem wykończona.

- Keiro.

- Nic nie mów, proszę. Było wspaniale. Niczego

237

nie żałuję. Po prostu... - Poprawiła koszulkę i odrzuciła włosy do tyłu. - Oboje musimy się wyspać.

- Nie zaufasz dziś niewidzialnemu płotowi elektrycznemu?

Uśmiechnęła się.

- Nie ma szans - powiedziała, po czym udała się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Simon dostrzegł smugę światła pod drzwiami. No cóż, pomyślał, jest zmęczona.

Może powinien rano polecieć do Londynu? Czy żałował?

Ani trochę, pomyślał, rozkładając kanapę. Materac był cienki, ale przeżył już w trudniejszych warunkach niż poddasze artystki na Beacon Hill. Rozłożył pościel i cienki koc. Wypadł z niego koronkowy woreczek wypełniony jakimiś pachnącymi ziołami. Pewnie lawendą, pomyślał.

A koronka była irlandzka.

Oczywiście.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jamaica Plain, Massachusetts 23 czerwca godz. 21.30

Abigail wyszła do ogrodu z kieliszkiem białego wina, myśląc, że będzie sama, ale Bob pił piwo przy stole, a Scoop pielił grządki w zapadającym czerwcowym zmierzchu. Owen wrócił już po odwiezieniu Keiry i Simona; rozmawiał w domu przez telefon z grupą szkoleniową z Hawajów. Scoop wstał znad pomidorów.

- Och, ten mój obolały krzyż - westchnął z szerokim uśmiechem.

Bob chrząknął.

- Czy ty w ogóle odczuwasz ból?

- Tylko kiedy muszę. Ta sytuacja z Kirą... Będę tu jutro, gdybyście potrzebowali pomocy.

- Dzięki - odparł Bob, wyjątkowo ponury. Abigail widziała, że wszystkich zaniepokoiły wieści z Irlandii. Ta rozszarpana owca pogorszyła

252

sprawę. Słyszała obawę w głosie Seamusa Har-rigana, gdy zdawał jej relację z odkryć Eddiego O'Shea. Rozmawiał z nią inaczej niż wcześniej. Najwyraźniej detektyw z Irlandii nie wiedział, z czym właściwie mają do czynienia.

- To ja powinienem rozmawiać z tym irlandzkim gliną - powiedział Bob.

Abigail pokręciła głową.

- Nie, nie powinieneś.

Zaczął coś mówić, ale Scoop kiwnął w stronę schodków.

- Hej, patrzcie, kto przyszedł.

Fiona O'Reilly zeskoczyła ze schodków do ogrodu.

- Cześć wszystkim. Owen mówi, że za sekundkę przyjdzie. - Wesóło pocałowała ojca w policzek.

- Jak się masz, tato? Wyglądasz, jakbyś był nie w sosie.

- Hej - powiedział Bob, starając się rozchmurzyć. - Co tu robisz w środku nocy?

- Nie ma jeszcze dziesiątej. Powiedziałam Col-mowi Dermottowi, że do was wpadnę, a on poprosił mnie o przekazanie tego Abigail. - Fiona podała Abigail teczkę. - Poszłam dziś na jego wykład o morzu w irlandzkim folklorze. Był niesamowity. Poważnie się zastanawiam, czy nie zmienić kierunku na kulturę Irlandii.

- Nie znajdziesz po tym pracy łatwiej niż po harfie klasycznej - powiedział Bob, drażniąc się z nią. Wskazał teczkę. - O co chodzi?

Fiona wzruszyła ramionami.

240

- Nie wiem. Colm nie mówił.
 - Nie powinnaś go nazywać profesorem Dermot-tem?
 - Powiedział, że można zwracać się do niego po imieniu. Jest znajomym Keiry. Uwielbiam z nim rozmawiać o muzyce irlandzkiej - zwróciła się do Abigail i Scoopa. - Studiuję grę na harfie klasycznej, ale kompletnie mnie wciągnęła muzyka irlandzka. Chcę odwiedzić Keirę w Irlandii.
 - Nie licz na to - powiedział Bob. Fiona przewróciła oczami.
 - Mam dziewiętnaście lat, tato. I paszport. Mogę kupić bilet i lecieć.
 - Jesteś studentką. Nie masz pieniędzy. Poza tym Keira jest teraz w Bostonie, przynajmniej na parę dni.
 - Tak? Dlaczego? Co się stało?
 - Nic, czym powinnaś się martwić. Masz jak wrócić do domu?
 - Tak - powiedziała, wyraźnie oszołomiona wiadomością o nagłym powrocie kuzynki. - Chciałam tylko podrzucić teczkę. Tato...
- Bob spojrzał na nią.
- Podwozi cię jakiś chłopak?
 - To kolega.
 - Skrzypek z twojego zespołu?
- Abigail przypomniała sobie bardzo przystojnego skrzypka, który grał na aukcji, i zauważyła, jak Fiona się rumieni.
- Tak.
 - Dlaczego nie wszedł? Siedzi w samochodzie i czeka na ciebie?
- 241
- Tak...
 - Odprowadzę cię - powiedział Bob, ale wyciągnął rękę i poklepał teczkę. - No i...?
- Abigail westchnęła, zirytowana.

- To lista zaproszonych na aukcję w domu Garri-sonów. Wpadłam wcześniej na Colma i poprosiłam go o nią.

- Nie wpadłaś na niego. Odwiedziłaś go. Po co?

- Wiesz po co.

Drgał mu mięsień na szczęce. Fiona zmarszczyła czoło.

- Co się dzieje? Dlaczego Keira wróciła do Bostonu? Co ta lista... - Zamilkła, po czym skrzywiła się. - Ach. Rozumiem. Chcecie wiedzieć, czy ten mężczyzna, który utonął w Ogrodzie Miejskim, szedł na aukcję. Żeby zobaczyć Keirę. Tak uważacie?

- Abigail snuje domysły - rzucił Bob, zabrzmiało to jak oskarżenie.

Abigail starała się nie pozwolić, by wytrącił ją z równowagi.

- To nieoficjalna, niekompletna lista. Colm mówi, że aukcja to nie jest poważne przedsięwzięcie. Bob wstał.

- Chcesz marnować czas, to marnuj. - Zwrócił się do Fiony: - Chodźmy do twojego skrzypka.

- Tato...

- Mówiłem ci, że nauczyłem się grać na skrzypcach, kiedy byłem mały? - zapytał.

Wyraźnie zainteresowało to Fionę, ale gdy wychodzili, rzuciła Abigail pełne niepokoju spojrzenie.

242

Scoop pokręcił głową.

- Igrasz z ogniem. Chodzi o rodzinę Boba.

- Wykonuję tylko swoją pracę. - Abigail opadła z powrotem na krzesło. - Nie chciałam, żeby Colm dawał te nazwiska Fionie.

- Podjęłaś takie ryzyko. Oddaj sprawę Sarakisa komuś innemu.

Ponieważ Scoop nigdy wcześniej nie wtrącał się w jej postępowanie w pracy lub poza nią, musiał chyba pomyśleć, że jego interwencja jest konieczna. Abigail wypila łyk wina.

- Nie chwytam się wszystkich poszlak i nie prowokuję Boba. Scoop, powiedz mi, co ty byś zrobił w tej sytuacji.

- Przed chwilą ci powiedziałem. Oddałbym to komuś innemu.

- Nieprawda. - Ogarnęło ją poczucie winy. - Nie miałam pojęcia o jego siostrze. Ciekawe, czego jeszcze nam nie powiedział.

- Przestań.

- Daj spokój, Scoop. Tobie też nie podoba się ta sprawa. Siostra Boba jest pustelniczką. Jego siostrzenica jedzie do Irlandii, żeby zbadać starą legendę o kamiennym aniele i o małym nieprzyjacielu tego życia. I jest jeszcze trup człowieka, który miał obsesję na punkcie diabła.

- Zainteresowałby go ten anioł?

- Być może. Jego siostra i szwagier handlują sztuką i antykami. Szczególnie interesują ich starożytne i średniowieczne przedmioty. Nie wiem, do jakiej kategorii należy anioł...

243

- Keira powiedziała, że równie dobrze mógł być z supermarketu.

- Ktoś namieszał jej w głowie?

- Może to była ofiara. Weź figurkę anioła, zamęcz owcę.

- To chore - westchnęła Abigail. - Z tego, co wiem, zainteresowanie Victora Sarakisa diabłem było intelektualne. Nie sądzę, żeby miało coś wspólnego z tą owcą.

- **Zaszlachtowanie owcy w ten sposób jest straszne - powiedział Scoop. - Ale anioły i diabły to nie to samo.**
- **Lucyfer to upadły anioł. Był archaniołem, aniołem najwyższej rangi.**
- **Gabriel, Michał. Ci też są archaniołami, nie? Abigail uśmiechnęła się. Scoop potrafił świetnie zmieniać ton rozmowy w zależności od tego, co chciał osiągnąć.**
- **Tak. Lucyfer nie mógł zaakceptować tego, że jest dziełem Boga. Chciał być niezależny. Zbuntował się przeciw Bogu, a on wypędził go z nieba.**
- **Nieprzyjemnie - skomentował Scoop.**
- **W skrócie: Lucyfer staje się szatanem. Diabłem. Walczy z Bogiem o całkowite panowanie nad światem. Werbuje innych do aktów buntu przeciw Bogu. Przede wszystkim wymaga lojalności, ale nie obchodzi go, czy będą go kochać, czy się bać. Jego najsilniejszym uczuciem jest nienawiść, a dokładnie nienawiść do Boga.**
- **Scoop, wybitnie praktyczny, pokiwał głową.**

- Więc reszta musi wybierać między Bogiem i szatanem.
 - To zasadnicze dla zrozumienia diabła i zła. Wybieramy. Szatan zrobi wszystko, żebyśmy wybrali ścieżkę zła, czyli jego. - Abigail pomyślała o książce, którą pożyczyła jej Charlotte Augustine. - Ten temat jest szerszy, ale opiera się na tej podstawowej koncepcji.
 - Wyobrażam sobie - powiedział Scoop i popatrzył surowo na Abigail. - Myślisz, że zainteresowanie tego gościa Lucyferem miało coś wspólnego z jego śmiercią?
 - Nie wiem.
 - Wielu ludzi wierzy w anioły i diabła, Abigail.
 - Ale nie wszyscy mają pokoje pełne plujących ogniem diabłów o rozwidlonych językach - dodał Bob po powrocie. Zdjął ze stołu pustą butelkę po piwie. Zrobił to z opanowaniem, które ją zaniepokoiło. - To jest mania Abigail, Scoop.
- Powstrzymała się od odpowiedzi, a Scoop tylko wzruszył ramionami. Bob kontynuował:
- Keira maluje kwiaty i ilustruje baśnie. Żadnych diabłów. Jedyne anioły, który ją interesuje, to ten z opowieści.
 - Dobra - powiedział Scoop, udając się po schodach do swojego mieszkania. - Mam dosyć. Idę na górę. Możecie się kłócić do woli.
- Abigail nie miała mu tego za złe. Na jego miejscu już dawno by uciekła.

Otworzyła teczkę, którą przyniosła Fiona, i zerk-

258

nęła na wydruk z nazwiskami. Nazwisko Sarakisa nie było tajemnicą. Colm mógł się domyślić, o co jej chodzi, i wykasować pewne nazwiska, gdyby chciał. Nie żeby miał po temu powód, ale zdała sobie sprawę, że niezbyt mądrze postąpiła, prosząc go o tę listę.

- Nie wiedziałeś, po co Keira jedzie do Irlandii, prawda?

Bob wciąż stał, ale wydawał się niepewny, co nie było do niego podobne. W końcu westchnął i pokręcił głową.

- Keira nie zwierza się nikomu. W końcu jest z O'Reillych. Robi to, co do niej należy. - Usiadł na krześle. - Tak jak ty poprzedniego lata w Maine, Abigail. Musiałaś sama sprawdzić ten cynk. Odizolowałaś się od Scoopa, ode mnie, od swojego ojca, policji w Maine. Tyle że nie jesteś przyzwyczajona do izolowania się, a Keira jest.
- Może nie chce być do tego przyzwyczajona.
- Tego nie wiem. Ona chce robić różne rzeczy, zwiedzać świat, rysować, malować, rozmawiać z ludźmi. Ale chyba w głębi duszy boi się, że zostanie pustelniczką, jak jej matka.
- Czy wini siebie za decyzję matki? Bob milczał.
- Bob, czy ty się obwiniasz? - zapytała Abigail. Myślała, że każe jej pilnować swojego nosa, ale tego nie zrobił.
- Eileen wróciła z Irlandii w ciąży. Miała dziewiętnaście lat, rzuciła studia. Nigdy nie opowiadała o tym, co zaszło w Irlandii. Ani mnie, ani rodzicom.

Z tego, co wiem, nigdy nie zwierzyła się żadnej przyjaciółce. Nie wiem nawet, czy powiedziała mężowi. Był wspaniałym człowiekiem. Zaadoptował Keirę, kochał je obie... - Bob zamilkł i przetarł ręką czoło. - Straszna rzecz ta jego śmierć. Nieszczęśliwy wypadek w tunelu Callahana. To się zdarza, wiesz... Nieszczęśliwe wypadki. Abigail zignorowała jego docinek.

- Myślisz, że Keira uczepiła się tej legendy, bo matka szukała tamtej wsi, gdy była w Irlandii, i Keira miała nadzieję, że to ją doprowadzi do ojca?

- Jej ojcem był John Michael Sullivan. Keira strasznie za nim tęskniła, gdy umarł. Była małym brzdącem, ale to było widać. Chciała, żeby mama czytała jej baśnie i wiersze. Jeden po drugim. Eileen to uwielbiała. Pomagało jej to. Przeprowadziły się do południowego New Hampshire, gdzie otworzyła sklep z artykułami dla artystów. Przyjeżdżałem do nich, kiedy tylko mogłem. - Spojrzał na ciemniejące niebo. - Nie wiem, co jeszcze mogłem zrobić.

- Bob, to nie twoja wina. Przesunął wzrok z powrotem na nią.

- Co? Że moja siostra zostawiła rodzinę, przyjaciół, cały świat, żeby żyć samotnie w chatce bez bieżącej wody i elektryczności? Keira nie ma telefonu, ale jej pomyłona matka... Szanuję przekonania religijne Eileen, ale to życie... To nie ona, Abigail. Jej wybór nie jest dla nas łatwy, ale moglibyśmy go przecierpieć, gdybyśmy uważali, że to do niej pasuje. Nie wyszła drugi raz za mąż, ale zawsze była

260

towarzyska. Miała mnóstwo przyjaciół, a teraz siedzi w lesie i całymi dniami nikogo nie widuje.

- A co z Keirą? Musi się czuć, jakby jej mama ją odrzuciła, nawet jeśli Eileen nie miała takiego zamiaru.

- Nie rozmawialiśmy o tym tak dużo. Moim zdaniem, Keira nie próbuje wyperswadować mamie mieszkania w lesie, tylko zastanawia się nad powodem jej decyzji. Keira jest bardzo ładna, ale... No cóż, poznałaś ją. Chodzi własnymi drogami.

- Zupełnie jak O'Reilly - powiedziała Abigail z uśmiechem. - Oprócz tej urody. Nie jesteś ładny, Bob.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam nadzieję. Wiesz, dlaczego Keira wstąpiła do akademii policyjnej? Bo uważała, że tak powinien zachować się O'Reilly.

- Myśli, że jesteś rozczarowany, bo nie została policjantką?

- Nie. Nie o to chodzi. Jest wkurzona, że straciła tyle czasu w akademii, kiedy mogła rysować wróżki i badać stare historie.

- Nie każdy wie w wieku pięciu lat, co chce robić w życiu. Ty wiedziałeś. Niektórzy z nas idą okreśną drogą.

- Jesteś dobrym detektywem, Abigail. Jego pochwała zaskoczyła ją.

- Dzięki.

- Przykro mi, że podjęłaś tę pracę ze szczególnego powodu, ale pewnie prędzej czy później byś tu trafiła.

248

- Nie sędę. Gdyby Chris nie zginął, skończyłabym prawo. Moje życie zmieniło się po jego śmierci.

- Jeśli masz poważne powody, by sądzić, że to utonięcie jest powiązane z Keirą, możesz oddać tę sprawę komuś innemu. Ale nie chcesz, prawda? Uczepiłaś się tego, bo szukasz zwady ze mną. Dlaczego?

- Nie szukam zwady, Bob. Po prostu...

- Wykonujesz swoją pracę? Od jakiegoś czasu jesteś rozdrażniona. Co się dzieje?

- Nic.

W pewnym sensie była to prawda. Abigail nie badała dokładnie swoich uczuć, ale musiała przyznać, że w ostatnich tygodniach była nie w sosie.

- Wszystko w porządku między tobą i Owenem?

- Tak. Po prostu każde z nas ma nietypowy styl życia.

- Boisz się go stracić?

Pokręciła głową. Nie o to chodzi, pomyślała. Ona też nie potrafiła określić, co ją trapiło.

- Niczego się nie boję, Bob. Naprawdę.

- Wszyscy się czegoś boimy - powiedział.

- Mówiłam o sobie i Owenie. Czego ty się boisz? Uśmiechnął się lekceważąco.

- Małżeństwa. No dobra. Chyba nie powinienem dawać ci rad dotyczących związku z Owenem, skoro sam mam dwie byłe żony.

Tym razem Abigail nie pozwoliła, by wykręcił się żartem z rozmowy o swoich uczuciach.

- Kiedy się żeniłeś, myślałeś, że to do końca życia, prawda?

249

Zaskoczyło ją, że odpowiedział.

- Za pierwszym razem tak. - Wzruszył ramionami. - Za drugim czułem, że porywam się na coś, czemu nie podolałem, ale i tak to zrobiłem.

Abigail lepiej znała pierwszą żonę Boba - matkę jego trzech córek - ale poznała też jego drugą żonę i wiedziała, co ma na myśli. Druga była zupełnym przeciwieństwem pierwszej. Żeniąc się drugi raz, przesadził w naprawianiu tego, co uważał za błędy pierwszego małżeństwa.

- Byłeś za zimny i za gorący - stwierdziła. - Teraz musisz znaleźć swoją Złotowłosą. Tę właściwą. Prychnął.

- Nie szukam. Pieniądze wydaję na nową wieżę. Kupuję łódź razem ze Scoopem. - Bob westchnął, patrząc na ciemne już niebo. - Abigail... chciałbym wiedzieć, co się, do cholery, działo z Keirą w Irlandii.

- Wiem, Bob. Ja też.

- Ten Simon... będzie wiedział, co robić, jeśli Keira wsadziła rękę w ogień. A zawsze była taka ostrożna. - Spojrzał na Abigail skupionym, czujnym wzrokiem. - Gdybyś miała wieści, że Keira jest w tarapatkach, powiesz mi, prawda?

- Tak. Gdybym miała. Ale nie mam.

- Nie objechałaś mnie. Dlaczego?

- Scoop przypomniał mi, że chodzi o twoją rodzinę. Twoją siostrzenicę, siostrę. Nawet o twoją córkę.

Bob odpowiedział na jej poważny ton triumfalnym prychnięciem.

- Cholera, wszystko już wiem! - Uderzył dłonią

263

w stół, wyraźnie podniecony tym, co właśnie wymyślił. - Nie boisz się, że nie będziecie mieli dzieci. Boisz się, co będzie, jeśli będziecie je mieli.

Abigail zerwała się na równe nogi, wzięła teczkę Colma i kieliszek. Nie chciała o tym rozmawiać z Bobem, nie teraz. Nawet nie po to, by mógł zapomnieć o własnych problemach.

Nie zrozumiał aluzji i ciągnął:

- Boisz się, co dzieci będą oznaczały dla ciebie i Owena, dla waszego życia. On ciągle podróżuje, ty dzień i noc zajmujesz się sprawami. Dzieci by to zmieniły. Boisz się, że on nie...

- Dobranoc, Bob.

Zaczekał, aż znajdzie się na schodkach i krzyknął:

- Mam rację!

Zignorowała go i weszła do środka. Postawiła kieliszek w zlewie i otworzyła teczkę na blacie, wmawiając sobie, że wykonuje swoją pracę, a nie szuka jakiegokolwiek zajęcia. Nie chciała myśleć o komentarzu Boba. Był dobry w rozgryzaniu ludzi. Czyżby właśnie ją rozgryzł?

Przejrzała wydruk z listą Colma. Była alfabetyczna. Nie znalazła żadnego Sarakisa ani Augustine'a. Był jeden Butler, ale nie Liam.

Bob potraktował jej prośbę o listę gości nie jako element starannego śledztwa, lecz jako policzek wymierzony sobie. Nie chciał, by istniał jakiś związek między aukcją i śmiercią Sarakisa, a Abigail nie miała mu tego za złe.

Poszła do sypialni. Chciała o wszystkim zapomnieć.

251

Owen stał nad otwartą puszką farby.

- Co tam? - zapytała, stając koło niego w drzwiach.

- Nie jestem już pewien, czy to właściwy kolor. To nie jest mój ulubiony odcień. - Objął ją w talii.

- Ale jeśli tobie się podoba, nie ma sprawy.

- To znaczy, że niebieski j est szkaradny - powiedziała.

Pocałował ją w czoło.

- Można to tak ująć. Roześmiała się.

- W takim razie wybierzmy kolor, który podoba się nam obojgu, dobrze? Naprawdę, Owen, uważam, że ten dom jest tak samo twój, jak mój. Chcę, żebyś wypowiadał swoje zdanie, a nie zgadzał się na wszystko, co robię.

- Dobrze. - Skinął w stronę ogrodu. - Jak tam Bob?

- Martwi się. Hej, zauważyłeś, jak Simon i Keira patrzyli dziś na siebie?

- Nie.

Szturchnęła go łokciem figlarnie.

- Widziałeś. Nie wiem zbyt wiele o Simonie. Ale chyba jest w porządku?

- Gdybyś go widziała w Armenii... - Owen zamilkł i pokiwał głową. - Powierzyłbym mu swoje życie.

- Ostrożnie wybierasz ochotników do Fast Rescue.

- Oczywiście. Simon jest jednym z najlepszych.

- Nie chce mi się jeszcze spać. - Wysunęła się

265

z objąć Owena i zamknęła puszkę. - Skoro dziś nie malujemy, to może opowiesz mi o naszym ratowniku?

- Mam lepszy pomysł. - Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Abigail nie protestowała. Wobec zamiarów Owena rozmowa o Simonie Cahillu mogła poczekać do rana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Beacon Hill Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 7.00

Spragniona kawy Keira nasłuchiwała odgłosów z sąsiedniego pokoju. Nie wiedziała, dlaczego czuje się tak bardzo skrępowana. Przycisnęła ucho do drzwi sypialni. Nie słyszała oddechu, ciekącej wody - nic. Delikatnie otworzyła drzwi. Nie chciała obudzić Simona, ale jeszcze bardziej nie chciała zastać go rozciągniętego kusząco na kanapie.

- Możesz teraz wyjść - powiedział z nutką ironii w głosie.

Otworzyła drzwi na oścież.

- Chciałam być uprzejma.

Miał na sobie lekkie spodnie i ciemną koszulkę polo. Siedział przy stole nad zbiorem klasycznych irlandzkich opowieści ludowych. Kanapa była złożona, a pościel leżała na krześle. Wyglądał, jakby

przed chwilą wziął prysznic i ogolił się, ale nie słyszała prysznic.

- Nie miałaś koszmarów? Pokręciła głową.

- A ty jak spałeś?

- Śniły mi się księżniczki elfów. Keira nie drażyła tematu. Odłożył książkę na stół.

- Wciągające.

- Prawda? Ten zbiór stworzył Sean O'Sullivan. Był głównym archiwistą Komisji Folkloru Irlandzkiego w całym okresie jej istnienia w połowie dwudziestego wieku. To była ogólnonarodowa próba zebrania i ocalenia opowieści ludowych. Efekty tej pracy są teraz częścią Państwowej Kolekcji Folkloru uniwersytetu w Dublinie. Miliony stron zapisów, dziesiątki tysięcy fotografii i nagrań audio i wideo. To naprawdę niesamowite.

- Niezłe przedsięwzięcie.

- Sean O'Sullivan pochodził z półwyspu Beara. Simon wstał.

- Chodźmy do twojej gawędziarki.

Keira zabrała kilka szkiców i wyszli. Wsiedli do jej samochodu. Po drodze do południowego Bostonu wstąpili na kawę i muffiny. Keira zadzwoniła do Patsy z komórki Simona; Patsy nie odbierała.

- Rano zwykle chodzi do kościoła. Moja babcia też tak robiła, szczególnie w ostatnich latach przed śmiercią.

- Czy twoi dziadkowie zawsze mieszkali w południowym Bostonie? - zapytał Simon.

254

Pokręciła głową.

- Nie, przeprowadzili się na Florydę, gdy mój dziadek, policjant, odszedł na emeryturę. Wciąż tam mieszka. - Uśmiechnęła się na wspomnienie o nim. - Ciągle chce mnie nauczyć grać w golfa. Uwielbia pogodę na Florydzie, bo może grać cały rok. Mówiłam mu, że w Irlandii widziałam golfiarzy grających w czasie wichury.

- Nie pograliby, gdyby mieli czekać na idealną pogodę.

Keira cieszyła się z tej zwykłej pogawędki. Pokazała mu skromny bliźniak, gdzie babcia i dziadek wychowali jej mamę i wujka. Wyobrazila ich sobie w taki właśnie letni poranek.

Zaparkowali przed domem Patsy, jednym z niewielu domków jednorodzinnych w okolicy. W czasie pierwszej wizyty Keiry Patsy wytłumaczyła, że udało jej się zatrzymać ten dom po tym, jak owdowiała w młodym wieku, ponieważ mąż przed śmiercią zadbał o dobrą polisę ubezpieczeniową. Patsy wykonywała różne prace biurowe, ale najważniejszym źródłem jej dochodów było to ubezpieczenie. Chciała, żeby Keira o tym wiedziała.

Keira zadzwoniła do drzwi.

Gdy nie doczekała się odpowiedzi, zapukała. Nikt nie odpowiadał.

- Powinna być już w domu. Kościół jest niedaleko.

- Może jest w ogrodzie.

Wrócili na chodnik i otworzyli rozklekotaną białą drewnianą bramę między domem Patsy i trzykondygnacyjnym budynkiem obok. Weszli do małego

ogródka pełnego karmników dla ptaków, budek, leprechaunów, gnomów. Patsy tam jednak nie było.

Keira weszła po schodkach na werandę, gdzie dzwonki wietrzne zabręczały w łagodnym powiewie bryzy. Podniosła rękę, by zapukać, ale zauważyła, że drzwi nie są zamknięte.

- Simon... Dotknął jej ręki.

- Pójdę pierwszy. - Otworzył drzwi. - Pani McCarthy? Nazywam się Simon Cahill. Jestem z Keirą Sullivan.

- Dzień dobry, pani McCarthy! - zawołała Keira, starając się, by jej głos zabrzmiał radośnie.

Weszła za Simonem do kuchni. Spodziewała się, że zastanie Patsy przy stole z filiżanką herbaty. Dzbanek do herbaty w zielone koniczynki stał na blacie. Magnesiki z amerykańską flagą przytrzymały na lodówce pocztówki z Irlandii. W czasie kilku spotkań Keira polubiła poczucie humoru staruszki. Patsy dobrze się czuła ze swoim romantycznym obrazem Irlandii, którą знаła raczej ze wspomnień i legend niż z doświadczenia.

- Jej sypialnia jest na górze? - zapytał Simon.

- Tak myślę. - Keira skinęła w stronę holu. - Tędy do jadalni i salonu. Jest też mały gabinet. Schody są przy drzwiach frontowych.

Simon kiwnął głową.

- Zostań blisko mnie, dobrze?

W połowie drogi przez korytarz Simon zatrzymał się przed otwartymi drzwiami do jadalni. Gdy Keira stanęła przy nim, zrozumiała, dlaczego znierucho

miał. Na owalnym stole stały dziesiątki aniołów. Wszystkie były zwrócone w stronę drzwi, jak gdyby chciały powitać wchodzących. Różniły się wielkością - miały od paru centymetrów do ponad pół metra - i były zrobione z różnych materiałów - porcelany, ceramiki, srebra, miedzi, złota, drewna, szkła, wosku i papieru do origami.

Między aniołami stały trzy srebrne ramki ze zdjęciami ładnej dziewczynki o blond włosach. Jedno wyglądało na zdjęcie z pierwszej komunii. Na drugim jechała na rolkach; miała około dwunastu lat.

Na trzecim stała obok nastoletniego Boba O'Reilly'ego. Oboje byli elegancko ubrani - pewnie z okazji balu maturalnego.

Simon wskazał na obrazek modlitewny oparty o kolorowego szklanego anioła.

Deirdre Ita McCarthy.

- To musi być córka Patsy. Och, Simon. Nic nie wiedziałam. Patsy nigdy nie wspomniała...

- Czy te anioły i zdjęcia stały tu, gdy ją odwiedzałaś?

- Nie.

- Musimy ją znaleźć.

Keira oddychała płytko. Napięcie narastało w niej, gdy szli korytarzem. Gdy dotarli do gabinetu, Simon zaklął, obrócił się szybko i złapał Keirę w tali, zatrzymując ją.

- Keiro, kochanie, nie patrz. Złapała go za ramiona.

- Simon, co się stało?

- Twoja przyjaciółka nie żyje.

257

- **O nie! Nie!** - krzyknęła Keira, rzucając się w stronę gabinetu, ale Simon trzymał ją mocno. Zauważyła krew na białym drewnie. Jej oczy napelniły się łzami. - Jesteś pewien, że...
- Jestem pewien. Nic już nie możemy dla niej zrobić, Keiro. Nie żyje przynajmniej od wczoraj.
- Pocałował ją w czoło. - Tak mi przykro.
- Simon, ta krew... - Zmusiła się, by nie oddychać zbyt szybko. - To nie był zawał, prawda?
- Nie.
- Muszę to zobaczyć.
- Tak, wiem. - Rozluźnił uścisk. - Ale zostań w korytarzu. Nie powinniśmy dotykać niczego na miejscu zbrodni. Poza tym to straszny widok. Mnóstwo krwi. Musimy zadzwonić na policję. Wpijając palce w jego ramiona, Keira zerknęła do pokoju i zobaczyła ciało Patsy leżące na dywanie. Jej pastelowy sweterek był cały we krwi.
- Czy to był... czy możesz stwierdzić... - Próbowała wziąć się w garść. Puściła Simona. - Czy można stwierdzić, czy cierpiała? Czy została zamęczona jak owca...
- Nie.
- Ten, kto zabił owcę, miał czas, żeby wrócić tu i... - Urwała. Nie była w stanie dokończyć myśli.
- Telefon jest w kuchni.

Simon już dzwonił na policję ze swojej komórki. Objął Keirę, gdy wracali do kuchni. Kręciło jej się w głowie. Simon zdawał dyspozytorowi rzeczową, szczegółową relację. Przypomniała sobie martwego mężczyznę w Ogrodzie Miejskim, zaledwie kilka

258

dni wcześniej; wyobraziła sobie krew i wnętrzności w ruinach i wybiegła na werandę, niemal przewracając się na schodkach do ogrodu.

Stał tam ksiądz, którego poznała tamtego wieczoru w Bostonie, blady i nieruchomy.

- Ojcie Palermo - wyszeptała Keira, powstrzymując łzy. Widziała, że ksiądz przeczuwa, że stało się coś strasznego.

- Pani McCarthy nie przyszła dziś na mszę. Przyszedłem, by sprawdzić, co się dzieje. Opuściła mszę już drugi raz. To nie... - Jego głos załamał się. - To niepodobne do niej.

- Przykro mi, ojciec. Patsy nie żyje.

Keira uświadomiła sobie, jak zabrzmiały te słowa. Nie wiedziała, czy powinna powiedzieć mu aż tyle. Policjanci będą chcieli z nim rozmawiać.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, próbując przyjąć do wiadomości tę informację.

- Co...

Na betonowej alejce do ogrodu Patsy pojawiła się Fiona. Jej blond włosy były związane z tyłu. Niosła irlandzką harfę. Popatrzyła, wyraźnie przestraszona, na ojca Palermo, a potem na starszą kuzynkę.

- Fiona, co ty tutaj robisz? - zapytała Keira.

Jej oczy - bławatkowe oczy O'Reillych - rozszerzyły się ze strachu. Obróciła się i wybiegła z powrotem na ulicę.

Keira usłyszała syreny policyjne w oddali i zwróciła się do ojca Palermo.

- Muszę iść.

Kiwnął głową, a ona ruszyła za kuzynką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Południowy Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 9.30

Abigail wyskoczyła z samochodu niedaleko domu Patsy McCarthy i pobiegła chodnikiem, zatrzymując Boba, zanim doszedł do drzwi. Stała przed nim.

- Nie możesz, Bob - powiedziała. - Wiesz, że nie możesz tam wejść.

Jej oczy były jak niebieska stal.

- Zejdź mi z drogi, Abigail. Nie poruszyła się.

Był starszym detektywem. Jeśli chciał zobaczyć miejsce zbrodni, policjanci stojący przed domem mogli go wpuścić. Ale to nie był dobry pomysł.

Abigail siedziała przy biurku w kwaterze głównej bostońskiej policji i zajmowała się papierkową robotą, by zmiękczyć swojego współpracownika i pozbyć się mętliku w głowie, gdy usłyszała, że siedem-

274

dziesięciodziewięcioletnia kobieta została zasztyletowana w południowym Bostonie. Takie wieści zawsze wszystkich mroziły. Od razu czuła, instynktownie, że tą kobietą jest gawędziarka Keiry.

A potem dotarła do niej wiadomość, że ciało znalazła właśnie siostrzenica Boba.

I że jest tam również jego najstarsza córka. Nawet jej partner był wstrząśnięty. Tom

Yar-borough był ambitny. Miał dwadzieścia dziewięć lat i wydawało mu się, że powinien kierować całym departamentem. Ale i on rozumiał, dlaczego Abigail pojechała na miejsce zbrodni. Ulica była pełna policyjnych samochodów. Kilkoro zszokowanych sąsiadów Patsy McCarthy wyszło przed dom. - Bob, nie możesz się tym zajmować - powiedziała Abigail. -

Trzymaj się z daleka. Powiedziałbyś mi to samo...- Gdzie jest moja córka? - Jego spojrzenie nie zlagodniało. Pozostało uparte. - Gdzie jest Keira?- Dowiem się, dobrze? Pewnie jest z policjantami, którzy przyjęli wezwanie.

Spojrzał ponad jej ramieniem na skromny domek.

- Co tu, do cholery, robiła Fiona?

**- Nie wiem, Bob - odparła Abigail, czując, że pod maską opanowania Bob przeżywa katusze. -
Sama dopiero przyjechałam.**

- Wchodzę tam, Abigail. Chcesz mnie zatrzymać?

Abigail westchnęła i odsunęła się.

- Nie.

261

Na jego miejscu zrobiłaby to samo.

Zrobiła to samo osiem lat temu, gdy zobaczyła ciało swojego męża.

Teraz przeszła za Bobem obok szpaleru policjantów, którzy, zgodnie z jej oczekiwaniami, nie zadawali żadnych pytań. Nikt by się nie odważył.

Udali się do gabinetu, gdzie małe ciało Patsy McCarthy leżało na nasiąkniętym krwią dywaniku.

- Sama zrobiła ten dywanik trzydzieści lat temu

- powiedział Bob niemal szeptem. - Spójrz na niego. Jest jak nowy. To scenka z Irlandii: gospodarstwo, kilka owiec.

- Bob... - Abigail powstrzymała przyływ emocji. - Przykro mi.

- To nie twoja wina. Nie ty ją zabiłaś. Główni detektywi o ponurych twarzach - doświadczeni ludzie, których Bob i Abigail dobrze znali

- stwierdzili, że Patsy zadano dwa ciosy nożem. Pierwszy - by polać się krew. Drugi - by zabić.

- Tak nie powinna umierać starsza kobieta - powiedział Bob łagodnie. - Nikt nie powinien.

Poszli wzdłuż korytarza. Abigail zaskoczyła łatwość, z jaką Bob porusza się po domu.

Pomyślała, że biegał wtedy jako dziecko, i nie potrafiła sobie wyobrazić bólu, który musiał teraz czuć. Zatrzymał się w jadalni, Abigail się skrzywiła. Było tam więcej detektywów, którzy dokładnie dokumentowali ten dziwny widok.

- Cholera, Bob - wyszeptała Abigail ze wzrokiem utkwionym na trzech zdjęciach pośród figurek aniołów na stole. - To ty. Ta dziewczynka...

276

- Patsy tego nie ustawiła. Zrobił to zabójca. Obrócił się i wyszedł na korytarz. Abigail ruszyła za nim z walącym sercem. Gdy znaleźli się na ulicy, Bob stanął pod mizernym klonem i włożył do ust listek gumy do żucia.

- Patsy wierzyła w elfy. - Nie patrzył na Abigail, która stała obok niego w cieniu. - Nie przyznawała się do tego, ale wierzyła. Mówiła, że słyszy szloch *banshee*, zanim ktoś bliski umrze. Powiedziała, że pierwsze zawołanie *banshee* usłyszała w Irlandii, gdy jej mała siostrzyczka umarła na jakąś straszną chorobę.

- Wolalabym tego nie słyszeć - powiedziała Abigail.

- Patsy opowiedziała mi to, kiedy miałem dziewięć albo dziesięć lat. Wystraszyła mnie na śmierć. - Bob żuł energicznie. - Była prostą kobietą, Abigail. Nigdy nie chciała wiele od życia. Nigdy też wiele nie dostawała.

- Dowiemy się, co się stało.

- Wiesz, ile mam nierozwiązanych spraw zabójstw na biurku? Nie ma żadnej gwarancji. Frazesy zostaw głupcom. - Spojrzał z powrotem na dom z koronkowymi firankami w oknach. - Przepraszam, nie chciałem cię objeżdżać.

- Zapomnij o tym.

- Znajdę Fionę i Keirę.

- Jeśli jest coś, co mogę zrobić...

- Dam ci znać.

Abigail zobaczyła, jak z ogrodu wychodzą jego córka i siostrzenica, i zostawiła Boba z nimi.

Wróciła do domku i weszła do kuchni, gdzie zastała Simona Cahilla, który rozmawiał z kilkorgiem policjantów. Wydał jej się nadzwyczaj opanowany jak na kogoś, kto właśnie znalazł ciało starszej kobiety zamordowanej we własnym domu. Ale przecież, pomyślała, takie samo opanowanie zauważyła u Owena. Nie wiedziała, czy to zasługa pracy w organizacji ratunkowej, czy mogli wykonywać tę pracę, bo tacy już byli. Być może jedno i drugie.

- Pewnie żałujesz, że nie zostałeś w Londynie - zagaiła.

- Nie ma sensu marnować czasu, żalując czegoś, czego nie można odwrócić. Jest tu Bob O'Reilly?

- Stoi przed domem z Fioną i Keirą. Simon odczekał chwilę, po czym powiedział:

- Ty i O'Reilly jesteście na granicy spraw osobistych i zawodowych.

- Ja jestem - powiedziała. - Bob już ją przekroczył.

Spojrzał na nią intensywnie zielonymi oczami, po czym podał jej kartkę wielkości wizytówki.

- To było pod dzbankiem Patsy. - Wskazał na blat za plecami. - Tam.

Abigail zmarszczyła czoło, gdy zobaczyła, że to wizytówka Boba.

- Pomyślałem, że ci ją dam.

Zobaczyła go w innym świetle. Nie każdy zauważyłby wizytówkę pod dzbankiem, gdy w sąsiednim pokoju leży martwa kobieta, a już na pewno nie pomyślałby, żeby ją zachować i oddać policjantce.

278

- Simon, czy mógłbyś mi powiedzieć, kim ty jesteś? - zapytała.

- Wyjaśnianie tego nie pomoże w odnalezieniu zabójcy Patsy McCarthy.

Wyszedł tylnymi drzwiami. Abigail podążyła za nim, ale na korytarzu pojawiło się jeszcze dwoje detektywów. Zastanawiała się, czy nie dać im wizytówki Boba. Czy Bob sam ją dał Patsy? Może miała ją jego córka i oddała Patsy? Może Keira?

Abigail wiedziała, że to nie ona powinna zadawać te pytania ani na nie odpowiadać.

Gdyby była jednym z detektywów, którzy szli w jej stronę, chciałaby dostać tę wizytówkę.

Koniec, kropka. Żadnych sztuczek ze strony koleżanki z pracy.

Ale wsadziła wizytówkę do kieszeni.

- Powinniście porozmawiać z Bobem - zasugerowała im. - Zapytajcie go, kiedy ostatnio widział ofiarę.

- Abigail...

- Po prostu to zróbcie - poleciała.

Fiona wciąż płakała. Miała czerwony nos i policzki, a w dłoni ścisnęła moką od łez chusteczkę.

Wytarła oczy, popłakała jeszcze, i znów wytarła oczy.

- Nie zostawiaj mnie, Keiro - poprosiła, pociągając nosem, gdy zbliżał się do nich jej ojciec. - Tata... on nie zrozumie.

- Daj mu szansę i nie martw się. Nigdzie nie idę. Jej wujek był spokojny, ale Keira nauczyła się odczytywać drobne sygnały i widziała, że jest

265

wstrząśnięty. I wściekły, pomyślała. Kipiał pod maską spokoju. Kobieta, którą znał całe życie, została zamordowana we własnym domu. Był policjantem, doświadczonym detektywem, i pewnie czuł, że to jego wina, że mógł coś zrobić, wkroczyć do akcji, zanim jakiś maniak wlaź do domu Patsy i ją zabił.

Keira rozumiała to poczucie winy. Nie potrafiła uwolnić się od myśli, że to ona uruchomiła ciąg wydarzeń, które doprowadziły do tragedii w tym domu.

Wuj trzymał emocje na wodzy, gdy witał się z córką.

- Hej, mała! - Jego ton był łagodny, a nawet miły. - Jak się czujesz?

- Och, tato... Strasznie.

- Wiem. Okropna rzecz.

Fiona pokiwała głową, a do oczu napłynęły jej łzy.

- Tak bardzo ją lubiłam. Przypominała mi babcię z tym jej irlandzkim akcentem.

- Obie były wspaniałe. Trzeba je było widzieć, kiedy byliśmy dziećmi. Stały na ulicy i śmiały się, rozmawiając o bzdurach, o pogodzie, nowym przepisie. Ale też się kłóciły. Pamiętasz, jak babcia potrafiła się kłócić?

- Nienawidziła przegrywać - powiedziała Fiona, starając się uśmiechnąć przez łzy.

- Patsy była taka sama. Pojedziemy na Florydę, dziadek opowie ci o nich obu. Uważał Patsy za wariatkę, ale ją lubił.

280

Fiona wciąż płakała, a kiedy Bob dotknął jej ramienia, wpadła mu w ramiona i zaczęła szlochać. Popatrzył nad jej głową na Keirę.

- Powiesz mi, co tu się, do cholery, dzieje? To ty poznałaś Fionę z Patsy?

- Nie, tato, to nie Keira - odpowiedziała za kuzynkę Fiona.

Oparła się o samochód Keiry, trzęsąc się od szlochu. Keira wyjaśniła, czego właśnie dowiedziała się od Fiony.

- Ona chodzi na lekcje muzyki irlandzkiej kilka ulic stąd. Zaczęła w wakacje. Kiedyś przyszła tutaj, żeby zobaczyć, gdzie się wychowałeś, i spotkała Patsy w kościele. Patsy przypominała jej babcię... Nic przed tobą nie ukrywała...

- Nie wiedziałem o tych lekcjach - uciał Bob. - Nie wiedziałem o znajomości z Patsy. Moim zdaniem coś jednak ukrywała.

Fiona wyprostowała się. Miała twarz czerwoną od płaczu.

- Tato...

- Rozpoznałaś Patsy, kiedy widziałas ją z Keirą tamtego wieczoru w Bostonie.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej. Wycelował w nią palec.

- Nie wciskaj mi kitu, Fi. Nie teraz. Przykro mi, że ona nie żyje. Przykro mi, że cię to zmartwiło. Ale teraz musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Wszystko. Nie pomijaj niczego, nieważne, jak małe, głupie albo kłopotliwe ci się to wydaje. Rozumiesz?

267

Fiona pokiwała głową, ale surowe słowa ojca zdawały się dodawać jej sił, a nie zasmucać.

- Nie dociera do mnie, co jej zrobiono, tato. To przechodzi ludzkie pojęcie.

- Tak. Przechodzi. A co z tobą i Simonem? Kiedy tu przyjechaliście? - zwrócił się do Keiry.

- Koło wpół do dziewiątej. Dzwoniłam do niej z komórki, nie odbierała. Kiedy nie otwierała drzwi, poszliśmy naokoło...

- Cholera, Keiro. Ciało w Ogrodzie Miejskim, wypadek w Irlandii, a teraz to...

- Też mi się to nie podoba - powiedziała Keira. Fiona uniosła głowę.

- Pani McCarthy była najmiłszą kobietą na świecie, tato. Jak ktoś mógł ją skrzywdzić?

- Nie wiem, Fi, ale nie ma znaczenia, czy była miła czy upierdliwa. Nie zasługiwała na taką śmierć.

- Nie widziałam jej, tato. Keira zatrzymała mnie, zanim...

- To dobrze. Czy zawsze byliście same, kiedy ją odwiedzałaś, Fi? Żadnego hydraulika, elektryka, listonosza, sąsiada?

- Zawsze byliśmy same. Widziałyśmy się może sześć razy, zwykle po moich zajęciach, czasem przed nimi. Gdy wracała z kościoła. Miałam nadzieję, że dziś też mi się uda ją zastać. Lubiała rozmawiać, ale czasem musiałam być gdzie indziej... - Do oczu Fiony napłynęły nowe łzy. - To okropne z mojej strony, prawda, tato?

- To nie jest okropne, Fi. Patsy to rozumiała. Sama miała kiedyś dziewiętnaście lat.

268

- Przyszłam tu kiedyś po zajęciach. Przechodziłam obok kościoła Świętej Ity, gdzie kilka kobiet przygotowywało się do kiermaszu w parafii. Kiermaszu aniołów. Wszystko było z aniołami - jedzenie, ozdoby, rzeczy zrobione na drutach, muzyka. - Fiona mówiła bardzo szybko, jakby chciała wyrzucić to z siebie na jednym oddechu. - Patsy i inne kobiety pokazywały swoje kolekcje figurek aniołów. Kolekcja Patsy była najlepsza. Widziałeś ją, tato? Jest niesamowita.

- Zbierała anioły od dawna.

- Ojciec Palermo mówił, że niektóre z nich są cenne. Mam nadzieję... Tato, nie myślisz, że ktoś chciał ją okraść?

- Za wcześniej, by cokolwiek stwierdzić. Byłaś na tym kiermaszu?

Fiona pokiwała głową, ożywiając się trochę.

- Kupiłam dwie ozdoby świąteczne w kształcie aniołów i zjadłam kawałek ciasta anielskiego z zielonym lukrem.

Bob uśmiechnął się lekko.

- Ohyda.

- Nie było takie złe. Patsy miała wszystkie książki Keiry. Uwielbiała je. - Fiona znów pobladła.

Bob odwrócił się do Keiry. W jego oczach więcej było teraz udreki niż wściekłości.

- Miałś już kontakt z Patsy, kiedy Fiona ją poznała?

Keira pokiwała głową.

- Patsy wysłała mi wtedy mejl, ale nie wspo-

283

niała, że zna Fionę. - Keira zawahała się, po czym dodała: - Nigdy nie wspominała też, że miała córkę. Bob, te anioły, twoje zdjęcie z balu...

- Muszę zabrać stąd Fi - powiedział.

Keira zrezygnowała z prób wyciągnięcia od niego jakichkolwiek informacji. To nie był dobry moment. Fiona odsunęła się od ojca, a na jej policzki wrócił kolor.

- Umówiłam się z przyjaciółmi na próbę w domu Garrisonów. Tato, chcę teraz trochę pograć. Proszę...

- Nie ma problemu, mała. Podrzucę cię. A ty, Keiro?

- Poczekam na Simona.

- Tak myślałem. - Jego próba żartu nie powiodła się. - Wiem, że jest ci ciężko, Keiro. Przykro mi, że cię to spotkało. Porozmawiamy później, dobrze?

- Jasne.

- Wiesz, jak mnie złapać, gdybym był potrzebny.

- Tak. Dzięki.

Keira odprowadziła go wzrokiem, gdy szedł ulicą obok Fiony. Był jedynym oparciem w jej życiu

- ten powściągliwy wujek, który nigdy nie powiedział jej, że na bal maturalny zabrał córkę sąsiadki, nieżyjącą od dawna. Co się stało z Deirdre McCarthy?

Bolała ją głowa. Odtwarzała moment chodzenia po domu Patsy, znalezienia jej ciała, wyjścia do ogrodu, gdzie zastała Fionę i ojca Palermo. Chwile czekania na policję. Patrzenia, jak Simon, który był świadkiem niejednej takiej sytuacji w czasie operacji poszukiwawczych i ratunkowych, rozmawia z policją ze spokojem i profesjonalizmem.

270

Rozejrzała się, czy nie ma go w pobliżu. Zobaczyła tylko policjantów, techników kryminalistycznych i kilkoro dziennikarzy, którzy próbowali dowiedzieć się, co się stało i czy wydarzenie zasługuje na wyczerpującą relację.

Detektyw, który przesłuchiwał ją wcześniej, stanął w cieniu obok niej. Był wysokim, siwym, poważnym mężczyzną; nie znała go z przyjęć u wujka.

- Rozmawiałem właśnie z panią Browning - powiedział, skinąwszy głową w stronę domu Patsy.

- Powiedziała mi, że miała pani kłopoty w Irlandii. Czy zechciałyby mi pani powiedzieć, co się stało?

- Oczywiście. Czy mogę tylko zadać jedno pytanie? Aż do dzisiaj nie wiedziałam, że Patsy McCarthy miała córkę. Wie pan może, jak umarła?

- Widać, że jest pani z O'Reillych. Lubicie zadawać pytania.

- Czy to oznacza, że mi pan nie odpowie? Westchnął.

- Nie wiem, jak umarła, pani Sullivan. To jedna ze spraw, którym się przyglądamy.

Z powodu zdjęcia z balu i świętego obrazka, pomyślała, ale zanim zadała kolejne pytanie, śledczy - przypomniała sobie, że nazywa się Boucher

- wrócił do poprzedniego tematu. Irlandii i tego, co się tam wydarzyło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Południowy Boston 24 czerwca godz. 10.30

Simon zastał księdza w ogrodzie Patsy McCarthy - chodził od jednego kolorowego gnoma czy lep-rechauna do drugiego, jak gdyby mogły one zdradzić duchownemu, kto zabił ich właścicielkę.

- Zachęciłem ją, by pokazała swoje anioły pozostałym parafianom - powiedział bardziej do siebie niż do Simona. - Mielśmy kiermasz kilka tygodni temu. To był mój pomysł. Pomogłem jej wyjąć wszystkie anioły, zapakować, zanieść do kościoła, wypakować, z powrotem spakować... - Westchnął i podniósł głowę. Jego twarz świeciła się od łez i potu. - Było z tym mnóstwo roboty, panie Cahill. Nie rozumiem, dlaczego zadała sobie trud, by znów je wyjąć. Policjanci mnie pytali... Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Nie wiemy, czy to ona zrobiła.

286

- Aha. Wiem, co pan sugeruje. - Pobladł jeszcze bardziej. - Chodzi panu o to, że mógł to być zabójca.

- Niemal na pewno zabójca.

- To... - Palermo przełknął głośno ślinę. - Trudno się z tym pogodzić, prawda?

- Kiedy pani McCarthy zaczęła zbierać anioły?

- Zaczęła je zbierać jej córka, kiedy była mała. Po śmierci Deirdre Patsy dodawała nowe anioły do kolekcji. Był to sposób na utrzymanie więzi z córką. Oczywiście nie było mnie tu wtedy, ale opowiadała mi. Kochała wszystkie swoje anioły, ale te z kolekcji Deirdre były jej ulubionymi. - Palermo poklepał po głowie metrowego gnoma i spróbował się uśmiechnąć. - Zastanawiał się pan kiedyś, kto właściwie kupuje te rzeczy i wstawia je do ogrodu? Patsy bywała taka figlarna. - Tak słyszałem.

Oczy księdza napelniły się łzami. Odwrócił się.

- Wszystkim nam podobał się kiermasz. To był piękny dzień. Patsy upiekła irlandzki chleb i szarlotkę. To było, jakby... Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Jakby jej córka tam z nami była. Deirdre została zamordowana, panie Cahill. - Simona to nie zdziwiło. - To straszna historia. Patsy nigdy mi jej nie opowiadała. Sam to sprawdziłem. Deirdre została porwana, gdy wracała z pracy. Zniknęła na kilka tygodni. Jej ciało fale wyrzuciły na brzeg niedaleko stąd. - Palermo podszedł do figurki gibkiej różowej czarodziejki. - Była torturowana i wykorzystywana seksualnie.

- Kto był zabójcą?

273

- **Stuart Fuller, pracownik drogowy. Zamieszkał kilka ulic stąd niedługo przed zniknięciem Deirdre. Nie wychował się w tej okolicy.**
 - **Więc go złapano. Palermo pokręcił głową.**
 - **Nie. Popelnił samobójstwo, zanim zdołano go aresztować. Patsy nie lubiła opowiadać o tym, co się stało. Mówiła tylko, że całym sercem i duszą wierzy, że Deirdre jest aniołem.**
 - **Wspominała, że ma kontakt z Keirą Sullivan?**
 - **Patsy uwielbiała ilustracje Keiry i nie mogła się doczekać, kiedy ją pozna. - Uśmiechnął się niespodziewanie, a jego policzki zaróżowiły się lekko.**
 - **Cieszyła się, że przyczyni się do powstania jednej z jej książek. Szczerze mówiąc, chyba podobało jej się, że jest w centrum uwagi.**
 - **Z Keirą też nigdy nie rozmawiała o zabójstwie córki.**
 - **Nie dziwi mnie to - odparł Palermo. - Patsy wierzyła, że Deirdre miała dar przewidywania. Ze przemawiały do niej anioły i radziły, co robić w jej krótkim życiu. Jest taka słynna historia o świętej Icie**
 - **imiennicze Deirdre - i świętym Brendanie, innym znanym irlandzkim świętym. Zna ją pan, panie Cahill?**
- Simon pokręcił głową. Zobaczył Keirę na betonowej ścieżce. Stała nieruchomo.**
- **Brendan był jednym z uczniów świętej Ity. Przybył do jej klasztoru w Irlandii jako mały chłopiec. Była dla niego jak matka. Nawet po opuszczeniu klasztoru odwiedzał ją i prosił o radę.**
- Był**
- 288**
- podróżnikiem. Niektórzy twierdzą, że przyplłynął do Ameryki Północnej na tysiąc lat przed Kolumbem.**
- **Palermo zamilkł ze wzruszenia, po czym uśmiechnął się przez łzy. Zdawał się nie zauważać Keiry.**

- Jest znany jako Brendan Żeglarz. Ładnie to brzmi, prawda?
- Mój ojciec nazywał się Brendan - powiedział Simon, by uspokoić księdza. - Też był trochę włóczęgą.
- Tak? - Palermo wziął głęboki oddech, starając się opanować. - Brendan zapytał kiedyś Itę, jakie trzy rzeczy sprawiają Bogu największą radość. Ona powiedziała, że czyste serce, proste życie i szczodrobliwość.
- Niezła odpowiedź.
- Palermo uśmiechnął się niespodziewanie.
- Istotnie. Potem Brendan zapytał ją, jakie trzy rzeczy budzą w Bogu największą odrazę. Odpowiedziała: nienawistny język, upodobanie do zła oraz chciwość.
- I co ksiądz o tym myśli?
- Myślę, że święta Ita była mądrą kobietą, ale mam nadzieję, że nie знаła nikogo, kto mógłby uczynić to, co zrobiono Patsy albo jej córce tego strasznego lata trzydzieści lat temu. Jak możemy w ogóle pojąć takie zło? Pracuję w tej parafii od niedawna, ale czasem wydaje mi się, że znałem Deirdre osobiście. Pamięć o jej morderstwie jest wciąż obecna w życiu tych, których znała, ale jej duch również.
- Simon zauważył, że Keira pobladła; zapewne

skojarzyła fakty. Deirdre McCarthy została zamordowana tego samego lata, kiedy Eileen O'Reilly wróciła w ciąży z Irlandii.

Ruszył w jej stronę, ale Keira czmychnęła na ulicę.

Simon odwrócił się do księdza.

- Przepraszam...

- Proszę przekazać Keirze, że jest mi niezwykle przykro.

- Powiem jej.

Zanim Simon wyszedł na ulicę, Keira wskoczyła do swojego samochodu i ruszyła. Wyciągnął komórkę. Abigail Browning i Bob O'Reilly odjechali, a on nie miał zamiaru prosić żadnego innego policjanta, by go podrzucił.

Zadzwoił do Owena.

- Podwiesz mnie?

- Słyszałem o Patsy McCarthy. Simon, Abigail dzwoniła...

- Ma na mnie oko, wiem. Nie obchodzi jej to, że zajmuję się egzekwowaniem prawa ani że pracuję u jej ojca. Ale ma znaczenie, że jestem dla niego jak syn, a on jej tego nigdy nie powiedział. I że ty to wiesz od osiemnastu miesięcy i też nic nie wspomniałeś.

- Ona cię nie podejrzewa, Simon - powiedział Owen spokojnie. - Ona wie.

Simon spróbował się uśmiechnąć.

- Trudno jej nie doceniać. To kolejny powód, żeby ustalić datę ślubu. Niech zastanawia się nad wyborem kwiatów zamiast nad tym, czy może ci ufać.

276

- Może mi ufać. To nie jest żaden problem. Nie przejmuj się tym. A co z jej ojcem?

- Spokojnie. Załatwię to z dyrektorem Marchem. Tylko przyjedź po mnie.

- Gdzie jesteś?

Simon powiedział mu i rozłączył się, po czym zadzwonił do Willa Davenporta w Londynie.

- **Nie pojechałbyś do Irlandii?**
- **Mogę jechać za dziesięć minut.**
- **Nie zapytałeś nawet, co się dzieje.**
- **Dobra. Co się dzieje?**

Simon opowiedział mu w skrócie.

- **Kiedy dotrzesz do Irlandii, porozmawiaj z detektywem z Gardy, Seamusem Harriganem. Znajdź też Eddiego O'Shea. Zrób to i będziemy kwita. Mówię serio.**

- **Ta Keira Sullivan...**

- **Przestań.**

- **Widziałem jej stronę internetową. Bardzo ładna. Zawsze możecie wziąć ślub u mnie w Szkocji.**

Simon schował komórkę do kieszeni. Wykonał potrzebne telefony.

Nadeszła pora, by dowiedzieć się więcej o zabójstwie Deirdre McCarthy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Back Bay

Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 11.00

Keira wbiegła po wąskich schodach do gabinetu Colma Dermotta na drugim piętrze porośniętego bluszczem budynku w Back Bay, z którego rozciągał się widok na rzekę Charles. Drzwi były otwarte. Wpadła do środka, położyła irlandzkie szkice na skraju jego biurka i przelknęła lzy.

- Wszystko wyjaśnię - powiedziała - ale najpierw muszę pożyczyć twój telefon.

- Keira, na Boga...

- Zamordowano Patsy McCarthy. Colm... jest źle.

- Proszę. - Rzucił jej komórkę. - Zadzwoń.

Podeszła do okna. Obserwując samotnego wioślarza na rzece, wystukała numer Simona.

Nalegał, żeby go wzięła, gdy czekali na policję, mimo że sama nie miała telefonu.

292

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Mogę po ciebie przyjechać - powiedziała.

- Za późno - odparł. - Owen był pierwszy. Wyrzuciłem go na Beacon Street i pożyczyłem jego samochód. Jeśli mamy się trzymać blisko, to prościej będzie, jeśli będę miał własny samochód.

- Przepraszam, że odjechałam...

- Nie szkodzi - powiedział dobitnie. - Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś cała i zdrowa.

- Tak. Jestem w gabinecie Colma. - Wioślarz za oknem wyciągnął wiosła z wody i usiadł wygodnie, płynąc wzdłuż brzegu, jak gdyby rozkoszował się idealnym bostońskim porankiem. - Po prostu nie wiedziałam o córce Patsy.

- Tak, zrozumiałem. - Zabito ją tego samego lata, kiedy moja matka pojechała do Irlandii. Były w tym samym wieku. Mój wujek zabrał córkę Patsy na bal maturalny. Oni wychowywali się

**razem, a ja nie miałam o tym pojęcia. Nie wiedziałam, że Deirdre McCarthy w ogóle istniała.-
Wygląda na to, że było to wyjątkowo okropne morderstwo - powiedział Simon, jak gdyby to
wyjaśniało trzydzieści lat milczenia.Keira odwróciła się od okna. Colm trzymał nerwowo w
dłoniach szkic czarnego psa, ale patrzył na nią, jakby miała się nagle rozpaść na kawałki.
Spróbowała rozluźnić trochę napięcie w mięśniach, rozmawiając z Simonem.- Ciągle mi się
wydaje, że we wszystkim, o czym Patsy opowiadała mi w ostatnich tygodniach, było
279**

jakieś drugie dno. Coś, co uszło mojej uwagi. Nagrałam ją. Colm ma kopię filmu.

- Policja będzie chciała go zobaczyć.

- Oryginał wzięłam do Irlandii. Nie wiem, czy to jest na taśmie, ale pamiętam, że Patsy martwiła się, czy nie mówi za dużo, czy nie ufa zbyt łatwo. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi.

Myślałam, że chodzi jej o mnie. Ze miała tremę. To normalne, wszystko wydaje się takie

ekscytujące, dopóki ktoś nie podsunie ci kamery pod nos. - Keira znów spojrzała na rzekę, ale wioślarz zniknął z pola widzenia. - Simon, a jeśli Patsy mówiła o kimś innym?

- Keira, po prostu opowiedz wszystko policji i daj jej się zająć tą sprawą. Zrobiłaś to, co mogłaś.

- Wiem, ale jeśli Patsy opowiedziała tę historię komuś innemu...? Komuś, kto postanowił poszukać w ruinach kamiennego anioła, po czym wrócił i ją zabił?

Simon milczał.

- Ty też o tym myślałeś - ciągnęła Keira. - Jeśli to ta sama osoba, która zabiła owcę w Irlandii i uwięziła mnie w ruinach - być może nawet próbowała mnie zabić - i zabrała kamiennego anioła, to Patsy wiedziała, kto to jest. Zamordowano ją, by nikomu nie powiedziała.

- Ktoś, kto jest za to odpowiedzialny, na pewno chciał rozlać dużo krwi. Poinformuję policję tutaj i w Irlandii o taśmie...

- Gdzie teraz jesteś? W domu Garrisonów? Sekunda ciszy.

280

- Jestem w kwaterze głównej policji.

- Badasz sprawę zabójstwa Deirdre McCarthy. Jak... - Zamilkła i westchnęła. - A niech mnie. Jesteś gliną, prawda? Agentem, tak? ATF, FBI, może z policji stanowej?

- To skomplikowane.

- Jesteś szpiegiem? Co się stanie, jeśli wpiszę cię w Google? Mój komputer wybuchnie? Trafie na jakąś listę? - Simon milczał, a ona wiedziała, że nie zamierza odpowiedzieć. - Wiesz, że dyrektor FBI jest ojcem Abigail, prawda?

- Tak. Wiem. - Jego ton powiedział jej wszystko.

- Aha. Jesteś agentem FBI. Czy Owen i Abigail wiedzą?

- Skup się na własnej sytuacji. Porozmawiamy później.

**Wyobraziła sobie te bystre zielone oczy i niemal poczuła jego włosy pod swoimi palcami. Po-
przedniej nocy kochała się z nim tak beztrosko. Ale choć czuła wtedy - a nawet teraz - że byli
blisko, zdała sobie sprawę, że w ogóle go nie zna. Był czarujący, przystojny i bardzo seksowny,
ale też opanowany - no i był agentem federalnym.**

- Masz swoje tajemnice, Simon.

- Każdy ma.

Pomyślała o matce, wujku, o Patsy. O nastolatce zamordowanej trzydzieści lat temu.

**- Jadę zobaczyć matkę, jak tylko porozmawiam z Colmem. Simon, przykro mi, że musiałeś tam
ze**

mną dzisiaj być, ale nie wyobrażam sobie, co bym zrobiła, gdybym znalazła Patsy bez ciebie.

- Keiro...

- Ponieważ tak dobrze przygotowujesz się do akcji ratowniczych, pewnie chcesz znać adres chatki mojej mamy.

Westchnął.

- Mógłbym się w tobie zakochać, wiesz?

Jej serce podskoczyło. Uśmiechnęła się, przelykając łzy.

- Chciałabym, żeby tak było - powiedziała i podała mu wskazówki, jak dojechać do chatki.

Kiedy się rozłączyła, Colm odetchnął i ruszył w jej stronę, przytulił ją mocno.

- Keiro, na Boga, opowiedz mi wszystko - poprosił łamiącym się głosem.

Słuchał jej relacji uważnie, nie przerywając. Gdy skończyła, pokręcił głową ze smutkiem.

- Tak mi przykro. Co za straszna sprawa. Oczywiście, znajdę taśmę z nagraniem Patsy. Nie oglądałem jej jeszcze, ale od razu przekażę ją policji.

Zapisała mu numer telefonu wuja, po czym dodała numer Simona.

- Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń do mojego wujka albo do Simona, dobrze? Nie mam numeru Abigail Browning, ale z nią też możesz się skontaktować...

- Zrobię to. I uważniej się przyjrzę twoim szkicom - powiedział Colm, po czym dodał energicznie: - Jeśli mogę jakoś pomóc w znalezieniu tego drania...

282

- Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Jeśli w jakiś sposób jestem odpowiedzialna...

- Keiro, nie obwiniaj się. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Po prostu trzymaj się swojej rodziny i przyjaciół i pamiętaj o pięknych chwilach, które dzieliliś z Patsy.

Uśmiechnęła się.

- Lubię, kiedy wymawiasz jej imię z irlandzkim akcentem.

Pocałował ją w policzek.

- Nadchodzą lepsze czasy, Keiro.

- Trudno teraz w to uwierzyć. No dobra, na mnie pora. Muszę zobaczyć się z mamą i powiedzieć jej o Patsy.

Colm włożył jej do ręki swój telefon.

- Weź go. - Jego oczy błyszczały. Mrugnął do niej. - Pamiętam tego Simona Cahilla z aukcji i coś mi mówi, że mądrze będzie pozostawać z nim w kontakcie.

Keira poczuła przyływ gorąca.

- Pewnie tak. Dziękuję. Colm uśmiechnął się szeroko.

- Rozpocznę zbiórkę na telefon dla ciebie.

- Jesteś wspaniałym przyjacielem, Colm.

Zbiegła po schodach i wyszła na ulicę. Wskoczyła do samochodu i ruszyła w kierunku autostrad Storrow Drive i Route 2. Za niecałe dwie godziny powinna być w chatce mamy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kwatera główna bostońskiego departamentu policji

Roxbury, Massachusetts 24 czerwca godz.11.25

Simon stał w małym, parnym pokoju w rozległej kwaterze głównej bostońskiej policji. Przed nim leżała teczką z dokumentami na temat morderstwa Deirdre McCarthy. Rozmawiał przez telefon z Normanem Estabrookiem, który niedługo miał trafić do aresztu.

- Jesteś już martwy, Cahill - powiedział Es-tabrook.

Simon nie miał czasu na wysłuchiwanie pogrózek.

- Jasne.

- Ufałem ci.

To było kłamstwo. Estabrook nie ufał nikomu. Simona to nie obchodziło.

298

W drzwiach pojawiła się Abigail Browning. Założyła ręce na piersi, jak zwykle była opanowana. Wątpił, czy to najlepszy moment, by powiedzieć jej, jak bardzo przypomina swojego ojca.

Estabrook nie skończył jeszcze.

- Agenci siedzą mi na głowie przez ciebie.

- Zaufaj mi, Norm. - Estabrook nienawidził, gdy mówiono do niego Norm. - Poddaj się albo cię zabiją.

- Nie zostałem miliarderem, poddając się. Jesteś martwy, Cahill.

- Jak się o mnie dowiedziałeś?

- Drogą eliminacji. Jesteś martwy. Martwy, martwy, martwy.

Estabrook bywał wyjątkowo rozdrażniony, ale na ogół nie rzucał pustych gróźb. Był korpulentnym, niebezpiecznym czterdziestolatkiem o twarzy bez wyrazu, który uwielbiał ryzyko i pokonywanie przeciwności. Mimo to Simon nie martwił się. Przez wiele miesięcy

pomagał Estabrookowi planować jego przygody i wychodzić z nich cało, wkładał się w jego życie. Teraz był szczęśliwy, że się go wreszcie pozbył. Estabrook sam postanowił przekroczyć granicę między bajecznie bogatym awanturnikiem i międzynarodowym przestępcą. Nikt tego za niego nie zrobił.

- Najpierw zabiję Johna Marcha - powiedział Estabrook. - Potem ciebie.

- Przyślij mi kartkę z więzienia. To będzie największa przygoda twojego życia.

Estabrook prychnął, a Simon się rozłączył. Miał dość.

285

Córka Johna Marcha weszła do pokoju.

- Więc, agencie specjalny Cahill, czy powinnam zapytać, o co chodziło? - Zaraz jednak spojrzała na teczkę. - Widzę, że jesteśmy tu z tego samego powodu. Co zatem mamy?

- Straszne morderstwo.

Wzięła do ręki zdjęcie Deirdre McCarthy z uroczystości ukończenia szkoły.

- Słodka dziewczyna, prawda? Nic dziwnego, że zbierała anioły.

Simon pokiwał głową. Deirdre była ładna, ale ludzie, którzy ją znali, opowiadali policji, że cechowała ją przede wszystkim dobroć. Gdyby istniały anioły walczące z demonami, Deirdre na pewno nie byłaby jednym z nich.

Jej matka... Patsy McCarthy spokojnie oznajmiła kilkorgu detektywom, że umrze, walcząc gołymi rękami z diabłem. Simon pomyślał o jej maleńkim ciele na dywanie i zastanawiał się, czyjej przecucie się spełniło.

Abigail odłożyła zdjęcie.

- Widzę, że jesteś uzbrojony - powiedziała.

- Musiałem wyglądać jak prawdziwy agent FBI, zanim tu przyszedłem. - Simon nie był jednak w nastroju do żartów. Przeczytał streszczenie wyczerpującego raportu z dochodzenia w sprawie zabójstwa, dręczenia, gwałtu i morderstwa Deirdre. Teraz jej matka nie żyła - została zabita we własnym domu. Jeszcze raz spojrzał na zdjęcie Deirdre, zrobione w dniu, kiedy dzieciaki myślały o tym, co je czeka w życiu. Rok później była martwa. - Jej

300

zabójca śledził ją przynajmniej przez dwa tygodnie, zanim ją porwał. Robił jej zdjęcia. Policja znalazła je później w jego mieszkaniu.

- Deirdre nie wiedziała, że jest śledzona?

- Nigdy nie zgłosiła tego na policję ani nie powiedziała matce.

- Myślisz, że zrobiłaby to? Simon nie wahał się.

- Powiedziałyby matce. Mieszkały tylko we dwie. Była grzeczną dziewczyną, która wszystko mówiła matce.
- Nikt nikomu nie mówi wszystkiego. - Abigail przelknęła ślinę, przeglądając zawartość teczki. - Porwano ją w dniu przesilenia letniego. Nic dziwnego, że Bob go nienawidzi. Nie miałam pojęcia o tej biednej dziewczynie, nawet żadnego przeczucia. Nigdy nie powiedział ani słowa.
- Nie zrobiłby tego. To nie w jego stylu. Zaczerpnęła głęboko powietrza, ale nie klóciła się.
- Jak długo ten potwór ją trzymał?
- Trzy tygodnie. Nie musisz czytać tej teczki, żeby wiedzieć, co z nią wyprawiał.
- Nie, pewnie nie.
- Myśl, żeby ją zabić, przyszła później. Albo się nią znudził, albo zrozumiał, że długo nie pożyje. Poderżnął jej gardło i porzucił ciało w Zatoce Bostońskiej.
- Bob nigdy nawet nie wspomniał... - Twarz Abigail znieruchomiała, gdy zobaczyła zdjęcia wyrzuconego na brzeg ciała Deirdre. - Pracuję tu osiem

lat, a nigdy nie słyszałam o tej sprawie. - Zamknęła teczkę. - Ten zabójca... Stuart Fuller. Kim on był?

- Dwudziestoczteroletnim robotnikiem drogowym. Nie był notowany. Wychował się w trudnej rodzinie. Ojciec, kiedy nie siedział w więzieniu, bił żonę, a ona biła dzieci. Mieszkali w różnych miejscach. Stuart przeniósł się do południowego Bostonu, żeby uwolnić się od rodziny, dwa miesiące przed porwaniem Deirdre.

- Jak go znalazła policja?

- Nie znalazła. Podpalił się i wskoczył do wody na przystani tydzień po odnalezieniu ciała Deirdre.

- To był właściwy człowiek?

- Policja znalazła przytłaczające dowody...

- Nie o to pytam.

Simon nic nie odpowiedział. Znów skrzyżowała ręce na piersi, okrążając mały pokój.

- Przez siedem lat nie wiedziałam, kto zabił mojego męża. Dlaczego to się stało. Nic. Poznałam Boba, gdy byłam jeszcze nowicjuską. Nie było łatwo przeciągnąć go na swoją stronę.

- Wyobrażam sobie - wtrącił Simon. Zdawała się go nie słyszeć.

- Tak wiele mnie nauczył.

- Abigail, to się nie zmieniło...

- Wydawało mi się, że pokazywałam Bobowi, jak to jest stracić kogoś bliskiego. A on przez ten cały czas nie powiedział zupełnie nic...

- Niektórzy spychają takie rzeczy bardzo głęboko i uczą się do nich nie wracać.

302

- Masz rację. Bob nie potrzebuje powodu, by tłumić emocje. To u niego naturalne. - Podeszła do drzwi, ale odwróciła się do Simona, z nieco łagodniejszym wyrazem twarzy. - Gdzie jest Owen?

- Wysiadł na Beacon Hill. Fiona O'Reilly jest z przyjaciółmi na próbie w domu Garrisonów. - Simon spróbował się uśmiechnąć. - Na całej ulicy słyhać irlandzką muzykę.
- Mam nadzieję, że to działa na nią terapeutycznie.
- Ja też. To był ciężki dzień. Skinęła głową.
- A Bob?
- Odjechał dwie sekundy po tym, jak pojawiliśmy się tam z Owenem.
- Powiedział, dokąd jedzie?
- Nie. Nie odezwał się do nas ani słowem.
- To znaczy, że stracił panowanie nad sobą. Simon pokiwał głową.
- Być może.
- Tego by jeszcze brakowało, żeby Bob O'Reilly zrobił coś nieprzemyślanego. Jeszcze jedno pytanie do ciebie, Simon, zanim pójdę. - Spojrzała na niego ciemnymi oczami. - Jak dobrze znasz mojego ojca?
- Tak, jak mówiłem: niektórzy ludzie uczą się głęboko chować to, co złe, i więcej tam nie wracać. John March stracił przyjaciela i bez wątpienia obwiniał się o śmierć Brendana Cahilla. By powiedzieć o tym córce, musiałby stanąć twarzą w twarz z tymi uczuciami. Milczenie na to nie pozwalało.

Abigail przyjęła do wiadomości jego wymijającą odpowiedź.

- Muszę jechać w jedno miejsce, ale z nami jeszcze nie koniec.

- Mam nadzieję, lubię wesela. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Popatrzyła na niego spode łba.

- Jesteś jeszcze mniej zaproszony niż wczoraj. Widział, że opuściło ją napięcie, przynajmniej na chwilę. Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Simon otworzył teczkę na temat Deirdre McCarthy i spojrział na ostatnią stronę, którą oglądała Abigail.

Był to raport o rodzinie Fullerów, przekazany przez detektywa bostońskiego departamentu policji Johna Marcha.

W chwili gdy była mowa o ludziach, którzy nie okazują uczuć, Abigail musiała widzieć nazwisko ojca. Nic jej nie umykało.

Wszyscy, którzy znali Marcha w czasach, gdy pracował w bostońskiej policji, twierdzili, że był pracowity, energiczny i ambitny. Starał się zrobić karierę, pozostając jednocześnie dobrym mężem i ojcem.

I przyjacielem, pomyślał Simon, przypominając sobie zabójstwo własnego ojca. Co John March był winien pamięci przyjaciela, którego syna pomógł w swoim przekonaniu osierocić?

Simon znał odpowiedź, ponieważ March dał ją swoim życiem.

Odłożył teczkę na stół i wyszedł. Chciał być z Keirą - teraz, nie później.

304

Gdy jechał już ruchliwymi ulicami miasta, zadzwonił na prywatny numer Marcha. Ledwo pozwolił dyrektorowi FBI się przywitać.

- Wiesz, że Norman Estabrook właśnie groził, że cię zabije?

- Nie.

- Tak myślałem. Kiedy go zatrzymacie?

- **Za kilka godzin. Jest jeszcze w Montanie. Mamy go pod kontrolą. Nigdzie nie ucieknie.**
 - **March zamilkł, po czym dodał: - Założyliśmy podsłuch na jego telefon.**
- Simon tak przypuszczał.**
- **Nie dzwoniś, żeby mi powiedzieć, że Norman Estabrook mnie nienawidzi - powiedział March.**
 - **Siedzisz w bagnie, które może pochłonąć nas obu.**
 - **Słyszałeś o Patsy McCarthy.**
 - **Tak - powiedział March z lekkim wzruszeniem w głosie.**
 - **Więc ją pamiętasz.**
 - **Zabójstwo jej córki było jedną z najcięższych spraw, nad którymi pracowałem. Gdybym mógł o tym zapomnieć... nie wiem, czybym to zrobił. To przypomina, do czego są zdolni niektórzy ludzie.**
 - **Jak się dowiedziałeś o zamordowaniu jej matki? Na kogo masz oko, na mnie czy na Abigail? A może przez te wszystkie lata pilnowałeś Patsy McCarthy? - March nie odpowiedział, a Simon zacisnął zęby. - Pewnie wszystko naraz.**
 - **Czy Abigail...**
 - **Bardzo się zaangażowała, co cię pewnie nie dziwi, prawda?**

- Czyli wie, że zajmowałem się sprawą morderstwa Deirdre McCarthy - powiedział March. - Ale nie to jest teraz najważniejsze, tylko złapanie zabójcy jej matki. Simon, trzymaj się od tego z daleka. To nie twoja walka. Wracaj do Londynu i jedź na ryby do Szkocji ze swoim kolegą, sir Willem.

- Will jest w Irlandii.

- Oczywiście. Powinienem był wiedzieć. Wy dwaj jesteście zbyt niezależni. Czy mogę zapytać o Keirę Sullivan?

Teraz była kolej Simona, by uniknąć odpowiedzi. Usłyszał ciche westchnięcie Marcha.

- Wiesz, jak skomplikować sobie życie. Kiedy załatwimy Estabrooka, nie będzie już powrotu, Simon. Chyba nie masz co do tego złudzeń?

- Moja przykrywka i tak jest już zniszczona, a poza tym nigdy nie ma powrotu do przeszłości.

- Tak - odparł March z nutką melancholii, która zaskoczyła Simona. - Jesteś bystry i rezolutny, od kiedy skończyłeś czternaście lat.

- Dyrektorze March... John. - Simon wpatrywał się w ruchliwą ulicę. - Czy to właśnie ten człowiek podpalił się i wskoczył do wody trzydzieści lat temu?

- Tak. - Nie było nawet cienia wątpliwości. - Bądź w kontakcie - polecił dyrektor FBI i odłożył słuchawkę.

Simon rzucił telefon na tylne siedzenie. John March był niezwykle profesjonalnym, uczciwym i przyzwoitym człowiekiem. Poza tym przez dwadzieścia lat utrzymywał przyjaźń z synem swojego

292

zmarłego przyjaciela, w tajemnicy przed córką. Simon dobrze znał się na tajemnicach. Dodał gazu.

Przeżywałam przygodę życia w Irlandii, podczas gdy moja najlepsza przyjaciółka, najwspanialsza osoba, jaką kiedykolwiek znalazłam, była w rękach tego potwora.

Słowa dziewiętnastoletniej Eileen O'Reilly z jednej ze stron w teczce Deirdre stanęły Simonowi przed oczami. Kto mógł mieć jej za złe, że nie powiedziała córce o morderstwie przyjaciółki? I kto mógł mieć teraz za złe Keirze, że chciała zrozumieć matkę?

Simon mocniej chwycił kierownicę. Chciał, żeby teraz zadzwonił do niego Norman Estabrook i jeszcze raz zagroził mu śmiercią. Jazda do lasów południowego New Hampshire będzie długa.

Zerknął na prędkościomierz.

No nic, będzie tam za dwie godziny, może nawet szybciej.

O wiele szybciej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Back Boy

Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 12.00

W przerwie na lunch tłum ludzi wtargnął do ruchliwej, ekskluzywnej siłowni pod salonem Augu-stine'ów na Clarendon Street. Abigail patrzyła, jak mężczyźni i kobiety, których życie tak bardzo różniło się od jej własnego, wbiegają do szatni, wskakują na bieżnie i wdrapują się na urządzenia do ćwiczeń. Niektórzy rozciągali się na matach. Pewien starszy mężczyzna wykonywał brzuszki na pilce. Wyglądał, jakby robił dwa miliony brzuszków dziennie. Abigail wolałaby wziąć iPoda i przebiec się wzdłuż rzeki Charles. Podnieść sobie poziom endor-fin i nie myśleć o starszej kobiecie zabitej w swoim domu wśród figurek aniołów, które zbierała jej zamordowana córka. Nie myśleć o tym błyskotliwym, honorowym, irytująco tajemniczym męż-

308

czyźnie, który był jej ojcem. Zadzwoiła do niego, jadąc na Clarendon Street, ale włączyła się tylko poczta głosowa. Nie zostawiła wiadomości. Pomyślała, że unikał jej albo rozmawiał z Simonem. A może jedno i drugie.

Nie zadzwoniła do Owena. Uświadomiła sobie, że wiedział o Simonie. Owen był dokładny we wszystkim, co robił, a przede wszystkim w swojej pracy w Fast Rescue.

Spodziewała się kłamstw i sekretów w pracy. Były jej nieodłączną częścią-do jej obowiązków należało odkrywanie tajemnic i dochodzenie prawdy.

Ale kłamstwa i sekrety nie powinny być częścią jej życia prywatnego.

Mimo wszystko postanowiła o tym przez chwilę nie myśleć.

Stała koło sterty świeżo złożonych białych ręczników w recepcji siłowni.

Z zaplecza wyłonił się szczupły, opalony mężczyzna w czarnym dresie. Był w wieku Boba, ale w o wiele lepszej formie.

- **Dziękuję, że pani poczekała - powiedział. - Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon. Spodziewałem się pani. Nazywam się Ron Żytka. Prowadzę tę siłownię. Czy możemy porozmawiać tutaj?**
 - **Nie ma problemu.**
 - **Zanim pani zadzwoniła, przyszli tu Charlotte i Jay Augustine'owie. Są wstrząśnięci śmiercią brata Charlotte. - Żytka zdjął idealnie złożony ręcznik ze sterty i rozłożył go na blacie, by złożyć go ponownie. - To zrozumiałe.**
- 295**

- Znał pan Victora?

- Raczej nie. - Pieczolowicie złożył ręcznik wzdłuż na trzy części. - Wpadłem na niego z Charlotte kilka razy i przedstawiła nas sobie. Mógłbym go wskazać w tłumie, ale to wszystko. Nie był członkiem siłowni. To nie ten typ.

Żytka skończył składać ręcznik i położył go z powrotem na szczycie sterty. Zdaniem Abigail, wyglądał tak samo jak wcześniej. Zadzwoiła do Zytki tego ranka, zanim dowiedziała się o zabójstwie Patsy McCarthy. Teraz nie wiedziała, czy ćwiczenia Augustine'ów miały jakieś znaczenie. Jednak nie ustępowała.

- Widzę, że rejestruje pan klientów przy wejściu. Pewnie ma pan historię...

- Tak, i już sprawdziłem, czy Charlotte i Jay byli tu w dzień śmierci Victora, bo pomyślałem sobie, że pani zapyta. Nie było ich, ale był chłopak, który dla nich pracuje. Wydaje mi się, że pracował u tego biedaka, który się utopił.

- Był tu Liam Butler?

- Tak. Mógł korzystać z siłowni jako gość Augustine'ów. Przekazujemy pewną liczbę wejściówek osobom z tego budynku. Przyszedł tu sam, ma półroczny karnet. - Żytka wskazał na bieżnię przed wysokim oknem. - Zawsze korzysta z tych bieżni.

Abigail zauważyła, że położenie tych bieżni umożliwia obserwowanie ludzi, którzy wchodzą do budynku, samemu nie będąc widzianym.

- Jest pan pewien, że to było tego samego dnia...

296

- Tak - potwierdził Żytka. - To było w dzień utonięcia. Mogę pokazać pani rejestr.

- O której tu był?

- Liam przyszedł tuż przed szóstą po południu.

- Ręce Zytki trzęsły się, gdy uniósł ponownie złożony ręcznik i wyciągnął ten leżący pod nim.

- Czyjego zachowanie wydało się panu dziwne?

- zapytała Abigail.

Żytka zwilżył usta i odwrócił wzrok. Nie dlatego, że coś ukrywał, pomyślała, ale dlatego, że czuł się niezręcznie, może nawet się bał - ale czego? Był nadgorliwy. Może po prostu bał się, że usłyszy go któryś ze stałych klientów i oskarży o niedyskrecję.

Jednak Abigail podejrzewała, że zdenerwowanie Zytki miało coś wspólnego ze śmiercią Victora Sarakisa i zachowaniem Liama Butlera tamtego dnia.

- Jeśli pan woli, możemy porozmawiać w pana gabinecie.

- Sprawdziłem wykaz - powiedział, nie patrząc na nią. Rozłożył ręcznik. - Liam Butler wykupił członkostwo dwa miesiące temu. Mogę pani podać dokładną datę. Od tego czasu przychodzi kilka razy w tygodniu, czasem nawet dwa razy jednego dnia.

- Jeśli pomagał na górze...

- Przychodzi tu w dni, kiedy nie pracuje. Zapytałem moich pracowników - oni też to zauważyli.

Co o tym myślę? - Wziął głęboki oddech. - Myślę, że śledził Augustine'ów.

- Może po prostu trenował przed maratonem?

- Nie. Widzę różnicę.

311

- Panie Żytka, czy Liam Butler albo państwo Augustine'owie kiedykolwiek rozmawiali z panem o aniołach, diabłach lub złu?

Żytka był tak zaskoczony, że jego łokieć drgnął

1 uderzył stertę ręczników, przewracając kilka z nich. Złapał je i potrząsnął głową.

- Nie, nic z tych rzeczy. Co...

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas - powiedziała Abigail, zostawiając swoją wizytówkę na ladzie. - Jeśli coś pan sobie jeszcze przypomni, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

- Dobrze. - Potarł kark. Nagle wydał się mniej pewny siebie. - Proszę posłuchać... nie chcę, żeby Liam miał kłopoty, jeśli on tylko... wie pani. Jeśli nic nie zrobił. Nie oskarżam go...

Abigail ponownie podziękowała mu i wyszła. Kiedy doszła do samochodu, zadzwoniła do Toma Yarborough.

- Możesz się ze mną spotkać koło domu Victora Sarakisa?

- Co się dzieje?

- Jego asystent był na siłowni niedaleko Ogrodu Miejskiego w dniu, kiedy Sarakis się utopił. Liam Butler. Nie powiedział prawdy.

- Podaj mi adres - powiedział Yarborough. - Skontaktuję się z departamentem policji w Cambridge. Zobaczymy się na miejscu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Okolice Mount Monadnock Południowe New Hampshire 24 czerwca godz. 12.30

Eileen Sullivan głośno śpiewała jedną irlandzką piosenkę po drugiej, układając drewno przed swoją chatką. Słyszała w głowie The Clancy Brothers, choć nie pamiętała, kiedy ostatnim razem słuchała płyty lub radia. Jej głos był straszny - Keira też nie potrafiła czysto zaśpiewać żadnej nuty. To nie one w rodzinie były uzdolnione muzycznie.

Zerwał się zimny wiatr i przez chwilę Eileen myślała, że to bryza znad Kenmare owiewa jej twarz. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak tańczy w starożytnym kamiennym kręgu ponad

**szarą, cichą przystanią na półwyspie Beara. Przytuliła pienieki do piersi, jak gdyby w jakiś sposób mógł ją tam przenieść - przenieść do Irlandii, przenieść w czasie.
Zanim Deirdre zginęła.**

299

Ten potwór miał Deirdre, kiedy ja tańczyłam.

Eileen otworzyła oczy. Spróbowała znowu zaśpiewać, ale słowa ją opuściły. Miała nadzieję, że śpiew, pot i modlitwa w końcu odpędzą demony, które nachodziły ją od wizyty Keiry. Jej strapienie nie było winą Keiry - nic nie było jej winą. Jak mogło być, skoro nie wiedziała nawet o Deirdre?

Powinnam była powiedzieć Keirze.

O straszliwej śmierci Deirdre, tak, ale przede wszystkim o jej życiu.

Pojedziesz do Irlandii i przeżyjesz przygody. Och, Eileen! Wiem, że przeżyjesz tam przygody swojego życia. Będziesz musiała mi wszystko opowiedzieć, kiedy wrócisz.

Śmiały się i aranżowały przygody, które będzie mieć Eileen: wycieczkę na Moherowe Klify, całowanie Kamienia z Blarney, odnajdywanie dawno zapomnianych kuzynów. Największą przygodą miało być szukanie wioski, gdzie rozgrywała się akcja opowieści Patsy McCarthy o trzech braciach i kamiennym aniele.

Musisz jechać sama. Wiesz, że musisz, Eileen. Inaczej nigdy nie znajdziesz ruin chatki pustelnika. To będzie połowa zabawy, pojechać tam samej. Czujesz, że tak trzeba zrobić, prawda?

Deirdre zawsze miała dar wiedzy. Nie przewidywania w znaczeniu, którego nauczono Eileen, ale wiedzy - rozumienia ludzi, otwierania się, by zajrzeć w ich serca. Jej intuicja w tych kilku tygodniach przed podróżą Eileen była głęboka, nieustanna.

300

Jeśli coś się ze mną stanie, kiedy będziesz w Irlandii, obiecaj mi, że niczego nie będziesz żałować. Proszę, Eileen. Obiecaj mi.

Eileen powstrzymała łzy, przypominając sobie, jak odmówiła spełnienia tej prośby, ponieważ taka obietnica mogła przynieść pecha Deirdre. Po latach od jej śmierci Eileen zrozumiała, że Deirdre nie przeczuwała nadchodzącej śmierci. Nie wiedziała, że ktoś ją śledzi. Zachowywała

się tak jak zawsze. Była pomocnicą pielęgniarki. Straciła ojca jako nastolatka. Wiedziała, że jej matka straciła siostrzyczkę. Każdy dzień był dla Deirdre skarbem.

Znała też Eileen i wiedziała, jak surowa bywała dla siebie, jak niegodna się czasem czuła. Taka była jej natura, a Deirdre, ze swoją zadziwiającą umiejętnością zaglądania ludziom w serca, po prostu chciała, by jej przyjaciółka dobrze bawiła się w Irlandii. By pozwoliła sobie na to i niczego nie żałowała.

Co zobaczyła Deirdre, gdy zajrzała do serca swojego zabójcy?

- Stuart Fuller.

Eileen wypowiedziała jego imię na głos, by przypomnieć sobie o jego człowieczeństwie. Deirdre nie zabiła nadprzyrodzona istota. Pewien człowiek zdecydował, by ją śledzić, porwać, dręczyć, gwałcić i zabić.

Po policzkach Eileen spływały łzy. Położyła pie-niek na stercie drewna. Musiała wracać do pracy nad iluminowanym rękopisem. Postanowiła zająć się innym, weselszym fragmentem i odłożyć na chwilę węże. Niemal przez cały ostatni tydzień

315

była pochłonięta szukaniem odpowiedniego węża do ilustracji upadku Adama i Ewy. Nic dziwnego, że myślę o demonach. Eileen otarła łzy rękawem. Widok zwykłego węża wygrzewającego się tego ranka na skąpanym w słońcu kamieniu pomógł jej dojść do siebie. Był częścią naturalnego porządku życia na jej zalesionym zboczu.

Spojrzała na piękny krajobraz i skupiła się na rudziku, który przysiadł na gałęzi świerka.

Odnalazła spokój w samotności, rutynie i rytuałach. Uciszały jej umysł i kołysały duszę.

Przynajmniej do pewnego stopnia.

Musisz poszukać tej wsi, Eileen. Wyobraź sobie, że znajdujesz anioła! Mama byłaby tak szczęśliwa!

Eileen uśmiechnęła się i otrząsnęła z melancholii. Pomyślała o swojej córce, która przeżywa własne przygody w Irlandii.

Położyła ostatni kawałek drewna na stercie i oparła się o klocek do rąbania. Udała się z powrotem do chatki. Posprząta, a potem naszkicuje anioły. Nie miała takiego daru jak Keira - jej iskry, radości z rysowania, malowania, tworzenia. Dla Eileen była to ciężka praca, ale to by jej nie przeszkadzało, gdyby efekty były takie, jak oczekiwała. A nigdy nie były. Włoży swoje serce i duszę w ten jeden iluminowany rękopis, i to będzie koniec. Już nie będzie malować.

Zdjęła rozpinaną z przodu bluzę i rzuciła ją na oparcie krzesła.

Jej uwagę przykuł jakiś dźwięk.

302

Znieruchomiała, nasłuchując. *Muzyka...*

Dźwięk harfy. Melodia tak cudowna, że zdawała się przesywać duszę, unosić się w maleńkiej hatce.

Eileen położyła rękę na stole, by zachować równowagę.

Teraz usłyszała szept.

Gdy się odwróciła, wydała okrzyk zdumienia. Na jej piecyku na drewno stała kamienna figurka. *Aniol.*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kenmare, południowo-zachodnia Irlandia 24 czerwca godz. 17.35

Eddie O'Shea z niecierpliwością czekał, aż Mary Feeney, żonajego kuzyna Joego, zamelduje małżeństwo Amerykanów w średnim wieku w niezbyt drogim hoteliku w samym sercu Kenmare. Nie był tak luksusowy jak pięciogwiazdkowe hotele, ale dzięki eleganckim nowoczesnym meblom był całkiem szykowny. Eddie lubił Kenmare, ale nie mógł się doczekać, aż załatwi wszystkie swoje sprawy w tym mieście i wróci do domu.

Małżeństwo powędrowało do pokoju, a on podszedł do kontuaru i obdarzył Mary swoim najżyczliwszym uśmiechem.

- Wierzysz w przeznaczenie, Mary?

- Nie.

Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i najpiękniejsze rude włosy, jakie Eddie widział w życiu,

318

ale z tego, co wiedział, zawsze była trochę jędzowata.

- No cóż, ja wierzę i to przeznaczenie mnie tu przywiodło. Nigdy cię o nic nie prosiłem, prawda? Teraz też bym tego nie robił, ale nie mam wyboru. Jeśli czegoś nie wymyślę, przed zachodem słońca przyjdzie po mnie policja.

Spojrzała na niego jasnoniebieskimi oczami.

- Mam nadzieję, że cię zamkną i wyrzucą klucz. Uśmiechnął się, starając się ją udobruchać.

- Daj spokój, Mary, co ty byś zrobiła bez rodziny?

- Cieszyłabym się życiem - powiedziała, po czym westchnęła. - Co mogę dla ciebie zrobić, Eddie?

- Znajdź Amerykanina, który się tu zatrzymał w dniu przesilenia letniego.

- Nazwisko?

- Nie znam nazwiska.

- W takim razie nie mogę ci pomóc.
- Wydaje mi się, że to człowiek, którego szukamy...
- Którego ty szukasz. To prawda.
- Miał na sobie czarny sweter na suwak. Był tu sam. Jadł kolację w twojej restauracji. Mam rachunek...
- Masz? W takim razie...
- A raczej część rachunku. Został podarty. - Przez tajemniczego czarnego psa, ale tego Eddie nie zamierzał powiedzieć komuś tak pozbawionemu

wyobraźni jak Mary Feeney. - Nie ma numeru karty kredytowej ani pokoju.

Mary przewróciła oczami, wyraźnie zniesmaczo-na.

- Eddie, nie jestem cudotwórcą. Nie możesz ode mnie oczekiwać, że będę pamiętać człowieka z powodu jego swetra.

Jednak Eddie był zdeterminowany.

- A gdybym ci powiedział, że zgubił portfel i że czeka nagroda?

- Wygląda raczej na to, że zgubił sweter. Potrafiła ukryć swoją naturę jędzy pod pozorami humoru, kiedy było jej wygodnie. Swetra nie zgubiono, pomyślał Eddie. Zerwał go z właściciela czarny pies, który wyskoczył spośród róż przed chatką Keiry niecałe trzy godziny temu i rzucił sweter u stóp Eddiego. Był porwany i zakrwawiony, a Eddie postanowił nie przekazywać go policji i zaryzykować więzienie. Zwołał Patricka i Aidana, którzy przemycili go do Kenmare.

- Gdyby zgubił portfel - powiedziała Mary z sarkazmem i poczuciem wyższości - nie potrzebo-
wałbyś mnie, żeby znaleźć jego nazwisko i adres, prawda?

- Nigdy nie umiałem dobrze kłamać.

- To twoja jedyna zaleta, Eddie. - Odwróciła się do monitora i nacisnęła kilka klawiszy.

Zacisnęła usta i zrobiła kwaśną minę. - W każdym razie to nie jest typ, który zaproponowałby nagrodę za cokolwiek.

- Aha. Więc jednak go pamiętasz.

305

- Owszem - powiedziała miękko i spojrzała na Eddiego. Jej jasna cera poszarzała. - Będziesz tu stał całą noc, jeśli ci nie pomogę.

- Masz złe przeczucia co do niego, prawda, Mary?

Zanim odpowiedziała, do kontuaru podszedł szczupły mężczyzna o jasnych włosach. Mary oblała się rumieńcem; choć była mężatką, Eddie nie miał jej tego za złe. Mężczyzna był przystojny i bardziej pasował do jednego z pięciogwiazdkowych hoteli niż do hoteliku Mary.

Zamiast przywitać się z Mary, zwrócił się do Eddiego:

- Nazywam się Will Davenport - powiedział z akcentem Brytyjczyka z wyższych sfer. - Przysłał mnie Simon Cahill.

Eddie nie był zaskoczony, słysząc nazwisko wielkiego, czarnowłosego jankesa, który przyszedł na ratunek Keirze.

- Pan Eddie O'Shea, prawda? - zapytał Davenport.

Eddie starał się nie gapić na mężczyznę.

- Jak pan...

- Pan i pana bracia jesteście zbyt uczciwi, by nie zostawiać śladów.

Między słowami Willa Davenporta był ukryty komplement, pomyślał Eddie. Nieważne, przynajmniej nie musiał już się klócić z Mary.

- Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę? - zapytał Eddie.

Davenport nie zawahał się ani nie zirytował.

321

- Simon wdał się w sprzeczkę o pogodzie w Irlandii, gdy zawitał do pańskiego pubu. Powiedział, że wszyscy i tak go polubili.

To faktycznie przypominało czarnowłosego oswobodziciela Keiry Sullivan, ale Eddie wciąż był nieufny.

- W porządku - powiedział Davenport. - Inspektor Gardy, który zajmuje się tym, co stało się w wiosce, nazywa się Seamus Harrigan.

- Nietrudno się tego dowiedzieć.

Piwnie oczy Brytyjczyka zwięzły się, a Eddie wyczuł w nim jakąś powagę - sprawność wykraczającą poza zmuszenie jego braci, by go zdradzili. Davenport powiedział cicho:

- Kobieta, która opowiedziała Keirze Sullivan tę irlandzką legendę, znaleziono zamordowaną w Bostonie dziś rano.

Mary krzyknęła, a Eddie, choć poczuł mdłości, wyprostował się i wyciągnął rękę.

- Miło mi pana poznać, panie Davenport. Będę potrzebował każdej pomocy, jaką zechce mi pan zaoferować, zanim ten diabeł ponownie zaatakuje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Cambridge, Massachusetts 24 czerwca godz. 12.40

Wchodząc po schodach do domu Victora Saraki-sa w Cambridge, Abigail z zaskoczeniem odkryła, że posesja sprawiała wrażenie opuszczonej. Trawa była wyższa. Dmuchawce rozsiewały nasiona w popołudniowym wietrze. Właściciel nie żył dopiero od tygodnia, ale jego dom nie wyglądał na zwyczajnie zaniedbany. Wyglądał, jak gdyby umarł, nie mając na całym świecie ani jednej osoby, która by się o niego zatroszczyła.

Na podjeździe stał samochód Liama Butlera, ale najwyraźniej Liam nie znalazł w sobie wystarczającej energii lub koncentracji - czy co tam było do tego potrzebne - by wyciągnąć kosiarkę.

Lub zamknąć drzwi, pomyślała Abigail, widząc, że są lekko uchylone.

Nacisnęła dzwonek i odczekała kilka sekund.

308

Gdy nikt nie odpowiedział, zapukała. Drzwi otworzyły się na jakieś trzydzieści centymetrów. Usłyszała muzykę dochodzącą od strony pokoju z diablami.

Irlandzką muzykę.

Była to skoczna melodia, która brzmiała znajomo, jednak Abigail nie potrafiła jej nazwać.

Dlaczego w domu Victora Sarakisa gra irlandzka kapela?

Muzyka ucichła i Abigail usłyszała śmiech i rozmowy. Dzieciaki.

- To jeszcze nie do końca to. Przećwiczmy jeszcze raz, dobrze?

Fiona.

Abigail stłumiła okrzyk, gdy rozpoznała głos Fiony O'Reilly i muzyków z jej zespołu. Taśma? Chwytając za broń, Abigail ruszyła korytarzem. Yarborough i policjanci z Cambridge będą tu lada chwila.

Muzyka zabrzmiała znowu. Przesuwane drzwi do pokoju z diablami były otwarte na oścież.

Abigail nikogo nie widziała... to musiało być nagranie.

Ale gdzie? I po co?

Odsunęła od siebie myśl o tym, jak wyglądałby Bob, gdyby tu z nią był. Podążyła za muzyką do pokoju z dziwną kolekcją obrazów i rzeźb diabła. Drzwi do klimatyzowanego pomieszczenia w przeciwległej ścianie były na wpół otwarte, niczym zaproszenie i pokusa.

Fiona wybuchnęła śmiechem. Podobnie jak jej

309

znajomych, rozbawiło ją to, że zupełnie zepsuli utwór, który ćwiczyli.

Abigail weszła do małego, ciemnego pomieszczenia bez okien. Wolną ręką wyczuła ścianę i włączyła światło. Najwyraźniej była to kiedyś duża garderoba, którą zamieniono na klimatyzowany pokój. Na sięgających sufitu regałach stało więcej przedmiotów, które odzwierciedlały zainteresowania Victora Sarakisa.

Muzyka i głosy Fiony O'Reilly i jej znajomych dochodziły z magnetofonu, który leżał na dębowym biurku. To podstęp, pomyślała. Gra wymyślona przez kogoś, kto na nią czekał i chce ją przestraszyć.

O, Boże.

Zdjęcia... Mnóstwo zdjęć przyklejonych do tablicy opartej o nogę biurka.

Fiona... Madeleine O'Reilly, Jayne O'Reilly. *Córki Boba.*

Jasnowłosa Fiona przed domem Garrisonów na Beacon Street.

Ruda Madeleine na treningu piłki nożnej.

Blondwłosa Jayne jedząca lody w rożku w Lexington wśród kilku znajomych.

Abigail odzyskała równowagę. Gdzie, do cholery, jest Liam Butler?

Weszła z powrotem do głównego pokoju, wolną ręką sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Scoopa.

- Muszę zlecić ci znalezienie córek Boba. Wszystkich trzech. Owen j est z Fioną na Beacon Hill.

Nie wiem, gdzie są Madeleine i Jayne.

- A co z Keirą?

325

- Ją też znajdź. - Na tablicy nie było zdjęć Keiry, ale Abigail wolala nie ryzykować. Najspokojniej, jak potrafiła, opisała, co zastała w domu Sarakisa. - Yarborough z ludźmi już tu jedzie.

Scoop zaklął pod nosem.

- Co jeszcze mogę zrobić?

- Nie mówiłam jeszcze Bobowi. Znajdź go, Scoop. Znajdź go teraz. Powiedz mu.

- Dobra.

Wyszła na korytarz, wciąż trzymając w dłoni pistolet.

- Scoop, nie wiem, co jest realne, a co jest tylko grą na emocjach. Ten typ...

- To na razie nieważne. Zbadamy każdy aspekt sytuacji i dowiemy się, co się dzieje. Uważaj na siebie, Abigail. Czekał na Toma Yarborough.

W tym momencie Abigail zobaczyła krew na drewnianej podłodze i usłyszała jęk w końcu korytarza. Butler? Jedna z córek O'Reilly'ego?

- Nie mogę czekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Południowy Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 12.50

Bob O'Reilly szedł od swojej starej ulicy do kościoła Świętej Ity, gdzie bywał jako chłopiec.

Wielokrotnie przemierzał tę trasę w dzieciństwie. Jego koledzy z pracy wciąż zajmowali się miejscem zabójstwa Patsy. Potrwa to jeszcze trochę. Bob nie mógł znieść myśli o tym, w jaki sposób umarła. Ile razy powtarzała mu, że zginie, walcząc z diabłem gołymi rękami? To była szybka, choć krwawa śmierć. Zabójca nie igrał z nią tak, jak zabójca Deirdre.

Główny detektyw, mężczyzna, którego pomagał szkolić Bob, odciągnął go na bok i powiedział, że prawdopodobnie morderca Patsy ustawił anioły i zdjęcia w jadalni, gdy była już martwa.

**Biały kościół Świętej Ity wyglądał, jakby pochodził z jakiegoś parku miejskiego w Nowej
312**

Anglii. Bob o mało nie wpadł na szlochającą, siwą kobietę na ścieżce. Przedstawiła się jako koleżanka Patsy; powiedziała mu, że ksiądz jest w sali parafialnej. Bob poczuł ulgę. Nie postawił stopy w kościele Świętej Ity od pogrzebu Deirdre, a teraz przynajmniej mógł uniknąć prezbiterium.

Ojciec Palermo siedział w starej ławie kościelnej przysuniętej do ściany. W otwartej dłoni trzymał delikatnego anioła z białej porcelany, który miał harfę w ramionach. Bob od razu go rozpoznał.

- To był jeden z ulubionych aniołów Deirdre McCarthy - odezwał się. - Nie dostała go w prezencie. Wybrała go sama.

Palermo skinął głową, nie patrząc na Boba.

- Czy dała go księdzu Patsy?

- Tak. Na naszym kiermaszu aniołów kilka tygodni temu.

- To ciekawe, że akurat z tym postanowiła się rozstać.

Bob rozejrzał się po pustej sali. Wyobraził sobie, jak wyglądała pełna stołów z wystawami aniołów. Wyobraził sobie Patsy, promienną i dumną, bo jej kolekcja była najpiękniejsza ze wszystkich. I dlatego, że uczciła pamięć Deirdre.

Palermo milczał.

- Więc... gdybym się przyjrzał przeszłości księdza, czy odkryłbym, że naprawdę nie nazywa się ksiądz Michael Palermo?

Ksiądz uniósł wzrok i spojrzał na Boba. Wydawało się, że Palermo przygotowywał się na tę chwilę. Gdy wciąż milczał, Bob mówił dalej:

313

- Stuart Fuller miał młodszego brata. Podobno całkiem miłego chłopaka. Nigdy go nie poznałem. Miał dopiero czternaście lat, gdy zabito Deirdre. Straszna rodzina. Okrutni rodzice, nagle przeprowadzki, wiele różnych szkół. I wie pan, co zrobił ten chłopak?

Palermo znów opuścił wzrok na anioła i powiedział:

- Znalazł wyjście. Drogę ucieczki z ciemności.

- Stworzył sobie świat fantazji. Zapelniał jeden zeszyt po drugim artykułami z „National Geographic” o wyspach Morza Śródziemnego.

- Jak pan się dowiedział o tych zeszytach, panie O'Reilly?

Głos Palerma nie brzmiał ostro ani gorzko. Była w nim po prostu ciekawość - jakby przygotował się na różne zakończenia, a tego akurat nie wymyślił.

- Mój ojciec był gliniarzem - powiedział Bob. Palermo pokręcił głową.

- Ojciec nie powiedział panu o zeszytach. Był zwykłym policjantem. Miejscowi ludzie wspominają, że uwielbiał pracować na ulicy.

Bob wzruszył ramionami.

- Nigdy nie chciał być detektywem. Wiedział, że ja chciałem. Ludzie wokół mnie mówili różne rzeczy, a ja słuchałem uważnie. Nie ma tego w teczce

o morderstwie Deirdre, nie ma nic o tym chłopcu

1 jego zeszytach. Wątpię, czy żyje jeszcze ktoś, kto to pamięta.

Nieprawda. John March pamiętał. Przeprowadzał

329

to dochodzenie jako młody detektyw bostońskiego departamentu policji. Bob rozmawiał z nim, zanim udał się do kościoła Świętej Ity. Zapytał dyrektora FBI, czy pamięta coś o ludziach z rodziny Fullera. Matce, ojcu, braciach, siostrach, znajomych.

March opowiedział mu o zeszytach.

Palermo wciąż milczał, więc Bob odezwał się znowu:

- Palermo to stolica Sycylii, największej wyspy na Morzu Śródziemnym. Słyszałem, że ten brat stał się religijny po śmierci Stuarta. Zabawne, jak czasem układają się sprawy...

- Może i tak, detektywie. Może i tak.

- Patsy domyśliła się, kim ksiądz jest, prawda?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Domyśliła się. Może mi ksiądz wierzyć. Wychowałem się kilka metrów od jej domu. Pomogłem jej pochować jedyną córkę. Dając księdzu tego anioła, Patsy oznajmiła, że nie wini księdza za to, co zrobił brat.

Palermo podniósł wzrok. Tym razem jego oczy były pełne łez.

- Nie zasłużyła na to, by przeżywać śmierć córki. Nie zasłużyła na to, co zrobił mój brat.

- Nie, nie zasłużyła.

Palermo osunął się na oparcie ławki, ale wciąż mocno trzymał figurkę anioła.

- Patsy poprosiła mnie, żebym zawiózł ją na Beacon Hill. Chciała zobaczyć Keirę Sullivan, zanim wyjedzie do Irlandii. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ona wie, że jestem bratem Stuarta. Nic nie

315

powiedziała, ale nie mam cienia wątpliwości, że się zorientowała.

- Czy ona zabiła Stuarta?

Jego twarz złagodniała, a Bob zrozumiał, dlaczego jego parafianie pokochali go jako księdza.

Tak mówili detektywi koło domu Patsy - że ona, podobnie jak inni, uwielbiała ojca Palermo.

- Czuje pan w swoim sercu, że nie zabiła Stuarta - odparł Palermo. - Gdy znaleziono ciało Deirdre, Patsy dowiedziała się, dokąd zabrał ją Stuart. Gdzie ją zabił. Gdzie się ukrywał. Nie powiedziała nic policji.
- Jak się zorientowała?
- Powiedziała mi, że przyszedł do niej anioł. Jestem księdzem, detektywie O'Reilly. To nie kłamstwo. Ale nie wierzę, że chodziło jej o to, że dosłownie powiedział jej to anioł.
- Stuart do niej zadzwonił - domyślił się Bob.
- Twierdził, że chce poprosić o wybaczenie.
- Patsy w to nie wierzyła, prawda?
- Nie. Wiedziała, że nią manipuluje. Chciał napawać się jej bólem. Mój brat żywił się cierpieniem innych. Rozpacz i przerażenie Patsy dały mu taką samą satysfakcję jak to, co zrobił jej córce. - Palermo wstał z trudem. - Stuart zwabił Patsy na łódź, gdzie się ukrywał. Podpalił się na jej oczach. Wyrzucała sobie, że go nie powstrzymała.
- A mogła?
- Któż to wie? Osobiście w to wątpię. Cieszyła się, że nie mógł już nikogo skrzywdzić, i cieszyła się, że cierpiał. Nie żałowała, że nie poinformowała

policji o telefonie Stuarta. Wiedziała, że powstrzymaliby ją przed pójściem do niego...

- No pewnie.

Palermo zawahał się, po czym kontynuował:

- Moim zdaniem, Stuart planował ten telefon do Patsy od samego początku. Chciał sprawić, by obie cierpiały. Patsy i Deirdre. Matka i córka.

Bob skrzywił się.

- To dziwne, że ktoś taki popełnił samobójstwo. Palermo nie skomentował tego. Był zmęczony i blady, ale spróbował się uśmiechnąć.

- Patsy była taka szczęśliwa, gdy Keira pojawiła się w jej życiu. Była osobą, której mogła opowiadać swoje historie.

- Była niezłą gawędziarką.

- Najlepszą. Uwielbiała prace Keiry, podobnie jak wiele osób z parafii. Keira ma u nas wielu entuzjastów.

- To sympatyczne - ocenił Bob. Zrobiło mu się nieswojo, gdy ksiądz wspomniał o jego siostrzenicy.

- Patsy wierzyła, że stanie się wiele dobrych rzeczy, jeśli kamienny anioł z jej opowieści zostanie odnaleziony. Bardzo lubiła o tym myśleć. Detektywie O'Reilly, nigdy nie chciałem... - Palermo pokręcił głową, a jego oczy napelnily się łzami. - Nieważne. Mój brat grał z nią w straszną, pokręconą grę, ale co ja mogłem zrobić?

- Czy pomyślał ksiądz kiedyś, że Patsy jest w niebezpieczeństwie?

- Nie. Nie przeczuwałem żadnego niebezpieczeństwa. Żadnego.

332

- Jedynym człowiekiem odpowiedzialnym za przestępstwo względem Patsy jest ten, kto je popełnił. Koniec, kropka. Tak samo w przypadku śmierci Deirdre.

- Życie nie jest takie czarno-białe.

- Niektóre sprawy nie są. Ale ta jest.

Bob pomyślał o Abigail i jej śledztwie w sprawie utonięcia w Ogrodzie Miejskim, które tak go irytowało. Nie tylko jego. Ale ile razy w poprzednich latach powtarzał jej, żeby nie pozwalala, by powstrzymywały ją krytyczne oceny innych? Jeśli miała uzasadniony powód, by sprawdzić jakieś przypuszczenia, jakąś teorię, powinna to zrobić.

- Czy znał ksiądz Victora Sarakisa?

- Tylko słyszałem nazwisko. To ten człowiek, który utonął w noc, kiedy zawiozłem Patsy na spotkanie z Keirą.

- A Liama Butlera? Charlotte i Jaya Augustine'ów?

Pokręcił głową.

- Nie. - Palermo otworzył drzwi i do środka wlało się jasne światło słoneczne. - Jeśli przyjdą panu do głowy jakieś inne pytania, będę tutaj.

- Muszę zgłosić wszystko, co wiem o księdzu.

- Tak. Oczywiście. Przykro mi, że skłamałem, kim naprawdę jestem. I przykro mi z powodu Patsy. Znałem ją od niedawna, ale bardzo lubilem.

- Powinienem był mieć z nią bliższy kontakt.

- Z tego, co widziałem, znalazła sposób, jak dalej żyć. Wszystkich nas dotknęło to, co zrobił mój

318

brat trzydzieści lat temu. Jestem pewien, że nowe życie pana siostry jest po części wynikiem...

Bob zatrzymał się gwałtownie w drzwiach.

- Co ksiądz wie o mojej siostrze? Palermo poczerwieniał.

- Tylko to, co wiedzą inni w parafii. Zanim zbudowała chatkę, przychodziła tu od czasu do czasu na mszę. Ludzie lubią ją i podziwiają jej poświęcenie dla wiary, ale są zaskoczeni, że wybrała takie życie. Nie są krytyczni wobec niej. Po prostu nie spodziewali się tego, bo zawsze była towarzyska.

- Eileen zawsze była dla siebie surowa.

- To nie jest cel życia, które wybrała.

- To jej cel.

Palermo nic nie odpowiedział.

- Czy Keira rozmawiała z kimś jeszcze o starych historiach rodzinnych? - zapytał Bob.

- Nie, ale słyszeliśmy, że chce porozmawiać z ludźmi, którzy wyemigrowali z Irlandii w ubiegłym stuleciu.

- Czy zna ksiądz kogoś, kto jest zaangażowany w konferencję w Bostonie i Cork?

Palermo pokręcił głową.

- A ludzi, którzy kolekcjonują irlandzką sztukę?

- To duża grupa...

- Kogoś, kto znał Patsy, moją siostrę, moją siostrzenicę - sprecyzował Bob.

- Państwa Murphych, oczywiście. Są cenionymi kolekcjonerami. Słyszałem, że licytowali jeden z obrazów pana siostrzenicy na aukcji, ale nie jestem pewien, czy tam byli.

334

Bob znał Murphych.

- Powiedział ksiądz o nich detektywom?

- Nie...

- Proszę to zrobić. Niech ksiądz pójdzie do domu Patsy i powie im. - Bob poczuł, jak jego telefon wibruje. - Muszę iść. Będziemy się jeszcze kontaktować.

Palermo skinął głową, ściskając anioła. Był blady i roztrzęsiony, gdy Bob wychodził.

Bob zerknął na wyświetlacz swojej komórki. Westchnął, gdy zobaczył na nim nazwisko Scoopa Wisdoma, i odebrał.

- Mam wielką nadzieję, że nie dzwonisz, żeby mi opowiedzieć o kompoście.

- Wszyscy czują się dobrze, Bob - powiedział Scoop. - Jadę do domu Garrisonów. Jest tam Owen z Fiona. Policjanci z Lexington mają Madeleine i Jayne. Nic im nie jest. Wszystko z nimi w porządku.

Pod Bobem ugięły się kolana.

- Wyjaśnij, o co ci chodzi. O czym ty, do cholery, mówisz?

Stał w letnim słońcu na chodniku, który dobrze znał jako chłopiec. Scoop opisał zdjęcia i taśmę, które Abigail odnalazła w Cambridge, w domu topielca Victora Sarakisa. Mężczyzny, którego śmierć, jak twierdził Bob, była niezwiązana z aukcją na Beacon Street. Z Keirą. Z jego rodziną. Odsunął od siebie poczucie winy.

- Ale co z Keirą? - zapytał, gdy Scoop skończył relację.

320

- Pojechała do matki...

Bob zaklął, przerywając Scoopowi, i jeszcze raz spojrzął na budynek parafialny. Zabójstwo Patsy mogło być podyktowane korzyścią, ale było też częścią planu. Ustawianie aniołów, zdjęć, obrazka. Dokończenie dzieła Stuarta Fullera. Matka i córka były teraz martwe. Patsy, Deirdre. Bob pomyślał o diabłach w domu Victora Sa-rakisa.

Ścigali diabła. To pewne.

Billie i Jeanette Murphy, członkowie parafii Świętej Ity, pozwolili Eileen wybudować chatkę na swojej ziemi w południowym New Hampshire. Licytowali jeden z obrazów Keiry. Zbierali sztukę irlandzką.

Patsy opowiadała Keirze irlandzkie legendy.

A ktoś obserwował, knuł, spiskował, aż w końcu podjął działanie.

Chciał sprawić, by obie cierpiały. Patsy i Deirdre. Matka i córka.

Bob poczuł, jak włosy na jego karku stają dęba.

- Scoop, to Eileen i Keira są na celowniku tego drania. Mają być głównymi ofiarami dla tego diabła.

- Ale jak... nieważne. Wyślemy ludzi z lokalnej i stanowej policji do domu twojej siostry. Możesz im wytłumaczyć, jak tam dojechać?

- Podążajcie za okruszkami chleba wśród paproci... Nie, nie mogę im wytłumaczyć. Nigdy tam nie byłem. Musimy znaleźć Murphych. To ich ziemia, oni będą wiedzieć.

- Ja to zrobię, Bob.

321

Podał Scoopowi ich imiona i wyjaśnił, gdzie ich znaleźć.

- Cahill jedzie do New Hampshire - powiedział Scoop. - Jest z FBI. Keira musiała podać mu wskazówki.

- **FBI? - Bob spróbował się uśmiechnąć. Czarny humor zawsze był jego mechanizmem obronnym.**
 - **Nie mogę się doczekać, aż Keira dowie się, że zakochała się w agencie federalnym.**
 - **Myślisz, że się w nim zakochała?**
 - **Bez reszty. Angażuje się we wszystko, co robi.**
 - **Bob poczuł napięcie w klatce piersiowej. -Scoop... Nie mogę ich stracić.**
 - **Nie stracisz. Muszę kończyć.**
 - **Tak, idź. Jadę do Cambridge. Scoop... - Łzy napłynęły mu do gardła. - Dzięki.**
- Ale Scoop już odłożył słuchawkę.**

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Okolice Mount Monadnock Południowe New Hampshire 24 czerwca godz. 13.00

Boston i jego przedmieścia ustąpiły wzgórzom, lasom i terenom uprawnym. Keira jechała na wschód, a potem na północ do New Hampshire, ale malowniczy krajobraz nie przyniósł jej nawet cienia ulgi. Zaparkowała przy cichej uliczce tuż przed skrzyżowaniem do chatki mamy.

Rozmawiała przez telefon z Colmem Dermottem i nie chciała ryzykować utraty zasięgu, zanim powie jej to, co chciał przekazać.

Jeanette i Billie Murphy - małżeństwo, do którego należała ziemia, gdzie jej mama zbudowała chatkę - kupili drugi z jej obrazów na aukcji.

- Nie widziałam ich, przyjechałam później...

- Nie było ich tam. - Zwykle pogodny Colm był teraz spięty. - Kupili obraz przez osobę trzecią.

338

Keiro, to jest niepokojące. Pośrednikami byli Jay i Charlotte Augustine'owie. To antykwariusze z Bostonu. Charlotte Augustine jest siostrą Victora Sara-kisa.

- Colm... to ten człowiek, który się utopił.

- Tak.

Keira starała się opanować szok. Otworzyła okno. Serce jej waliło, gdy słuchała szumu strumyka, który płynął wzdłuż drogi. Wokół żadnych innych samochodów, domów ani ludzi. Była sama.

- Augustine'owie złożyli ofertę telefonicznie w imieniu Murphych - ciągnął Colm. - Staram się znaleźć wolontariusza, który odebrał ten telefon. Jestem pewien, że Augustine'owie nie przyszli na aukcję. Ich nazwisk nie ma wśród zaproszonych ani na liście obecności. Oczywiście nie wszyscy podpisali tę listę, ale nie pamiętam, żebym ich spotkał. A myślę, że bym zapamiętał. Witalem się z każdym, kto przybył, poza tym mam pamięć do nazwisk. Keiro, policja będzie chciała mieć te informacje, prawda?

- **Tak, absolutnie. Co słyszałeś o Augustine'ach? Wiesz coś o nich?**
 - **Znalazłem informacje w Internecie. Wygląda na to, że to szanowani antykwariusze, którzy znają się na rzeczy.**
 - **Specjalizują się w sztuce irlandzkiej?**
 - **Z tego, co widzę, nie.**
 - **Nie chodzi mi o mój obraz, nie wyobrażam sobie, że Augustine'owie byliby nim zainteresowani.**
- Poczula ciepły wiatr i usłyszała pianie kogutów**
- 324**

w oddali. - Myślę o kamiennym aniele z opowieści Patsy McCarthy. Czy to by ich zainteresowało, zakładając, że to sztuka celtycka lub choćby z okresu Odrodzenia Celtyckiego?

- To zainteresowałyby wielu ludzi. Westchnęła.

- Nie wyobrażam sobie, że jacyś antykwariusze wysokiej klasy z Bostonu kręciliby się po irlandzkich ruinach w poszukiwaniu figurki, której istnienia nie są nawet pewni. - Keira umilkła. Nagle poczuła się odcięta od świata na cichej dróżce. Gardło ścisnęło jej się ze wzruszenia. - Ale z drugiej strony, nie wyobrażam sobie też, jak ktoś mógłby zabić staruszkę w jej własnym domu.

- To musiało być okropne - powiedział Colm.

- Czy ktoś już odebrał obraz Murphych?

- Jeszcze nie.

- Colm, jesteś wspaniały. Zaraz stracę zasięg, więc nie mogę sama zadzwonić na policję...

- Mam tu numery, które mi zostawiłaś. Najpierw zadzwonię do twojego wujka. Keiro... proszę, uważaj. To niepokojące.

- Niedługo będę w chatce mamy.

Gdy się rozłączyli, Keira przejechała jeszcze półtora kilometra i skręciła w wąską, ślepią drogę gruntową, która zaprowadziła ją głębiej w las i w końcu zakończyła się małą pętlą. Wyszła z samochodu i stała przez chwilę, próbując złapać oddech wśród sosen i klonów. Zaledwie tydzień wcześniej przyjechała tu, by porozmawiać z mamą o podróży do Irlandii. Mimo ambiwalentnego stosunku do

340

nowego stylu życia mamy Keira cieszyła się na spotkanie z nią. Wizja odnalezienia biologicznego ojca pociągała ją, ale jej wyobraźnię najbardziej rozpalala opowieść o trzech braciach i ich walce z elfami o kamiennego anioła oraz możliwości, które ta historia przedstawiała dla niej jako artystki i folk-lorystki.

Gdy znalazła dróżkę prowadzącą do chatki, nagły podmuch wiatru zwał jej kosmyki włosów na twarz. Tego ranka nie przyszło jej do głowy, by spiąć włosy. Spieszyła się do Patsy i chciała jak najszybciej wypędzić swojego czarnowłosego ratownika z mieszkania, zanim coś więcej między nimi zajdzie.

Był agentem FBI.

Keira wątpiła, czy był to jedyny sekret Simona Cahilla. Owszem, wydawał się czarujący, ale na pewno miał wiele twarzy, których nie знаła.

Znów powiał wiatr. Przyspieszyła, omijając korzenie drzew, kamienie i niskie gałęzie, przedzierając się przez paprocie, które rosły po obu stronach wąskiej ścieżki. W innych okolicznościach cieszyłby ją ten spacer, szczególnie w tak piękny letni dzień, ale dzisiaj czuła tylko strach spowodowany perspektywą spotkania z matką, poinformowania jej o Patsy i błagania, by zgodziła się opowiedzieć jej o Irlandii i swojej nieżyjącej przyjaciółce.

A jeśli nie będzie chciała mówić, by przynajmniej zajęła się swoją córką tak jak kiedyś, choćby na kilka minut. Wysłuchiwała. Była przy niej. Czy to były takie samolubne pragnienia?

Keira zmusiła się do stłumienia swoich potrzeb.

326

Znała Patsy zaledwie od kilku tygodni. Jej mama znała ją przez całe życie.

Może lepiej będzie zawrócić i pojechać do Bostonu? Po co w ogóle jej to mówić?

Keira potknęła się o wystający kamień, ale odzyskała równowagę, chroniąc się przed upadkiem.

Potknięcie wyrwało ją z zamyślenia. Skupiła się ponownie na otoczeniu. Jadąc samochodem, zastanawiała się, czy nie pozostawić mamy w błogiej nieświadomości. Pozwolić jej modlić się i pracować w swoim odosobnionym świecie. Czy nie tego chciała? Jednak wystarczyło, by Keira przypomniała sobie ciało Patsy, anioły i zdjęcia w jadalni; wiedziała, że nie może zawrócić.

Gdy doszła do chatki, uderzyło ją podobieństwo miejsca, które wybrała jej matka, do okolic ruin w Irlandii. Mimo że krajobraz był mocniej zalesiony niż otwarta przestrzeń na półwyspie Beara, a w pobliżu nie było owiec ani kamiennych kręgów, wzgórze opadające ku strumieniowi i oddalenie tego miejsca przypomniało Keirze o jej poszukiwaniu ruin chatki mnicha pustelnika w wieczór przesilenia letniego.

Otrząsnęła się, by opanować zbyt bujną wyobraźnię, podeszła do tylnych drzwi chatki i zawołała mamę. Gdy nie doczekała się odpowiedzi, bez wahania otworzyła drzwi i wetknęła głowę do środka.

- Cześć, mamó. To ja, Keira.

Wciąż nie było odpowiedzi. Nie pomyślała, że

327

matka mogła pójść po wodę do strumyka lub do domku Murphych - albo po prostu do lasu, by posłuchać śpiewu ptaków.

Weszła do środka i zawołała jeszcze raz, przechodząc przez kuchnię do głównego pokoju. Na biurku leżała seria szkiców różnych węży.

Musiała zrobić sobie przerwę i wyjść na dwór, pomyślała Keira, wychodząc przednimi drzwiami.

Poczula lekki zapach trocin i zauważyła świeżo narąbane drewno, które czekało, aż ktoś położy je na zgrabnej stercie. Piecyk na drewno był jedynym źródłem ciepła w domku, a dostarczanie opału nie miało końca. Keira chciała pomóc, ale nie pozwalały na to reguły, które przyjęła matka.

Ogródek był cichy i skąpany w popołudniowym słońcu. Rosły w nim zarówno kwiaty, jak i warzywa, co Keira wzięła za znak, że życie w izolacji naprawdę uszczęśliwiała mamę.

Usłyszała stłumiony dźwięk dochodzący z nad strumyka.

Jęk.

Jej serce podskoczyło, gdy zobaczyła mokrą, ciemną plamę na pieńku, na którym mama rąbała drewno. Poczula się tak, jakby była znowu w Irlandii i podnosiła się z nad zwałonego drzewa pokrytego owczą krwią.

Ale to nie była owcza krew.

Mamo, gdzie jesteś?

O pieńek był oparty toporek. Keira podniosła go obiema rękami, ale na metalowym ostrzu nie było krwi.

343

**Wiatr poruszał drzewami. Słyszała, jak strumień toczy kamienie w dole.
Przypomniała sobie Simona, jak patrzył na nią w ruinach. Był taki spokojny, taki sprawny. Nie było nikogo, kogo bardziej chciałaby teraz widzieć u swego boku.
Opanowała się. Jako dziecko rąbała drewno z mamą. Potrafiłaby użyć toporka, gdyby musiała.
Zauważyła cień - poruszenie - pośród świerków na zboczu.
To nie była wiewiórka ani dziki indyk.
Ktoś tam się krył.**

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Okolice Mount Monadnock Południowe New Hampshire 24 czerwca godz. 13.25

Telefon Simona zadzwonił, gdy przejechał kilka kilometrów od granicy między Massachusetts a New Hampshire. Zanim Simon zdążył się odezwać, Will Davenport oznajmił:

- Mam wieści.**
- Jakież problemy z dostaniem się do Irlandii?**
- Nie, jestem w Kenmare.**
- Nawet nasza panna Moneypenny nie potrafiłaby cię tam tak szybko ściągnąć. Poruszasz się helikopterem, Will? Czy już tam byłeś, kiedy zadzwoniłem?**
- Przeczuwałem, że będziesz potrzebował mojej pomocy.**

Simon zeszywniał, słysząc poważny ton przyjaciela.

- Mów, Will. Co się dzieje?**

- Amerykanin, Jay Augustine, przyleciał z Bostonu do Shannon dwudziestego pierwszego czerwca rano - powiedział Will. - Wypożyczył samochód na lotnisku i spędził noc w Kenmare. Następnego dnia wrócił do Bostonu. Musiał wrócić po południu. Znając rozległe kontakty Willa w rządzie i poza nim, Simon nie był zaskoczony, jak wiele jego przyjaciół udało się dowiedzieć w tak krótkim czasie.

Will był dokładny, a do tego podejrzliwy.

- Dzień się zgadza - powiedział Simon. - Kim on jest?

- Jay Augustine jest szwagrem mężczyzny, którego ciało znalazła Keira, zanim sama pojechała do Irlandii.

Simon zaklął. Szukał skrętu w drogę gruntową, która miała go zaprowadzić do chatki Eileen Sullivan. Pomyślał, że przy szybkości, z jaką jedzie, nie może być zbyt daleko za Keirą.

- Mów dalej.

Will ciągnął swoje ponure sprawozdanie:

- Dowód - zakrwawiony sweter - wskazuje na to, że Augustine był w ruinach na półwyspie Beara. On i jego żona są antykwariuszami w Bostonie, Simon. Musieli znać wartość starożytnego irlandzkiego dzieła sztuki i mieć potencjalnych nabywców.

- Pieniądze mogłyby wyjaśnić, dlaczego ktoś chciał uprzedzić Keirę i uciec z aniołem. Mogłyby też wyjaśnić, dlaczego zostawił ją w ruinach. Ale ta owca, Will... - Simon umilkł, starając się opanować wściekłość.

330

Keira pojechała do Irlandii śladami niewinnej historii o intrydze i magii, w nadziei że zrozumie swoją matkę i dowie się więcej o swym biologicznym ojcu - a być może o obu swoich ojcach. Tym, który dał jej życie, i tym, który ją zaadoptował.

Simon zobaczył zakręt, skrzył i zdał sobie sprawę, że traci zasięg.

- Simon?

- Zaraz stracę zasięg, Will. Jestem w lesie, jadę do Keiry i jej matki. Augustine nie zrobił wiele, by zatrzeć ślady.

- To znaczy, że ma plan ucieczki. Co robić?

- Poinformuj irlandzką policję...

- Żartujesz? Mam ich tu od dawna - ale humor Willa zniknął niemal natychmiast. - Ten człowiek jest zimnym, wyrachowanym przestępcą, Simon.

- Tak - potwierdził Simon, choć wiedział, że jego telefon zamilkł.

Droga była wąska i pełna dziur, ale przyspieszył. Will i irlandzka policja poinformują policję w Bostonie o Jayu Augustynie. W tym czasie Simon odnajdzie Keirę i jej matkę. Otworzył okno, usłyszał śpiew ptaków i poczuł wiatr. Rozumiał, jak pociągająca była wizja wybudowania domku w lesie. Sam mieszkał na łodzi, choć przez ostatnie osiemdziesiąt kilka godzin wyobrażał sobie Keirę na łodzi razem z nim. Jeśli nie zna się na łodziach, nauczy ją wszystkiego. Jeśli się zna, będzie mógł po prostu patrzeć, jak maluje irlandzkie wróżki i tęcze.

Wspomnienie Patsy McCarthy przerwało marze-

nia Simona o żeglowaniu po siedmiu morzach jakimkolwiek morzu - z księżniczką elfów. Jechał dalej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Cambridge, Massachusetts 24 czerwca godz. 13.30

Charlotte Augustine krzyczała przed domem brata:

- Nie możecie mnie zatrzymać! Mam prawo tu być. Jestem krewną Victora! - Popchnęła policjanta, który ją przytrzymał. - Puść mnie, do cholery!

Abigail wyszła z domu i przeszła pod żółtą taśmą, którą rozwijało dwóch policjantów, by odgrodzić miejsce przestępstwa. Dwaj detektywi z Cambridge, którzy przypominali jej Boba, spojrzeli na nią groźnie, ale milczeli.

Tom Yarborough podążył tuż za nią. Był jasnowłosym, zdeterminowanym i najbardziej cynicznym policjantem, jakiego znała Abigail, a znała ich wielu. Nie spuszczał jej z oczu, od kiedy przyjechał tam dwadzieścia minut temu i zastał ją na kolanach,

332

w kałuży krwi, próbującą ocalić życie Liamowi Butlerowi. Natychmiast zjawili się też inni policjanci i sanitariusze.

- Jak najbardziej możemy panią tu zatrzymać - powiedziała do Charlotte.

- Co się stało? Mój mąż... Liam...

- Liam jest w ciężkim stanie. Wielokrotnie pchnięto go nożem. - Ale celowo zostawiono żywego, pomyślała Abigail. By cierpiał lub by odwrócić uwagę policji, choć na chwilę. Może jedno i drugie. - Znalazłam go na werandzie. Zrobiłam, co mogłam. Są z nim teraz sanitariusze.

- Czy on... - Charlotte drżała i chwiała się na nogach. - Będzie żył, prawda?

- Nie wiem. Zakryła usta ręką.

- O, nie... Nie...

- Gdzie jest pani mąż? - zapytała cicho Abigail.

- Czy Liam... Czy on powiedział pani, kto go zaatakował?

Abigail nie miała zamiaru odpowiadać. Liam był półprzytomny, niezdolny, by odpowiadać na pytania i reagować na polecenia.

- Pani Augustine...

- Nie wiem, gdzie jest Jay.

- Czy pani wiedziała, że Liam śledził panią i pani męża?

Charlotte wzięła kilka krótkich oddechów.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Abigail pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że jednak pani wie.

350

- Idź do diabła. Nie masz prawa mówić mi, co wiem, a czego nie wiem.

Yarborough poruszył się za plecami Abigail, ale nic nie powiedział. Zauważyła dmuchawce w zaniedbanym ogrodzie i przypomniała sobie drogie, eleganckie ubranie, które miał na sobie Sarakis, gdy się utopił. Człowiek pełen sprzeczności, ale czy nie każdy taki jest? Charlotte miała na sobie damską wersję ubrania brata - jasne spodnie khaki, ciemnoróżową koszulkę polo, tenisówki, prostą złotą biżuterię. Nic starożytnego, nic celtyckiego - nic, co zdradzałoby zainteresowanie sztuką irlandzką.

- Pani Augustine, kiedy ostatni raz była pani w klimatyzowanym pokoju brata?

Jej dłoń opadła.

- Co? Dlaczego?

Abigail zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- Jest tam tablica, do której są przyłączone zdjęcia córek innego detektywa...

- To nie jest sprawka Victora!

- Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z seryjnym mordercą. Może pani nam pomóc, mówiąc, co pani wie.

Pod Charlotte ugięły się kolana. Zrobiła krok w tył w kierunku ulicy. Wyglądała, jakby miała zemdleć, ale opanowała się, choć łzy spływały jej po policzkach.

- To śledzenie... to pomysł Victora. Poprosił Liama, by mu pomógł. On... Oni... - Charlotte

zawahała się. Otarła łzy opuszkami palców. - Oni próbowali mi pomóc.

- Jak? - zapytała Abigail.

- Wszystko dzieje się tak szybko...

- Proszę trzymać się faktów. Emocjami zajmie się pani później. Dobrze? W jaki sposób śledzenie pani i pani męża miało zdaniem Victora pani pomóc?

- Chciałam się rozwieść - wyznała, po czym machnęła ręką z lekceważeniem. - Jay tak dużo podróżuje. To właśnie teraz robi. Podróżuje.

- Gdzie?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. Na ogół nic mi nie mówi. Dużo jeździ w związku ze swoją pracą. To znaczy, naszą pracą. - Spojrzała na Toma Yarborough, a potem na Abigail. Oprócz czerwonych policzków na jej twarzy nie było już śladu zdenerwowania. - Jay jest taki... osobny.

- Mówiła mu pani, że chce rozwodu?

- Nie. Nie mówiłam. - Objęła się rękami, jakby było jej zimno. - Miałam nadzieję, że śmierć Victora była przypadkiem. Jeśli został zamordowany... wie pani, co to dla mnie znaczy? Abigail spojrzała z ukosa na Toma. Zauważyła, że słowa Charlotte też mu się nie spodobały. Nie obchodziła jej współpraca z policją i - jeśli brat został zamordowany - znalezienie jego zabójcy, by nikomu innemu nie stała się krzywda.

Ale Charlotte Augustine zdawała się nie widzieć niczego odpychającego w swoich słowach.

- Wiem, że musi pani wziąć pod uwagę wszyst-

352

kie możliwości, ale nie rozumiem, co zdjęcia córek detektywa albo zaatakowanie Liama mają wspólnego ze mną lub z moim mężem. A jeśli to Liam jest odpowiedzialny za tę tablicę, a tamten detektyw dowiedział się o tym i go zaatakował?

- To się nie zdarzyło - odparł Yarborough. Charlotte pobladła.

- Przepraszam, ja... - Nowe łzy napłynęły jej do oczu. - Chcę jakoś pomóc. Proszę. Zadawajcie mi pytania.

- Keira Sullivan... - powiedziała Abigail. - Zna ją pani?

Lekki błysk w spojrzeniu. Yarborough zrobił pół kroku do przodu.

- Proszę mówić prawdę, pani Augustine. Jeszcze mocniej zacisnęła ramiona wokół siebie i spojrzała w stronę domu. Drzwi otworzyły się i sanitariusze wynieśli Liama Butlera na noszach.

- Och, Liam - szepnęła.

- Skąd pani zna Keirę Sullivan? - zapytała Abigail.

- Nie znam. Nigdy... nigdy się nie poznałyśmy. Po prostu znam jej nazwisko. Jej prace. Victor pokazał mi jedną z jej ilustrowanych książek w dniu, kiedy się utopił. Tamtego popołudnia. Nie mówiłam pani. Przyszedł do domu... - Przygryzła dolną wargę. - To był ostami raz, kiedy go widziałam.

Abigail wiedziała, że Charlotte jeszcze nie skończyła, i nie przerywała jej.

- Pamiętam tylko dlatego, że podobały mi się

ilustracje. Takie oryginalne, radosne. Zdziwiło mnie, że podobały się Victorowi, biorąc pod uwagę jego obsesję na punkcie diabła i zła.

- Dlaczego brat pokazał pani książkę Keiry?

- zapytała Abigail.

- Nie wiem!

Ale to nie była prawda, a Yarborough, który najwyraźniej tracił cierpliwość, pokręcił głową. Zamiast wytykać Charlotte kłamstwo, rzucił cicho:

- Jest w pani wiele stłumionych uczuć, pani Augustine. Straciła pani brata. Jest pani ciężko.

Wiemy o tym. - Jego ton był kojący, przyjazny.

- Dobrze by pani zrobiło, gdyby spróbowała pani to wszystko z siebie wyrzucić. Proszę nam wszystko powiedzieć. Proszę pozwolić nam zdecydować, co pomoże śledztwu, a co nie. Proszę siebie nie cenzurować.

Jej ręce opadły wzdłuż ciała.

- Było ciężko. Tak ciężko... Żałuję, że nie przycisnęłam Victora, żeby wyjawiał mi więcej informacji. Teraz jest za późno.

- W dniu, kiedy utonął, na Beacon Hill była impreza - wtrąciła Abigail. - Aukcja charytatywna na rzecz konferencji folklorystycznej. Była tam Keira Sullivan i jedna z dziewcząt, których zdjęcia wiszą na tablicy. Czy Victor...

- Nie był zaproszony. Jay i ja też nie.

- Pani Augustine...

- Nie wiem, po co Victor pokazał mi tę cholerną książkę! On mnie śledził! Chciał mi pomóc, ale

354
i tak... - Nagle kopnęła dmuchawiec, wysyłając w powietrze białe nasionka. - Nie lubił Jaya. Jej ton się zmienił, a Abigail oparła się pokusie zadania kolejnego pytania. Yarborough stał niewzruszony obok niej.

Charlotte zdeptała to, co zostało z dmuchawca.

- Chcę, żeby to wszystko już zniknęło. Ale nie zniknie, prawda? - Spojrzała na Abigail. - Liam nie wiedział, dlaczego Victor kazał mu śledzić Jaya i mnie. Victor mu nie powiedział. Mnie nie musiał mówić - sama widziałam, co się działo z Jayem, ale nie chciałam się do tego przyznać.

- Ale Victor powiedział pani. Charlotte skinęła głową. Już się nie trzęsła.

- Mówił, że patrzył na Jaya i wydawało mu się, że patrzy w oczy diabłu. Chciałam wierzyć, że przesadza. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że Jay jest taki zły.

- Ale jest - dodał Yarborough.

- Tak myślę - odparła Charlotte, znów się obejmując ramionami.

Abigail zauważyła, jak Bob parkuje przy krawężniku, wyskakuje z samochodu i pokazuje odznakę policjantowi. Ten go nie zatrzymał.

- Bob... twoje córki...

- Są bezpieczne. Są ze Scoopem, Owenem i policjantami z Lexington. - Jednak nie wyglądało na to, że choć trochę mu ulżyło. Jego oczy zwęziły się, gdy spojrzał na Charlotte Augustine. -

Jeanette i Billie Murphy.

338

Syknęła, jak gdyby ukuł ją igłą, i rzuciła się w stronę ulicy, ale Abigail i Yarborough złapali ją, zanim mogła zrobić pół kroku. Charlotte uspokoiła się, więc ją puścili.

Bob stał nieruchomo.

- Działala pani w imieniu Murphych i kupila jeden z obrazów mojej siostrzenicy na aukcji w dniu, kiedy pani brat się utopił.

- Już powiedziałam pani detektyw, że nie było tam mnie ani mojego męża.

- Złożyła pani ofertę telefonicznie. Przed chwilą rozmawiałem z profesorem, który organizuje konferencję...

- Myli się.

- Państwo Murphy to pani klienci. Pasjonują się swoim irlandzkim dziedzictwem. - Bob był spokojny i skupiony. - Bardzo by się cieszyli, gdyby wpadł im w ręce celtycki kamienny anioł, taki jak ten z opowieści Patsy McCarthy.

Charlotte odwróciła się do Toma Yarborough, jak gdyby mógł jej pomóc, ale on tylko odsunął się od niej. Znow zaczęła się trząść.

- Proszę... Państwo Murphy nie są w to zamieszani. Nie wspomniałam o obrazie, bo wiedziałam, że wyciągniecie błędne wnioski.

- Odebrała pani obraz dziś rano.

- Nie...

- Charlotte - powiedziała Abigail bez współczucia - żadnych więcej kłamstw i półprawd.

Charlotte wpatrywała się w ziemię. Duch walki zdawał się ją opuszczać.

339

- Zawiozłam obraz do biura Billiego Murphy w Bostonie. Nie było go tam. Zostawiłam go recepcjonistce.

- Czyj to był pomysł, żeby go licytować? Charlotte zacisnęła usta i milczała.

Nawet Yarborough zasyczał cicho - koniec z udawaniem milego, cierpliwego policjanta. Bob pozostał tak spokojny, że aż było to niepokojące. Zakoły-sał się na piętach.

- Pani Augustine - zaczął - powie nam pani wszystko, co pani wie.

Abigail zerknęła na sanitariuszy, którzy wsuwali nosze do karetki. Liam Butler walczył o życie, a ta kobieta bawiła się z nimi w kotka i myszkę.

- Musi pani przestać myśleć, jak ta sytuacja wpłynie na pani życie zawodowe i prywatne.

- Państwo Murphy są nowymi klientami - powiedziała Charlotte. - Pochodzą z robotniczego południowego Bostonu, ale teraz mają okazały dom nad wodą. Są wspaniałymi ludźmi. Mają znakomity gust...

- Wychowałem się z nimi - przerwał jej Bob. - Wiem, kim są, do cholery. Opiekowali się kobietą, którą zasztyletowano w jej własnym domu. Byli dla niej dobrzy. Do nich należy ziemia w New Hampshire, gdzie moja siostra wybudowała chatkę. Jak ich pani poznała, pani Augustine?

- To mój mąż, Jay... nie wiem, jak ich poznał.

- Wkradł się w życie Murphych, w życie Patsy McCarthy... w moje życie. - Ton Boba stał się jeszcze surowszy. - Gdzie jest teraz Jay?

357

- Powiedziała już. W podróży.
 - Nigdzie nie podróżuje.
 - Nie - wymamrotała Charlotte. - Proszę...
 - Moja siostra nazywa się Eileen Sullivan. Jest pobożną ascetką. Jest...
- Charlotte zaczęła cicho szlochać.
- Wiem. Nie znam jej, ale my... Jay i ja byliśmy u Murphych w New Hampshire.
- Bob nie powiedział ani słowa, ale Abigail poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Jay Augustine wie, jak dotrzeć do chatki Eileen Sullivan. Pojechała do niej Keira.
- Bob...
- Obrócił się i ruszył w stronę ulicy. Yarborough skinął do Abigail.
- Jedź. Ja się zajmę panią Augustine i poinformuję ludzi z Cambridge.
 - Tom...
 - To rodzina Boba, Abigail. Jedź. Spróbowała się uśmiechnąć.
 - Może zmienię zdanie o tobie.
- Pobiegła za Bobem. Wiedziała, że nie powinien być sam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Okolice Mount Monadnock Południowe New Hampshire 24 czerwca godz. 13.45

Keira opadła na kolana na brzegu strumyka przy swojej matce. To jej jęki słyszała. Mama siedziała w cieniu sosny z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jej dłonie i stopy były mocno związane nasiąkniętą krwią liną.

Krwawiła, miała kilkanaście ciętych ran na rękach i ramionach. Płytkie rany, pomyślała Keira. Zadane tak, by sprawić ból i wywołać silne krwawienie. Nie po to, by zabić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Czuję, jak owiewa mi twarz irlandzki wiatr - wyszeptala mama. Jej usta byly popękane i zakrwawione. - Widzę zielen... tak zielono... Deirdre nie poleci. Chcialaby zobaczyc, gdzie urodzila sie jej matka, poznac krewnych, ale za bardzo sie boi wsiasc do samolotu.

342

- Mamo... to ja, Keira. - Z trudem powstrzymywała szloch. - Jesteś w Nowej Anglii. Zostań ze mną, dobrze?

W oczach matki pojawił się błysk. Spróbowała usiąść prosto.

- Keira, proszę, przyrzeknij, że zrozumiesz. Nie powiedziałam ci o Deirdre, bo nie mogłam. Ona była... była najlepszą z nas, i ją nam odebrano...

- Wiem, mamo. Rozumiem.

Kilkadziesiąt centymetrów dalej wśród paproci nad strumykiem stał kamienny anioł, tak piękny jak w noc letniego przesilenia, gdy Keira zauważyła go przy palenisku w ruinach.

- Uciekaj, Keiro... - Matka jęknęła z bólu. - Zostaw mnie. Proszę.

- Nic nie mów. Oszczędzaj siły.

- Nie możemy mu pozwolić, by znów zabił. On tam jest, uświadomiła sobie Keira. Wśród drzew, tak samo jak w Irlandii. Patrzy z ukrycia, cieszy się strachem i cierpieniem, które spowodował.

Jay Augustine.

Ostrzem toporka udało jej się przeciąć linę wokół kostek matki. Liny na nadgarstkach, ciasno zawiązanej i mokrej od krwi, nie mogłaby precyzyjnie przeciąć. Potrzebowała ostrego noża.

- Możesz iść?

- Tak... Keiro, weź topór. Biegnij najszybciej, jak potrafisz. Niech on się zabawi mną. Dam ci tyle czasu, ile będę mogła.

- Nie zostawię cię.

360

Keira wstała, ślizgając się w błocie z toporem w dłoni i wolną ręką pomogła podnieść się mamie. „Rozprasza i rozwalaj”. Było to przykazanie, które zapamiętała z akademii policyjnej, dotyczące sytuacji tego rodzaju. Nie musiała bić się z Jayem Augustine'em. Wystarczyło, że odwróci jego uwagę i pokrzyżuje mu plany. Razem z matką uciekną od niego.

- On jest zły, Keiro - powiedziała matka. - Nie jest szalony. On wybrał tę drogę.

- Wiem, mamó.

Mama dość mocno trzymała się na nogach mimo krwawiących ran i związanych dłoni.

- On nie wierzy w anioły ani świętych. Ani elfy czy magię. Ani nawet w samego diabła. Chce tylko używać przemocy i grać w swoje gry. Poczuć własną siłę.

- Jaką ma broń?

- Noże. Widziałam dwa. I strach. Używa go jako broni.

Jeśli nie ma pistoletu, przynajmniej nie może ich zastrzelić spośród zarośli. Była pewna, że je obserwuje, napawa się jej reakcją na stan matki. I obmyśla kolejny krok. Jeśli odstraszył go topór, to nie na długo. Wymyśli jakiś sposób.

Matka zachwiała się, drżąc, jak uświadomiła sobie Keira, nie z zimna, lecz z bólu i strachu.

- Zabił Patsy. Powiedział mi to. Opowiedziała mu tę swoją historię. Nią też manipulował. To nie twoja wina. Ani jej. Och, Keiro!

Keira skoncentrowała się na kolejnym kroku.

344

Uważnie obserwowała każdy ruch, nasłuchiwała dźwięków z pobliskich drzew i krzaków.

- Chodźmy.

Matka zaszlochała, po czym kiwnęła głową, jak gdyby podjęła decyzję.

Ze wzgórza nad nimi dobiegł trzask.

- Keiro, Keiro. - Męski głos karcił ją, jak gdyby była nieposłuszną dziewczynką. - Nie widzisz?

Twoja matka chce cierpieć za grzechy przeszłości. Musi cierpieć.

Keira ścisnęła topór.

Mężczyzna wyszedł zza kilku niskich świerków. Był w średnim wieku, szczupły, ubrany w eleganckie spodnie, koszulę i lekką marynarkę. Zauważyła plamy krwi na jego spodniach, dłoniach, policzku, a jego oczy błyszczały z podniecenia, które wydało jej się seksualne, fizyczne. Stłumiła strach.

- Jay Augustine, tak?

Przez chwilę wydawał się zaskoczony, po czym udał, że się kłania.

- Spodziewałem się, że moja tożsamość zostanie odkryta. To nieodłączna część zabawy. Kiedy twoja świątobliwa matka baraszkowała w Irlandii wśród wrózek, popełniając grzechy cielesne, jej najlepszą przyjaciółkę torturowano i gwałcono. Nigdy ci o tym nie powiedziała, prawda, Keiro?

- Po co miałaby mi mówić? Każda matka chce uchronić dziecko...

- Daję twojej matce możliwość odkupienia. Zostawiłem ją wśród żywych po to, by mogła patrzeć,

362

jak cię krzywdzę. Tak samo jak zabójca Deirdre. Ty, córka poczęta w grzechu... Twoja matka może doświadczyć najgorszego bólu w życiu, i przez to stać się wolna...

Niech on mówi jak najdłużej, pomyślała Keira.

- Nie obchodzi cię odkupienie...

- Dalem Patsy możliwość odkupienia. Podpaliła zabójcę swojej córki.

Matka Keiry pokręciła głową.

- Nie. Nie Patsy. Nie ona zabiła Stuarda. Ja bym to zrobiła, gdybym wiedziała, gdzie go znaleźć, ale Patsy go nie zabiła.

- Ale chciała. Pozwoliła, by do tego doszło. Zawsze wiedziała, że będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła. Kiedy po nią przyszedłem, wiedziała, że nadszedł ten moment. Widziałem to w jej oczach.

Keira roześmiała się.

- Zabiłeś Patsy, bo mogła na ciebie donieść policji. Wkradłeś się w jej życie, a ona opowiedziała ci o kamiennym aniele. Wiedziałeś, że domyśli się, jaką rolę odegrałeś w tym, co się stało w Irlandii, i zabiłeś ją, by siebie chronić. Cała reszta to historyjka, którą wymyśliłeś dla zabawy.

- Naprawdę sądzisz, że mogłabyś ze mną walczyć tą idiotyczną siekierą?

Jeśli nie będę miała wyboru, pomyślała Keira.

- Gdy zabiłeś tę biedną owcę w Irlandii, nie chodziło ci o odkupienie.

- Praktyka, moja droga. - Wyciągnął nóż z dwustronnym ostrzem, pokryty czymś, co Keira wzięła

346

za krew matki, a może też Patsy. Uśmiechnął się.

- Praktyka.

Zrobiła wszystko, by ukryć obrzydzenie.

- Nie poprzestaniesz na mnie ani mojej matce. Zawsze będziesz chciał więcej i zapłacisz za to. Ktoś sprawi, że zapłacisz.

- Ale to nie ty ani twoja matka. I nie dzisiaj.

- Dlaczego nie zabiłeś mnie w Irlandii? - zapytała szybko Keira, starając się odciągnąć jego uwagę od noża.

Po raz pierwszy wyglądał na zakłopotanego.

- Nie spodziewałeś się, że znajdę ruiny, prawda?

- Nie pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiał strach.

- Myślałeś, że będziesz szybszy. Zawsze planujesz. Nie jesteś spontaniczny. Musiałeś myśleć szybko, kiedy się zjawiłam. Wydawało ci się, że tam zginę?

- Nie chciałem tego. - Jego odpowiedź zabrzmiała szczerze, jakby myśl o jej śmierci go zaniepokoiła. - Chciałem cię zabić tutaj, teraz. Nie w Irlandii.

- Ten pies... Nie był twój. Przeszkodził ci.

- Za późno, by ci pomóc. Ruiny zaczęły się już zapadać i odsłoniły anioła. - Wskazał nożem wspaniałą figurkę. - Spójrz na niego, Keiro. Piękno i gracia. Widziałaś zdjęcie Deirdre?

Wyglądają podobnie.

- Jak poznałeś Patsy? - zapytała Keira w nadziei, że próżność uspi jego czujność, da jej szansę ucieczki lub przynajmniej sprawi, że będzie mówić, aż zjawi się Simon.

- Poznaliśmy się w dniu, kiedy pokazywała te

364

swoje głupie anioły w kościele. Większość to były śmiecie, ale niektóre miały sporą wartość. - Podniósł nóż do poziomu jej oczu. - Miło mi się rozmawiało, ale nie myśl, że masz nade mną

kontrolę. Nie jesteś twarda, Keiro. Nie udawaj. Mogę w jednej chwili skrócić cierpienie twojej matki. Mogę w jednej chwili zabić ciebie. To mój wybór.

Szybko wyrzucił z siebie słowa, ale nie z powodu wysiłku czy zmęczenia. Był podekscytowany tym, co zaplanował. Czula pulsowanie krwi w uszach. Wilgotnymi dłońmi chwyciła mocniej ciężki topór. Musi być przygotowana do obrony siebie i swojej matki.

- Jeśli ja o tobie wiem - powiedziała - to znaczy, że policja też wie.

Odebrało mu to pewność siebie, ale tylko na chwilę.

- Puść siekierę - rozkazał.

Keira wiedziała, że nie uda jej się ciągnąć dłużej tej rozmowy. On już skończył mówić.

- Technicznie rzecz biorąc, to nie siekiera - rzuciła. - To topór.

Nagle, w niespodziewanym przyplywie energii, matka nadepnęła mu na stopę, Keira zamachnęła się na niego toporem. Zrobił unik. Trafiła go obuchem w biodro. Zawył z bólu i potknął się, upuszczając nóż. Ruszył w kierunku lasu.

- Policja go złapie - powiedziała Keira, obejmując mamę w talii, by pomóc jej usiąść na kamieniu. Podniosła nóż Augustine'a.

Matka pokręciła głową.

348

- On tu wróci. Ma obsesję... Chce prześcignąć zabójcę Deirdre. Stuart Fuller cieszył się cierpieniem Patsy prawie tak bardzo, jak cierpieniem Deirdre. Matka i córka...

- Możliwe, ale Augustine jest też handlarzem sztuki. Pewnie chciał zarobić na sprzedaży anioła. Czy on ma kupca?

- To państwo Murphy. Myślą, że jest uczciwym...

- Szybko przestaną.

Keira rozcięła linę wokół nadgarstków matki.

- To koniec, Keiro - powiedziała matka i skrzywiła się, wyciągając przed siebie zakrwawioną rękę. - Nie możemy pozwolić temu człowiekowi, by znów zabił.

- Nie pozwolimy, mamó. Simon już jedzie. Będzie tu niedługo. Pomoże nam odnaleźć tego drania.

- Simon? Ach, tak wymawiasz jego imię. Poznałaś go w Irlandii?

- Właściwie w Bostonie. Ale zakochałam się w nim w Irlandii.

Simon zwolnił kroku na dróżce wiodącej do chatki Eileen Sullivan, gdy wydało mu się, że słyszy śpiew.

To był śpiew.

Bardzo kiepski, pomyślał. Rozpoznał „Irlandzkiego wędrowca” - piosenkę, którą jego ojciec śpiewał pod prysznicem dawno temu, ale ta wersja brzmiała na pół rozpaczliwie, na pół delirycznie. Ostrzeżenie? Odwrócenie uwagi?

366

Simon zszedł ze ścieżki w wysokie po kolana paprocie i schował się za wielkim dębem. Dróżką szedł mężczyzna w średnim wieku. Wyciągnął obie ręce, by utrzymać równowagę na ostrym zakręcie.

Dyszał, pocił się.

To musiał być Jay Augustine.

Simon wyskoczył przed nim na ścieżkę.

- Stać. FBI. Trzymaj ręce na widoku. Augustine zawrócił i skoczył do lasu po drugiej stronie ścieżki. Simon ruszył za nim, złapał go i rzucił na ziemię, twarzą w dół. Mocno, w sam środek niskiego, kolczastego krzewu. Augustine jęknął i spróbował wstać, ale Simon go przytrzymał.

Przygniótł plecy Augustine'a kolaniem i skuł go w trzy sekundy, po czym przycisnął go do ziemi. W futerale przy jego pasku znalazł nóż. Był tam też drugi, pusty futerał.

- Gdzie jest Keira? Gdzie jest jej matka?

- Puść mnie, to ci powiem.

- Jesteś poturbowany. Keira skopała ci tyłek?

- Wykrwawi się na śmierć - wycedził Augustine. -Jej matka też. Powoli, w bólu. Wiesz, że mogę to zrobić.

- To nie ty śpiewałeś, więc rozumiem, że nic im nie jest.

W tym momencie zza drzew wyskoczyła Keira, trzymając wysoko topór.

- Hej - powiedział Simon - spokojnie.

Opuściła topór, dysząc ciężko. Jej twarz zakrywały włosy, a w oczach błyszczała furia, gdy patrzyła na Augustine'a.

350

- Twoje jedyne wyjście to zamienić się w nietoperza albo węża, ty bydlaku - powiedziała - a założę się, że tego nie potrafisz.

Augustine uśmiechnął się szeroko, rozkoszując się jej wściekłością - jej nienawiścią - jak gdyby dokonał czegoś ważnego. Simon nie wypuszczał go z uścisku.

Kobieta, która musiała być matką Keiry, zbliżała się dróżką chwiejnym krokiem. Była zakrwawiona, w ręce trzymała nóż. Podeszła bliżej, a Simon nie wiedział, czy nie zamierza wbić noża prosto w serce Augustine'a. Gdyby spróbowała, musiałby ją powstrzymać.

- To pani śpiewała, pani Sullivan? - zapytał. Pokiwała głową, wpatrując się w Augustine'a.

- Pomyślałam, że to zagłuszy bieg Keiry i zmyli tego mordercę, no i powstrzyma mnie przed... - Nie dokończyła myśli, opuściła nóż. - Nie chciałam krzyczeć. Nie chciałam dawać mu tej satysfakcji. Kocham tę piosenkę, a nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić.

- Pośpiewamy kiedyś irlandzkie piosenki - powiedział Simon i puścił do niej oko. - Ja, pani i The Clancy Brothers.

Keira spojrzała na matkę.

- Mamo...

Eileen Sullivan popatrzyła przekrwionymi oczami na Simona.

- Czy ma pan lepszy głos ode mnie? Uśmiechnął się szeroko.

- Odrobinę, proszę pani - powiedział ze swoim najlepszym irlandzkim akcentem.

351

W oddali wyły syreny. Miejscowa i stanowa policja zaraz tu będą, a Simon nie byłby zaskoczony, gdyby znalazło się między nimi kilkoro gliniarzy z Bostonu.

Zobaczył cień uśmiechu na twarzy Eileen Sullivan; odwróciła się w stronę Keiry.

- Podoba mi się jego poczucie humoru - powiedziała, po czym zemdlała w ramionach córki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Cambridge, Massachusetts 24 czerwca godz. 20.00

Abigail okazała odznakę policjantowi w sali szpitalnej, gdzie leżał Liam Butler. Prokuratorzy wciąż zastanawiali się, czy postawić mu zarzuty, ale wątpiła, że to zrobią.

Był późny wieczór. Koniec bardzo długiego dnia.

Liam wyglądał tak, jakby spał. Najgorszą ranę miał na brzuchu, ale żadne organy wewnętrzne nie zostały poważnie uszkodzone. Sanitariusze i lekarze dotarli w porę. Zatomowali krwawienie, dokonali transfuzji krwi i założyli szwy. Dostał leki przeciwbólowe, ale jak mówili, najbardziej potrzebował teraz czasu, by rany się zagoiły. Pozostaną mu blizny, poza tym całkowicie wróci do zdrowia.

Przetrwał koszmar, jaki przeżyło niewielu ludzi.

Popelnił też wiele błędów.

Nie on jeden.

370

Rozpoczęło się dokładne, drobiazgowo dochodzenie. Władze w Bostonie, Cambridge i Irlandii już zaczęły odtwarzać szlak Jaya Augustine'a z ostatnich kilku tygodni i miesięcy, kiedy zmienił się z szanowanego antykwariusza w zabójcę zakutego w kajdanki w lasach New Hampshire.

Charlotte Augustine już wynajęła prawnika i rzecznika, by zajęli się mediami i przedstawili ją jako kolejną ofiarę męża. Być może nią była, ale nie powiedziała prawdy policji.

Abigail nie wiedziała, czy Liam zdaje sobie sprawę z jej obecności. Jego rodzice i brat niedługo przyjadą z Chicago.

- Hej, Liam - powiedziała. - To ja, Abigail Browning. Nie śpisz?

- Przepraszam... - wymamrotał, nie otwierając oczu.

Nie spodziewała się odpowiedzi.

- Twoja rodzina będzie tu niedługo - dodała. Tym razem się nie odezwał.

Do sali wszedł Bob O'Reilly, wskazując kciukiem pokój pielęgniarek.

**- Te pielęgniarzki są jeszcze gorsze niż policja z Cambridge. Myślałem, że mnie przeszukają, za-
nim tu wpuszczą.**

Powrót jego humoru dodał Abigail otuchy. Stał koło niej przy łóżku Liama.

- W departamencie w Cambridge są wkurzeni, że nie powiedziałaś im o pokoju z diabłami.

- Ty też im nie powiedziałaś.

353

Bob wzruszył ramionami.

- Ja myślałem, że Victor się potknął o sznurówki.

- Wciąż nie jesteśmy pewni, czy tak się nie stało. Wiem, że miał mokasyny. Ale to i tak mógł być nieszczęśliwy wypadek.

- Nie wierzysz w to. Pokręciła głową.

- Nie, nie wierzę. Może dowiemy się więcej, kiedy przyjdzie reszta wyników sekcji zwłok. Lekarz sądowy już się tym zajmuje. Nie ma żadnego wyraźnego śladu walki.

- Może Victor myślał, że ma do czynienia z jakimś diabłem, i nie opierał się.

- Nie jakimś diabłem. Diabłem lub jednym z jego sługusów. Jest rozróżnienie...

- Którego nie musiałaś robić. - Bob skrzywił się, patrząc na chudego, zabandażowanego chłopaka w łóżku. - Przynajmniej Augustine nie pokroił swojego szwagra tak, jak to zrobił z tą owcą w Irlandii. Z Keirą i Eileen chciał...

- Bob...

- Udało się - powiedział. - Tylko to się liczy.

- Jak się czuje twoja siostra?

- Nic jej nie będzie. Ten drań nie tknął Keiry. Ona i ten topór. - Pokręcił głową. - Jest twardsza, niż na to wygląda.

- A jak tam córki?

- Myślę, że Fi zadurzyła się w Scoopie. Nowa rzecz, która nie da mi spać po nocach.

Abigail uśmiechnęła się, słysząc zuchwalstwo

372

Boba. Z tego, co widziała, nie było O'Reilly'ego, który nie byłby twardy.

- Augustine mówił wszystkim, że był w Nowym Jorku, kiedy Victor utonął.

- Tak, podobno był też w Nowym Jorku, gdy pojechał do Irlandii.

- Chciał tego anioła i musiał wyprzedzić Keirę. Wiedział, że państwo Murphy zapłacą za niego fortunę. Pomyślał, że może wziąć pieniądze i ulotnić się. Zacząć od nowa pod nowym nazwiskiem.

- On i Charlotte byli małżeństwem dopiero od dwóch lat - powiedziała Abigail. - Kto wie, co znajdziemy, kiedy zagłębimy się w jego przeszłość?

- Charlotte powiedziała Tomowi Yarborough, jak poznała Jaya. Znalazł kilka dzieł do kolekcji diablów jej brata. Nie wspomniała ci o tym?

Abigail pokręciła głową.

- Jay powiedział nam wtedy u Victora, że poznali się podczas kupna jakiejś renesansowej tkaniny, którą pomógł znaleźć Victorowi. Czy poznał Patsy przez Murphych, czy odwrotnie? Bob potarł swój gruby kark, wyraźnie zmęczony. Ten dzień nim wstrząsnął, pomyślała Abigail. Ale wiedziała, że on nie spocznie, dopóki nie pozna dokładnie chronologii wydarzeń z ostatnich kilku tygodni. I tego, co zrobił Jay Augustine. Kiedy, dlaczego i jak.

- Przyszedł na kiermasz aniołów w kościele Świętej Ity - powiedział Bob. - Właśnie stamtąd wracam. Pokazałem ojcu Palermo zdjęcie tego szaleńca. Kilkoro kolekcjonerów przyszło wtedy na

kiermasz w poszukiwaniu okazji - czegoś, co jakaś staruszka chomikowała przez lata, nie wiedząc, że posiada cenny skarb. Palermo pamięta, że Patsy i Augustine od razu przypadli sobie do gustu.

- Pieprzony oszust - skomentowała Abigail.

- Zaprzyjaźnił się z państwem Murphy. On i Charlotte są uznanymi antykwariuszami. Billie i Jeanette nie mieli powodu przypuszczać, że coś jest nie tak. Patsy zaczęła podejrzewać, że to nie jest dobry człowiek. - Bob opuścił rękę i spojrzał na Abigail. Jego bławatkowe oczy były pełne bólu. - W końcu się o tym przekonała.

- Jemu bardzo się spodobała cała ta historia. Legenda i możliwość odnalezienia cennego celtyckiego dzieła sztuki. Osobista tragedia Patsy, śmierć jej córki. Dziwna śmierć zabójcy. - Abigail przygryzła wargę, by powstrzymać emocje. - Keira. I jej matka.

- Tak - powiedział Bob. - Wszystko mu się podobało.

- Keira wie, że nie ma nic wspólnego z jego pojawieniem się w życiu Patsy, prawda?

- Tak. Ale nie jestem pewien, czy to jakoś pomaga.

Oczy Liama, napuchnięte, otworzyły się i skupiły na obojgu detektywach.

- Powinienem był wam powiedzieć... Bob westchnął.

- Życie jest pełne rzeczy, które powinniśmy byli zrobić. Musisz się przyzwyczaić. Jeszcze wiele błędów przed tobą.

374

- Rany, Bob - szepnęła Abigail - przypomnij mi, żebym cię nie zapraszała, jeśli kiedykolwiek trafię do szpitala.

Spojrzał na nią, wyraźnie zmieszany.

- Co? - Odwrócił się z powrotem do Liama. - Pani Browning i ja jesteśmy doświadczonymi detektywami. Augustine oprowadził nas wtedy po domu. Powinienem był wiedzieć, że coś jest nie tak, kiedy ten popaprany sukinsyn nie dostał gęsiej skórki w pokoju z diabłami.

- Ja też - wymamrotał Liam. - Ale Victor...
- Dziwny człowiek, ale w porządku, co? Liam poruszył się, już nieco bardziej przytomny.
- Victor się domyślił. Wiedział, kim jest Jay. Myślałem, że Jay ukrywa pieniądze i okrada Charlotte. Mam hasła dostępu do jego konta bankowego, kart kredytowych. Victor je sprawdzał. Musiał coś znaleźć.
- Może rachunek za bilety Jaya do Irlandii - powiedziała Abigail.
- Nie mówił mi. Tego dnia... - Liam przymknął oczy. Najwyraźniej znów tracił przytomność. - Powiedział, że diabeł depte mu po piętach. Ja nie... myślałem, że to po prostu... że Victor zachowuje się jak Victor.
- Odpocznij sobie - powiedział Bob. - Będziesz potrzebował energii na szukanie nowej pracy. Tym razem nic związanego z diabłami, dobrze?
- Usta Liama zadrżały z rozbawienia.
- Dziękuję.

Wyszli ze szpitala. Był ciepły, piękny czerwcowy wieczór.

- Yarborough wciąż jest na ciebie wkurzony za to, że miałaś rację z tym utonięciem. Ja już się przyzwyczajam.

- Nieprawda, ale nic mnie to nie obchodzi. Wolałabym się mylić.

- Lepiej umrzeć, potykając się o chodnik, niż myśląc, że goni cię diabeł.

- Udowodnimy, że Augustine był tego wieczoru w Bostonie.

- Tak, ale ten drań mnie pokonał - powiedział Bob. - Keira i Eileen żyją dzięki temu, co zrobiły one same i Simon, a nie dzięki mnie. Pozwoliłem, żeby moje założenia wpłynęły na wnioski.

- Augustine pokonał nas oboje - podsumowała Abigail.

- Zresztą nie wiem. Popatrz na przebieg wydarzeń. Musielibyśmy mieć kupę szczęścia, żeby szybciej złapać Augustine'a. Nawet gdyby Butler powiedział nam, co robili on i Victor, nie wiedział, że Augustine jest zabójcą. Jesteśmy tylko dwójką detektywów, Abigail. No i nikogo nie zabiliśmy.

Podeszła do samochodu. Bob zaparkował tuż za nią. Wyjęła kluczyki.

- Mój ojciec przeprowadzał dochodzenie w sprawie śmierci Deirdre.

- To prawda. Abigail... - Urwał, starając się znaleźć odpowiednie słowa. - Przyzwyczailem się do tego, by nie rozmawiać o śmierci Deirdre.

358

Nigdy nie usłyszała nic bardziej zbliżonego do przeprosin od Boba O'Reilly'ego.

- Ciebie rozumiem. Trzydzieści lat temu byłeś chłopcem. Ale mój ojciec...

- Nie jest wiele starszy ode mnie. To było ciężkie śledztwo. Nie znalazłem go tak dobrze, ale kiedy zabito Deirdre, byłaś brzdącem. - Bob wyjął paczkę gumy do żucia z kieszeni spodni, wyciągnął jeden listek i podał go Abigail, po czym wyciągnął drugi dla siebie. - Po co twój ojciec miałby opowiadać ci o okropnej zbrodni z czasów, gdy byłaś jeszcze w pieluchach?

Abigail pomyślała, że Bob ma rację, ale nie chciała więcej o tym mówić. Miał wystarczająco ciężki dzień.

- Nie, Bob. Wyrosłam już wtedy z pieluch.

- Serio? Myślałem, że moje dziewczyny pójdą do przedszkola w pieluchach. - Podeszedł do swojego samochodu, ale zatrzymał się i odwrócił: - Będiesz dobrą matką, Abigail.

Powstrzymała przyływ wzruszenia.

- Też tak myślę.

Wsiadła do samochodu i wyrzuciła gumę Boba do małego worka na śmieci. Żuła wyłącznie bezcuk-rową, a on wyłącznie tę z cukrem.

Włożyła kluczyk do stacyjki, starając się nie myśleć o zmęczeniu. Jechała do domu, który dzieliła z Bobem i Scoopem. I Owenem.

Jej oczy napęłniły się łzami. Nie mogła się doczekać, kiedy już będzie w domu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Jamaica Plain, Massachusetts 24 czerwca godz. 21.00

Keira włożyła kilka listków sałaty do wyszczerbionego durszlaka Scoopa.

- Muszę wyglądać strasznie, skoro wpuściłeś mnie do swojego ogródka.

Zrywał sałatę kilka metrów dalej. Ogródek był jego królestwem. Brakowało tylko tabliczek z napisem „Wstęp wzbroniony”. Uśmiechnął się do niej.

- Trudno by ci było wyglądać strasznie, Keiro.

- To był długi dzień - powiedziała bez dalszych wyjaśnień.

- Tak. Ale praca w ogródku pomaga, prawda? Pozwala spojrzeć na życie z innej perspektywy.

Umyję sałatę, podam ją z tym dobrym sosem balsamicznym, który przygotowałem. - Zakolysał się na piętach. - Już ci lepiej, co?

378

- Tak - powiedziała, wstając. - Dzięki, Scoop. Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co. Nie zrobiłem nic poza słuchaniem przez kilka godzin, jak Fiona O'Reilly gra na harfie.

- Zapewniłeś opiekę Madeleine i Jayne, no i to ty powiedziałeś Bobowi o zdjęciach.

- Tak. To zrobiłem.

Myśl o tamtych zdjęciach - o tym, że Jay Augustine śledził jej kuzynki - wywołała u Keiry mdłości. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak się czuł jej wujek. Ale to był jedynie podstęp, część gry Augustine'a. Fiona, Madeleine i Jayne nie były nigdy jego celem.

- Za mało pytałem - powiedział Scoop. - Bob i Abigail potrzebowali jakiegoś obiektywnego głosu, a mnie przy nich nie było. Nikogo do siebie nie dopuszczali przez swój kiepski nastrój, ale powinienem był nie dać się odsunąć.

- Wszyscy robiliśmy, co w naszej mocy. - Keira strzepnęła ziemię z rąk, wstając. - Myślę, że więcej nie możemy od siebie wymagać. Scoop stanął koło niej ze swoim durszlakiem.

- Trzymaj się tego Cahilla, Keiro. Wy dwoje... To nie trwa od dawna, ale jest na poważnie. Tego akurat nie przegapiłem w ubiegłym tygodniu.

Jego słowa zaskoczyły ją.

- Scoop...

Ale on już ruszył po schodach do mieszkania. Keira wyszła z ogrodu, uważając, żeby nie zdeptać żadnych delikatnych roślin. Scoopa nie było łatwo

361

rozgryźć, tak samo zresztą jak ich wszystkich - jej wujka, Abigail.

I Simona, pomyślała. Został przy niej po tym, jak obezwładnił Jaya Augustine'a. Policja przyjechała po kilku minutach. Augustine milczał, ale Keira była pewna, że jego lodowate spojrzenie na zawsze pozostanie w jej pamięci. Teraz był w areszcie. Nikogo już nie mógł skrzywdzić.

Simon siedział w kuchni Abigail z nią i z Bobem. Pewnie rozmawiali o sprawach policyjnych. Keira chciała być blisko mamy, która podporządkowała się życzeniu brata i nie wróciła do chatki. Rany pozszywano jej w miejscowym szpitalu.

Augustine świetnie posługiwał się nożem.

Jej matka drzemiała w fotelu ogrodowym. To była jej pierwsza wizyta w domu, który Bob kupił z dwojgiem kolegów z pracy.

- Dobrze się czujesz, mamó? - zapytała Keira. Matka uśmiechnęła się.

- Nigdy nie czułam się lepiej.

Do ogrodu wszedł Owen z dwiema wysokimi szklankami mrożonej herbaty. Jedną podał Keirze, a drugą jej matce.

Keira rozkoszowała się zwyczajnością picia mrożonej herbaty w ciepły letni wieczór.

- Wiedziałaś, że Simon jest w FBI? Owen skinął głową bez wahania.

- Tak.

- Od jak dawna?

- Od osiemnastu miesięcy.

- I nie powiedziałaś o tym Abigail.

380

- To się stało większym problemem, niż powinno. Simon i ja zaprzyjaźniliśmy się dopiero niedawno. W czasie trzęsienia ziemi w Armenii... On jest niezmordowany. To jeden z najodważniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem.

Keira uśmiechnęła się.

- To prawie przerażające, co? - Nie była w stanie dłużej żartować, opadła na krzesło i wypila trochę herbaty. - Innymi słowy, nigdy nie przypuszczałaś, że ty, Simon i Abigail się zaprzyjaźnicie.

- W Fast Rescue jest wielu ochotników.

- Wiesz, co on robi w FBI? Owen wyglądał na zakłopotanego.

- Keiro...

- Rozumiem, że przygotowywanie do akcji ratowniczych było przykrywką. Pewnie musiał już powiedzieć bostońskiej policji, kim jest, albo nawet wyjawil wszystkie szczegóły. Czy to mu przysporzy problemów?

- Żadnych, z którymi nie potrafilby się uporać, a przynajmniej tak mówi. - Owen wyciągnął krzesło i usiadł. Potrafil być wymagający i gwałtowny, ale był też jednym z najmiłszych ludzi, jakich znała Keira. - Misja Simona była poufna, a nie tajna.

- To rozróżnienie nie ma znaczenia, jeśli nic się nie wie. Nie mówię o sobie. Dopiero poznaję Simona. - Nieważne, co się działo w nocy, pomyślała, czując przyływ gorąca. - Ale Abigail pewnie nie jest zachwycona.

Owen wzruszył ramionami.

- Można to tak ująć. Znam Simona na tyle długo,

363

że mogę to powiedzieć. On jest takim samym człowiekiem, czy nosi odznakę, czy nie.

Wiedziała, o co mu chodzi. Simon nic nie udawał. Mężczyzna, którego poznała - w którym tak szybko się zakochała - nie był na pokaz.

Ale to już wiedziała.

- Do diabła z odznaką, Owen. Dobrze, że zjawił się dziś w samą porę. Inaczej musiałabym zrobić krzywdę temu kretynowi.

- Słyszałem o twojej siekierze - powiedział Owen z uśmiechem.

- Toporze. To różnica nie bez znaczenia. Siekiera ma porządne ostrze. Gdybym musiała sama walczyć z Augustine'em... - Umilkła, nie chcąc bez końca zastanawiać się, co by było, gdyby... -

Nieważne. W każdym razie cieszę się, że nie musiałam robić więcej, niż zrobiłam.

- To wystarczyło.

- W akademii policyjnej najbardziej wkurzała mnie ta gadka o zabójczej sile.

- Ale ty odeszłaś, a nie wyleciałaś z akademii.

- Kolejne rozróżnienie bez znaczenia.

- Może i tak. Nie jestem z policji, ale wiem, że celem zabójczej siły jest powstrzymanie, a nie zabicie.

Popatrzyła na niego.

- Racja.

Simon był delikatny dla niej i jej matki i konkretny w kontaktach z policją, ale Keira wiedziała, że użyłby zabójczej siły wobec Jaya Augustine'a, gdyby musiał. Miał przy sobie nie tylko kajdan

382

ki, ale też pistolet - dziewięciomilimetrowy SIG-Sauer.

Gdy tylko minęło niebezpieczeństwo, zaczął sypać dowcipami. Miał niesamowitą zdolność wy-czuwania, kiedy ludzie są na skraju załamania, i wiedział, jak ich uspokoić, sprawić, by

uśmiechnęli się mimowolnie, przypomnieć im, że życie jest zbyt krótkie, by bez przerwy być poważnym, nawet jeśli chodzi o poważne sprawy.

A mimo to przez cały czas Keira wiedziała, że Simon ma na głowie inne rzeczy - które rzucił, by sprawdzić, co się z nią dzieje w Irlandii.

Długi czerwcowy dzień powoli ustępował ciemności, gdy przyjechała Fiona z dwiema siostrami, a z mieszkania Abigail wyszedł Bob. Był wyraźnie wzruszony, gdy objął wszystkie trzy córki.

- Ucałujcie ciocię - powiedział, kiwając głową w stronę swojej zabandażowanej siostry. - Ma szczęście, że żyje, bo ten szaleniec chciał ją pokroić na kawałki.

Keira patrzyła, jak kuzynki okrążają jej matkę, płaczą i przytulają się do niej. Matka odrzuciła swoją powściągliwość - nieunikniony rezultat kilkumiesięcznej samotności - i pozwoliła Jayne, najmłodszej bratanicy, usiąść na oparciu fotela.

Bob zaczął śpiewać irlandzką piosenkę, rozpalając grilla.

Miał niesamowity głos. Keira i jej kuzynki wpatrywały się w niego, a on uśmiechnął się szeroko.

- Co, nie słyszałyście, jak śpiewam?

365

- Nie tak, tato - powiedziała Fiona, wyraźnie pod wrażeniem.

Do ogrodu wyszedł Simon, a serce Keiry podskoczyło na widok jego czarnych loków, zielonych oczu, pewnych ruchów. Puścił do niej oko i sam zaczął śpiewać. Miał niemal tak niesamowity głos, jak jej wujek. Obaj śpiewali z irlandzkim akcentem. Fiona wstała, weszła między mężczyzn i objęła ich. Cała trójka tańczyła wesoło, śpiewając.

Gdy zaśpiewali smutną piosenkę, wszystkim popłynęły łzy. Fiona, jej siostry, Bob i Eileen płakali otwarcie. Keira nie mogła powstrzymać się od szlochania, ale zauważyła, że oczy Simona pozostały suche. Dalej śpiewał swoim pięknym głosem. Kiedy znów zaczęli weselszy kawałek, chwycił jej rękę i zakręcił ją na ściętej trawie. Nie знаła żadnych kroków, ale pokazał jej, trzymając ją blisko. W jego oczach błyszczała wesołość i, jak przypuszczała, pożądanie, gdy tak śpiewał i z nią tańczył.

Objął ją mocniej.

- Tylko ty i twoja mama nie śpiewajcie - powiedział i jednym łagodnym ruchem podniósł Keirę do góry.

Krzyknęła i zaczęła się śmiać. Nie mogła sobie wyobrazić miejsca, w którym wolałaby teraz być. Przy kolacji zaczęło się roztrząsanie wydarzeń, tak jak przewidziała Keira.

Gdy Abigail, spięta i cicha, nakrywała do stołu, nie przyjmując niczyjej pomocy, do grupki dołączył Colm Dermott. Położył płytę na środku stołu.

366

- Policja ma oryginał, ale ja skopiowałem to na swój komputer i wypalilem płytkę. Mogę być przydatny, zobaczcie. - Westchnął. Opuścił go humor. Stuknął palcem w płytkę. - Patsy nie mówi ani słowa

o tym draniu. Po prostu opowiada historię. I to jaką! Była świetną gawędziarką, Keiro.

- Moja teoria brzmi następująco - powiedział Bob, przelamując niewygodną ciszę, która zapadła przy stole. Zerknął na córki, a Keira spodziewała się, że wyśle je na górę. Nie zrobił tego i ciągnął:

- Chodzi mi o Deirdre. Nie wątpię, że Michael Fuller - znany teraz jako ojciec Michael Palermo - mówił prawdę, że jego brat zadzwonił do Patsy

1 ściągnął ją na swoją łódź, a potem wskoczył do wody, cały w płomieniach.

Jedenastoletnia Jayne O'Reilly wykrzywiła twarz.

- To obrzydliwe, tato.

- To prawda. Nie każdy jest tak kochający i wspaniały jak twój ojciec, no nie? Dobra. Wracam do mojej teorii. Powiedzmy, że czternastoletni Michael Fuller wie, co zrobił jego starszy brat i jakim stał się potworem.

Abigail usiadła naprzeciwko Owena, nie patrząc na niego, gdy powiedział:

- Czy Stuart nie wyprowadził się do tego czasu?

- Tak, ale utrzymywał kontakt z Michaeliem. Kto wie, może wiedział, że młodszy brat zna jego zamiary. Stuart nie zostawił wielu śladów. Dzisiaj jest to trudniejsze, ale trzydzieści lat temu... -

Bob wzruszył ramionami. - Więc Michael jest między

385

młotem a kowadłem. Nie ma wystarczających dowodów - przynajmniej jego zdaniem - by pójść na policję. Boi się, że brat dowie się o jego podejrzeniach i zniknie, i kto wie, ile dziewczyn takich jak Deirdre zabije, zanim dorwie go policja.

- To okropny scenariusz, Bob - powiedziała Abigail. - Ten chłopak nie miał nikogo, komu mógłby zaufać.

Bob nie odpowiedział od razu. Mrugnął do Madeleine i Jayne, jak gdyby chciał im przypomnieć, że są bezpieczne, i stanął za Fiona, która siedziała między Owenem a Scoopem. Poklepał ją po ramieniu i spojrzał na swoją siostrę.

- Eileen, wszystko w porządku? Trzymasz się?

- Mów dalej - wyszeptala.

Keira patrzyła, jak jej wujek podchodzi do grilla i bierze do ręki widelec. Nie miała pojęcia, czy przedstawiał teorię, którą właśnie wymyślił, czy może zastanawiał się nad nią przez ostatnie trzydzieści lat.

Poruszył węgielkami i kontynuował:

- Michael uważa, że jego jedyne wyjście to wziąć sprawy w swoje ręce. Do tego czasu ciało Deirdre wypłynęło na brzeg. Policja szuka zabójcy. Michael wie, kim jest zabójca, gdzie przebywa, ale postanawia nie mówić tego policji. Zamiast tego czeka, aż Stuart straci przytomność po alkoholu, oblewa go benzyną i podpala.

Madeleine krzyknęła, Fiona i Jayne słuchały w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Keira wyobraziła sobie swojego wujka w wieku dwudziestu-

368

tu lat, jak dowiaduje się, co spotkało potwora, który tak bestialsko zabił jego przyjaciółkę. Córkę Patsy.

- Były mniej brutalne opcje - powiedziała Abigail.

Scoop pokręcił głową.

- Chłopak nie chciał mniej brutalnej opcji.
- Właśnie - zgodził się Bob. - Michael chciał, żeby jego starszy brat spalił się za to, co zrobił. By cierpiał, tutaj, na ziemi. Chciał, by miał szansę poprosić o wybaczenie za swoje okrutne czyny i ocalić swoją duszę.
- Czy to się udało? - zapytała Fiona.
- Świadkowie twierdzą, że Stuart płonął, kiedy wskoczył do wody.
- Czyjego młodszy brat to wiedział? - zapytała Keira i dodała: - Przynajmniej zgodnie z twoją teorią?
- Nie ma żadnego dowodu, że Michael tam był - powiedział jej wuj.
Abigail zakolysała się na krześle.
- Niezależnie od tego, co zrobił, nie wyobrażam sobie, jak można wiedzieć, że twój brat jest zabójcą, i myśleć, że jest się jedynym człowiekiem, który może go powstrzymać.
Simon wyprostował długie nogi.
- Może w twojej teorii jest mały błąd, Bob. Może Stuart Fuller naprawdę uważał, że jest diabłem, i podpałił się, myśląc, że przeżyje.

Bob skrzywił się.

- To straszne, Cahill. Dostaję gęsiej skórki na samą myśl o tym.

Colm Dermott zadrzał.

- Tak - powiedział. - Ja też.

Keira podzielała ich obrzydzenie. Jej matka nachyliła się do przodu z twarzą wykrzywioną z bólu.

- Możliwe, że Stuart Fuller naprawdę był szatanem.

Jej brat prychnął.

- Jeżeli był szatanem, to jest już martwym szatanem, bo widziałem jego ciało. Właściwie, Abigail, pokazał mi je twój ojciec. To było bardzo dawno temu.

Fiona wstała i uściskała ojca.

- Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki, tato.

- Dzięki.

Owen wstał i zaprosił ją i jej siostry do mieszkania Abigail na lody. Keira zauważyła, jaki ma dobry kontakt z dziewczynami, i zastanawiała się, czy Abigail też to widzi.

- Może powinienem był trzymać język za zębami - powiedział Bob, wracając do stołu.

- Nie - odparła Abigail, wpatrzona w oddalające się siostry O'Reilly. - Zapamiętaj, że nie miałeś przed nimi sekretów, nie wykluczałeś ich. Ale może być ciężko widzieć to, co widzimy w pracy, a potem myśleć o wydawaniu dzieci na ten świat. Gdybym mogła pomachać czarodziejską różdżką i uwolnić świat od przemocy, zrobiłabym to. Pozbawiłabym nas pracy.

- Wiem, że byś to zrobiła, ale jeśli potrzebujesz Czarodziejskiej różdżki, pogadaj lepiej z Keirą. Bob roześmiał się, Abigail rzuciła w niego plastikową łyżką.

370

Simon położył dłoń na udzie Keiry i przysunął się do niej.

- Coś mi wypadło w pracy - powiedział cicho. - Muszę iść.

- W pracy konsultanta czy w FBI?

- To może trochę potrwać.

- To nie jest odpowiedź, Simon.

- Nie będziesz mogła się ze mną skontaktować przez jakiś czas, ale nie martw się. Znajdę cię. Gdy Simon się pożegnał, Abigail i Scoop rozeszli się do swoich mieszkań, a Colm życzył wszystkim dobrej nocy. Wychodząc, szepnął Keirze, że historia Patsy świetnie się nadaje do jej nowej książki.

- Nie chciałaby, żeby ten diabeł ją zepsuł - powiedział - i byłaby taka dumna. Jej wujek zamknął grill. Córki wróciły do ogrodu z lodami i obserwowały go, jak gdyby widziały go z nowej, nieznanej wcześniej strony. Udawał, że tego nie zauważa, ale Keira uznała, że jednak to wie.

- Wygląda na to, że zostaje dzisiaj z tłumem kobiet - powiedział. - Nie mam tylu łóżek, ale chcę, żebyście wszystkie nocowały. Keiro, Eileen - wy też. Będzie tłoczno, ale to był koszmaryny dzień. Przez chwilę... - Bob porzucił to, co chciał powiedzieć. - Eileen, będzie jak za dawnych lat. Pamiętasz, jak uważaliśmy, że fajnie jest spać na kocach w dużym pokoju? Uśmiechnęła się.

- Myśleliśmy, że jesteśmy ekstrawaganccy.

Wyciągnął portfel i wyjął z niego pogniecione zdjęcie.

- Nigdy nie pokazywałem wam zdjęcia z mojego balu maturalnego. - Przytrzymał je przy świeczce przeciwko komarom, a dziewczyny zebrały się wokół. - To ja. A to... - Umilkł, odchrząknął i wskazał delikatnie na ładną blondynkę obok niego. - To jest Deirdre Ita. Fiona dotknęła jego ramienia.

- Tato...

- Nadano jej imię irlandzkiej świętej. Kochała anioły i dobre opowieści.

Keira słuchała, jak jej matka i wuj rozmawiają i śmieją się, opowiadając jedną historię po drugiej o przyjaciółce, którą dawno utracili. Zastanawiała się, czy Simon wiedział, że to nastąpi, i czy to był przynajmniej jeden z powodów, dla których wyszedł akurat w tym momencie.

Gdy zgasili świece, wujek objął Keirę.

- A gdzie jest twój książę z bajki?

- Chodzi ci o Simona? Musiał iść. I chyba nie podobałoby mu się, że nazywasz go księciem z bajki.

- Tak? Ciekawy człowiek. Kiedy wracałem z Cambridge, zadzwonił do mnie detektyw stanowy. Taki drobiazgowy gość. Jeszcze gorszy niż Yar-borough, ten pedant od Abigail. Powiedział, że nie znaleźli żadnego kamiennego anioła nad strumykiem i mamy się zamknąć, zanim nas wyślą do wariatkowa.

- Ależ Bob - powiedziała Keira - sama go widziałam.

372

- Widziałaś kamień. Twoja matka też. Lasy są pełne kamieni. Nie na darmo nazywają New Hampshire Granitowym Stanem. - Ziewnął, opuszczając ramię. - Stres robi dziwne rzeczy z naszą psychiką.

- Więc policja twierdzi, że nie ma żadnego kamiennego anioła?

- Nie ma - potwierdził. - Oczywiście nie przyznałem racji temu koleśowi. Powiedziałem mu, że pewnie zabrały go elfy. Zagroził, że tu przyjedzie i sam mnie zastrzeli. Zero poczucia humoru. Ale kto wie? Ciągle myślę o twoim plecaku, który pojawił się w tamtym pubie w Irlandii, i o swetrze, który ponoć znalazł barman.

Keira spojrzała na niego surowo.

- Bob, nie wiedziałam, że wierzysz w elfy...

- Nie wierzę. Po prostu mam otwarty umysł.

- No cóż - westchnęła - w Irlandii był jeden starszy człowiek...

- Jaki starszy człowiek, Keiro?

- Nie powinnam mówić „starszy”. Pewnie był w twoim wieku...

Uśmiechnął się.

- W takim razie na pewno nie był stary.

Gdy poszli na górę, Keira opowiedziała o spotkaniu z tamtym mężczyzną przy stole, w przeddzień przesilenia letniego. Wuj słuchał z zaciekawieniem. Gdy skończyła, powiedział:

- Myślę, że powinnaś wrócić do Irlandii.

- Też tak sędzę.

Bob szykował sypialnię dla córek, ale one już rozłożyły koce na podłodze, a ich ciocia wyciągnęła

się między nimi, mówiąc, że nie chce spać na kanapie.

- Zostajesz? - zapytała Keirę.

- Tak, mam. Będzie cudownie.

Ona też nie chciała spać na kanapie i usadowiła się na podłodze między mamą i kuzynkami. Bob włączył płytę DVD, którą przyniósł Colm.

Patsy siedziała przy swoim stole kuchennym z dzbankiem herbaty i talerzem ciemnego chleba.

Miała na sobie błękitny sweter, a jej lśniąca oczy były pełne życia.

- Dawno, dawno temu - zaczęła ze śpiewnym irlandzkim akcentem - byli sobie trzech bracia, którzy mieszkali na południowo-zachodnim wybrzeżu Irlandii...

Keira powstrzymała lzy i poczuła, jak jej mama bierze ją za rękę.

- Patsy chciałaby, żeby właśnie tak ją zapamiętano - wyszeptała. - Jak opowiada dobrą historię.

To prawda, pomyślała Keira. Wiedziała, co powinna zrobić. Dziś będzie koczować tu ze swoją rodziną, a jutro poleci do Irlandii. Miała tam niedokończone sprawy, choć nie mogła dokładnie określić jakie.

Był jeszcze Simon.

Wierzyła, że ją znajdzie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Wschodni Boston, Massachusetts 24 czerwca godz. 22.00

Simon trzymał nogi na stole na górnym pokładzie swojej łodzi i nie wstał, by przywitać się z Johnem Marchem. Wyglądało na to, że przyjechał nad Zatokę Bostońską sam, choć było to mało prawdopodobne/jeśli nie niemożliwe.

Wizyta dyrektora FBI nie była niespodziewana. Poinformował Simona, że do niego jedzie.

- Mam chrypkę - powiedział Simon. - Śpiewałem irlandzkie piosenki.

- Zawsze potrafiłeś śpiewać.

- Może to będzie moja nowa praca.

- Koszmarny dzień, Simon. - March spojrział na przystań. Światła miasta odbijały się w ciemnej, spokojnej wodzie. - Zastanawiam się, co by było, gdybym pozostał policjantem w Bostonie.

Zabójstwo Deirdre McCarthy to jedna z tych spraw, które

375

zostają z tobą na zawsze, gryzą cię do końca. Wiem, że z punktu widzenia egzekwowania prawa nie ma znaczenia, czy ofiara przestępstwa - okrutnego morderstwa - była dobrym czy złym człowiekiem. Musimy robić swoje niezależnie od tego. Ale Deird-re... - Pokręcił głową. - Deirdre była dobrym człowiekiem.

- Chciałeś opuścić bostońską policję jeszcze przed jej morderstwem. Zawsze byłeś ambitny.

- Jej zabójstwo pomogło mi zrozumieć dlaczego. Abigail wykonuje tę pracę tak, jak ja bym nigdy nie potrafił. - Westchnął. - Skomplikowałeś mi życie. Wiesz o tym?

Simon wzruszył ramionami.

- Poradzisz sobie.

- Dziennikarze już do mnie dzwonią z pytaniem, co pamiętam o morderstwie Deirdre. Wiedzą, że Abigail jest moją córką. - Uśmiechnął się ponuro. - Tylko czekać, aż dowiedzą się o tobie.

- Nie chodzi ci tylko o to, że jestem w FBI.

- Racja. Jest jeszcze twój ojciec.

- Tak. Mój ojciec.

- Ktoś zacznie kopać i dowie się, że byliśmy przyjaciółmi i że on zginął. Może to czas, żeby o nim opowiedzieć. Brendan Cahill był zaangażowanym agentem federalnym. Zasługuje na coś więcej niż moje milczenie.

- Nie masz nic do ukrycia - powiedział Simon.

- Nie w tym rzecz. Mówienie o tym przypomina mi o moich własnych niepowodzeniach, ale nie to mnie najbardziej dręczy. Żałuję, że nie mogłem go

394

ocalić. Taka jest prawda. - March nagle się uśmiechnął. - Twój ojciec też umiał śpiewać.

Pamiętasz?

- Nauczył mnie mojej pierwszej pijackiej piosenki irlandzkiej.

Simon pomyślał o Keirze i o tym, jak wielu rzeczy jeszcze o nim nie wiedziała. Z drugiej strony, była z natury ciekawska - dociekliwa, jakby to sama określiła. To dlatego znalazła się w kuchni starszej pani i poprosiła ją o opowieści. To dlatego ją interesowały. Tę ciekawość - tę wrażliwość - widać było w jej sztuce. Choć pojechała sama do Irlandii na sześć tygodni, nie była samotniczką.

- Simon? Otrząsnął się.

- Co się dzieje z Estabrookiem?

- Właśnie działamy. Wciąż jest w Montanie. Spodziewam się telefonu za kilka minut. To będzie poważna rzecz. Simon, musisz zniknąć na parę tygodni.

Tego już się domyślił.

- Jadę do Szkocji. Do zamku Willa. Chce, żebym z nim grał w golfa.

- A jeśli Fast Rescue będzie cię potrzebować?

- Owen jest poinformowany. Wrócę najszybciej, jak się da.

- Niezły jesteś, Simon. Nie wymiękasz pod presją.

- Nie wiem. Zadurzyłem się w folklorystce, która maluje irlandzkie wróżki.

March uśmiechnął się.

377

- Słyszałem, że potrafi się też niezłe bronić. Wygląda na kobietę w sam raz dla ciebie.
- Minie trochę czasu, zanim pogodzi się z tym, co się stało. Zrobi to na swój sposób, tak jak ty...
A ten Stuart Fuller...
- Siedziałem w kuchni Patsy, zajadając czarny chleb i pijąc herbatę, kiedy do niej zadzwonił. Wiedziała, z kim mamy do czynienia wcześniej niż my. Wierzyła, że był diabłem, a nie że on tak myślał. Ze naprawdę był szatanem.
- Powiedziała ci o tym? March pokręcił głową.
- Nie. Zrozumiałem to później. Powinna mi była to powiedzieć. Nie ze względu na Fullera. Ale nie powinna była widzieć, co on sobie zrobił.
- Więc jednak się zabił?
- Tak, ale nie miał takiego zamiaru. Wierzył, że przeżyje podpalenie. Simon potrzebował chwili, żeby to przetrwać. Dwudziestoczteroletni zabójca zwabił matkę swojej ofiary, by patrzyła, jak się podpala.
- Myślał, że będzie płonął przez chwilę, udowodni, jaki jest okrutny, a potem co? Podpali Patsy?
- Pewnie tak. - March wstał z trudem. - Obiecałem twojemu ojcu, że będę się tobą opiekował, gdyby coś mu się stało...
- Zrobiłeś to, John. - Simon wstał i wyciągnął rękę. - Dziękuję. Uścisnęli sobie dłonie, po czym March zaskoczył Simona, obejmując go.
- Brendan byłby z ciebie dumny.

378

- Opowiedz o nim Abigail. - Simon odsunął się i uśmiechnął, przypominając sobie ojca w taki letni wieczór jak ten. - Miał imię po irlandzkim świętym, Brendanie Żeglarzu.
- Ta taśma z jego egzekucji...
- Podjęłaś słuszną decyzję, dając mi ją do obejrzenia. Może nie byłoby to właściwe, gdyby chodziło o innego dzieciaka, aleja... Wtedy dowiedziałem się, że mnie rozumiesz. Zacząłem cię

**śłuchać. Gdybyś nie zjawiał się w tamtym momencie, nie zrobił tego... - Simon uśmiechnął się szeroko. - Pewnie dopiero teraz wychodziłbym z więzienia.
Po raz pierwszy od wielu wizyt i pewnie od wielu dni John March się roześmiał.**

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Jamaica Plain, Massachusetts 24 czerwca godz. 23.30

Abigail nie potrafiła ukryć zaskoczenia ani radości, kiedy weszła do salonu i zobaczyła obraz Keiry Sullivan, ten z chatką, który wpadł jej w oko na aukcji. Nie pochodziła z Irlandii ani nigdy tam nie była, ale to nie miało znaczenia. Coś w tym obrazie

- w pracach Keiry - urzekало ją.
- Owen - odwróciła się do niego - skąd to się wzięło?
- Simon zostawił to dla ciebie. Właściwie dla nas, ale bardziej dla ciebie. Mówi, że kiedy ty jesteś szczęśliwa, to ja też jestem, a to cię uszczęśliwi.
- To prawda. Jest piękny.
- Chce wiedzieć, czy wrócił na listę gości weselnych.
- Teraz będziemy musieli go zaprosić, jeśli...
- nie dokończyła.

398

- Wesele się odbędzie, Abigail - powiedział Owen, obejmując ją w talii. - Mam nadzieję, że wcześniej niż później.
 - To skomplikowane.
 - Tylko dlatego, że to komplikujemy. Jesteśmy szczęśliwi. Mamy przyjaciół, rodzinę, pieniądze, pracę, którą kochamy. I mamy siebie. Kocham cię, Abigail. Chcę spędzić z tobą resztę swojego życia. Jestem cierpliwy, ale do pewnego stopnia. Pobierzmy się.
- To brzmiało tak prosto.**
- Znów otwieram się na przyszłość. Od dawna tego nie robiłam. Zanim zabito Chrisa, miałam tak wiele planów. Potem już nie. Skupiłam się na pracy detektywa i znalezieniu jego zabójcy. To wszystko. Nic więcej. Przez siedem lat.
- Owen pocałował ją delikatnie.**

- Możemy zrobić plany razem - powiedział. - Nie musisz wymyślać wszystkiego sama.
- Ciągle myślę o tym, że Bob trzymał w sekrecie morderstwo tej biednej dziewczyny przez te wszystkie lata. Owen, nie chcę, żebyśmy taili coś przed sobą. Bob jest jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Bez wahania powierzyłabym mu swoje życie. Jest świetnym detektywem. Ale założę się, że nigdy nie powiedział którejkolwiek ze swoich żon o Deirdre McCarthy.
- Jest troskliwy.
- Tak, ale myślę, że Simon miał rację. Powiedział, że Bob nauczył się do tego nie wracać. Zbudował mur wokół tego fragmentu swojej przeszłości. Ja nigdy nie

postąpiłam tak ze śmiercią Chrisa. Wracalam do niej każdego dnia.

- Bo sprawa jego morderstwa nie została rozwiązana - powiedział Owen.

- Już nie wracam do tego codziennie. Owen... Tak bardzo cię kocham. Uwielbiam myśleć o tobie i robię to. Myślę o tobie cały czas. - Spojrzała na obraz. - To nasz pierwszy prezent ślubny. To bardzo mile ze strony Simona. Teraz jesteśmy mu winni...

- Nie zgodziłby się z tobą. Nienawidzi, kiedy ludzie są mu coś winni.

W tym momencie zauważyła kartkę.

- „Droga Ab - zaczęła głośno czytać. - Mam nadzieję, że podoba ci się ten obraz. Daj mi znać, kiedy ustalicie datę ślubu. Myślę o tobie jak o dawno zaginionej siostrze, mimo że nie jesteś Irlandką”.

- Pokręciła głową i uśmiechnęła się. - Simon ma coś w sobie. I jest bezczelny.

Ktoś zastukał głośno w tylne drzwi. Abigail nie była zaskoczona, gdy jej oczom ukazali się Bob i Scoop z żółtymi zeszytami i zatemperowanymi ołówkami.

- Dziewczyny, moja siostra i siostrzenica śpią

- powiedział Bob - ale muszę to wszystko jeszcze raz przelecieć.

- Ja nie śpię - powiedziała Keira, zjawiając się nagle za plecami Boba i Scoopa. - Nie jestem policjantką, ale czy mogę się przyłączyć?

Abigail spojrzała na Owena, który już sprzątał stół kuchenny. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Abigail poszła otworzyć; nie

382

miała zielonego pojęcia, kto może za nimi stać. Yarborough? Burmistrz? Dziennikarze? Był to jej ojciec.

- Cześć, Abigail. Wstrzymała oddech.

- Tato. Powiedz, że nic się nie stało Simonowi...

- Nic mu nie jest - odpowiedział. - Czuje się dobrze.

- Cahill to świetny gość - zawołał Bob z korytarza - ale mam wrażenie, że wielu ludzi chce go zabić.

- Aktualnie jest taki jeden.

- Norman Estabrook - powiedział Scoop, po czym wzruszył ramionami, widząc zaskoczone spojrzenia. - Wykonałem kilka telefonów.

Abigail zauważyła leciutki uśmiech na twarzy ojca. Był dobry w nieokazywaniu emocji, ale widziała, że naprawdę lubił Simona.

- Ja bym się nie martwił - powiedział. - Ludzie, którzy chcą zabić Simona, zawsze lądują w więzieniu albo w grobie.

Bobowi, Scoopowi i Owenowi najwyraźniej spodobała się ta odpowiedź, ale Abigail zauważyła, że Keira pobladła. Nie знаła dobrze Simona, ale było oczywiste, że się w nim zakochała.

Mogłybyśmy się zaprzyjaźnić; pomyślała Abigail i usiadła przy kuchennym stole między nią i Owenem.

- Mogę się przysiąc? - zapytał jej ojciec. Abigail pokiwała głową.

- Byłoby cudownie. Zanim usiadł, objął Keirę.

401

- Możesz zaufać Simonowi - powiedział.

Abigail zdała sobie sprawę, że Simon nie żartował w swoim liściku. Naprawdę był zaginionym bratem. Sposób, w jaki mówił o nim jej ojciec... Jakby mówił o własnym synu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Półwysep Beara, południowo-zachodnia Irlandia 3 sierpnia godz. 19.00

Keira szła drogą prowadzącą z jej chatki ciasno owinięta swetrem, by ochronić się od zimnego wiatru i wilgotnego wieczornego powietrza. Zauważyła, że dni stawały się coraz krótsze. Na południowo-zachodnim wybrzeżu Irlandii świt przychodził trochę później, zmrok zapadał trochę wcześniej. Wyobraziła sobie życie na wsi bez elektryczności i bez trudu zrozumiała, dlaczego opowiadanie historii przy kominku stało się tu tak popularne.

Gdy skręciła w główną ulicę wsi, usłyszała wrzawę dochodzącą z pubu. Śmiech, klótnie, okrzyki sprzeciwu. Zachwiała się na nogach.

Simon.

**Przyspieszyła, po czym zaczęła biec. Nie upięła włosów i czuła, jak płaczą się na wietrze. Znad
384**

zatoki przyszła zimna, wilgotna mgła. To był dobry wieczór na siedzenie w pubie, jeszcze lepszy - na ponowne spotkanie z Simonem.

Gdy otworzyła drzwi pubu, zmusiła się, by się uspokoić. Nie wyglądać, jakby goniły ją duchy albo dzikie psy - żadnych nie spotkała na swojej drodze w czasie ostatnich tygodni spędzonych w chatce. Na jej cichej uliczce panował spokój, jakaś lekkość. Lubiała myśleć, że życzenie Patsy się spełniło i że kamienny anioł wrócił na swoje miejsce - jakimś dziwnym sposobem.

Odgarnęła niesforne kosmyki z twarzy i wstrzymała oddech.

Nie myliła się. To Simon spowodował zamieszanie w pubie.

Urwał w pół zdania i wstał ze stołka przy barze. Miał na sobie irlandzki sweter, a jego czarne kędziory były trochę dłuższe i dotykały ramion. Jego oczy, zielone jak wzgórza w okolicy, błyszcząły. Uśmiechnął się.

- Czulem, że teraz łatwiej cię będzie znaleźć. Eddie O'Shea polerował kufel za barem.

- Ach* Keira. Tym razem nie musiałaś pakować się w tarapaty, co?

Tubylcy przy stolikach wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żaden z nich nie przyznał się do wiary w to, że Keira widziała w ruinach kamiennego anioła, ani w to, że czarny pies był czymś więcej niż tylko przybłądą. Ani że wiedzieli coś o starym człowieku w kaloszach lub o tym, jak plecak czy łopata znalazły się w miejscu, gdzie zobaczył je Eddie.

404

Wierzyli za to w diabła, który zabił owcę tamtego straszego wieczoru. Który zamordował Patsy McCarthy w Bostonie i próbował zabić Keirę i jej matkę w lasach południowego New Hampshire.

Ale od kiedy Keira wróciła do chatki kilka tygodni temu, koszmar tamtych dni powoli odchodził w niepamięć. Pracowała niestrudzenie nad zbiorem opowieści imigrantów urodzonych w Irlandii, robiąc sobie przerwy na spacer po wzgórzach i bawienie się w turystkę. Kupiła ceramiczny wazon w Adrigole, przejechała się jedyną w Irlandii kolejką linową z czubka

półwyspu Beara na wyspę Dursey, włóczyła się w ruinach zamków. Podłączyła laptop do Internetu. Odwiedził ją Colm Dermott z żoną i czworgiem dzieci.

Seamus Harrigan zatrzymał się we wsi, by do końca wyjaśnić szczegóły zamętu, który Jay Augustine wprowadził w Irlandii. Detektyw miał własne teorie. Przede wszystkim uważał, że Augustine zabił owcę pod wpływem chwili, gdy nieszczęsne zwierzę pojawiło się przed nim. Zespół Harrigana znalazł wiadro, w którym Augustine najpewniej przeniósł krew i wnętrzności.

Ta makabryczna myśl zaniepokoiła nawet Harrigana, doświadczonego detektywa. Gdy tylko Augustine znalazł ruiny i zaczął kopać, zaatakował go pies. Mężczyzna ukrył się wśród drzew. Później zjawiała się Keira i schowała się w chatce, myśląc, że pies czyha na nią. Augustine, bojąc się psa, postanowił działać. Spowodował zawalenie dachu, po czym zabrał jej

386

plecak i uciekł. Ale przed opuszczeniem ruin, opróżnił wiadro z krwi i wnętrzności. Zanim wyjechał, wszedł do chatki Keiry i ukradł taśmę z nagraniem Patsy. Gdy zobaczył na blacie notatkę z informacją o celu wędrówki, też ją zabrał.

Jeśli chodzi o anioła, Harrigan wątpił, czy w ruinach w ogóle był jakikolwiek anioł.

- Ale jeśli chce pani w to wierzyć - powiedział z błyskiem w intensywnie niebieskich oczach - proszę bardzo.

Keira dała za wygraną. Jakie miała podstawy, by podważać opinię detektywa?

Harrigan, który miał krewnych we wsi, powiedział, że zna jedną czy dwie historie, którymi chciałby się z nią kiedyś podzielić. Rozmawiał z nią tak, jak gdyby wiedział, że ona tu wróci.

Kilkoro mieszkańców wsi odciągnęło ją na bok, by zabawić ją własnymi opowieściami. Nikt nie przyznał się, że zna historię o trzech braciach i kamiennym aniele.

Przez wszystkie tygodnie spędzone we wsi Keira marzyła o tej właśnie chwili.

Simon odstawił swój kufel.

- Wybaczcie. Dokończymy innym razem. Podeszedł do Keiry i wziął ją na rękę, a wszyscy mężczyźni gwizdali i śmiali się, gdy bez trudu wyniósł ją na ulicę. Nie postawił jej na ziemi, dopóki nie doszli do dróżki prowadzącej nad zatokę.

- Łódź - powiedziała. - Mogłam się domyślić.

- Pożyczona.

- Ktoś jeszcze zawdzięcza ci życie?

387

- Ten sam człowiek.

- Will Davenport - powiedziała. - Eddie mi o nim opowiedział.

- Will łowi ryby w Szkocji, ale chce cię poznać. To przez te kwiaty we włosach na twojej stronie internetowej.

- Podejrzewam, że raczej przez to, że jest twoim przyjacielem i wie, że jestem zauroczona.

- Zauroczona? - Simon uśmiechnął się szeroko. - Dobre słowo dla księżniczki elfów, nie uważasz?

Roześmiała się.

Zaprowadził ją na pomost. Simon pasował do irlandzkich rybaków. Ale to był mężczyzna, który pasował wszędzie. Gdy doszli do łodzi, znów wziął ją na ręce i zniósł na dół, jakby myślał o tej chwili od wielu dni.

Położył ją na łóżku. Powoli docierała do niej przyjemna myśl, że jest przy nim.

- Keiro... - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Jesteśmy parą wędrowców.

- Przynajmniej na razie. - Wsunęła palce w jego włosy. - Powędrujemy razem.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Keiro, Keiro... - wyszeptał, wciąż ją całując. - Tęskniłem za tobą.

Następny pocałunek był długi, a ona pragnęła, by trwał wiecznie. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego karku i ramion, rozkoszując się ciepłem jego swetra. Gdy wzmocnił pocałunek, poczuła, jak pożądanie ogarnia całe jej ciało.

407

- Marzyłam o tobie - powiedziała. - Wiedziałam, że mnie znajdziesz. Nigdy nie wątpiłam...

Włożył dłonie pod jej koszulkę. Oderwał usta od jej warg i uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że to zwróci twoją uwagę.

- Miałaś rację. - Upajała się dotykiem jego rąk na swojej nagiej skórze. - Simon... ja się w tobie nie zakochuję. Już jestem zakochana.

W ciągu kilku sekund zdjął z niej ubranie, a ona pragnęła tylko poddać się całkowicie jego dotykowi. Nie mogła się nim nacieszyć. Ani teraz, ani nigdy.

Odsunął koldrę, trzymając ją w ramionach.

- Zimno ci? - zapytał.

Uśmiechnęła się, wędrując palcami w górę jego silnych pleców.

- Już niedługo.

Znów znalazł jej wargi. Długi pocałunek rozpalil jej skórę i duszę. Czula jego skupienie, jego determinację.

- Tu jest nasze miejsce - powiedziała. - Właśnie teraz, w tym momencie...

Słyszała wycie irlandzkiego wiatru na dworze. To jakoś pasowało. Poznali się w Bostonie, pomyślała, ale to Irlandia ich połączyła. Zakochałaby się w nim, gdyby poznali się przy kuflu piwa w pubie Eddiego O'Shea.

- Keiro - powiedział - przestań myśleć. Zaczął jej dotykać, wyganiając wszystkie myśli z jej mózgu.

Wszedł w nią powoli, głęboko. Rozkoszowała się

389

każdym poruszeniem. Jej puls przyspieszył, poczuła dreszcze. Rozkosz przyszła nagle, podczas gdy wiatr uderzał o małą łódź, a Simon wykrzyczał jej imię.

Później wyszli z powrotem na pomost, otuleni w swetry. Wiatr ucichł. Keira spojrzała na nagie wzgórza. Pod gwiazdami i księżycem zobaczyła sylwetkę mężczyzny w irlandzkiej czapce i

kaloszach, stojącego wśród owiec i skał. Otaczała go gromada roztańczonych cieni - elfów, pomyślała, i nie liczyło się, czy były prawdziwe, czy wyśnione.

Simon objął ją. Zrozumiała, że on też je widzi.

- Wieś, z której pochodził mój ojciec, jest w górę wybrzeża - powiedział. - Słyszałem, że mają tam historie o rolnikach, rybakach, elfach i magii.

Keira oparła się o niego, zadowolona z jego ciepła i siły.

- Nie ma nic, co chciałabym robić bardziej niż żeglowanie z tobą wzdłuż wybrzeża Irlandii.

- Marzy ci się przygoda, co? Uśmiechnęła się.

- Zawsze.

EPILOG

Półwysep Beam, południowo-zachodnia Irlandia 6 sierpnia godz. 19.00

Bob O'Reilly wszedł do ciepłego pubu i zauważył, że nikogo nie obchodzi, że przemókł do nitki, a woda kapie z niego na podłogę. Przyszedł tu z chatki, którą jego szalona siostrzenica wynajęła na kolejny miesiąc. Postarała się o składane łóżko w salonie i przysłała jemu i swojej mamie bilety do Irlandii.

Co miał zrobić? Darmowa wycieczka do Irlandii. Musiał jechać.

Zdjął kurtkę przeciwdeszczową i powiesił ją na wieszaku wśród wielu innych, równie znoszonych i wypłowiałych.

Barman, Eddie O'Shea, zmierzył go wzrokiem, nalewając piwo do kufła.

- No i jak, detektywie, dobrze się szło?

Powiedział „detektywie”, jak gdyby wydało mu się zabawne, że Bob jest policjantem.

410

Bob strząsnął trochę wody deszczowej z włosów.

- Pogoda jest beznadziejna, a powietrze śmierdzi mokrą owcą.

- Ale pan to uwielbia, prawda?

- Nic nie mówię.

Usiadł na wysokim stoliku koło swojej siostry. Krajobraz półwyspu Beara przypomniał mu pocztówki, które Patsy McCarthy wieszała na ścianie w korytarzu.

Przypomniał mu też historie, które opowiadała mu matka.

Zostanie w Irlandii tydzień. Później musi wracać do pracy.

Nie wiedział, co robi Eileen. Może zostanie tu na zawsze. Dokończyła iluminowany manuskrypt przed wyjazdem do Irlandii. Colm Dermott zatrudnił ją do pomocy przy organizacji konferencji w Bostonie i Cork. Bob pomyślał, że będzie musiała znaleźć jakieś lokum, w którym będą przynajmniej toalety. Ale ona już cieszyła się wizją pracy. Billie i

Jeanette Murphy, przerażeni tym, jak manipulował nimi Augustine, ufundowali stypendium imienia Patsy i wysłali pierwszego laureata na konferencję.

Minie wiele tygodni, zanim zakończy się śledztwo w sprawie Augustine'a. Bob nie kierował nim -był tylko świadkiem. Nie podobało mu się to, ale co mógł zrobić? Przyszła reszta wyników sekcji zwłok Victora Sarakisa. Victor mocno uderzył się w lewą skroń, bez wątpienia o betonowy brzeg stawu. Nie zabiło go to ani prawdopodobnie nie pozbawiło przytomności, ale mógł być oszołomiony. Miał na

392

plecach siniaka, być może stanął na nim jego szwagier.

Jedno z dwojga, a może jedno i drugie, mogło powstrzymać Victora od walki z tym diabłem. Czyny Jaya Augustine'a nie były przypadkowe ani wariackie, pomyślał Bob. Augustine miał misję. Chciał matki i córki. Religijnej ascetki, która mieszkała w lesie, i pięknej artystki. Eileen i Keiry...

Bob porzucił tę myśl. Ten drań siedział za kratkami, tam, gdzie jego miejsce. A ja jestem na urlopie.

Jego pierwszego dnia w Irlandii, i pierwszego dnia Eileen po trzydziestu latach, poszli do ruin, gdzie Keira o mało nie zginęła i gdzie miało miejsce całe to zamieszanie z psem, aniołem i elfami. Być może była to stara chatka mnicha pustelnika z opowieści Patsy. A może nie. To nie miało znaczenia. Na pewno było to miejsce, gdzie jego siostra przez trzy dni ukrywała się przed wichurą dawno temu.

Ale może to też się nie liczyło.

- Keira dzwoniła, zanim przyszedłeś - powiedziała Eileen. - Chce, żebyśmy spędzili Boże Narodzenie w Irlandii. Ty, ja i dziewczyny. Zamieszkamy w luksusowych hotelach w Dublinie i Ken-mare. Wyobrażasz to sobie, Bob?

- Wyobrażam sobie, ile to będzie kosztować.

- Jej ilustracje stały się popularne, a poza tym nigdy nie była rozrzutna.

- A Simon?

412

- On też tam będzie - powiedziała Eileen. - Jestem tego pewna, a ty?

- Przynajmniej nie będę jedynym mężczyzną.

Wyobraził sobie radość Fiony z powodu spędzenia świąt w Irlandii. Zaciągnie go do pubów, żeby posłuchać muzyki. Pewnie każe mu śpiewać. Wciągała swoją młodszą siostrę w muzykę

irlandzką - Madeleine od razu spodobały się skrzypce. Jayne była bardziej podobna do niego i nie tak zafascynowana muzyką.

Policzki Eileen były czerwone z radości oczekiwania na to wszystko.

- Wyobrażasz sobie, Bob? Cała nasza gromada razem w święta.

- O, tak. Wyobrażam sobie siebie w jakimś cholernym pięciogwiazdkowym hotelu z moimi dziewczynami.

Eddie westchnął, rozbawiony.

- Wy, jankesi-powiedział, stawiając kufel guin-nessa przed Bobem.

- Amerykańscy jak placek z jabłkami - dodał Bob i uniósł kufel, mrugając do Eddiego.

- Jeśli wydaje się wam, że pogoda jest zła, poczekajcie, aż przyjedziecie tu w święta. Wilgoć wejdzie wam w kości.

- Pub jest otwarty?

- Z wyjątkiem Bożego Narodzenia.

- Świetnie. Wyperswaduję Keirze pomysł z pięciogwiazdkowym hotelem.

Eddie roześmiał się. Kiedy postawił przed Eileen dzbanek herbaty i talerz gorącego ciemnego chleba,

394

Bob zauważył, że jej oczy zasły łzami. Wiedział, że ona myśli o Patsy. I być może o Deirdre. Wypił trochę guinnessa i milczał.

- Ach, Eileen - rzucił Eddie z błyskiem w oku - kiedy tak siedzisz, nie wyglądasz na więcej niż dwadzieścia lat.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Ale z ciebie kłamczuch. Roześmiał się.

- Tęskniłem za tobą przez te wszystkie lata.

- Chciałabym opowiedzieć pewną historię - odezwała się łamiącym się głosem. - Prawdziwą historię. Po części smutną, po części nie. Mogę ją zatrzymać dla siebie, jeśli chcecie.

Bob nie otworzył ust, Eddie nalegał:

- Nie, opowiedz. Jest deszczowy wieczór, dobry na opowieści. Opowiadaj i nie opuszczaj nawet słóweczka.

Zamknął pub. Kilku mężczyzn zostało w środku przy małych stolikach, popijając piwo i kawę, podczas gdy za drzwiami wiał wiatr.

Eileen zaczęła od tego, jak ona, Bob i Deirdre wychowali się razem na tej samej ulicy. Bob nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak wspaniałą gawędziarką jest jego siostra. To przez te wszystkie miesiące spędzone samotnie w chatce na rąbaniu drewna i noszeniu wody. I modlitwie, oczywiście. Wciąż dużo się modliła. Nie przeszkadzało mu to. Miał nadzieję, że od czasu do czasu szepnie o nim dobre słówko lub dwa.

Zanim skończyła, dodała:

395

- Deirdre zawsze chciała zobaczyć Irlandię. Naprawdę była aniołem.

- W takim razie wciąż nim jest - powiedział Eddie, trochę wzruszony.

- Marzyliśmy o ucieczce do Irlandii, gdzie będziemy przeżywać przygody i romanse.

- A teraz znów tu jesteś.

- Dzięki Keirze. Deirdre cieszyłaby się jej szczęściem.

- I twoim.

Eileen uśmiechnęła się.

- Tak. Moim też. Nie wiem, kim był ojciec Keiry. Wiem tylko, że byłam uwięziona w tamtych ruinach przez trzy dni w czasie porządnej irlandzkiej wichury i przez ten czas kochałam mocno i bez granic.

- A John Michael Sullivan... - wtrącił Eddie z lekkim wzruszeniem. - Był miłością twojego życia, czyż nie?

Powstrzymała łzy.

- Eddie...

- Gdybyś nie wróciła z Irlandii w ciąży, nigdy byś na niego nie spojrziała. Byłaś studentką. On był chłopcem z sąsiedztwa.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat Bob nigdy nie myślał o małżeństwie Eileen w ten sposób, ale zauważył, że oblała się rumieńcem, i nagle docenił mądrość barmana.

- Kochaliśmy się - wymamrotała Eileen. Eddie O'Shea nachylił się nad barem. Patrzył na nią intensywnie.

- Nie straciłaś Deirdre ani Johna Michaela przez

415

coś, co zrobiłaś tutaj. Twoja córka jest błogosławieństwem.

Bob nie mógł tego dłużej znieść.

- No nie wiem. Właśnie żegluję wzdłuż wybrzeża z jakimś hulaką, czarnowłosym księciem z bajki, rysuje leprechauny i oset, a mnie zostawiła w samym środku tej głuszy...

Miejscowi nie dali mu skończyć. Postawił wszystkim kolejkę, po czym zaczęli się śmiać, klócić, rozmawiać o polityce, owcach i elfach. Eileen nie brała w tym udziału, ale nie miał jej tego za złe. Widział, że słucha, a poza tym była zadowolona z towarzystwa przyjaciół. Czuł, jak jej ból i poczucie winy znikają. Szalony romans, który był jej przeznaczony, dawno się skończył.

Nie wszystko w życiu wymagało wyjaśnienia.

Kiedy udali się z powrotem do chatki, deszcz już nie padał. Eddie O'Shea odprowadził ich dróżką. Dołączyli do niego jego bracia. Powiedzieli, że to doskonała noc na figle i psoty, po czym cała trójka poszła dalej ścieżką, by zniknąć wśród ciemnych irlandzkich wzgórz.

Bob stanął ze swoją siostrą przed kamienną chatką zatopioną w różach. Spojrzeli na rozgwieżdżone niebo i niesamowitą mgłę nad przystanią.

- Jesteśmy wśród aniołów, Bob - powiedziała miękko Eileen.

- Tak, siostró. - Objął ją i pomyślał o Deirdre, Patsy i Johnie Michaelu Sullivanie. Poczul, że są przy nim na irlandzkim wietrze. - Jesteśmy.